

Peter Abrahams

Zawrót głowy

Nerve Damage

Przełożyła Anna Kołysko



Molly Friedrich

Końcowy efekt to skutek odrzuconych odkryć.

- Picasso

Serdeczne podziękowania Jeffowi Abrahamsowi, Davidowi Chapmanowi, Niki Cohen,
Nickowi Fotiu i Jeffowi MacKilliganowi

Rozdział 1

Czasem umarli żyją dalej w naszych snach. Delia siedziała jak żywa na ogrodzeniu tarasu z widokiem na tropikalną zatokę w dole i machała bosymi nogami. Nigdy nie wyglądała lepiej. Urzekła lśniąca opalenizną jędrnego ciała i piwnymi oczyma upstrzonymi złotymi plamkami, zmrużonymi jak zawsze, kiedy chciała powiedzieć coś śmiesznego. Usta miała lekko rozchylone, pociągnięte błyszczkiem, w którym igrało słońce, i coś mówiła, ale tak cicho, że nie słyszał jej słów. Doprowadzało go to do szału. Kiedy jednak z niezatopionej we śnie strefy mózgu otrzymał sygnał, że ta migocząca zatoka znajduje się na wenezuelskim wybrzeżu, tropikalne słońce przygasło. Wenezuela - już sama nazwa kraju wytrącała go z równowagi.

Na skroni Delii zaczęła pulsować niebieska żyłka w kształcie błyskawicy. Raptem nastąpiło załamanie pogody, zerwał się zimny wiatr, potargał Delii włosy. Aura się pogorszyła. Roy wyciągnął rękę, żeby je przyglądzić, ale poczuł, że to nie jej włosy, bo są cieńsze i proste, a nie kręcone.

Otworzył oczy. Zimowe światło, oszronione szyby, plakaty mistrzów narciarskich na ścianach - pokój Jen.

- Zawsze nienawidziłam facetów, którzy to robią - oznajmiła Jen chrapliwym, zaspanym głosem.

Odwrócił głowę. Patrzące teraz na niego oczy - nie piwne, lecz jasnoniebieskie - też były na swój sposób piękne.

- Co robią? - spytał.

- Dotykają moich włosów. - Cofnął rękę. Włosy blond, a nie szatynowe, o szczególnym odcieniu, również przetykane złotem. - Ale tobie wolno.

Zawiesiła głos, jak gdyby czekała na reakcję Roya. Nie miał jednak pomysłu, jak zareagować. Leżeli obok siebie. Jen była bardzo piękną kobietą, cerę miała może zbyt ogorzałą, ale tym bardziej podobała się Royowi. Końcówka snu rozsypała się w drobny mak i znikła.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Jen.

- Dobrze.

Pogłaskała go nogą pod kołdrą.

- Wczoraj przyszła niespodziewana wiadomość.

- Dobra? - spytał.

- Raczej tak. Dostałam ofertę pracy.

- Co to za praca?

- Taka sama jak obecna - odrzekła Jen. Prowadziła szkółkę narciarską w Mount Ethan, dwadzieścia minut drogi od domu. - Tyle że na dużo większą skalę, za dwa razy większe pieniądze.

- Gdzie? - spytał Roy, pomyślawszy o pobliskim Stowe lub nieco dalszym Killingtonie.

Spojrzała w bok.

- W Keystone - powiedziała.

- Przecież to jest w Kolorado!

Skinęła głową. Po czym wróciła znów do niego wzrokiem, jak gdyby chciała przejrzeć go na wylot, odczytać jego myśli.

- No tak - skomentował.

Zaraz potem omal nie dodał: *W takim razie może się pobierzemy?* Bo przecież trwali w stałym związku dwa lata, niby chodzili ze sobą, ale właściwie mieszkali razem. Dlaczego nie posunąć się krok dalej? Nie brakowało im poczucia bezpieczeństwa, czułości, namiętności. Dzielili ich wprawdzie różnica wieku, bo on miał prawie czterdzieści siedem lat, a Jen trzydzieści cztery, poza tym ona chciała mieć dzieci, a on nie, ale co z tego? Uśmiechnął się do niej.

- Co tak? - spytała.

Już miał wypowiedzieć te ważne słowa: *W takim razie może się pobierzemy?* Nagle uznał jednak, że pytanie jest za ważne, żeby je tak wypalić. Stać go na więcej. Może bardziej elegancko wypadną oficjalne oświadczyzny, na przykład w piątek wieczór w Pescatore? Powstrzymał się więc i powiedział tylko:

- Moje gratulacje.

- Z jakiego powodu?

- Z powodu oferty pracy.

- Dzięki - odparła Jen. - Będę ją musiała, oczywiście, przemyśleć. Kolorado jest bardzo daleko.

- Rozumiem - powiedział Roy, wnosząc z ostatniej uwagi na temat odległości, że w piątek powie „tak”. Jeszcze tylko dwa dni. Obrotny z niego facet.

Jen wstała i wyszła do łazienki. Kiedy Roy usłyszał szum prysznic, zarezerwował przez telefon najlepszy stolik w Pescatore na piątek o pół do ósmej wieczorem. Po odłożeniu

sluchawki przypomniał sobie swoje jedyne poprzednie oświadczy. Noc, mała sypialnia w Foggy Bottom, w jego pierwszym własnym mieszkaniu, niebieskie światło radiowozu przejeżdżającego ulicą H oświetliło twarz Delii. Wtedy po prostu wypalił spontanicznie.

* * *

Roy mieszkał w pół drogi na północ we wschodniej części Ethan Valley w adaptowanej na dom stodoły, którą kupił z Delią za bezcen z przeznaczeniem na dach. Nie mieli wtedy pieniędzy. Delia dopiero od niedawna pracowała w Instytucie Hobbesa, centrum specjalistów zajmujących się problemami gospodarczymi Trzeciego Świata, a prace Roya nie zaczęły się jeszcze sprzedawać. Od razu roześmiały jej się oczy na widok podupadłej stodoły z kolonią nietoperzy i nielegalnie zagnieżdżonymi hipisami do kompletu. Remont zrobili sami, to znaczy Roy wykonywał wszystkie prace sam, a Delia, niczym księżniczka z bajki, wciąż wysuwała niewykonalne żądania. Tylko on poznał ją z tej strony, bo dla innych była świeżo upieczonym doktorem ekonomii z Georgetown. W robotach remontowych nie potrzebował niczyjej pomocy. Zawsze miał smykałkę do prac manualnych. Inni znajomi rzeźbiarze nauczyli się spawania specjalnie do pracy twórczej, on natomiast przeszedł odwrotną drogę. Co roku na wakacjach przez całą szkołę średnią i studia pracował w Warsztacie Mechanicznym i Obróbki Metalu Kinga w swoim rodzinnym miasteczku w Maine.

Teraz, kilka godzin po wyjściu Jen, sterczał w środku urwanego niejako łuku wykonanego głównie ze starych chłodnic samochodowych zespawanych końcami, a każda zwrócona w nieco inną stronę, co przypominało mu metodę animacji poklatkowej i wywołało niezamierzony efekt, chyba jednak nie bardzo pożądanym. Roy stał u szczytu drabiny, ponad pięć metrów nad ziemią, prawie pod dachem stodoły, na plecach miał przypięte butle z tlenem i acetylenem w przerobionym aparacie nurkowym, a budowa łuku dopiero się rozpoczęła. Jedną ręką chwycił się drabiny, w drugiej trzymał latarkę i czekał na natchnienie. Tu i tam przemykały mu przez głowę jakieś kształty, ale nie wychodziły z cienia, nie nabierały wyrazistości, pozostawały nieuchwytnie. Na dole zadzwonił telefon.

Włączyła się sekretarka automatyczna.

- Cześć - przywitał się znajomy właściciel złomowiska Szrot i Odzysk, największy dostawca Roya. - Mówi Murph. Chyba mam coś dla ciebie.

Klik.

Roy zszedł z drabiny. Na ostatnim szczeblu stało się coś dziwnego, zabrakło mu tchu. A przecież cieszył się dobrą formą, i to od dawna. Dlatego osłupiał, chociaż często się zdarza, że ktoś ma kłopoty z oddechem. Czyżby za bardzo odpuścił sobie ostatnio codzienne ćwiczenia?

Poprzedniego dnia przebiegł dziesięć kilometrów ze stodoły na parking dla narciarzy biegowych, a w niedzielę przez cały ranek obszedł na raketach śnieżnych pętlę na niższej grani, mijając po drodze grupę młodych ludzi w studenckim wieku biorących udział w nieznanych mu zawodach. Czyżby miał tremę przed piątkowym wieczorem? Najwyraźniej. Trema nie zna ograniczeń wiekowych. Bardzo to było irytujące, wbrew logice, ale zgodne z prawdą, przynajmniej w jego wypadku.

Po południu zjechał do doliny, żeby odwiedzić Murpha. Musiał w tym celu minąć skwer przed Centrum Ethana. Na końcu stał *Neandertalczyk numer dziewiętnaście*, ostatni z cyklu, który przysporzył mu sławy. Roy podarował go miastu niedługo po śmierci Delii. Lubił patrzeć na niego w zimie, kiedy czapy śniegu zaokrąglały płaskie powierzchnie, podkreślając cechy typowe dla neandertalczyków. Cechy, w które wcale ich świadomie nie wyposażył. Zarówno tytuł cyklu, jak i pomysł, żeby dopatrzeć się neandertalczyków w tych wielkich formach, pochodziły od Delii. Zawsze miał przekonanie, że to ona dała impuls do rozpoczęcia tego cyklu, a jednocześnie całej jego kariery.

- Chłapiemy po jednym? - spytał Murph.

Siedzieli w kantorku z widokiem na dziedziniec. Nie czekając na odpowiedź, rozlał Jacka Daniela do dwóch kubków od kompletu. Kubek reklamujący olej Valvoline podsunął Royowi.

- Ty też, Skippy? - rzucił przez ramię.

- Co też? - zapytał Skippy skulony w kącie przy komputerze.

Skippy był siostrzeńcem Murpha, przyszczatym wyrostkiem, którego kilka tygodni wcześniej wyrzucono z Liceum Ogólnokształcącego w Valley.

- Też chłapijesz? - spytał Murph.

- Daruję sobie - powiedział Skippy, stukając w zatłuszczone klawisze.

Murph uniósł kubek.

- Za odzysk.

- Za odzysk - zawtórował Roy.

Brzęk.

- Poczekaj, aż sam zobaczysz - zapowiedział Murph.

- Ale co to jest? - spytał Roy.

Wyjrzał przez brudne okna. Na całe hektary złomu i wraków na dziedzińcu Murpha prószył śnieg, a zachodzące za górami słońce powlekało wszystko pomarańczowym blaskiem.

- Nie uwierzysz - emocjonował się Murph.

- Zaryzykuj - poprosił Roy.

- Skippy, skocz na podwórko - rzucił Murph - i przynieś obiekt.

- Jaki obiekt? - zapytał Skippy.

- Rany boskie, no, ten dla pana Valois. Przed chwilą o nim rozmawialiśmy.

Skippy odsunął się na obrotowym krześle i poczłapał na dwór, nie zasznurował nawet butów. Tłuste strąki włosów opadały mu na oczy.

- Dzieciak mojej siostry - powiedział Murph.

- Wiem.

- Wylali go ze szkoły.

- Słyszałem.

- Co ja z nim pocznę?

Drzwi się otworzyły, wrócił Skippy. Miał płatki śniegu we włosach i niósł powykręcany przedmiot ze stali. Położył go na biurku - niemal idealna stalowa obręcz w kształcie korony, dużo za dużej na ludzką głowę, utworzona z dwóch splecionych, poczerńiałych... no właśnie, z czego?

- Poznajesz? - spytał Murph.

- Nie.

- Dwie łopatki śmigła - wyjaśnił Murph. - Od tego śmigłowca, który rozbił się w zeszłym miesiącu na Górze Waszyngtona.

Roy podniósł je. Były cięższe, niż przypuszczał, i zimne, bo przyniesione prosto z dworu. Dziwne połączenie piękna i brzydoty - najpierw skojarzyły mu się z cierniową koroną, a po chwili z obrączką ślubną.

- Pomyśl, jakie siły musiały je tak ukształtować - entuzjazmował się Murph. - Choćby tutaj. Zobacz, jak się stał rozciągnęła.

Murph zaskrzeczał, parodiując zgrzyt rozciąganego metalu.

Roy wiedział coś o sile towarzyszącej katastrofie helikoptera. Drżącymi rękami odłożył łopatki.

- Ile za to chcesz? - spytał.

- Widzisz, Skippy? - powiedział Murph. - A nie mówiłem?

- Czego? - mruknął Skippy znad komputera.

- Że się zainteresuje. - Murph dolał jacka danielsa. - Jak nic zostanę takim, jak mu tam, od sztuki.

- Koneserem - podpowiedział Skippy, nie podnosząc oczu.

Murph spojrział ze zdziwieniem, uniósł krzaczaste brwi.

- O właśnie, koneserem. - Postukał brudnym paznokciem w krawędź śmigła. - Co byś

powiedział na dwadzieścia doliczów?

- Dziesięć - odparował Roy.

Stało na piętnastu.

Roy załadował obiekt na tył półciężarówki i ruszył. Jeszcze nie dojechał do bramy złomowiska, kiedy bezwiednie zahamował, jak gdyby noga myślała za niego. Wysiadł, przeniósł obiekt do szoferki, położył na siedzeniu pasażera. Nie tyle obiekt, ile fragment, i to najważniejszy, do urwanego łuku, który powstawał w jego stodole. Ta korona, ta obręcz miała własny charakter. Roy czuł jej obecność u swojego boku.

* * *

Tego dnia przez dolinę przetoczyła się gwałtowna burza. Najpierw zaciął śnieg, potem deszcz ze śniegiem, a później znów śnieg; wichura łomotała w okna stodoły, ale Roy stał na drabinie, całkiem nieświadomy, co się dzieje na dworze. Urwany łuk ze starych chłodnic, powykręcana obręcz z rozbitego helikoptera, nawet efekt animacji poklatkowej - wszystko razem zagrało, chociaż ich znaczenie objawiło mu się stopniowo dopiero w nocy. Najtrudniej było przezwyciężyć pokusę, żeby uznać te powyginane łopatki śmigła za zwornik łuku, brakujące ogniwo, na które urwany łuk czekał, by stworzyć znów całość. Łuk zawsze był i miał pozostać urwany. Obręcz stanowiła tylko marzenie, co najwyżej niewykorzystaną możliwość. Nie mogła zatem szczelnie wypełnić brakującego miejsca ani idealnie się wpasować. Musiała odstawać, sprawiać wrażenie kruchej struktury, która lada chwila może się rozpaść. Problem w tym, jak taki efekt osiągnąć?

Kiedy Roy w swoim mniemaniu rozwikłał problem, świt oszklilił okna mlecznym blaskiem, czego rzeźbiarz zasłonięty ciemną maską spawalniczą nie zauważył. W końcu zdecydował się tylko na trzy zgrzeiny, tak chropowate, niezgrabne i pospolite, jakie potrafił uzyskać. Zespawał je gładko lampą lutowniczą, a przerywając proces spajania i bawiąc się płomieniem, uzyskał efekt zbliznowacenia na i tak już zniszczonej powierzchni. Diabła tam, jeszcze chwilę polutuje. Tak się rozpędził, że na koniec przypalił jeszcze tu i ówdzie, bo dostał takiego napędu, jak gdyby chciał komuś obić twarz.

Kiedy zszedł z drabiny, pot ściekał mu po policzkach. Podniósł maskę, obszedł swoje dzieło u podstawy, obejrzał je ze wszystkich stron, zwłaszcza pod najgorszymi kątami. Różne myśli cisnęły mu się do głowy. Najpierw: *Tak*. Potem: *Może*. Podchodził, odchodził, aż wreszcie wyjrzał przez okno. Zobaczył wysokie zasy, zwalone drzewa, wielkie gałęzie wbite w śnieg niczym dzidy ciśnięte przez olbrzymów. I wtedy przyszedł mu do głowy tytuł: *Delia*. Nie *Delia numer jeden*, bo to był początek, środek i koniec. Dotarło do niego, co stanowi

temat przewodni jego dzieła - kulminacja. Dlatego jednocześnie zaczął tęsknie wyglądać piątkowego wieczoru w Pescatore.

Zdjął z pleców butlę gazową. Wziął głęboki oddech, jak zawsze, kiedy chciał fizycznie dać wyraz satysfakcji, że coś zakończył, w poczuciu, że niebawem czeka go zasłużony odpoczynek. Kiedy wypuszczał powietrze, coś go połaskotało w gardle. Zakasłał raz i cicho. Łaskotanie ustąpiło, ale rozkasłał się na dobre. Poszedł do kuchni, zanosząc się kaszlem, odkręcił kran i wypił łyk zimnej wody.

Kaszel ustąpił, ale tylko na chwilę. Nagle z gardła Roya wyrwał się głęboki charkot, tak mocny i gwałtowny, że trudno go uznać za kaszel. Roy zaczął się krztusić i wypluł wodę, która zgęstniała w zlewie i przybrała czerwony kolor. Właściwie najpierw różowy, lecz zaraz potem szkarłatny, i pociekła wolno do rur.

Następny oddech przyszedł mu bez trudu, podobnie jak wszystkie kolejne. Roy usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio zarwał noc. Nie pamiętał. *Nigdy więcej, staruszk.* Z oddali dobiegł go warkot piły łańcuchowej.

Rozdział 2

- Niesamowite! - zawołał Krishna Madapan, marszand Roya, obchodząc *Delię*. W piątek rano drogi znów były przejezdne i Krishna wstąpił do Roya, jadąc z Nowego Jorku do Stowe na weekend. Cały ubrany na czarno prezentował wielkowiejską elegancję, tyle że dzisiaj łączył dodatkowo cechy mieszczucha z miłośnikiem pleneru, bo miał na sobie spodnie narciarskie i futro z norek. - Mogę wyrazić swoją opinię?

- A gdybym odmówił? - spytał Roy.

Krishna zamrugał, bo zawsze tak reagował, kiedy ktoś próbował zbić go z tropu, i ciągnął swoje.

- To twoja najlepsza praca - oznajmił. - Bez urazy, żebyś mnie dobrze zrozumiał. Nie ujmując nic poprzednim, ta jest po prostu najlepsza.

- Sam nie wiem - zastanowił się na głos Roy, spoglądając na rzeźbę. Dzisiaj we wszystkim dopatrywał się uchybień.

- Nic dziwnego, że nie wiesz - skwitował Krishna. - Dlatego jesteś, kim jesteś. A ja, pozwolę sobie dodać, też dlatego jestem, kim jestem.

Roy nie bardzo rozumiał, ale nie zdążył poprosić o wyjaśnienie, bo Krishna wyjął telefon komórkowy.

- Do kogo dzwonisz? - spytał Roy.

- Do kierowcy - odparł Krishna.

Roy wyjrzał przez okno i zobaczył, że marszand przyjechał limuzyną. Kierowca odłożył gazetę i otworzył telefon z klapką.

- Bądź tak dobry - poprosił Krishna - i przynieś mi aparat fotograficzny.

Kierowca zrobił minę, ale dojrzał ją tylko Roy. Już po chwili szedł dróżką z aparatem w ręce, ślizgając się, bo miał miejskie buty na skórzanych podszewkach.

Krishna obfotografował *Delię* ze wszystkich stron.

- Co to za *objet trouve* na szczycie? - spytał. - Za skarby świata nie mogę go rozpoznać.

Roy powiedział mu, co to jest.

- No tak - odparł Krishna i łypnął okiem z ukosa na Roya. Znał *Delię*, co więcej, poznał ich ze sobą. - Najlepsza praca - powtórzył ciszej, jakby do siebie, może nawet ze wzruszeniem. Postawił kołnierz futra, jak gdyby się ochłodziło. Zauważył, że kierowca z

rozdziawionymi ustami również ogląda rzeźbę. - Jak masz na imię? - spytał.

- Luis - odparł mężczyzna i prędko się odwrócił, jak gdyby przyłapano go na gorącym uczynku.

- I co sądzisz o tym dziele sztuki, Luis? - zagadnął go Krishna.

- Ja? - spytał Luis.

- Tak, ty.

Luis oblizał wargi.

- To chłodnice, prawda?

Krishna skinął głową.

- Zwykle chłodnice samochodowe.

- Tak myślałem - powiedział Luis. - I mimo wszystko to jest sztuka? - Wpatrywał się jeszcze chwilę. - Dziwne.

- Dlaczego dziwne? - spytał Krishna.

- Dlaczego dziwne? - powtórzył Luis. Zastanowił się. - Bo przypomina mi to...

Ponownie zamilkł.

- Co? - dopytywał Krishna.

- Godzinę szczytu na autostradzie Long Island.

- Na autostradzie? - zaciekał się Krishna.

- Wie pan, jak tam bywa - wyjaśnił Luis. - Ale mnie chodzi o sytuację sprzed kilku lat, w marznącym deszczu. Wszyscy jechali bardzo wolno, co jednak nic nie dało, bo i tak zdarzyła się kraksa... tuż przede mną, jakby w zwolnionym tempie.

- Kraksa w zwolnionym tempie? - spytał Krishna. Spojrzał wymownie na Roya, jak gdyby czegoś dowiódł.

Luis zrozumiał opacznie jego wymowne spojrzenie.

- Nie miałem na myśli nic złego - dodał. Popatrzył na Roya. - Pan jest autorem tego dzieła?

Roy skinął głową.

- Bez obrazy - powiedział Luis.

- Wcale mnie pan nie obraził - zapewnił go Roy.

Nieźła recenzja, nie ma co. I to z ust kierowcy limuzyny, a nie nowojorskiego krytyka z Bóg wie jakim dorobkiem, choćby najznakomitszego. Nagle Roy poczuł rozpierającą dumę, nawet większą niż chwilę potem, gdy Krishna w drodze do wyjścia ucisnął mu rękę i powiedział:

- Zobaczysz, przyjacielu, wzmianka o tym dziele trafi na początek twojego nekrologu. Co

ważniejsze, już mam pomysł na zainteresowanie kilku nabywców. Spośród samej śmietanki... którą spijemy również ja i ty.

Roześmiał się. Roy mu zawtórował. Nie tyle rozradowany perspektywą dobrej sprzedaży, bo potrzeby miał niewielkie i zaspokajał je aż nadto, ile Krishną, który tak potrafi cieszyć się życiem.

Odprowadził gości do drzwi. Luis otworzył Krishnie tylne drzwiczki limuzyny. Marszand wsiadł, podwijając ostrożnie futro z norek. Ale i tak przytrzasnął sobie niechcący róg, czego nie zauważył nikt poza Royem.

* * *

Wrócił dróżką. W trzech oknach stodoły zobaczył fragmenty *Delii*. Efekt był piorunujący. Stanął jak wryty i wciąż tam stał, kiedy podjechał zżarty rdzą samochód i zahamował z piskiem opon. Wyskoczył Skippy.

- Dzień dobry, panie Valois - przywitał się.

Z ust wzbil mu się obłok pary.

- Tak?

Chłopak tylko chrząknął, ale znów wleciał obłok pary, jakby puszczał znaki dymne.

- Mów, o co chodzi.

Skippy jeszcze raz chrząknął.

- No więc chciałem powiedzieć, że przyjrzałem się tej, jak jej tam, pana rzeźbie, na skwerze. - Urwał. - Oczywiście widziałem ją wcześniej milion razy. Ale wczoraj specjalnie poszedłem, żeby ją sobie obejrzeć.

- I co?

- I wie pan, wujek Murph twierdzi, że pan nie gryzie.

- Że nie gryzę?

- Poradził, żebym sam przyszedł i zapytał. Że w najgorszym wypadku pan odmówi.

- O co chciałeś zapytać?

- No właśnie - podchwycił Skippy. - Z tym przychodzę. Mam nadzieję, że się pan nie...

Roy zaczął tracić cierpliwość, tym bardziej przy temperaturze minus dwadzieścia. A Skippy, podobnie jak większość miejscowych wyrostków, w przeciwieństwie do narciarzy, kolekcjonerów antyków oraz urlopowiczów z miasta, nie ubierał się na mróz. Dzisiaj miał na sobie dzinsy, rozchełstana wiatrówkę i adidasy. Nie miał rękawiczek ani czapki, nic dziwnego, że ciekło mu z nosa.

- Wejdz - zaprosił go Roy.

- No dobra - powiedział Skippy.

* * *

Chłopak wszedł do środka, rozejrzał się. Jego wzrok spoczął na *Delii* i tam pozostał.

- Już rozumiem, do czego były panu potrzebne te chłodnice.

- Właśnie.

- A u góry zamontował pan to skrecone śmigło. - Skippy obszedł postument z zadartą głową, odsłaniając przy tym dwa szerniałe zęby. - Ile to ma metrów?

- Siedem metrów, trzydzieści sześć centymetrów do czubka wygiętej łopatki - powiedział Roy.

- I co, da mu pan numer dwadzieścia? - zapytał Skippy. - Z cyklu *Neandertalczyków*?

- Nie.

- Wcale nie wygląda na neandertalczyka - dodał Skippy. - To byli jaskiniowcy, co nie?

Roy skinął głową.

- A co się kryje za tym?

Roy się uśmiechnął.

- Trudno wyrazić to w słowach.

- Przepraszam - bąknął Skippy.

Uciekał spojrzeniem od wzroku Roya, skrywając oczy za opadającymi strąkami tłustych włosów.

- Nie masz co przepraszać - powstrzymał go Roy. Dotknął bliższego filaru łuku. - Nazywa się *Delia*.

Skippy podniósł wzrok.

- Czyli to jest tak jakby konkretna osoba?

- Niezupełnie.

- Wymyślona?

- Nie. Rzeczywiście odwołuje się do konkretnej osoby, ale wiernie jej nie przedstawia.

- Czyli istnieje prawdziwa *Delia*?

- Tak, moja pierwsza... moja żona - wyjaśnił Roy. - Umarła prawie piętnaście lat temu.

A dokładnie czternaście lat, osiem miesięcy i dwa tygodnie.

- O rany.

Zapadło milczenie, chociaż wcale nie niezręczne. Bo już po chwili Roy poczuł się, jak gdyby w pomieszczeniu znajdowały się trzy osoby, które całkiem niezłe się porozumiewają.

- Zginęła w wypadku helikoptera - dodał. - Przy granicy wenezuelskiej.

Skippy natychmiast spojrzął na wykręcone łopatki pod sufitem.

- Delia usiłowała nauczyć miejscową ludność hodować ananasy - powiedział Roy. - Zaplanowała wszystko ze szczegółami: areał, marketing, nawodnienie.

- Czy wujek Murph wie, jak ona... - zaczął Skippy, ale urwał.

Roy pokręcił głową.

- Wtedy nie znałem twojego wuja.

Zresztą Roy niewiele mówił na temat Delii. Jeśli wypląnęła kwestia jej śmierci, zwykle informował zwięźle, że zginęła w katastrofie helikoptera. Tak właśnie przekazał mu tę wiadomość Tom Parish, szef Delii, w pierwszej rozmowie telefonicznej. *Roy, niestety, mam dla ciebie złą wiadomość.* Szczegóły - burza, awaria techniczna, helikopter - nadeszły później, razem z ciałem.

- O rany - powtórzył Skippy.

Można by rzec, z dwoma ciałami, bo Delia była wtedy w trzecim miesiącu ciąży.

- Skippy, ile ty masz lat?

- Szesnaście - powiedział chłopak. - Ale można na mnie polegać. Niech pan spyta wuja Murpha.

- Nie wątpię - uspokoił go Roy. Wbił wzrok w trzy pryszcze na policzku chłopca tworzące płomienny trójkąt.

- Czyli jak? - zapytał Skippy. Odchrząknął raz, potem drugi. - Zgadza się pan?

- Ale na co?

Skippy zarumienił się tak, że zbieleły mu pryszcze.

- Przyjąć mnie na pół etatu - wytłumaczył. - Nosiłbym ciężkie rzeczy, sprzątał co trzeba.

- Chcesz zostać moim pomocnikiem? - spytał Roy.

Skippy pokiwał głową.

- A co z pracą u wuja?

- Tam nie mam co robić. Wuj chciał tylko odciążyć moją mamę.

- A co ona robi?

- Sprząta domy na zboczu góry. I dorabia kelnerowaniem. - Odczekał chwilę. - Znam się na komputerze.

Roy nigdy nie miał pomocnika, bo też go nie potrzebował.

- Wpadnij w poniedziałek na dwie godziny. Może coś wymyślimy.

- Naprawdę?! - zawołał Skippy. - O raju, dzięki. - Prawa ręka mu drgnęła, jakby chciał podać ją Royowi. Do uścisku jednak nie doszło. - Bardzo dziękuję.

Otworzył drzwi, wyszedł, zamknął. Tuż potem rozległo się pukanie.

- Proszę - powiedział Roy.

Nigdy nie zamykał na zamek. Gałka się przekręciła, ale drzwi się nie otworzyły. Widocznie Skippy je zatrzasnął. Roy otworzył.

- O której w poniedziałek? - zapytał Skippy.

- O drugiej?

- Dobra.

* * *

Jen weszła do Pescatore. Wyglądała pięknie. Roy wstał, odsunął krzesło, potem pomógł jej się przysunąć do stołu. Spojrzała na niego przez ramię.

- Co ci jest?

- Nic. Wszystko w porządku - zapewnił Roy.

- Jasne.

Za oknem piętrzyła się góra, kilka stoków u podnóża oświetlono do nocnej jazdy. Muldy na Wipe Out rzucały okrągłe cienie, jak gdyby zbocze było usiane setkami czarnych dziurek. Narciarz w bieli wylądował w idealnym wykroku, skręcił w prawo i znikł za kępą świerków.

- Masz ochotę na szampana? - zapytał Roy.

Jen zbulgotała.

Roy się roześmiał i zamówił butelkę pommery. Nie znał się na szampanie, ale właśnie tę markę Krishna podawał na wernisażach, jeżeli naprawdę wierzył w danego twórcę.

- Pyszny - pochwaliła Jen, upiwszy łyk. - Nagle dorobiłeś się fortuny?

Roy też skosztował. Szampan naprawdę był smaczny, ale wpadł w niewłaściwą dziurkę i podrażnił mu gardło. Właśnie teraz Roy powinien powiedzieć: „Chyba nadszedł właściwy moment”. Jen zapytałaby, na co, a on zadałby jej sakramentalne pytanie. I wszystko potoczyłoby się gładko, gdyby nie to nieszczęsne drapanie w gardle. Odkaslnął, najpierw cicho, delikatnie, odstawiwszy kieliszek i zakrywszy usta serwetką. Po chwili się jednak rozkasłał, jak gdyby uruchomił potężny silnik. Kasłał na coraz wyższych obrotach wstrząsany konwulsjami i nie mógł przestać.

- Napij się - poradziła Jen, wybałuszyła oczy i podsunęła mu szklankę wody.

Zobaczył, że na biały obrus kapnęło kilka czerwonych kropli. Gestem przeprosił, że musi wstać od stołu, i wyszedł do toalety.

W środku nikogo. Wbiegł do kabiny, nachylił się nad sedesem, rozkasłał się na całego. Tym razem kaszel pokazał mu, co potrafi. Krew wypełniła muszlę, tryskała, ściekała, odrywała się grudkami.

- Proszę pana! - zawołał ktoś z zewnątrz. - Dobrze się pan czuje?

Kaszel natychmiast mu przeszedł, jak gdyby dbał o intymność. Roy nabrał powietrza.

- Jak najbardziej - powiedział zaskakująco starym głosem.

Cisza. I wtedy usłyszał kroki sunące wolno po kafelkach - chociaż nie słyszał, żeby ktoś wchodził - następnie odgłosy oddawania moczu, wody w umywalce, zamykania drzwi. Wyszedł z kabiny na miękkich nogach. Znow był sam w toalecie, sam na sam ze swoim odbiciem w lustrze. Widział, jak zbladł, tylko oczy rzucały ciemne błyski. Spryskał sobie twarz wodą, napił się z kranu. Zimna woda ochłodziła mu podrażnione gardło. Wrócił do stolika.

- Nic ci nie jest? - spytała Jen.

- Wszystko w porządku - oznajmił.

- Na pewno?

- Wszystko w porządku - powtórzył i wrócił do rozmowy jak gdyby nigdy nic. Jen zjadła łososia, Roy jagnięcinę. Wypili szampana. Wzięli na dwoje jedną porcję tortu zwanego czekoladowym występkiem i czas mijał im miło. Roy opowiedział Jen zabawną historię o poznanej kolekcjonerce, o utrzymanym przez nią w domu gepardzie i o dostawcy pizzy. Ale sakramentalnego pytania nie zadał.

Rozdział 3

Roy nie miał daru czytania ludziom z twarzy. Wiedział jednak, że każdy lubi dobre wiadomości. I że wszystkim rozbłyskują wtedy oczy. Dlatego brak takiego błysku przyjął za zły znak. W oczach doktora Bronsteina nie zapalił się żaden błysk - pozostały ciemne, zamysłone, może też odrobinę zaskoczone.

- Przepraszam, że musiał pan czekać, panie Valois.

- Nic nie szkodzi.

Doktor Bronstein otworzył teczkę, spojrział na zdjęcie z tomografu komputerowego, potem na Roya, który wyprężył się, żeby pokazać, jaki jest zdrowy. Omal się nie pochwalił: *Studiowałem na Uniwersytecie Maine dzięki stypendium sportowemu, bo grałem w hokeja.*

- Czy mogę pana o coś spytać? - zaczął doktor Bronstein.

- Jasne.

- Oczywiście musimy wykonać biopsję - powiedział lekarz. - Jeszcze nie wiemy na sto procent. Nic nie jest przesądzone. Ale czy miał pan kontakt z azbestem? Na przykład w pracy.

- Z azbestem? - powtórzył Roy. - Nie.

- O ile mi wiadomo, pan jest rzeźbiarzem - dodał Bronstein.

- Owszem, ale pracuję w metalach.

- Jakich metali pan używa?

- Ostatnio najczęściej złomowanych części samochodowych - odparł Roy. - Przedtem zrobiłem kilka prac z dźwigarów kupionych od firmy rozbiórkowej w Worcesterze.

Bronstein uniósł siwe brwi sterczące mu nad oczami niczym nawisy śnieżne.

- Dużo czasu spędzał pan na terenach rozbiórki?

- Ani godziny - odparł Roy. - Poczta elektroniczną dostawałem zdjęcia i wybierałem spośród nich.

Bronstein znów spojrział na kliszę.

- A przed tymi dźwigarami?

- Używałem prętów ze stali sprężynowanej - powiedział Roy. - Jeszcze przedtem również części samochodowych. Zacząłem właśnie od nich.

- Używał pan okładzin hamulcowych? - spytał Bronstein.

- Nie - odparł Roy. - Najczęściej chłodnic, czasami bloków silnika, niekiedy osi.

- Był pan w wojsku?

- Nie.

- Pracował pan w kopalni?

- Nie.

- Może w budownictwie? Przy tynkowaniu? Przy instalacji rur?

- Nie - zaprzeczył Roy. - Ale o co chodzi?

- Podaję panu główne sytuacje wymagające kontaktu z azbestem - wyjaśnił doktor Bronstein.

Roy podniósł ręce w geście bezradności.

- To mogło być dawno temu - powiedział Bronstein. - Kiedy pracował pan jako nastolatek podczas wakacji.

- Rzeczywiście, pracowałem w warsztacie - przyznał Roy.

- Przy czym?

- Przy obróbce metalu - powiedział Roy. - Głównie spawałem.

- Czy ta praca wymagała izolacji? Środków przeciwogniowych? Wiązała się z budową kotłów?

- Produkowaliśmy części linii montażowych dla zakładów chemicznych - uściślił Roy. - Najczęściej na dworze.

- Czyli to nie to - rzekł Bronstein, odhaczając kolejne rubryki w karcie choroby.

- Co nie co?

- Panie Valois, czy zna pan określenie mezotelioma?

Bardzo skomplikowane słowo, Roy nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

- Mógłby pan doktor powtórzyć?

- Mezotelioma.

Bronstein wymówił dobitnie wszystkie sylaby. Tym razem Roy zrozumiał. Słowo kojarzyło mu się z prymitywnymi postaciami z japońskich komiksów.

Pokręcił głową.

- Nigdy nie słyszałem.

Lekarz ponownie podniósł wzrok znad kliszy, utkwiał spojrzenie w twarzy Roya, chociaż nie patrzył mu prosto w oczy.

- Mezotelioma... mezotelioma złośliwa... to choroba wywołana nieodmiennie ekspozycją na azbest.

- Co to za choroba? - zapytał Roy.

- Poważna.

- A jak się nazywa?

Bronstein zrobił stropioną minę.

- Przecież powiedziałem, mezotelioma.

- Jak brzmi inna nazwa? - zapytał Roy, podnosząc głos, co znów spowodowało drapanie w gardle.

- Inna nazwa? - powtórzył Bronstein i cofnął się. Był drobnej postury, Roy z łatwością by go zmiażdżył. - Rozumiem - powiedział. - Rak. Międzybłoniak to odmiana nowotworu atakującego zwykle płuca, a czasem również otrzewną albo serce.

- I ja to mam?

- Bez biopsji nie mogę stwierdzić z całą pewnością. Złoty standard w rozpoznawaniu tej choroby to otwarta biopsja. W tym celu muszę pana skierować do doktora Honeya w Bostonie. Może czołowy specjalista w dziedzinie mezoteliomy na świecie, a sam miałem zaszczyt się u niego uczyć, może więc...

Bronstein urwał i w gabinecie zapadło milczenie. Słyszał tylko stukanie białego palca lekarza w kliszę tomograficzną Roya.

- Można się tego nabawić tylko od azbestu? - spytał Roy.

Bronstein pokiwał głową.

- Ale ja nie miałem kontaktu z azbestem - odparł Roy. - Czyli nie mogę tego mieć.

Lekarz wciąż nie patrzył Royowi w oczy.

- Bo niby skąd? - zapytał uniesionym głosem pacjent. Przecież użył pan sformułowania „nieodmiennie”. Tak pan się wyraził. Skoro więc nigdy nie miałem kontaktu z azbestem, nie mogłem się tego nabawić.

Drapanie w gardle się nasiliło.

Bronstein obliznął usta.

- Rzeczywiście.

- No właśnie - powiedział Roy. - I czuję się dobrze. Jestem w lepszej formie niż kiedykolwiek.

Korciło go, żeby pochwalić się lekarzowi tym, jak idąc na raketach śnieżnych, prześcignął grupę studentów na niższej pętli.

- Pozostaje niewyjaśniona przyczyna kaszlu - zauważył Bronstein.

- Właśnie, pozostaje kaszel - przyznał Roy. Siłą woli przewyciężył nie bez trudu drapanie. Ustąpiło. - Ale kaszel może brać się skądkolwiek.

Dopiero teraz Bronstein podniósł oczy na Roya.

- Dlatego trzeba wykonać biopsję - powiedział. - Żebyśmy nie musieli snuć domysłów.

* * *

Wtorkowe wieczory zimą zawsze przynosiły mecz hokeja w amatorskiej lidze seniorów w dolinie, wszyscy gracze powyżej trzydziestego piątego roku życia, żadnych ataków kijem, slapshotów, obowiązkowych strojów, kaski wedle uznania. Potem u Walda przegrani stawiali piwo, chociaż nie obowiązkowo. Zgodnie z tradycją wprowadzoną na długo przed przyjazdem Roya wszystkie drużyny nosiły nazwy pochodzące od części damskiej garderoby. On grał w Stringach. Tego wieczoru walczyli z mistrzowską drużyną Miseczek D. Większość zawodników wyniosła doświadczenia hokejowe ze szkoły średniej albo z college'u, nieliczni doszli do zawodowej ligi juniorów, a środkowy napastnik Normie Sawchuck zaliczył dwa sezony w drużynie Boston Bruins. Normie, który miał teraz dziesięć do piętnastu kilogramów nadwagi, bo jadł i pił za darmo w Burger Paradise Normiego, i tak był najszybszym zawodnikiem, zwłaszcza w pierwszych minutach.

Właśnie prowadził atak trzech na dwóch, naciskał na Roya. Śmignął do tyłu na prawe skrzydło obrony, pozycję, na której grał całe życie. Roy jeździł do tyłu jeszcze szybciej niż do przodu, co nie znaczy, że dorównywał klasą Normiemu, bo nie miał szans. Normie minął niebieską linię, aż iskry lodu poszły spod łyżew, zamarkował podanie do lewego skrzydłowego, które Roy zignorował, bo Normie unikał podań na początku gry, i wykonał zwód w prawo. Roy za nim, zwrócony do środka tafla, gotów na wszystko poza tym jednym: nagle krążek oderwał się od kija Normiego. W każdym razie tak się Royowi zdawało, lecz kiedy ruszył w jego stronę, krążek zniknął, już znów schowany między łyżwami Normiego. Ruch Kharmalova. Mijając Roya, Normie parsknął śmiechem. Nie całkiem go jednak minął. Zdarzył się pierwszy cud - Roy się zakręcił, zaczął machać kijem i wyhaczył krążek, który wystrzelił i odbił się od bandy, a Roy, zmiatając go, zobaczył... drugi cud - między sobą a bramką jedynie pustą przestrzeń. Wyrwał szybko naprzód - czuł tylko, że sweter wydyma mu się na wietrze, jak gdyby bóg hokeja przeistoczył go nagle w legendarnego Bobby'ego Hulla - i natarł w pojedynkę na bramkarza. Nie próbował nawet najazdu, wziął tylko zamach kijem, jeden ruch rękami i bach! Krążek odbił się od słupka i rozerwał siatkę.

- Ale strzał! - zawołał bramkarz.

Cały mecz miał podobny przebieg. Ostateczny wynik: Stringi - 6, Miseczki D - 1. Roy zaliczył *hat trick*, cały wieczór śmigał i nawet się przy tym nie spocił. Kiedy ostatnio tak grał? Lata temu, a może nigdy.

- Rany boskie, Roy! - wykrzyknął Normie, kiedy przyniósł dwa dzbany spienionego piwa do stolika Roya u Walda. - Nie wiem, co ty popalasz, ale też muszę tego spróbować.

Roy czuł się tak dobrze, że omal nie machnął ręką na biopsję.

* * *

Otwarta biopsja, złoty standard, wymagała znieczulenia ogólnego. Roy nigdy wcześniej nie miał narkozy. Teraz leżał na stole operacyjnym pod jaskrawymi lampami. Pani anestezjolog, a może pielęgniarka, bo Roy nie znał się na personelu medycznym, podeszła z wenflonem.

- Ładne żyły - pochwaliła.
- Dziękuję.
- Od czego ten siniak? - zapytała, wkłuwając igłę.
- Od krążka.
- Słucham?
- Dostałem krążkiem hokejowym.
- Poleciał na trybuny?
- Nie - odparł Roy. Poczł dziwny zawrót głowy. - Gram w hokeja.

Jeździł na łyżwach od trzeciego roku życia. Zastanawiał się, czy nie podać tego szczegółu, kiedy zobaczył nad sobą doktora Honeya z maską na twarzy. Lekarz miał błękitne porcelanowe, by tak rzec, oczy. Raptem na ich widok Roya ogarnął strach.

Ale głos lekarza zabrzmiał serdecznie.

- Dobrze się panem zajmujemy - obiecał. - Musi pan tylko policzyć od dziesięciu do zera.
- A pan? - spytał Roy.

Wszyscy się roześmiali.

- Dziesięć - podpowiedział Honey.
- Dziewięć - podchwycił Roy. - Osiem, siedem, sześć... moja ulubiona liczba... pięć... -

Czuł się lekko, coraz lżej, jak gdyby płynął w powietrzu, mógł wyfrunąć z sali, za drzwi Szpitala Ogólnego Massachusetts, poza Boston, do domu. Ale nie do domu w Ethan Valley ani ich starego domu w Foggy Bottom, lecz do najstarszego, hen wysoko w lasach Maine. Honey zamknął porcelanowe oczy. - Bobby Greelish - powiedział.

- Co to było? - spytał Honey.
- Jeszcze nie zadziałało - wyjaśnił ktoś za jego plecami.
- Bobby - powtórzył Roy. - Gdzie jest Bobby?

* * *

- Widziałeś, jaki wielki szczur?! - krzyknął Bobby.

- Gdzie się schował? - zapytał Roy.

Roy z Bobbym pracowali na dworze, spawali stalowe zlewy do linii montażowej w zakładach chemicznych w Bath, jednego z największych kontrahentów Kinga. Szef widział ich z okna gabinetu, miał na nich oko, dlatego nie mogli się objąć. Jedynie kiedy padał deszcz, uciekali pod dach z blachy falistej, pod którym King ich już nie widział. Robili tam po kryjomu rozmaite rzeczy, na przykład konstruowali gokart, przerabiali motocykl Bobby'ego, przetapiali, co im wpadło w ręce, palnikami niszczyli pająki i inne robactwo. Teraz, przyświecając sobie palnikami, szukali olbrzymiego szczura, kiedy niepostrzeżenie zaszedł ich od tyłu King.

- Okradacie mnie? - spytał.

Odwrócili się, zamknęli dysze.

- Jak to?

Deszcz przyliżał Kingowi resztkę włosów do czaszki. Krople wody kapały mu z kościstego nosa i spiczastego podbródka.

- Płacę wam za robotę, prawda? I to, do diabła, nieźle. Dlatego kiedy nie pracujecie, w moim przeświadczeniu sięgacie brudnymi łapskami do mojej kieszeni.

- Sprawdzaliśmy tylko mieszankę - wyjaśnił Roy. - Wcale nie...

- Cholera, sprzątaacie mi jedzenie ze stołu, ot co. - King strzelał wściekle rozbieganymi oczami od jednego do drugiego. - Powiniennem wykopać was na zbity pysk.

- Oj, proszę pana - zaczęli jęczeć.

Kiepska sprawa. Obu wychowywały samotne matki, liczył się każdy przyniesiony do domu cent.

- O tak - powiedział King, przedrzeźniając ich. - Teraz to „oj, proszę pana”. - Spojrzał w drugi koniec podwórka. Najwyraźniej wpadł na pewien pomysł. - Wiecie co? - rzekł, ochłonąwszy. - Może dam wam jeszcze jedną szansę.

- Dziękujemy, panie King.

- Zawsze mnie gubi miękkie serce - dodał. - Tak się składa, że wpadła mi specjalna robota.

- Tak? - spytali z zaciekawieniem chłopcy.

Już ich nudziło robienie dzień w dzień tych zlewów.

- Uhm - potwierdził King.

Kiwnął na nich palcem.

Specjalną robotę wykonywali aż do powrotu do szkoły. Mieli z niej sporo uciechy.

- Tu się wszystko zaczęło - oznajmił King, zaprowadziwszy ich w najdalszy kąt posesji.

Za ogrodzeniem z siatki zwieńczonym drutem kolczastym zaczynał się ciemny las.

Patrzyli na stary budynek obłożony farbą, z powybijanymi oknami.

- Co się zaczęło? - spytał Bobby.

- Warsztat Mechaniczny i Obróbki Metalu Kinga, do ciężkiej cholery - wyjaśnił King. - Mój dziadek zaczynał od cementu. Widzicie tu jego stary magazyn. Potrzeba mi więcej miejsca, dlatego rozwalicie tę rudę.

- Mamy zburzyć ten budynek? - upewnił się Roy.

- Zrównać z ziemią - uściślił King. - Rozwalić w pył. I do kontenera.

Stary magazyn cementu Kinga opierał się na drewnianej konstrukcji. Chyba od początku był niezbyt solidnie zbudowany, a teraz już wydawał się dość lichy. Roy z Bobbym rozwalili go na drobne kawałki, głównie za pomocą pięciokilogramowych młotów i czasem pił łańcuchowych, a kiedy poniosła ich fantazja, używali również własnych ciał jak taranów, sprawdzając swoją umiejętność przechodzenia przez ściany. W magazynie piętrzyły się stosy starych materiałów, wiele z nich w butwiejących workach. Trudno byłoby wynieść te wszystkie worki do kontenera, dlatego chłopcy rozcinali je piłami. Kiedy pękały, ze środka wzbijały się tumany pyłu, jakby przez wyburzony magazyn przeszła zamieć, która pokryła ich od stóp do głów warstwą kurzu, upodabniając mimo sierpnia do bałwanów śniegowych. Sprawiało im to nie lada frajdę, a zarazem oszczędzało pracy, bo biały proszek zniknął podczas najbliższej ulewy czy nawet silniejszej wichury. Ostatniego dnia King wysupłał po dwadzieścia dolarów dla każdego z nich w charakterze premii.

Rozdział 4

Po zaszyciu klatki piersiowej, co wymagało założenia tylko czterech szwów, Roy nieco odurzony, chociaż nie czuł bólu, czekał - sam w poczekalni doktora Honeya - na wyniki biopsji. Leżał tam stos egzemplarzy „National Geographic”. Roy zapatrzył się w malownicze zdjęcie leśnej chaty. Drzwi od frontu były obrośnięte pięknymi czerwonymi dzikimi kwiatami, za domem płynął rwący strumyk. Przez chwilę usłyszał nawet szum wody i poczuł zapach kwiatów. Dosłownie obezwładniło go piękno natury, przepełniła radość życia. Odurzenie powoli ustępowało, a po chwili rzuciła mu się w oczy słabość zdjęcia - dojrzał w nim posiłek złożony z samych łakoci, przesłodzony, nazbyt powierzchowny, łatwo zaspokajający apetyt. Zanim zamknął pismo, zdjęcie skojarzyło mu się z widokiem ukrytym głęboko w zakamarkach mózgu, przywołało resztki snu, który jeszcze się nie rozplynął pod wpływem ustępującego działania leków.

Wyjął telefon komórkowy, zadzwonił do biura numerów w North Grafton, w stanie Maine, poprosił o numer Bobby'ego Greelisha. W spisie abonentów nie figurował żaden Bobby ani Robert Greelish. Pod tym nazwiskiem znaleziono mu jedynie Alnę, matkę Bobby'ego. Zadzwonił do niej.

- Pani Greelish? - spytał. - Dzień dobry, tu Roy Valois.

- Roy? - Zestarzała się. Nie poznał jej po głosie. - Ale mi sprawiłeś niespodziankę! Co u twojej mamy?

- Wszystko dobrze - odparł. Jego matka dawno temu przeprowadziła się z North Grafton do mieszkania, które kupił dla niej w Sarasocie. - Szukam Bobby'ego.

- Mojego syna? - zapytała pani Greelish.

- Tak - potwierdził. - Bobby'ego.

- Czyli nic nie słyszałeś?

- O czym?

- Bobby... - Głos uwiązał jej w gardle. Urwała, chyba na chwilę zasłoniła ręką mikrofon. Zaraz się jednak opanowała i powiedziała do słuchawki: - W Boże Narodzenie będą dwa lata, jak nie żyje.

- Bobby nie żyje?

Wypadek motocyklowy. Roy uchwycił się tej zbawiennej myśli.

- Umarł - powiedziała pani Greelish. - Zapadł na straszną, bardzo rzadką chorobę.

- A jak się nazywa?

- Słucham?

- Czy mogłaby mi pani powiedzieć, jak się ta choroba nazywa? - poprosił Roy.

- Oj, wybacz - przeprosiła pani Greelish. - Ale to taka trudna, dziwna nazwa. Nie mogłam jej zapamiętać, co Bobby'ego trochę denerwowało.

Dlatego Roy był poniekąd przygotowany na wynik biopsji. Można by nawet rzec, że przyjął go dobrze, co wyczytał z twarzy doktora Honeya i jego personelu.

* * *

- Ktoś pana odwiezie? - zapytała pielęgniarka Roya na odchodnym.

- Czeka w samochodzie - uspokoił ją Roy.

Wrócił jednak na północ sam. Czyste błękitne niebo tu i ówdzie pociągnięte srebrem, małe złote słońce, które świeciło, lecz nie grzało, śnieg, im dalej na północ, tym bielszy - piękny zimowy dzień, a zima była ulubioną porą roku Roya. Szczególnie lubił szklisty lód pokrywający granitowe odkrywki pozostawione przez budowniczych dróg, a dzisiaj wyjątkowo dużo skał lśniło jaskrawym blaskiem. Ten widok wycisnął Royowi łzy z oczu, chociaż na co dzień nie był płaksą, ale tutaj, w zupełnej samotności, pozwolił sobie na taką melancholię. Po chwili jednak się opanował, już chyba przy drugim zjeździe z autostrady. Kiedy przejechał most na rzece Connecticut i przekroczył granicę Vermontu, całkiem się pozbierał.

Diagnoza: mezotelioma, mięsakowaty, nieoperacyjny międzybłoniak opłucnej, trzeciego stopnia zgodnie z systemem klasyfikacyjnym Brighamama.

Ile jest tych stopni?

Cztery.

Czyli mogłoby być gorzej?

Owszem.

Rozumiem. I co teraz?

A o co pan pyta?

O możliwości leczenia.

Ach tak.

Mięsakowaty, nieoperacyjny międzybłoniak opłucnej - ileż znaczenia zawierało to dość zwężłe określenie. Samo słowo „nieoperacyjny” stanowiło nie lada cios.

Leczenie: opieka paliatywna.

Paliatywna?

To znaczy...

Wiem, co to znaczy. Na nic więcej nie mogę liczyć?

Prowadzimy próby kliniczne, ale pański przypadek się nie kwalifikuje.

Dlaczego?

Z powodu diagnozy.

Nie uważa pan, że to błędne koło?

Honey przyznał mu poniekąd rację. Zaraz potem wspomniał, że jego żona śledzi twórczość Roya i nie mogła się nadziwić, że mąż jej nie zna. Niemal jednym tchem napomknął o programie eksperymentalnym, który jego kolega ma rozpocząć w Szpitalu Johnsa Hopkinsa.

Mógłby mnie pan tam wprowadzić?

Spróbuję.

Naprawdę się pan postara?

Rokowania - od czterech miesięcy do roku.

Ten konkretny go zmroził. Honey skurczył się w jego oczach, jak gdyby Roy widział go z oddali. Jakby odchodził albo już zniknął.

Czy to pewne?

W moim zawodzie nic nie jest pewne, nigdy nie ma stuprocentowej pewności.

Czyli w grę może wchodzić trzynaście miesięcy?

Może.

A czternaście?

Niewykluczone.

Osiemnaście?

Powtarzam, nic nie jest pewne.

Czyli istnieje jakaś nadzieja?

Zawsze.

Kilka dni temu zdobyłem hat trick.

Hat trick?

Honey nie znał tego terminu. Roy pożałował, że w ogóle o tym wspomniał, nie wyjaśnił. Termin *hat trick* zabrzmiał mu wyjątkowo frywolnie w zestawieniu z określeniem „nieoperacyjny”.

* * *

Podjechał do stodoły. Wyrostek w sportowej bluzie i rozsznurowanych butach odgarniał łopata śnieg ze ścieżki. Roy zawsze odśnieżał sam. Wsiadł i go przywitał:

- Cześć.

Chłopak się odwrócił.

- Dzień dobry, panie Valois. Pomyślałem, że pan się na pewno spóźni, dlatego postanowiłem...

Skippy. Dzisiaj miał przyjść na próbę? Roy na śmierć zapomniał. Co mu powiedział? Żeby się zjawił o drugiej? Spojrzał na zegarek... pół do trzeciej... Zauważył nową ścieżkę przekopaną przez podwórze do szopy i drugą, całkiem zbędną, wokół stodoły.

- Naprawdę niepotrzebnie... - zaczął mówić Roy. Skippy czekał, trzymając kupę śniegu na łopacie. - Chodź do środka.

Dopiero wtedy chłopak przerzucił śnieg przez wysoką hałdę. Weszli do środka.

- Fajne - pochwalił Skippy, który od progu zwrócił uwagę na *Delia*.

- Co ci się w niej podoba? - spytał Roy.

- Co? - Skippy się zastanowił. - Niesamowite są te chłodnice, panie Valois. Ma pan już pomysł na następną?

Na następną? Roya znów przeszedł zimny dreszcz, choć nieco słabszy niż poprzednio.

- Napijesz się kawy? - zaproponował.

- Dziękuję - odmówił Skippy.

- A ja się napiję.

Poszedł do kuchni, podgrzał kawę, nalał dwa kubki. Kiedy wrócił do dużego pomieszczenia, Skippy siedział przy komputerze.

- Zawiesił się? - spytał.

- Często się zawiesza - przyznał Roy. - Wyjmuję zawsze wtedy wtyczkę z kontaktu i włączam ponownie.

- Pozwoliłby mi pan... - zaczął Skippy.

- A rób z nim, co chcesz - zachęcił go Roy.

Podstawił sobie krzesło do *Delii*. Skippy stukał zawzięcie w klawiaturę. Zapadł zmrok. W stodole panował spokój, harmonijna atmosfera jak w domu, chociaż tych troje wedle żadnej definicji nie tworzyło rodziny.

- Gotowe.

Roy, wstając, poczuł niezbyt silny ból w piersi. Podeszedł do komputera.

- Nie powinien się już zawieszać - oznajmił chłopak. - I oczyściłem panu trochę pulpit.

- Dziękuję.

- Chciałby pan mieć darmowy komunikator telefoniczny?
- Darmowy telefon?
- Mógłbym napisać specjalny program i panu zainstalować.
- Ale czy byłoby to zgodne z prawem? - spytał Roy.

Skippy odwrócił się w jego stronę. Strąki tłustych włosów zasłaniały mu oczy.

- W jakim sensie, panie Valois?
- Mówmy sobie po imieniu - zaproponował Roy.
- Dobrze, panie... już nic - powiedział Skippy.

* * *

Turk McKenny grał w drużynie Stringów na bramce, a zarazem był adwokatem Roya. Miał kancelarię na najwyższym piętrze białego budynku z widokiem na park. Roy widział przez okno swojego *Neandertalczyka numer dziewiętnaście*.

- Rewelacyjny mecz - pochwalił Turk.
- Dzięki.
- Trzeba było widzieć minę Normiego, kiedy odebrałeś mu krążek.
- Fuksem.
- Bo ja wiem? - powiedział Turk. - Ostatnio grasz trochę lepiej. Ciekawe dlaczego.
- Przychodzę w sprawie testamentu, o który mnie tak męczysz - wypalił Roy.
- Co?
- Chciałbym go w końcu spisać.

Turk zdjął z biurka nogi w zamszowych kapciach na kożuszku.

- Jeśli to możliwe, zaraz.

Turk przysunął do siebie notatnik, włożył połówkowe okulary.

- Oczywiście możemy się od razu zabrać - powiedział. Przekrzywił głowę, spojrzął znad okularów. - Coś szczególnego cię zmobilizowało?
- To, co zawsze - odparł Roy.

Kapitalny żart. Tak go rozbawił, że Roy zaniósł się śmiechem. Przez chwilę zastanawiał się, czy przestanie. Nagle ni stąd, ni zowąd przyplątał się kaszel, który pochłonął śmiech, kompletnie go zagłuszył. Roy wybiegł skulony z pokoju, zasłaniając ręką usta, i pomknął korytarzem do łazienki. Rozkasłał się nad umywalką. Tym razem nie poleciała krew, a jedynie odrobina żółtawego śluzu, konsystencji białka surowego jajka. Białko zamiast krwi. Ciekawe, czy to dobry znak. A jeżeli zły, to jak bardzo? Czy istnieje jakaś nadzieja? *Zawsze*.

Wrócił do kancelarii Turka. Adwokat krążył pod drzwiami.

- Co jest, Roy? Co się dzieje?

- Nic.

- Oj, przestań.

Roy potrząsnął głową.

- Rozmawiasz z przyjacielem - przygadał mu Turk.

Roy milczał.

- Jeżeli to nie wystarczy - powiedział Turk - miej przynajmniej wzgląd na moją pracę.

- Jak to? Nie bardzo rozumiem - rzekł Roy chrapliwym, świszczącym głosem.

- Jestem twoim adwokatem - przypomniał Turk. - Nie powinieneś mieć przede mną tajemnic.

Przyjaźnili się od dawna. Rywalizowali ze sobą jeszcze na studiach. Turk cztery lata grał w pierwszym składzie reprezentacji Dartmouth College na bramce, a przedtem spotkali się w finale turnieju międzyszkolnego na starym stadionie Boston Garden. Delia też go lubiła. Potem niósł jej trumnę na pogrzebie. Ponadto był jedynym adwokatem Roya, prowadził jego wszystkie sprawy - podatki, inwestycje, umowy, nie wyłączając umowy z Krishną. Roy wciągnął głęboko powietrze, świadom, że oddycha znacznie płycej niż zwykle.

- Obiecujesz dochować tajemnicy? - spytał.

- Ma się rozumieć - odparł Turk. - Ale i tak ci obiecuję.

Roy musiał komuś powiedzieć. W przeciwnym razie naraziłby się na potencjalny chaos. Stojąc przy drzwiach, wyrecytował Turkowi wszystko jak na spowiedzi. Powiedzenie na głos całej prawdy przyszło mu nie bez trudu, bo natychmiast jakby urealnił wyrok. Nie wyobrażał sobie, że mógłby jeszcze raz się na to zdobyć.

Turk nie przerywał, wysłuchał w milczeniu, tylko zbieleły mu trochę wargi. Kiedy Roy skończył, powiedział zwięźle:

- Wszystko w rękach Boga.

Położył koledze rękę na ramieniu. Roy nie miał ochoty na żadne uściski ani pocieszenia, dobrze więc, że Turk nie zaczął się rozczulać.

- Co z tym eksperymentem w Hopkins? - spytał Turk.

- Mają mnie zawiadomić - odparł Roy.

- Czyli istnieje jakaś nadzieja.

Zawsze.

Usiedli. W parku na trawniku mały brzdąc rzucał śnieżkami w *Neandertalczyka numer dziewiętnaście*.

- Masz coś w dolnej szufladzie? - spytał Roy.

- Czytasz w moich myślach - powiedział Turk.

Z dolnej szuflady wyjął butelkę bourbona, dwa kieliszki. Nalał do obu po niewielkiej miarce. Wychylili do dna. Nalał ponownie. Alkohol był w dobrym gatunku, ale Roy nie wiadomo dlaczego w ogóle nie czuł smaku.

- Moje oczekiwania są proste - powiedział. - Chcę, żeby jedną połowę dostała Jen, a drugą moja mama.

Turk zapisał w notatniku. Pismo miał drobne i eleganckie, dziwne przy tak grubych i powykrzywianych palcach.

- Co z domem? - spytał, nie podnosząc wzroku.

- Sprzedaj.

- A twoją kolekcję?

- Też sprzedaj.

- Jak to wpłynie na ceny twoich prac?

Roy się nie przejmował. Ale dlaczego by nie powiększyć spadku, który odziedziczą Jen i jego matka?

- Już Krishna będzie wiedział, co zrobić.

- Rozmawiałeś z nim?

- Nie.

- A z Jen?

- Też nie.

Turk otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale natychmiast zamknął. Roy podsunął szklanke. Turk mu nalał, a po chwili zastanowienia i sobie. Odłożył długopis, wypił, odchylił się na krześle. W pokoju zapanowała cisza tak gęsta, że prawie namacalna; wstrzymywała jak gdyby upływ czasu.

- Pamiętasz swoją bramkę w meczu z Harvardem? - spytał Turk. - Przypomniała mi się niedawno u Walda.

Roy nie wbił aż tylu bramek na studiach, żeby o którejkolwiek zapomnieć, ale ta była szczególna, może jedyna tak ważna, wbita w doliczonym czasie, zapewniająca wygraną w półfinale ligi krajowej. Przegrali wtedy finał z Minnesotą. Przeniknęła mu przez głowę szalona myśl: *Ciekawe, czy ktoś o niej wspomni w nekrologu?* Może zresztą nie taka szalona, bo od razu skojarzył, skąd się wzięła. Taką uwagę rzucił Krishna na temat *Delii*. Wzmianka o tym dziele trafi na początek twojego nekrologu. Znow przeszedł go zimny dreszcz.

- Co to za myśl? - spytał Turk.

- Nieważne.

- Zachowam dyskrecję.

Roy się roześmiał, tym razem zwyczajnie.

- Ot taki idiotyzm - powiedział. Skoro jednak zdobył się na szczerść w kancelarii przyjaciela, dlaczego w tym momencie miałby się gryźć w język? - Zastanawiałem się, czy wzmianka o tamtej bramce znajdzie się w moim nekrologu?

- Podejrzewam, że autorzy ograniczą się do twojej twórczości - stwierdził Turk.

Ten komentarz także rozśmieszył Roya. Po kilku kolejnych łykach rozsmakował się w trunku, stwierdził, że świetnie smakuje. W głowie trochę mu szumiało. Ale dlaczego miałby sobie, do cholery, odmawiać?

- Może moglibyśmy się dowiedzieć - powiedział Turk.

- Czego? - spytał Roy.

- Co będzie w twoim nekrologu. Bo chyba piszą je zawczasu. Przygotowują z góry, a potem tylko wstawiają ostatni drobny...

Nie dokończył.

Roy nie miał o tym pojęcia, bo nigdy nie interesował się nekrologami, w ogóle nie zaglądał do tej części gazety. Ale jakiś dziennikarz, może nawet niejeden, sporządził już jego biografię, przedstawił czarno na białym wszystkie jego wady i zalety. I jak wypadło podsumowanie?

- Choćby Mark Twain przeczytał za życia swój nekrolog - przypomniał Turk.

- Jak to?

- Przedwcześnie ogłoszono jego śmierć - wyjaśnił Turk. - Napisał na ten temat coś zabawnego. Ale ja raczej miałem na myśli sprytnych młodych ludzi.

- Jakich młodych ludzi? - zapytał Roy. Nagle musiał przetrwać złożone emocje, kiedy uświadomił sobie, że tylko żywi czytają nekrologi, a zatem przeczytanie swojego przypomina kpinę z własnej śmierci.

- Młodych ludzi, którzy umieją łamać wszelkie zabezpieczenia w Internecie - wyjaśnił Turk. - Potrafią się dogrzebać do czeluści portali wielkich gazet. Jest ich teraz na pęczki.

Roy znał jednego. Kpina ze śmierci raptem zabrzmiała kusząco.

Rozdział 5

Obudził się z pomysłem na kolejną pracę. Nowa forma nie ukazała mu się wyraźnie w głowie. Zobaczył tylko jej mglisty, cienki, delikatny zarys, delikatniejszy od wszystkiego, co kiedykolwiek zrobił, co akurat nie było trudne. W swej delikatności nawiązywała do ciszy. Stanowiła formę lub jedną z form ciszy. Sięgnął po szkicownik, który zawsze leżał na nocnym stoliku, kiedy zadzwonił telefon.

Odebrał.

- Halo.

- Oj, przepraszam, Roy, nie chciałam cię obudzić - powiedziała Jen.

- Nie obudziłaś.

- Mnie nie oszukasz - zapewniła go. - Znam twój zaspany głos.

Znow złożył głowę na poduszce.

- Przyznaję się do winy - potwierdził.

- I bardzo dobrze - powiedziała. - Bo jestem niedaleko.

Roy spojrział na budzik.

- Nie pracujesz dzisiaj?

- Dziś jest czwartek. Mój wolny dzień.

- No tak.

- Dobrze się czujesz?

- Jasne.

Długa pauza.

- Nie zaprosisz mnie? - spytała. - Kupiłam muffinki.

Roześmiał się i zaprosił ją.

Nieraz zdarzało jej się wpadać tak o świcie z muffinkami. Nie wstawał wtedy z łóżka, tylko czekał na odgłos otwieranych drzwi. Teraz jednak wstał, umył zęby, spryskał wodą twarz, ubrał się. Kiedy Jen weszła w ośnieżonej wełnianej czapce, z torbą muffinek z cukierni, kawa się parzyła.

- Już jesteś na nogach - skomentowała.

- Uznałem, że zechcesz napić się kawy.

Podeszła, objęła go.

- Później - powiedziała i liznęła mu ucho. W tym momencie wyjrzało słońce, jaskrawe światło wpadło przez wysokie okna stodoły, rzucając długi cień *Delii* na podłogę i na przeciwległą ścianę. Roy poszedł z Jen do sypialni.

Panował tam półmrok, bo pozostawił opuszczone żaluzje. Zrzucili ubrania, wchodząc do łóżka, Roy został tylko w podkoszulku.

- Chodź do mnie, nieznajomy - zachęciła.

- Nieznajomy? - spytał.

- W ogóle cię ostatnio nie widuję.

- Nieprawda.

Przyciągnął ją do siebie. Chwilę później usiadła na nim okrakiem, złapała go, włożyła sobie do środka, wyprostowała się - oboje lubili tę pozycję. Roy dlatego, że lubił patrzeć na jej twarz od dołu, a Jen z nieznanym mu powodów, ale bardzo mu to odpowiadało. Jen nachyliła się, wsunęła mu rękę pod podkoszulek, dotknęła torsu. Zastygła.

- Co tam masz? - spytała.

- Nic - powiedział Roy.

Odsunął jej rękę od opatrunku.

- Skaleczyłeś się?

- To tylko draśnięcie - zapewnił. - Nic takiego.

- Na pewno? Nie chciałabym...

Wyciągnął do niej rękę, przyciągnął jej głowę do siebie, zamknął usta pocałunkiem. Następnie popieścił jej pierś od dołu tak, jak lubiła. Wtedy zaczęła ocierać się o niego tak, jak on lubił, tyle że po raz pierwszy w życiu poczuł, że w niej słabnie. *No nie!* Zanim jeszcze zrozumiał, co się naprawdę dzieje, wychwycił sens tego i wymowę. Opadła go i obezwładniła lawina czarnych myśli. Pchał mocniej, ruszał się szybciej, usiłował zastąpić czarne myśli innymi - erotycznymi, pornograficznymi, sprośnymi - na siłę przywoływał wspomnienia przeżytych namiętnych nocy, szalonych wyczynów, w tym niektórych z Jen.

Nie pomogło. Skończył z Jen w sposób absolutnie niezaplanowany.

Potem leżeli obok siebie, nie dotykając się. Roy dosłownie czuł, jak Jen myśli, sam natomiast trwał w otumanieniu, zasypiał. Ogarnęło go zbawienne zmęczenie. Już prawie zapadł w sen, kiedy Jen się odezwała.

- Roy, nie mogę konkurować ze zmarłą.

Chciał otworzyć oczy, ale powieki miał jak z ołowiu.

- Nie o to chodzi - zapewnił ją.

- A ja uważam, że o to.

- Nie.

- W takim razie o co?

- O nic.

Jen się podniosła. Roy otworzył oczy. Patrzyła na niego z góry, zasłoniwszy piersi kołdrą, z błyskiem gniewu w oczach.

- Powiedz szczerze - poprosiła. - Przecież zrozumiem. Była tak cudowną kobietą, że nie potrafisz o niej zapomnieć.

- Nie o to chodzi.

- Nie? Jak w takim razie skomentujesz ten obiekt?

- Jaki obiekt?

- Rzeźbę. Dzieło sztuki. Jakkolwiek to zwał. Wmawiasz mi, że twoja praca stanowi dowód zapomnienia?

Jakkolwiek to zwał. Zdenerwował się. Sam zresztą usłyszał rozdrażnienie w swoim głosie.

- Przesadzasz.

- Tak? - spytała Jen. - Wiesz, że czasem wymawiasz jej imię przez sen?

- Niemożliwe.

- Jak nie chcesz, to nie wierz - powiedziała. - A teraz? Widzę, że ledwo zebrałeś siły, żeby prowadzić tę rozmowę. Tak cię nudzę?

Roy wyciągnął do niej rękę. Odsunęła się na skraj łóżka.

- Nigdy mnie nie nudzisz.

Pokręciła głową.

- Widzę, że przestałeś się mną przejmować. Nie tylko widzę, ale czuję.

- Nieprawda.

Ciągnęła swoje, jakby nie usłyszała.

- Jak zareagowałeś, kiedy powiedziałam ci o ofercie pracy? Nie poprosiłeś, żebym została. Nie odradziłeś mi wyjazdu. A potem całujesz mnie, jak gdyby... jak gdyby nic bardziej się nie liczyło. Czego ty ode mnie chcesz?

Roy zmusił się, żeby spojrzeć jej prosto w oczy. Czego chciał? Proste - chciał się z nią ożenić, a potem żyć długo i szczęśliwie... albo w odwrotnej kolejności. Powiedział jednak coś przeciwnego, siłąc się na łagodny ton, chociaż jego głos nie mógł wybrać gorszej chwili, żeby zabrzmieć chropowato. Roy nie mógł nic na to poradzić. Rzucił więc krótko:

- Wyjdź.

Po minie Jen poznał, że przeżyła wstrząs. Nie dodał nic więcej. Gdyby zaczął się

usprawiedliwiać, straciłby panowanie nad sobą, a dalsze wyjaśnienia spotęgowałyby tylko cierpienie, ból utraty, który nigdy nie mija. Roy wiedział coś na ten temat. *Delia* stanowiła najlepszy dowód. Czyli Jen nie do końca myliła się co do przyczyn jego zachowania.

Twarz jej się zmieniła. Miejsce wstrząsu zajął gniew, zimny gniew, o który nigdy by jej nie posądzał.

- Nieraz wcześniej o tym myślałam - powiedziała. - Teraz już wiem.

- Co wiesz? - spytał.

- Że też uległeś wypadkowi w tamtej katastrofie - wyjaśniła.

Roy potrząsnął głową.

- Uszkodziło ci nerwy i od tej pory uprawiasz jazdę po bandzie - dodała.

Przestał kręcić głową, ale milczał.

Jej gniew ustąpił. Poklepała go po ręce i pożegnała się.

* * *

- Ostatnio przywieźli na złomowisko dziwny obiekt - powiedział Skippy. - Słyszysz pan... słyszysz, Roy?

Roy podniósł wzrok. Szkicował ołówkiem nowy pomysł, kwintesencję rozrzedzonej ciszy, ale nic mu nie wychodziło.

- Przepraszam - rzucił. - Nie dosłyszałem.

- Dziwny obiekt - powiedział Skippy, wieszając nową butlę z acetylenem. - Na złomowisku. Wuj Murph twierdzi, że pochodzi z elektrowni jądrowej.

- Jak wygląda?

- Trudno określić - stwierdził Skippy. - Błyszczący, powyginany. Chcesz zobaczyć?

- Chętnie - powiedział Roy - ale później. Teraz chciałbym, żebyś mi coś znalazł w komputerze.

- Darmowy komunikator telefoniczny?

Roy pokręcił głową. Jak to zgrabnie ująć?

- Chciałbym zajrzeć gdzieś, gdzie nie powinienem.

Skippy podniósł wzrok.

- Tak?

- Nie mam złych zamiarów - dodał Roy. - Muszę coś sprawdzić, żeby... rozstrzygnąć zakład.

- Co? - zapytał Skippy, podchodząc do komputera.

- Trochę to skomplikowane - odparł Roy i wdał się w długą, chaotyczną opowieść o

hokeju na studiach, o satysfakcji z pobicia, dosłownie poturbowania drużyny z Harvardu, o procesie przygotowywania nekrologów, ze szczególnym uwzględnieniem „New York Timesa”. Skippy zadał mu garść pytań... czemu drużyny z amatorskiej ligi seniorów przybierają takie dziwne nazwy, o ile się założył, czy fajnie było na studiach... ale słowem się nie zająknął o legalności ani o trudach hakerskiego włamania na serwer „New York Timesa”. Cały proceder zabrał mu dziesięć minut.

- Proszę bardzo, panie... ups.

Drukarka zaterkotała leniwie. Skippy wręczył Royowi jego nekrolog.

RZEŹBIARZ ROY VALOIS, LAT [WSTAWIĆ],

NIE ŻYJE

Richard Gold

Wczoraj w [WSTAWIĆ] umarł rzeźbiarz ROY VALOIS, którego ogromne prace stoją wystawione w wielu miejscach publicznych w całym kraju oraz w licznych znakomitych muzeach. Miał [WSTAWIĆ] lat.

[WSTAWIĆ] podaje, że przyczyną zgonu był [WSTAWIĆ].

Valois, artysta samouk, tworzył niemal wyłącznie prace z odzyskanych materiałów, najczęściej złomowanych metali, chociaż nie był prymitywistą, zdaniem Kurta Palmateera, byłego dyrektora Muzeum Mass MoCA w North Adams, w stanie Massachusetts, gdzie w skład stałej ekspozycji weszła pierwsza rzeźba należąca do późniejszego cyklu *Neandertalczyków*. „Elegancja stylu i głębokie zaangażowanie formalne wskazują na pokrewieństwo z Henrym Moore'em, a nawet z neoklasycystami dziewiętnastego wieku”, twierdzi Palmateer.

Roy Valois urodził się w North Grafton na zachodzie Maine [UZUPEŁNIĆ], W szkole wyróżniał się w sporcie, jako wybitny hokeista dostał stypendium na Uniwersytecie Maine. Kiedy podjął wakacyjną pracę, która wymagała spawania i obróbki metali, znalazł swoje powołanie. Jego pierwsze dzieło, stojące obecnie w North Grafton przed biblioteką publiczną powstało latem na trzecim roku studiów, po godzinach. Wykonane z mosiężnych części wydobytych z zatopionego frachtowca, zatytułowane *Finwal*, zwróciło uwagę profesor Anny Cohen z Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Maine, dzięki czemu dostał dwuletnie stypendium Uniwersytetu Georgetown.

Tam zaczął przyciągać uwagę kolekcjonerów. Ceny wielu prac z cyklu *Neandertalczyków* „tragicznej epopei ze złomowanej stali”, jak określił ją krytyk Hilton Kramer, przekroczyły 100 000 dolarów. W Georgetown Valois poznał żonę, Delię Stern, ekonomistkę, która podjęła

następnie pracę w ONZ. Zginęła w katastrofie lotniczej na granicy Wenezueli w [UZUPEŁNIC], Nie mieli dzieci, a Valois nie ożenił się ponownie [SPRAWDZIĆ], Zostawił matkę [SPRAWDZIĆ], Ednę Valois zamieszkała w Sarasocie na Florydzie.

Roy przeczytał nekrolog dwa razy. Za pierwszym rękę trochę mu się trzęsły, za drugim już nie. *Tragiczna epopeja ze złomowanej stali* - niech im będzie. Roześmiał się w głos na to idiotyczne zestawienie. Nagle się zorientował, że Skippy na niego patrzy.

- Tak humorystycznie piszą nekrologi? - zapytał Skippy.

- Może nieświadomie - wytłumaczył Roy.

Skippy pokiwał głową, jakby przyjął wyjaśnienie.

- I co, wygrasz zakład? - spytał.

Roy nie odpowiedział. Raptem jego wzrok padł na koniec ostatniego akapitu: *poznał żonę, Delię Stern, ekonomistkę, która podjęła następnie pracę w ONZ*. Oczywisty błąd. Delia pracowała w Instytucie Hobbesa, a nie w ONZ. Wprowadzić to nieistotne w tym kontekście, ale Roy nie chciał, żeby jego nekrolog zawierał błąd. Poza tym przypomniał sobie, że Delia napisała bardzo krytyczną ekspertyzę praktyk budżetowych ONZ, na którą odpowiedział listem utrzymanym w protekcyjnym tonie pewien urzędnik z Nowego Jorku. Postąpiłby niełojalnie, gdyby przymknął oko na taki błąd.

Spostrzegł, że Skippy wciąż mu się przygląda z dziwnym wyrazem twarzy.

- Co jest?

- Chyba krew ci leci z nosa.

Na nekrolog kapnęła czerwona kropla.

- Drobiazg.

Roy poszedł do kuchni, przyłożył sobie do nosa papierowy ręcznik.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Skippy zza blatu.

Roy pokiwał głową. Odsunął ręcznik. Kapnęła kolejna kropla, tym razem na sosnową posadzkę.

- Na dzisiaj wystarczy - powiedział. - Dzięki za pomoc.

- Nie ma sprawy - odparł Skippy. - A co z tym przedmiotem z elektrowni jądrowej, o którym ci mówiłem?

- Podskoczę tam jutro - rzekł Roy. - I pamiętaj, żeby ta mała przygoda komputerowa została między nami.

- No tak, przygoda - powtórzył Skippy. - Już o niej zapomniałem.

* * *

Kiedy Royowi przestała lecieć krew, zadzwonił do „New York Timesa” i poprosił Richarda Golda do telefonu. Dostał połączenie.

- Mówi Roy Valois. Czy mam przyjemność z panem Goldem?

- Słucham uprzejmie.

Czyżby nie poznał nazwiska?

- O ile mi wiadomo, napisał pan o mnie do gazety - rzekł Roy.

- Byłby pan łaskaw powtórzyć nazwisko?

Roy powtórzył.

- Nic mi nie mówi - wyznał Gold. - A kiedy?

- Nie wiem dokładnie - powiedział Roy. - Bo materiał nie ukazał się jeszcze drukiem.

Dłuższa chwila milczenia. Royowi zdawało się, że słyszy ciche klikanie w klawiaturę. Po chwili Gold odezwał się znacznie bardziej zdecydowanym głosem.

- Pan jest rzeźbiarzem?

- Tak.

- Chodzi panu o nekrolog?

- Owszem.

- Wie pan od Palmateera?

- Od Palmateera?

- Cytowanego przeze mnie specjalisty z muzeum - wyjaśnił Gold. - Eksperti powinni dochowywać tajemnicy na temat udzielanych nam wywiadów.

- Nie rozmawiałem z nim od lat - dodał Roy. Raptem poraziła go myśl - *nie wolno mu wpakować Skippy'ego w tarapaty*. - Dowiedziałem się przypadkiem.

- A dokładnie?

- Nieważne.

- Przeciwnie - zaproponował Gold. - Jeżeli doszło do...

Roy nie dał mu dokończyć.

- Dzwonię dlatego, że do pańskiego nekrologu zakradł się błąd.

Gold przełknął głośno ślinę.

- Błąd?

- Ma pan tekst przed sobą na ekranie?

- Owszem.

- W trzecim zdaniu od końca, na temat mojej żony - powiedział Roy. - Nie pracowała dla

ONZ. Na etacie pracowała jedynie w Instytucie Hobbesa.

- Mógłby mi pan przeliterować?

Roy przeliterował nazwę.

Dłuższe milczenie.

- Nie mam wzmianki o nim w notatkach - powiedział Gold.

- Zatem oświadczam panu teraz, że...

- Wiadomość o pracy w ONZ otrzymałem z wiarygodnego źródła.

- Z wiarygodnego źródła? - spytał Roy. - Wolno wiedzieć z jakiego?

- Nie mogę panu ujawnić - odparł Gold. - Sprawdzę i oddzwonię.

- Tu nie ma co sprawdzać. - Roy się obruszył. - Była moją żoną. Kto miałby wiedzieć lepiej niż ja?

Gold puścił jego uwagę mimo uszu.

- Mnie bardziej niepokoi pański rzekomy przypadek - oświadczył.

- Jaki przypadek?

- Który pozwolił panu trafić na mój tekst. Byłbym wdzięczny za dokładne wyjaśnienie.

Roy kilka razy udzielał wywiadów dziennikarzom i zawsze miło mu się pracowało. Ale teraz, kiedy się rozłączył, a właściwie trzasnął słuchawką, uznał, że Richard Gold bynajmniej nie przypadł mu do gustu. Poczul drapanie w gardle i pobiegł do umywalki.

Rozdział 6

- Dobrze wyglądasz - pochwalił go Freddy Boudreau, sierżant policji z Ethan Valley, znakomity środkowy napastnik w drużynie Stringów.

Środa wieczór w szatni na lodowisku. Roy sznurował łyżwy na ławce, biedził się z supłem.

- Tak?

- Schudłeś trochę - dodał Freddy. - Pakujesz na siłowni?

Zanim zdążył odpowiedzieć, z drugiego końca szatni odezwał się Turk.

- Nie każdy opycha się cheeseburgerami, Freddy. Mógł to powiedzieć lekko, żartem, ale nie powiedział. W jego głosie brzmiała złość, którą wychwycił Freddy. Łypnął zdziwionym okiem na Turka.

Roy nie chciał kłótni.

- Zrezygnowałem z frytek - wyjaśnił. - Ot i cała tajemnica.

Freddy pomilczał chwilę i roześmiał się.

- Ja nie potrafię - skomentował. - Skąd bym brał węglowodany?

Rozległa się syrena.

- Gramy - zakomenderował Roy.

Wstał, sięgnął po kij.

Freddy przydeptał łyżwą niedopałek papierosa i wyprowadził kolegów z szatni na lód. Dym buchał mu z nosa.

Pojazdy naprawcze lodowisk Zamboni już zjeżdżały, pozostawiając gładką, śliską powierzchnię. Roy od dawna nie zwracał uwagi na takie szczegóły, lecz teraz dostrzegł je świeżym okiem, jakim patrzy się na świat po burzy lub kiedy człowiek obudzi się w nowym miejscu. Drobne szczegóły, takie jak opakowanie batonika Mars zamrożone pod lodem, bożonarodzeniowy dzwoneczek przy pasku maski Turka, rysy od czarnego krążka na białej bandzie przypominającej abstrakcyjny obraz pełen dynamiki i przemocy. Roy uwielbiał hokej, uwielbiał również jego rytuały, na przykład kiedy pod koniec rozgrzewki wszyscy zawodnicy objeżdżają bramkę i każdy stuka bramkarza łopatką kija w naramiennik. Zawsze starał się uderzyć ostatni, przesąd gonił przesąd, a teraz okrążył dodatkowo lodowisko, zanim podjechał. Uniósł kij i mijając Turka, uderzył go w prawy naramiennik.

- Nie przepuść nikogo - poprosił Turk zza maski. - Bo mam nieziemskiego kaca.

Chociaż trącił Turka lekko, poczuł ból w lewym przedramieniu. Właściwie ukłucie, nie wielkiego, powinien je zlekceważyć, tym bardziej że drobne kontuzje były w tym sporcie na porządku dziennym. Ból jednak nie ustępował, nie tylko dawał o sobie znać, ale przez cały mecz się nasilał. Nie pozwalał strzelać goli, obniżał jakość podań, a nawet jazdy na łyżwach. Roy przepuścił niejednego gracza. Stringi przegrały sześcioma czy siedmioma bramkami, większość padła z ich winy. Czy kiedykolwiek grał gorzej?

Po meczu nie zszedł z lodu, lecz okrążał samotnie taflę. Turk opuścił szatnię ostatni. Aż się ugiął pod ciężarem ogromnej torby ze sprzętem bramkarskim, ale zawołał jeszcze do niego przez bandę:

- Wszystko w porządku?

Roy pokiwał głową.

- Idziesz do Walda?

- Później wpadnę.

Pojechał jednak do domu. Obejrzał dokładnie rękę, żadnego śladu, nawet sińca. Przyłożył sobie lód, nalał drinka i zasiadł przed telewizorem. Po chwili zauważył mrugającą lampkę sekretarki automatycznej.

Sprawdził.

- Mówi Richard Gold. Panie Valois, wykryłem niezgodność wersji. Prosiłbym o dokumentację poświadczającą podjęcie przez pańską nieboszczkę żonę pracy we wspomnianym przez pana instytucie.

I zostawił swój domowy telefon.

Dokumentację? Niby jaką? Roy chyba kiedyś widział legitymację Delii ze zdjęciem, może też dowody wypłat pensji, ale wszystko dawno wyrzucił razem z jej ubraniami, ulubionym kubkiem i innymi pamiątkami, które przechowywał rok lub dwa, aż w końcu uznał, że przypominają mu jej śmierć, a nie ją samą.

Zadzwoił do Golda, nagrał się na pocztę głosową.

- O jaką dokumentację panu chodzi? Delia pracowała w Instytucie Hobbesa, nie w ONZ. Wiem to z całą pewnością. Nie chciałbym pana pouczać, jak wykonywać swoją pracę, ale może pan tam zadzwoni? Jej ówczesny szef nazywał się Tom Parish. Może wciąż tam pracuje.

Wziął środek nasenny i położył się. Był bardzo zmęczony, chciał zasnąć i nie myśleć przez kilka godzin, ale ból ręki nie pozwolił mu zmrzyć oka przez całą noc. Rano pojechał do kliniki u podnóża góry. Z poczekalni widział w oddali małe sylwetki pierwszych narciarzy

śmigających zygzakiem po stoku, wzbijających tumany spadłego przez noc puchu. Mimo odległości w jednej dopatrzył się znajomej osoby.

Wypełnił formularze, zaznaczył „nie” we wszystkich rubrykach dotyczących dawnych i obecnych chorób, jak zawsze u lekarza. Prześwietlono mu rękę z przodu, z tyłu, z boku. Zaraz potem zjawił się lekarz i oznajmił, że Roy ma złamaną kość łokciową.

- Typowe złamanie bez przemieszczenia - oznajmił lekarz, oglądając kliszę pod światło. -
Widzi pan?

Roy potwierdził.

- Jeździł pan na desce? - zapytał lekarz.

- Grałem w hokeja - powiedział Roy.

- Brutalna gra. Ktoś pana uderzył kijem? Ktoś zagrał wysoko uniesionym kijem?

- Oberwałem przypadkiem - odrzekł Roy.

- Tuż nad rękawicą - skomentował lekarz. - Bez przerwy widuję takie złamania. -
Zaprowadził Roya do gipsowni. - Ma pan ochotę wybrać kolor?

Czerwony, pomyślał Roy, ulubiony kolor Delii. Skąd ten pomysł?

- Nie - odparł.

Lekarz wybrał niebieski i założył Royowi. Gips kończył się kilka centymetrów pod łokciem.

- Mam dla pana dobrą nowinę. Złamanie jest proste - pocieszył pacjenta.

- A złą? - spytał Roy.

Lekarz zamrugał.

- Nie mam złej - powiedział. - Powinno zrosnąć się w półtora miesiąca. Wtedy zapraszam na badanie kontrolne. - Zauważył minę Roya. - I niech się pan nie przejmuj. Wiosną wróci pan na lód. - Podał mu fiolkę. - A to środek przeciwbólowy.

- Nie, dziękuję - odmówił Roy.

* * *

W drodze powrotnej do domu zajrzał na złomowisko.

- Cześć - przywitał go Murph. - Co to za gips?

- Od hokeja - powiedział Roy. - Zdejmą mi za półtora miesiąca.

- Ech, wy hokeiści hobbyści - powiedział Murph. - Nie znacie umiaru.

- Czy to grzech? - spytał Roy.

- A nie?

Roy rozejrzał się po kantorku.

- Jest Skippy? Mówił, że przyjechało coś z elektrowni jądrowej.
- To tylko mój domysł - powiedział Murph, wstając zza biurka. - Obejrzyj sam.
- Skippy ma dzisiaj wolne?

Murph prychnął.

- Skończony kretyn. Wolne? I tak, i nie.
- Jak to?

- Zapuszkowali cwaniaka w komisariacie - wyjaśnił Murph. - Przyłapali go wczoraj wieczorem na jeździe po pijaku.

- Nic mu nie jest?

- Za diabła! Matka odchodzi przez niego od zmysłów. Ja zresztą też. - Opuścili kantor, zeszli po schodach na zewnątrz budynku. Kiedy przemierzali złomowisko, skute lodem błoto trzaskało im pod nogami. - Zostawi go przez dwa dni na dołku, żeby dostał nauczkę.

- Uważasz, że to dobry pomysł? - spytał Roy.

- A masz lepszy? Przecież to nicpoń.

Roy minął w ślad za Murphem stos zardzewiałych rusztów do grillowania, rozbitego cadillaca escalade leżącego na boku, sterty mosiężnej blachy na wysokość człowieka.

- I co? - spytał Murph, wskazując konkretny obiekt.

- Jeszcze nie wiem - wyznał Roy.

Spojrzał w dół. Wypolerowany na błysk srebrny stożek, w przybliżeniu sześciometrowy, a na nim drugi, znacznie węższy, jeszcze bardziej błyszczący, zwężający się w szpic. Roy przeczytał nazwę *Candu* wypisaną czerwonymi literami u podstawy.

- Ile chcesz za górną część?

Murph wzruszył ramionami.

- Nawet, cholera, nie wiem, z czego ona jest - rzucił, przeciągając podkowiastym magnesem po metalu.

- Sto dolarów - zaproponował Roy.

- Za stówę dorzucę ci jeszcze Betty Lou - odparł Murph.

Betty Lou to jego żona.

Roy kucnął, dotknął czubka górnego stożka. Bardzo ostry, zimny jak lód.

* * *

Załadował wąski stożek na tył półciężarówki i wrócił do domu. Rękę w gipsie trzymał na podolku. Ból nie ustąpił. W telefonie zastał trzy wiadomości. Pierwszą od Turka.

- Nie widziałem cię wczoraj wieczorem u Walda. Zadzwoń.

Drugą od Jen.

- Cześć, Roy. Wpadłam dziś do przychodni, żeby się pożegnać. Dowiedziałam się, że złamałeś rękę. Wszystko w porządku?

Trzecia była od Richarda Golda:

- Usiłuję zweryfikować nazwisko szefa pańskiej żony, które mi pan podał. Tom Parish? Przez jedno „r” czy przez dwa?

Roy wysłuchał drugi raz wiadomość od Jen, ale nie oddzwonił. Podobnie zresztą jak do innych. Wyładował i zaciągnął lśniący stożek na środek pracowni, ustawił obok *Delii* i zaczął mu się przyglądać. Czasami takie chwile przynosiły natchnienie.

Ale nie tym razem. Mglisty obraz delikatnej, rozrzedzonej ciszy zarysowany w głowie nie chciał się skryształizować. Wyciągnął taboret, wyjął szkicownik i miękki ołówek. Z początku nic. Roy zdążył przywyknąć, nauczył się cierpliwości w pracy. *Nie ma pośpiechu*, zawsze sobie powtarzał.

Ołówek jakby ożył, ale Roy raczej za nim nadażał, niż go prowadził. Pierwsze kreski nawet przypominały stożek, przywodziły na myśl rozrzedzenie, ciszę, potem jednak utworzyły żłobioną kolumnę, następnie drugą, razem cztery, pośrodku dwuskrzydłowe drzwi, a u góry wieńczący je fronton. Roy właśnie kończył rysować szerokie, płytkie schody, kiedy zobaczył, co mu wyszło - fasada Instytutu Hobbesa na Constitution Avenue.

Przerwał pracę. *Cisza* znikła.

Podszedł do telefonu, zadzwonił do Richarda Golda, znów nagrał się tylko na pocztę głosową. Roy zwykle nie przejmował się drobiazgami, ale teraz ku własnemu zdziwieniu podniósł głos.

- Tom Parish przez jedno „r”. Czy to tak trudno sprawdzić?

Położył się na kanapie. Za oknem zaczął padać śnieg. Widział go przez świetliki w dachu, płatki widziane pod tym kątem wydały mu się ciemne, a śmigły jak napędzane silniczkami. Ułożył rękę w wygodnej pozycji, w której prawie nie czuł bólu. Zamknął oczy.

* * *

- Coś wspaniałego! - zawołała Delia.

- A nie mówiłem? - powiedział Tom Parish. - Roy, mamy jeszcze szampana?

Było go pod dostatkiem w lodówce na pokładzie *Bellissimy*, dziesięciometrowej, a może nieco dłuższej, łodzi motorowej Toma. Roy, szczur lądowy, nie znał się na jachtach. Wyjął dwie zimne butelki i podszedł do Toma, który stał przy sterze, a morska bryza rozwiewała mu blond włosy. Delia siedziała na nadburciu, z ręki zwisał jej pusty smukły kieliszek po

szampanie. Łódź kołysała się na fali, silniki pracowały na jałowym biegu. Noc, zatoka Chesapeake, Dzień Niepodległości, co kilka sekund w różnych punktach nabrzeża wybuchały fajerwerki. Roy podważył korek, rozlał szampana.

- Zdrowie - rzucił Tom.

Wypili. Delia oglądała pokaz, rozbłyskujące światła odbijały się w jej oczach.

- Do czego byś je porównał, Roy?

Fajerwerki eksplodowały jedno po drugim, *puf, puf, puf*, czerwone, białe, niebieskie, zielone, wielka feeria świateł podrygiwała na falach. Roy pokręcił głową. Nie potrafił ich określić słowami.

- To ja ci podpowiem - rzekł Tom. Zajrzał do kieliszka, a następnie go wychylił. - Przypominają zabawę w wojnę.

Delia spojrzała na Toma i roześmiała się. Roy nie załapał, ale doceniał inteligencję Toma.

* * *

Dzwonił telefon. Wysyłał elektryczne wibracje przez pokój wymierzone prosto w złamaną rękę. Roy wstał z kanapy i aż mu od tego małego wysiłku zabrakło tchu w piersiach. Odebrał.

- Roy? Tu Freddy Boudreau. Dzwonię z komisariatu. Obudziłem cię?

- Oglądam telewizję - powiedział Roy.

- Posłuchaj - poprosił Freddy. - Siedzi tu u nas chłopak na dołku, który twierdzi, że pracuje u ciebie. Nie chcemy go zatrzymywać, ale nikt się po niego nie zgłosił.

- Skippy?

- Aha.

Roy pojechał do komisariatu. Freddy w granatowym mundurze stał za kontuarem. Skippy siedział na krześle obok zapatrzony we własne kolana.

- Co ci się stało w rękę? - spytał Freddy.

- Złamałem sobie wczoraj wieczorem.

- Na meczu?

- Tak.

- Kiedy to się stało?

Roy wzruszył ramionami.

- W ogóle się nie zorientowałem.

- Twardziel z ciebie - pochwalił go Freddy. Wskazał kciukiem Skippy'ego. - Ten idiota naprawdę u ciebie pracuje?

- Tak, czasem mi pomaga - potwierdził Roy.

- Wczoraj w alkomacie dmuchnął jeden koma osiem. Poza tym nie miał ubezpieczenia i jechał bez świateł stopu, dlatego zresztą go zatrzymano. Sprawę w sądzie wyznaczono mu w przyszłym miesiącu.

Skippy nie odrywał wzroku od kolan.

- Jaką kaucję trzeba wpłacić, żeby wyszedł?

- Nic nie trzeba płacić - powiedział Freddy. - Może go odebrać dowolna odpowiedzialna dorosła osoba.

- Spróbuję kogoś takiego znaleźć - powiedział Roy.

Freddy się roześmiał. Roy wyszedł ze Skippym z komisariatu.

- Zawieźć cię do mamy? - spytał, kiedy wsiedli do półciężarówki.

Skippy pokręcił głową.

- Do Murpha?

- On mnie nienawidzi.

- Nieprawda.

- Niech ci będzie - zgodził się Skippy. Westchnął z rezygnacją. - Może podrzucić mnie do Młodego.

- Co to za Młody?

- Kolega. Mieszka pod mostem.

- A jak się nazywa?

- Cordero.

- Wiesz co - zwrócił się do niego z propozycją Roy - przenocuj dzisiaj u mnie, w gościnnym. Rano musisz dojść do ładu z mamą.

Roy znał rodzinę Cordero.

Skippy skinął lekko głową. Nie pachniał najlepiej.

* * *

Rano obudził Roya telefon.

- Mówi Honey. - Roy ostatnio rozmawiał z tyloma lekarzami, że w pierwszej chwili go nie poznał. - Doktor Chu, mój kolega z Hopkinsa, o którym panu wspominałem, zgodził się pana przyjąć. Nie obiecuje, że na pewno przyjmie pana do swojego programu badawczego, ale proszę się z nim jak najszybciej skontaktować w Baltimore.

- Ale ja...

Ni stąd, ni zowąd Roy nagle zapragnął opowiedzieć doktorowi Honeyowi o swojej

złamanej ręce, lecz się powstrzymał.

- Chciał pan o coś zapytać?

- Nie - odparł Roy. - Bardzo dziękuję.

- Przełączę pana do swojej asystentki - powiedział Honey. - Poda panu niezbędne dane.

Asystentka Honeya podyktowała wszystkie namiary. Zapisał. Następnie wyszedł na korytarz, zajrzał do pokoju gościnnego. Skippy spał na gołym materacu w ubraniu i w butach. Świeża pościel, którą Roy mu dał, leżała złożona na stoliku nocnym.

- Pobudka! - zawołał Roy.

Zero reakcji.

- Chyba dzwoni twoja mama...

Telefon zadzwonił ponownie. Roy wszedł do dużego pokoju. Słońce, jasne i srebrzyste o świcie, migotało w *Delii*, przekuwając sen o Dniu Niepodległości w myśl Roya na jawie. Podniósł słuchawkę.

- Pan Valois? Mówi Richard. Będą mi potrzebne informacje na temat Toma Parisha.

- Piszę się przez jedno „r” - odparł Roy. - Nie odsłuchuje pan wiadomości?

- Odsłuchałem - powiedział Gold. - Ale liczyłem na coś więcej.

- Na miłość boską - uniósł się Roy. - Czy pańska gazeta do wszystkiego tak podchodzi? Delia pracowała w Instytucie Hobbesa. Jej szefem był Tom Parish. Właśnie on ją zatrudnił.

- A skąd przeszła?

- Z Departamentu Stanu - poinformował dziennikarza Roy. - Ale pracowała tam zaledwie kilka miesięcy, stąd nie bardzo rozumiem...

- Czy pańska żona odbyła przeszkolenie wojskowe? - spytał Gold.

- Wojskowe? - zdziwił się Roy. - Oczywiście, że nie. Była ekonomistką. Miała doktorat z Georgetown i etat w Instytucie Hobbesa. Kropka.

- To nie takie proste - stwierdził Gold. - Chodzi o to... - Roy usłyszał jakieś zamieszanie w tle. - Jedną chwileczkę.

Roy odłożył słuchawkę. Usłyszał ciche, przytłumione głosy, potem brzęk, jakby upadła szklanka. I cisza.

- Panie Gold? - Upłynęło jeszcze piętnaście, może dwadzieścia sekund. Następnie rozległ się trzask i przerywany sygnał zajętości. - Co jest, do cholery?

Zadzwonił do dziennikarza. Poczta głosowa.

- Niech pan sobie da spokój - zażądał. - I piszę, co się panu żywnie podoba.

Bo jakie to miało znaczenie?

Rozdział 7

Roy i Skippy spotkali się z matką chłopca na parkingu pączkarni Dunkin' Donuts. Mama Skippy'ego siedziała w furgonetce na miejscu pasażera. Mężczyzna za kierownicą jadł pączka z różowym lukrem, który ubarwiał swoim kolorem ten szary dzień.

- Kto to? - zapytał Roy.

- Jej facet - odparł Skippy. - Nowy.

Nowy facet miał krzaczaste siwe wąsy. Roy zaparkował obok vana. Wszyscy patrzyli na wszystkich, ale nikt nawet nie drgnął. Nowy facet miał również silne mięśnie zuchwy. Uwydatniały się, kiedy gryzł pączka. Roy wysiadł z półciężarówki, podszedł do drzwi od strony mamy Skippy'ego.

Opuściła szybę do połowy. Roy nie dopatrzył się w jej twarzy rysów chłopca.

- Witam - powiedział. - Jestem Roy.

- Aha - odburknęła mama Skippy'ego.

- Wyjeżdżam na kilka dni w interesach - oświadczył. - Bardzo chciałbym, żeby Skippy zamieszkał u mnie w tym czasie i zaopiekował się domem.

Matka zerknęła na swojego partnera. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia bez słów. Odwróciła się do Roya.

- Płacisz mu? - zapytała.

- Tak.

Zastanowiła się, jej partnerowi wyszły na wierzch mięśnie zuchwy.

- Ile? - spytała.

- Skippy sam musi zdecydować, czy wam powie - odparł Roy.

- Co? - warknął partner.

Matka spojrzała na Skippy'ego, który siedział w półciężarówce. Miał słuchawki w uszach, tępy wzrok wbity przed siebie.

- Dobra - zgodziła się. Popatrzyła surowo na Roya. - Ale jeżeli coś zmałuje, proszę nie przychodzić do mnie z płaczem.

Partner dokończył pączka.

- Za żadne szkody nie odpowiadam - dodała, kiedy Roy już odchodził. Zawołała więc jeszcze za nim podniesionym głosem: - Martw się sam.

Skippy usłyszał i skulił się jeszcze bardziej.

* * *

Delia była pochowana na cmentarzu za kościołem kongregacjonalistów. Roy nigdy tam nie chodził, ale teraz wybrał się przed wyjazdem do Baltimore. Niektóre nagrobki, te najbliższe kościoła, pochodziły z XVII wieku. Nowsze stały na zboczu wznoszącym się do lasu. Delia leżała w ostatnim rzędzie, pod lasem. Miała prosty, ciemnoszary granitowy kamień, a na nim wyryte tylko imię, nazwisko oraz daty.

Roy odnalazł grób prawie cały zaśnieżony. Przypomnił sobie, jak kiedyś zimą w dzieciństwie w Maine zawałił się na niego śnieżny fort i jaki przeżył strach przed pogrzebaniem żywcem. Odgarnął jedną ręką śnieg aż do zamrożonej ziemi. Ktoś inny w jego sytuacji pomyślałby, że niedługo połączy się z żoną. *Za cztery miesiące, a najdalej rok.* On jednak nie wierzył. Nie tylko nie wierzył, lecz nie sądził, że ktokolwiek w głębi duszy w coś takiego wierzy. Gdyby naprawdę wierzono, że gdzieś tam czeka nas usłane różami życie pozagrobowe, przy boku ponownie połączonych kochanków i rodzin, gdyby wierzono w nie z całą pewnością, śmierć nie budziłaby takich emocji. Tymczasem śmierć budziła strach, który kołatał się ludziom w głowach, i nie wyobrażano sobie nic gorszego niż śmierć bliskiej osoby.

- A może czegoś tu nie rozumiem? - powiedział Roy na głos.

Czy kiedykolwiek rozmawiał na ten temat z Delią? Właściwie nie. Próbował sobie wyobrazić, jak by skomentowała teraz sytuację, ale nie potrafił.

- Sprawdziłem doktora Chu w Internecie - dodał. Mądry gość, ma dyplomy z najlepszych uczelni i nagrody naukowe z trzech krajów.

Mądrych jest na pęczki. Pytanie, czy mu się uda?

Usłyszał tę myśl wypowiedzianą tak wyraźnie przez Delię, jak gdyby wypowiedziała ją na głos. Naprawdę nie przysięgłby, że jej nie powiedziała. Czyżby zmysły aż tak go myliły? Osłupiał. Ukucnął przed grobem, a w drzewach zerwał się wiatr.

* * *

Pogrzeb nawet jakoś zniósł. Największy cios spadł na niego z chwilą, kiedy zadzwonił Tom Parish i przekazał mu wiadomość. Wspomnienie tamtej rozmowy telefonicznej nie zatarło się do dzisiaj. Instytut odesłał ciało z Wenezueli w ozdobnej białej trumnie, która nie spodobałaby się Delii. Przyszedł ją pożegnać tłum - dawni koledzy ze studiów, przedstawiciele środowisk artystycznych, hokeiści, ludzie z Waszyngtonu, wśród nich Tom Parish. Nikogo z nich Roy już nie widywał poza Krishną i chłopakami z drużyny. Tom

opowiedział zabawną anegdotę o tym, jak Delia wyděbiła dotację od pewnego małodusznego potentata. Siedzący na stołku przy grobie gitarzysta zagrał „For All We Know”, jeden z ulubionych utworów Delii, zwłaszcza w wersji Billie Holiday. Zaraz potem nabrano pierwszą łopatę ziemi, która spadła z miękim pacnięciem na trumnę. Roy aż się wtedy wzdrygnął. Nikt nie zająknął się słowem o dziecku w jej łonie. Do dzisiaj pozostało tajemnicą wyłącznie Roya, Delii oraz lekarza położnika.

* * *

Wiatr się nasilił. Zaczął padać śnieg, twarde grudki siekły Roya w twarz. Wstał, wyszedł z cmentarza, lecz w uszach wciąż dźwięczał mu jej głos. *Pytanie, czy mu się uda.*

Pojechał półciężarówką na stację benzynową na południowym krańcu miasta, stanął przy dystrybutorze. Zatankował, już odwieszał pistolet, kiedy zauważył po drugiej stronie samochód. Wyładowany po brzegi subaru kombi Jen z dwoma dużymi bagażnikami narciarskimi na dachu. Podniósł wzrok, ich oczy się spotkały.

Wyglądała wspaniale. Gdyby jej nie znał, na pewno chciałby poznać, oczywiście we wcześniejszym okresie życia. Do rzęs przykleił jej się płatek śniegu. Twarz lśniła, jakby opromieniona słońcem.

- Cześć, Roy.

- Cześć.

- Wyjeżdżam - powiedziała.

A jeżeli doktor Chu dokona cudu? Serce zaczęło bić Royowi bardzo szybko. Już chciał powiedzieć: *Nie zapominaj o mnie, nie podpisuj umowy najmu, wszystko może ulec zmianie,* ale coś go złapało za gardło, więc skinął tylko głową.

Jen spojrzała na jego półciężarówkę, zobaczyła na przednim siedzeniu walizkę. Nawet przemknęła jej przez głowę romantyczna myśl, co poznał po jej minie - *A może jedzie za mną?*

- Wyjeżdżam w interesach - wyjaśnił prędko, żeby nie dopuścić do spotkania niewyrażonych na głos przez niego i przez nią myśli.

Uśmiechnęła się.

- Bawisz się teraz w biznesmena?

Poczuł, że się rumieni.

- Objeżdżam złomowiska - wyjaśnił.

- Pracujesz nad czymś nowym?

- Mam pewien pomysł.

- Zawsze masz świetne pomysły.

- Bo ja wiem?

Popatrzyli na siebie.

- Dobrze się czujesz, Roy?

- Bardzo dobrze.

- A ręka w porządku?

Pomachał nią, żeby pokazać, w jakiej jest dobrej formie. Zabolało.

Za nimi podjechały już następne samochody. Podeszła, pocałowała go w policzek.

- Jedź ostrożnie.

- Ty też.

Roy odprowadził Jen aż do drogi między stanowej. Pożegnała go błysnięciem światłami stopu i skręciła na autostradę. On pojechał dalej, nie zbaczając.

* * *

- Zanim zaczniemy - rzekł doktor Chu - muszę panu coś pokazać.

Wyszedł zza biurka, otworzył teczkę. Okna w gabinecie miał zasłonięte żaluzjami z papieru ryżowego, a wewnątrz pełne prostych drewnianych mebli przypominało Royowi centrum jogi, którą próbował uprawiać po roku od śmierci Delii, ale nie wytrzymał ani jednego dnia. Chu wyjął zdjęcie z teczki i pokazał Royowi. Stał na nim z uśmiechem na twarzy, w szortach, podkoszulku i klapkach, obok jednego z *Neandertalczyków*. W tle Roy zauważył palmę, musiał to więc być Numer Dwanaście na terenie uniwersytetu w Miami.

- Na dorocznej konferencji - dodał. - Dwa lata temu.

- Jakiej konferencji? - spytał Roy.

- Międzynarodowego Stowarzyszenia Badań nad Mezoteliomą - wyjaśnił lekarz. - Którego jestem założycielem. Chciałem panu pokazać, że nasze drogi skrzyżowały się przypadkiem wcześniej.

Roy pierwszy o tym pomyślał, ale bez entuzjazmu.

- Doktor Honey daje mi cztery miesiące do roku - powiedział.

Chu schował zdjęcie do teczki, wrócił za biurko, usiadł w fotelu.

- Znam doktora Honeya - stwierdził.

Popatrzył na Roya, tym razem mniej życzliwie. Prawie nie przypominał mężczyzny ze zdjęcia. *Masz go sobie zjednać, ty gluptasie* - usłyszał głos Delii tak wyraźnie, jak gdyby stała obok. Uznał, że woli tego człowieka w wersji poważnej i nie odezwał się. Czekał na dalsze wyjaśnienia Chu o Honeyu.

Ale się nie doczekał. Lekarz po chwili zastanowienia rzekł:

- Przedstawię panu pokrótce swoje stanowisko na temat nieoperacyjnego międzybłoniaka opłucnej. Powszechna niewydolność wszystkich dostępnych metod chemioterapii i radioterapii polega na ich stosunkowo małej skuteczności, która prawie na pewno utrzyma się mimo prowadzonych obecnie badań nad pemetreksedem z cisplatiną, pemetreksedem z gemcytabiną, gemcytabiną z karboplatiną w połączeniu z bewacizumabem lub bez, nad flawopirydołem z FR901228 lub bez albo nad innymi programami leczenia obecnie pozostającymi w fazie prób. Powody są różne, albowiem podstawy biologiczne nowotworu są bardzo zróżnicowane. Mój obecny program badań pierwszej fazy nad nieoperacyjnym międzybłoniakiem w stopniu drugim i trzecim polega na zastosowaniu leczenia neoadjuwantowego będącego leczeniem złożonym z antygenu nowotworowego oraz koktajlu z inhibitorem angiogennym opracowanym w moim laboratorium.

Pemetreksed, gemcytabina, flawopitydol, neoadjuwantowy - lawina dziwnych słów, a wszystkie odbiegały od znanego Royowi języka. Kompletnie się pogubił. Umykał mu teraz sens nawet znanych wcześniej słów takich jak *antygen*. Skupił się na *koktajlu* niosącym miłe skojarzenia. Brzmiał logicznie, przekonująco, podnosił na duchu, ale Roy uciekł myślą w inne rejony. *Czy da radę?* Hen daleko widział przez okno skrawek błękitu. Możliwe, że to zatoka Chesapeake.

Uświadomił sobie zmianę w tonie głosu Chu. Lekarz wychylił się w jego stronę.

- Obie metody mają zagłodzić komórki rakowe, a jednocześnie kazać im się zwalczać nawzajem, rozumie pan - ciągnął. - Ujmując rzecz najprościej, nie interesują mnie trzy lub cztery dodatkowe miesiące ani nawet rok czy dwa. - Ściszył głos, jak gdyby zdradzał sekret. - Chodzi mi o znacznie, ale to znacznie lepszy wynik.

Roy pokiwał głową. Jemu też. Chu odchylił się znów w fotelu.

- Ma pan jakieś pytania?

- Jak do tej pory przebiegają badania?

- Ponieważ znajdują się w pierwszej, wstępnej fazie, mam dopiero pięciu uczestników, a właściwie czterech, jeżeli zawęzić definicję do osób pozostałych przy życiu - wyjaśnił lekarz.

- Obecny stan badań nazwałbym obiecującym.

- W takim razie proszę mnie przyjąć - rzekł Roy.

- Nie wspomnieliśmy jeszcze o ewentualnych skutkach ubocznych. - Chu wymienił całą ich listę: wysypka, mdłości, utrata włosów, zawroty głowy, ale żadne w najmniejszym stopniu nie dorównują grozie zgonu w ciągu czterech miesięcy do roku. - Jakież pytania?

- Nie.

Lekarz wstał, wziął stetoskop.

- Oslucham pana.

Roy nie bez pewnego trudu podniósł koszulę. Chu zobaczył na jego ręce gips, ale nie skomentował. Przyłożył Royowi delikatnie słuchawkę stetoskopu do nagiego torsu. Słuchał. Zbliżył twarz do jego twarzy. Patrzył nawiedzony, jak gdyby był w transie. Biła od niego mądrość. Roy poczuł się, jakby coś bardziej przenikliwego niż zwykły aparat pomiarowy zaglądało do jego wnętrza.

Lekarz się cofnął.

- Zaczniemy od wlewu dożylnego witamin, głównie B dwanaście i kwasu foliowego.

- Kiedy? - spytał Roy.

- Proszę poczekać w poczekalni. Pielęgniarka zaraz pana wezwie.

- Czyli przyjmuje mnie pan?

- Owszem.

Został przyjęty. Czy powinien nastąpić uścisk dłoni? Nie nastąpił. Roy wrócił do poczekalni.

* * *

Siedział sam. Wypełnił formularze. Napił się chłodnej wody z pojemnika. Obejrzał fotografię w ramce przedstawiającą mur chiński z lotu ptaka. Minęła godzina. Co znaczy „zaraz”? Chwilę przeglądał kolorowe czasopisma plotkarskie, ale zupełnie go nie interesowały. I wtedy zauważył w koszu stronicie dziennika „New York Times”.

Sekcja D wczorajszej gazety, dział gospodarczy i sportowy, zalana kawą w prawym dolnym rogu. Roy przerzucił strony gospodarcze, szukając felietonu Richarda Golda. Znalazł nazwisko, tyle że nie jako autora artykułu, lecz w kontekście, który przyprawił go o gęsią skórkę.

RICHARD GOLD, DZIENNIKARZ NYT, LAT 41

Myra Burns

RICHARD GOLD, zdobywca kilku ważnych nagród w ciągu piętnastu lat pracy w „New York Timesie”, zmarł wczoraj w wieku 41 lat. Padł ofiarą napadu rabunkowego w swoim domu w północno-zachodniej dzielnicy Waszyngtonu, jak podaje śledczy Irwin Bettis z wydziału brutalnych przestępstw stołecznej policji. „To niesłychana strata dla naszego grona”, mówi redaktor naczelny...

- Roy?

Podniósł wzrok. Nad nim stała pielęgniarka.

- Idziemy - powiedziała.

Rozdział 8

- Mam na imię Netty - przedstawiła się pielęgniarka. - Chyba nie muszę pytać, w którą rękę się wkląć? Co się stało?

- Grałem w hokeja - odparł Roy.

- Coś podobnego!

Podwinął prawy rękaw.

- Jaka ładna żyła - pochwaliła Netty.

- Dziękuję.

- Może trochę zabołec. - Wbiła wenflon. Roy nawet nie poczuł. Popłynęły wprowadzane dożylnie witaminy. Pielęgniarka obserwowała kroplówkę. - Skąd pan jest?

- Z Vermontu.

- Słyszałam, że to piękny stan.

- Potwierdzam.

Spotkali się wzrokiem. Pielęgniarka była w średnim wieku, przysadzista, miała subtelną, ale zmęczoną twarz.

- Doktor Chu jest mądrym człowiekiem - powiedziała.

Dziesięć minut później Roy wrócił do poczekalni. Czuł się dość dobrze. Czy to możliwe, żeby witaminy zadziałały tak szybko? Raz i drugi odetchnął głęboko, tak jak dawno już nie oddychał.

Włożył kurtkę, wrócił do fotela, na którym zostawił sekcję D „Timesa”. W tej samej chwili uchyliły się drzwi na korytarz i wjechał mężczyzna na wózku pchanym przez drugą pielęgniarkę. W nosie miał rurkę tlenową. Sądząc po włosach szpakowatych na skroniach, mógł być w wieku Roya, ale wyglądał jak kościotrup. Miał ziemistą cerę, tu i ówdzie niezagojone rany, mętny wzrok, wychudzoną szyję. Dygotał na całym ciele, chociaż był otulony kocem.

Czy uczestniczył w tych samych badaniach? Roy chciał uciec jak najdalej od pacjenta na wózku. Zostawił gazetę i wybiegł z gabinetu doktora Chu.

* * *

Zameldował się w hotelu, zszedł do baru i zamówił kolację. *Chowder*, stek z rostbefu z

kością, pieczone kartofle, sałatkę cesarską, szklanek mocnego piwa, potem drugą, a na deser placek pekanowy z lodami. Suty posiłek, ale Royowi zawsze dopisywał apetyt, często jadł takie obiady, zwłaszcza po dniu wędrówki na rakietach śnieżnych.

Tym razem wystarczyłaby mu sama zupa tak syta jak *chowder*. Resztę w siebie wmusił.

- Lubię, jak komuś dopisuje apetyt - pochwaliła go barmanka. - Pan tu w interesach?

Roy pokiwał głową.

- A wolno spytać, czym się pan zajmuje? - zagadnęła.

Odpowiedział tak, jak zawsze odpowiadał w podobnych sytuacjach.

- Zajmuję się metalami.

- Złotem? - zainteresowała się barmanka.

Często wysnuwano taki domysł.

- Raczej złomem - odparł.

- Ach, rozumiem. - Odsunęła się. Zwykła reakcja. Z rzadka jakiś mężczyzna zapytał, czy z tego są pieniądze. Roy jadł dalej. Po chwili znów się odezwała: - Nie przeszkadza panu telewizor?

Nie przeszkadzał. Włączyła.

Lokalne wiadomości. Dziennikarz stał przed niewielkim białym domem na wysadzonej drzewami ulicy w Georgetown albo w Chevy Chase.

- W dalszym ciągu nie znaleziono podejrzanych o zabójstwo waszyngtońskiego dziennikarza „New York Timesa”, Richarda Golda, który zginął od uderzenia tępym narzędziem w głowę.

Pokazano zdjęcie Golda - łysy, o wyraźnych rysach, wąskich ustach. Sięgał po telefon.

- Śledczy podejrzewają, że motywem było włamanie. Zginął portfel Golda, a także telewizor plazmowy i inne cenne przedmioty. Osoby mające jakiegokolwiek informacje w tej sprawie uprasza się o telefon pod numer podany na ekranie.

Barmanka patrzyła, ujawszy się pod bok.

- Ci ludzie nigdy się nie nauczą - skomentowała. - Kiedy tylko zaczną używać kart kredytowych, zaraz ich przyskrzynią. Wszyscy popełniają ten sam błąd.

* * *

Roy dobrze się wyspał. Rano wziął prysznic, ogolił się, przejrzał w lustrze. Wyglądał nieźle, pominawszy złamaną rękę i cztery szwy na piersi, może jeszcze nieco czerwieńsze, niż powinny być. Ruszył do szpitala na pierwszy kurs terapii doktora Chu.

Nie zobaczył jednak lekarza. Netty zbadła mu puls i ciśnienie.

- Dobre wyniki? - spytał.

- W normie.

Pielęgniarka pobrała mu krew do trzech próbek, każdą opatrzyła inną naklejką. Potem kazała mu się rozebrać do bokserów i stanąć na wadze.

- Siedemdziesiąt osiem kilogramów - powiedziała. - Czy to pana normalna waga?

- Mniej więcej - odparł, chociaż „mniej” byłoby bliższe prawdy. Od drugiej klasy liceum nigdy nie ważył mniej niż osiemdziesiąt sześć kilogramów, a nieraz przekroczył granicę dziewięćdziesięciu kilo. Zszedł z wagi, poczuł krople potu, który nagle wystąpił mu na górnej wardze. Netty, stojąc do niego tyłem, wkładała próbki do kopert. Roy przesunął ciężarki na wadze o dwa karby w lewo do pozycji neutralnej, w nadziei, że prawe ramię podjedzie do góry. Oznaczałoby to, że waga jest źle skalibrowana, a on waży co najmniej osiemdziesiąt jeden kilogramów albo i więcej o trzy lub cztery kilo. Ramię jednak nie drgnęło, lecz stało w idealnej równowadze, tworząc harmonijny obraz. W tej niezbyt stosownej chwili przyszedł mu do głowy wstępny nowy pomysł na *Ciszę*. Czy sterująca jego twórczością część mózgu mogłaby żyć własnym życiem?

- Panie Roy, panie Roy!

Odwrócił się.

- Może się pan ubrać. Tylko proszę zostawić podwinięty rękaw.

Ubrany, z podwiniętym rękawem, wyszedł z zabiegowego za pielęgniarką. Z korytarza weszli do innej sali na oddziale doktora Chu. Pomieszczenie wyglądało zgoła niemedycznie - ciepłe światło, fontanna igrająca po ułożonych warstwowo w dół kamieniach barwy miodu, zamśzowa kanapa. Jedyne medyczne akcenty to stojak do kroplówki na kółkach.

- Sala do terapii - powiedziała Netty. - Doktor Chu zlecił jej urządzenie mistrzowi feng shui. Sprowadził go aż z Pekinu.

- Nie brzmi mi to szczególnie naukowo - przyznał Roy.

Netty uśmiechnęła się przebiegle.

- Proszę się położyć na kanapie.

Usłuchał.

- Proszę przybrać wygodną pozycję.

Chwilę się wiercił, jakby szukał najwygodniejszej. Netty przysunęła stojak z kroplówką.

- Może pan poczuć niewielki ból.

Tym razem naprawdę poczuł. Tak go zabolalo, że omal nie krzyknął. Czyżby popełniła błąd? Spojrzał na rękę, zobaczył igłę na swoim miejscu, ani śladu krwi. Czyli nie wiadomo dlaczego. Ale skóra wydała mu się biała jak nie jego. Z kroplówki ściekał bezbarwny płyn,

kapął rurką wprost do ręki. Wyglądał jak woda.

- Teraz powinien się pan odprężyć - poradziła pielęgniarka. - Da pan radę?

- Jasne.

- Wrócę za dwadzieścia minut.

Leżał na kanapie, jakby odpoczywał. Patrzył, jak powoli obniża się poziom płynu w worku kroplówki. Płyn zawierał niewidzialne dla oka środki chemiczne. Czy niektóre od razu atakowały komórki rakowe zebrane w silne formacje molekularne, gotowe podjąć wyrafinowany atak, odciąć dostawę krwi, zwrócić jeden guz przeciwko drugiemu i cokolwiek jeszcze Chu dla nich przewidział?

Walcz jak sukinkoty. Głos Delii.

- Toczy się we mnie wojna - powiedział.

I zamilkł. Potem słuchał już tylko wody pluskającej po kamieniach. Fontanna wydawała całą gamę dźwięków - bulgotała, ciurkała, chlupotała, a na wiele innych nie znajdował określenia. Nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby pracować z wodą. Gdyby chciał rzeźbić w wodzie, od czego by zaczął?

* * *

Fontanna stała w holu Instytutu Hobbesa. Widział ją raz niedługo przed wyjazdem ekipy do Wenezueli, fontannę z Neptunem, cherubinami i monetami błyskającymi na dnie. Wszystkie kobiety były ubrane na czarno poza Delią, która wystąpiła w czerwieni. Zawsze bez problemu krążyła wśród gości na przyjęciach, ale tego wieczoru nie odstępowała Roya na krok, prawie przez cały czas dotykała jego ręki.

- To mój mąż. Royu, poznaj Paula Habiba.

- Miło mi.

- Mnie również - powiedział Habib. - Tyle o panu słyszałem.

- Ja też. Już pan sobie ostrzy zęby na wyjazd do Wenezueli?

- Do Wenezueli?

- Przepraszam - rzekł Roy. - Sądziłem, że wyjeżdża pan na ananasową eskapadę.

Paul Habib uderzył się w czoło. Był postawnym, krótko ostrzyżonym, brodatym mężczyzną, konsultantem Instytutu Hobbesa, który czasowo przeszedł tu do pracy z innej placówki, ale Roy nie pamiętał, a może nigdy nie wiedział z jakiej.

- No tak, na ananasową eskapadę, jak mogłem zapomnieć? - powiedział. - Jeszcze jestem trochę oszołomiony zmianą czasu po przelocie przez Atlantyck, ale rzeczywiście wybieram się do Wenezueli. I rzeczywiście ostrzę sobie zęby. Delia wspaniale przygotowała wyjazd.

- Sądzi pan, że to kupią? - spytał Roy.

- Kto?

- Wenezuelczycy - wyjaśnił Roy. - Hodowlę ananasów.

- A tak, Wenezuelczycy - powtórzył Habib. - Wszystko bez dwóch zdań rozkręciła pańska żona. Teraz wystarczy przekonać miejscowych. Chociaż nie będzie to łatwe, prawda, Delio?

Delia zacisnęła dłoń na rękę Roya.

- Co nie będzie łatwe?

- Przeprogramowanie ludzkich umysłów - rzekł Habib.

- Nie znam się - odparła Delia. - Czy to nie twoja praca? - Zwróciła się do Roya: - Napiłabym się szampana.

- Paul, tobie też przynieść? - spytał Roy.

- Chętnie - powiedział Habib.

Ale kiedy Roy wrócił z kieliszkami, Habib już zniknął.

- Miałś jakiś konflikt z Paulem? - spytał.

- Nie - odparła Delia. - Trochę mnie tylko ostatnio irytuje.

- Czym?

- Jak to w pracy - odrzekła Delia. - Mniejsza z tym. Bawmy się dzisiaj.

- Na prośbę i na rozkaz - powiedział Roy. - Za Wenezueleę.

- Nie - sprzeciwiła się Delia. - Za nas.

Wypili. Delia do dna.

- Masz centa? - spytała.

Roy wyjął monetę z kieszeni, podał żonie. Wyraziła życzenie, ruszając bezgłośnie ustami. Przez chwilę zobaczył w niej małą dziewczynkę z dawnych lat. Wrzuciła centa do fontanny. Pieniązek zakręcił się powoli, jak to miedziak, i opadł na dno.

- Wracajmy - poprosiła.

- Teraz?

Pojechali do domu.

W łóżku zaproponowała:

- Dzisiaj możesz robić ze mną, co tylko zechcesz.

* * *

- Czas minął.

Roy zorientował się, że patrzy w wodę spływającą po miodowych kamieniach fontanny

doktora Chu. Odwrócił głowę i zobaczył stojącą za nim Netty. Zupełnie jakby się obudził.

- Nie było tak źle, co? - spytała.

- Przyznaję - potwierdził. Spojrzał na prawie pustą kroplówkę. Ostatnie krople przywarły do plastikowej torby. Powstrzymał się, żeby nie poprosić pielęgniarki, aby wycisnęła je do rurki, bo chciał wprowadzić do organizmu wszystkich mikroskopijnych wojowników, co do jednego. - Było nieźle.

Pokiwała głową, jakby już wcześniej słyszała taką pochwałę.

- Jutro proszę przyjść o tej samej porze - powiedziała. - Na wszelki wypadek podam panu numer czynny po godzinach.

- Na wypadek czego? - spytał Roy.

- Gdyby źle pan znosił lek - wyjaśniła. - Ale to niemożliwe. Nigdy się nie zdarzyło.

- W każdym razie z tym koktajlem?

- To chciałam powiedzieć.

Roy wziął od niej kartkę, z której wyczytał, że naprawdę ma na imię Annette.

- Netty, mam pytanie.

- Słucham.

- Czy mężczyzna z maską tlenową, którego wczoraj spotkałem w poczekalni, też jest uczestnikiem tych badań?

Netty wciągnęła głęboko powietrze przez nos.

- Był.

Dopiero po chwili do niego dotarło, co mu powiedziała.

- Umarł?

- Wczoraj późnym wieczorem. Doktor Chu jest teraz z jego rodziną.

- Czyli program zawężił się do trzech osób.

- Z panem czterech - sprostowała Netty. - Ale będzie was więcej, znacznie więcej. Doktor Chu jest mądrym człowiekiem. - Poklepała Roya po kolanie. - Proszę nie myśleć o innych. W ogóle o nikim. Proszę się skupić na sobie.

Wyciągnęła igłę, przetarła miejsce po ukłuciu wacikiem nasączonym spirytusem.

Kiedy wstał, zakręciło mu się w głowie, ale zaraz się pozbierał.

- Wiesz co, Roy? - dodała Netty. - On nie był taki silny jak ty.

Patrzyła na niego wzrokiem wspierającego rodzica albo trenera. Roy załomotał jak Tarzan pięściami we własny tors. Roześmiała się. Wyszedł na dwór, przemierzył parking. Rzeczywiście widział przepaść dzielącą go od mężczyzny na wózku. Podbiegł kilka kroków, żeby udowodnić sobie, że może. Prawie się nie zasapał. Rosły, silny mężczyzna. *Walcz jak*

sukinkoty.

* * *

Kiedy ostatnio pił koktajl mleczny? Nie pamiętał, najprawdopodobniej jeszcze w ogólniaku. Znalazł koktajlbar, zamówił największy koktajl mleczny, jaki tam serwowano, o smaku czekoladowo-krówkowym z pianką żelową. Aż go zemdliło, ale zmusił się, żeby wypić cały. Kończył go jeszcze, kiedy wjeżdżał do Waszyngtonu.

Nie był w tym mieście od lat, a dokładnie od śmierci Delii. Niewiele się zmieniło. Kiedy skręcił w Constitution Avenue, wyszło słońce i oświetliło od wschodu kopułę Kapitolu, oblewając ją cytrynowym blaskiem. Minął budynki Senatu i stanął przed gmachem z czterema żłobionymi kolumnami - Instytutem Hobbesa. Znalazł w bocznej uliczce parkometr, wrzucił kilka monet, wrócił. Mimo zimy tu, na południu, grzało słońce. Poczł jego miłe ciepło.

Wszedł po szerokich, kamiennych schodach, również lśniących cytrynowym blaskiem, i znalazł się pod dwuskrzydłowymi drzwiami. Były mosiężne, chociaż zapamiętał, że wtedy były z ciemnego drewna. I jeszcze jedno się zmieniło. Teraz pilnowało ich z obu stron dwóch strażników. Dawniej nikt nie stał na warcie, ale czy można się dziwić, skoro cały świat tak się zmienił?

- Dzień dobry - przywitał się Roy, sięgając do klamki.

Strażnicy zagrodzili mu drogę.

- Jest pan umówiony? - zapytał jeden.

- Nie - odparł Roy. - Ale pracowała tutaj moja żona.

- Nazwisko?

Roy podał nazwisko Delii. Drugi strażnik zajrzał do wykazu, pokręcił głową.

- Jasne, że teraz nie figuruje na liście - wyjaśnił Roy. - Bo pracowała tu dawno temu. Jej szefem był Tom Parish.

Patrzyli na niego.

- W dalszym ciągu tu pracuje? - spytał. - Parish przez jedno „r”. Był bodajże dyrektorem do spraw naukowych.

Strażnik zajrzał do wykazu, znów pokręcił głową.

- A Paul Habib?

Jakie zajmował stanowisko? Roy chyba nigdy nie wiedział.

I znów kręcenie głową.

Roy próbował sobie przypomnieć inne nazwiska ludzi związanych z Instytutem Hobbesa,

ale nie mógł.

- Chciałbym tylko porozmawiać z kimś z instytutu - powiedział. - Mam bardzo krótką sprawę. Do załatwienia od ręki.

Chodziło mu wyłącznie o zwięzłe poświadczenie, że Delia tu pracowała, podpisane przez uprawnionego urzędnika.

- Z instytutu? - upewnił się pierwszy strażnik. Roy podniósł nieco głos.

- Owszem, z Instytutu Hobbesa, którego właśnie pilnujecie.

- Jak to?

Dopiero wtedy Roy zauważył z boku flagę na drzewcu, którą zapewne widział wcześniej, ale nie umiał rozpoznać. Następnie na jednym skrzydle drzwi zobaczył tabliczkę: KONSULAT REPUBLIKI GRECKIEJ.

Cofnął się, zszedł kilka stopni, żeby ogarnąć wzrokiem fronton, na którym widniała wyryta w kamieniu nazwa Instytut Hobbesa. Powierzchnia była gładka, ani śladu po jakimkolwiek napisie.

- Dokąd oni się przenieśli? - zapytał.

- Kto taki?

- Oczywiście Instytut Hobbesa - odparł. - Właściciele tego budynku. Sam już nie wiem, może byli właściciele.

- Nic mi nie wiadomo - powiedział pierwszy strażnik i zwrócił się do drugiego: - A tobie? Tamten kolejny raz pokręcił głową.

Rozdział 9

Roy wycofał się spod drzwi greckiego konsulatu, ale postął jeszcze chwilę na chodniku. Rozejrzał się. Czyżby naprawdę się pomylił? Może istnieje jakiś inny budynek z czterema żłobionymi kolumnami i trójkątnym frontonem. Zdarzają się w architekturze takie bliźniacze budynki. Potoczył wzrokiem po długiej linii fasad i już mu się zdawało, że kilka domów dalej... ale nie. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył dużo okazałszy gmach, który miał sześć pilastrów, lecz nieżłobionych, i prostokątny fronton, a na nim wyryty napis: WASZYNGTOŃSKIE TOWARZYSTWO HISTORYCZNE. Wykuty dawno temu, bo czas zatarł litery w zwietrzałym kamieniu.

Poszedł dalej, minął kilka przecznic, ale po żadnej stronie nie wypatrzył siedziby instytutu. Wrócił do swojej pierwotnej myśli. Widocznie się przeprowadzili. Cofnął się, jeszcze raz sprawdził wszystkie budynki, wypatrując napisu Instytut Hobbesa na szyldzie, na mosiężnej tabliczce, gdziekolwiek. Na próżno.

Przecznicę dalej szła, zadzierając co chwila głowy, grupka turystów z przewodniczką. Ruszali i przystawali niczym stado kroczących ptaków.

- Przepraszam - rzekł Roy.

Przewodniczka się odwróciła.

- Szukam Instytutu Hobbesa.

- Przykro mi.

Wskazał budynek.

- Kiedyś znajdował się tutaj.

- Tu chyba się mieści grecki konsul - stwierdziła przewodniczka.

- Mówię o sytuacji sprzed lat.

- Odkąd pamiętam, tu jest grecki konsul - powiedziała. Turyści kłębili się za nią, obstąpili ją ciasną gromadką. Przewodniczka zmierzyła Roya wzrokiem, jakby coś z nim było nie w porządku. - Może tu pan znajdzie - powiedziała, wręczyła Royowi mapę i odeszła.

Mapa turystyczna z naniesionymi zabytkami. Niewielka, a właściwie żadna szansa na to, żeby zaznaczono na niej mały instytut badawczy w rodzaju Hobbesa. Roy jednak sprawdził, wczytał się dokładnie w mapę. Nie znalazł.

Strażnicy nie spuszczaali go z oka. Odszedł, ot tak, przed siebie, ale po chwili znalazł się

w bocznej uliczce, na której zaparkował. Wsiadł do półciężarówki. Spojrzał na zgnieciony kubek po koktajlu mlecznym na podłodze. Zahipnotyzował go powyginany kształt, balonowe liternictwo, obraz wesołej krowy. Dopiero po dłuższym czasie wpadł na oczywisty pomysł.

Otworzył schowek, wyjął telefon komórkowy. Nie lubił komórek, w głębi duszy uważał, że już w połowie dwudziestego wieku technika zaszła wystarczająco daleko, ale Krishna, mimo że często nie mógł się z nim skontaktować, kupił mu telefon w promocji dla znajomych. Oczywisty pomysł - zadzwonił do informacji i poprosił o numer Instytutu Hobbesa, najpierw w Waszyngtonie, potem w stanach Maryland i Wirginia, następnie w Nowym Jorku, aż wreszcie w całym kraju. Taki instytut nie figurował w żadnym spisie abonentów.

* * *

Kupił batonik i zjadł go w drodze do Baltimore. W hotelu przebrał się w dres i udał do siłowni na najwyższym piętrze. Niewiele czasu spędzał na siłowni, bo dzięki hokejowi, pieszym wędrówkom, wycieczkom na raketach śnieżnych i narciarstwu utrzymywał dobrą kondycję. Teraz wszystko się zmieniło.

Stepper - trzydzieści minut. Najpierw trochę się zasapał, ale to się może każdemu zdarzyć. Przewycięzył swoją słabość. Następnie podnosił ciężary. Wycisnął w przysiadzie cztery serie po dziesięć, za każdym razem podnosząc sto trzynaście kilogramów, a potem, mimo gipsu, trzy serie po sześćdziesiąt pięć kilo. Następnie zrobił sto brzuszków na skośnej ławce. Nieźle. Dla każdego byłby to niezły wynik. Czyżby postawiono mu błędną diagnozę? A może to sen? Może spadł z drabiny, pracując z powyginanymi łopatkami śmigłowca, i leży teraz w śpiączce, z której niebawem się ocknie zdrów jak ryba? Przejrzał się w lustrze. Czy to możliwe, że przeglądanie w lustrze również mu się śni? Dlaczego nie? Nieznajoma na rowerze stacjonarnym obok też sprawdzała jego wynik. Co podważało nieco koncepcję snu-śpiączki. Kobieta w lustrze uśmiechnęła się do niego.

Wrócił do swojego pokoju, wziął prysznic, zaczął się ubierać, żeby zejść do baru i zamówić to samo co poprzedniego wieczoru, a deser może nawet z dokładką. Za oknem zachodziło słońce, malując złotymi maźnięciami górne okna najwyższych budynków. Usiadł na łóżku, żeby włożyć buty.

* * *

Otworzył oczy. Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje. Zaraz jednak rzeczywistość spadła na niego jak seria ciosów przebiegłego boksera: był w hotelowym pokoju, w biały

dzień, ubrany, tyle że bez butów, i coś się działo z jego płucami.

Spojrzał na zegarek. Do spotkania z doktorem Chu zostały trzy kwadranse. Od wyjścia z kliniki minęło czternaście godzin. Włożył buty, umył zęby, spryskał sobie twarz wodą, zszedł do kawiarni.

- Proszę omlet z trzech jaj z plackami ziemniaczanymi, grzanką, sokiem pomarańczowym, kawą. Aha, do tego smażony boczek. I puchar owoców.

Nie jadł obiadu. Powinien umierać z głodu. Ale kiedy podano jedzenie, które zajęło pełną tacę, zrozumiał, że wcale nie jest głodny. Stracił apetyt. Zmusił się, żeby zjeść wszystko do ostatniego kęsa.

Mężczyzna przy sąsiednim stoliku podpisał czek i wyszedł, zostawiwszy gazetę „Washington Post”. Roy wziął ją i przejrzał. Na ósmej stronie w prawym górnym rogu przeczytał: BRAK POSTĘPU W ŚLEDZTWIE DOTYCZĄCYM ZABÓJSTWA DZIENNIKARZA *TIMESA*.

Przeleciał wzrokiem. Nikt nie użył kart kredytowych Richarda Golda. Nigdzie nie znalaziono plazmowego telewizora ani innych przedmiotów. Nic też nie dało wielokrotne przeczesywanie okolicy. Z ostatniego akapitu dowiedział się o uroczystości żałobnej, która miała się odbyć po południu w synagodze w Georgetown. Oderwał ten kawałek gazety i schował do kieszeni.

* * *

Netty zbadała mu puls i ciśnienie.

- Dobre wyniki?

- W normie.

- Coś się zmieniło?

- Zmieniło?

- Od wczoraj.

Sprawdziła w karcie.

- Jest trochę niższe - powiedziała. - Ale takie wahania...

- Niższe to lepsze.

- W tym przedziale tak. - Spojrzała na niego. - Podać panu dokładne wyniki?

- Bardzo proszę.

- Puls sześćdziesiąt osiem. Ciśnienie krwi sto osiemnaście na osiemdziesiąt jeden.

- Nieźle, prawda?

Znów na niego spojrzała.

- Owszem - potwierdziła i już chciała coś dodać, ale się powstrzymała. Podeszła z igłą, pobrała mu krew do trzech probówek.

- Dokąd ją zabieracie?

- Do laboratorium.

- A wczorajsze wyniki już są?

- Jeszcze nie. Ale za wcześnie na zmiany.

- W takim razie po co pobieracie krew?

- Panie Roy, czy mogę coś powiedzieć?

- Słucham.

- Proszę zostawić aspekty naukowe doktorowi Chu, a samemu zająć się sobą.

Niby się z nią zgadzał, ale trochę go to oburzyło. Pielęgniarka odwróciła wzrok. Naklejała na probówki etykiety w różnych kolorach. Roy się opanował.

- Dziś też mam się zważyć? - spytał.

- Oczywiście - odrzekła Netty.

Rozebrał się do bokserek, wszedł na wagę. Podeszła, ustawiła ciężarki.

- Siedemdziesiąt osiem kilogramów - oznajmiła.

- I pół - dodał.

Spojrzała na podziałkę.

- I pół - potwierdziła.

- A wczoraj? - spytał Roy, chociaż dobrze wiedział.

Sprawdziła.

- Równo siedemdziesiąt osiem kilogramów.

A przecież nie zjadł obiadu! Zachował ten szczegół dla siebie, potraktował jak asa w rękawie. Ubrał się, przeszedł z Netty do sali feng shui, położył się na zamszowej kanapie. Netty podłączyła mu kroplówkę, a przed wyjściem zapowiedziała:

- Dwadzieścia minut.

Zamknął oczy, wsłuchał się w fontannę doktora Chu. Jego ciało stało się polem bardzo cichej bitwy. Jeszcze dużo za wcześnie, żeby przesądzać o skutkach terapii, ale wczorajszy dzień chyba miał pomyślny przebieg, skoro wyniki były dobre. A teraz, kiedy komórki rakowe zostały wytracone z równowagi - podobnie jak wiele drużyn, kiedy przeciwnik mknie, żeby wbić pierwszego gola - ponownie nadciągnęły miliony mikroskopijnych wojowników. Nic dziwnego, że dobrze się poczuł. *Walcz jak sukinkoty.*

I znów głos Delii tak wyraźny, jakby siedziała obok w pokoju feng shui. Milczała piętnaście lat, a teraz słyszał ją co chwila. Dlaczego? Roy nie wiedział, ale dodawało mu to

otuchy. Pokusił się o eksperyment.

- Gdzie znajduje się Instytut Hobbesa? - zapytał na głos.

Usłyszał jedynie szum fontanny.

Otworzył oczy. Kroplówka była pusta, ostatnie uparte krople przyłgnęły do plastiku.

Wstał, wycisnął worek, zmuszając je do skapnięcia w głąb rurki, na front. Weszła Netty.

- Wszystko w porządku?

- Tak.

Odłączyła kroplówkę.

- W takim razie do jutra.

- Do jutra.

- Zachował pan naszą wizytówkę?

- Wizytówkę?

- Z numerem na wszelki wypadek. Gdyby doszło do reakcji.

Wzruszył ramionami. Wiedział, gdzie leży wizytówka - w portfelu. Ale na pewno mu się nie przyda. Kupił sobie batonik Hershey w automacie stojącym w holu przy wyjściu ze szpitala.

* * *

Nigdy przedtem nie był w synagodze. Wydawało mu się, że mężczyźni nie siedzą tam razem z kobietami, ale się mylił. Okazało się, że rabin jest kobietą, poza tym tylko kilku mężczyzn miało na głowach jarmułki, wśród nich on, bo wziął ją ze skrzynki przy drzwiach, przeświadczony, że taki jest wymóg. Uroczystość, o dziwo, odbywała się w języku angielskim. Po hebrajsku natomiast były napisy wryte na ścianach. Roy zwrócił uwagę na kształt liter.

Wysłuchał z tylnej ławki opowieści o życiu Richarda Golda. Najpierw zabrał głos ktoś wpływowy z „New York Timesa”, kto mówił o niezwyklej rzetelności Golda. Następnie przedstawicielka organizacji praw gejów mówiła o ważnym wsparciu, jakie otrzymywali od Golda, i o jego wielkim oddaniu sprawie. Na końcu niejaki Jerry, zalewając się łzami, wyznał, że Gold był najcudowniejszym człowiekiem na świecie i że straszliwie pusto będzie bez niego w domu.

Po ceremonii Roy odczekał na parkingu, aż żałobnicy się pożegnają. Od tłumy odrywały się kolejne grupki, samochody odjeżdżały jeden za drugim. Zaczął siąpić deszcz, znacznie chłodniejszy od powietrza, i ostami krąg ludzi zebranych wokół Jerry'ego też się rozstał. Jerry ruszył sam do swojego auta, bardzo powoli, jak gdyby każdy krok kosztował go wiele

wysiłku. Roy dogonił go przy samochodzie, starym, lecz wciąż eleganckim volvie. Jerry już wyjmował kluczyki.

- Przepraszam - zaczepił go Roy.

Jerry podniósł wzrok, oczy miał szkliste.

- Proszę przyjąć moje kondolencje - powiedział Roy.

- Dziękuję - odparł Jerry i zamrugał. - Niestety, nie poznaję...

- Bo się nie znamy - pospieszył z wyjaśnieniem Roy.

- Jest pan kolegą Richarda?

- Niezupełnie - wyznał Roy. - Kilka razy rozmawiałem z nim przez telefon. Nazywam się Roy Valois.

Chwila milczenia. Na łysinie Jerry'ego drżały krople deszczu.

- Rzeźbiarz? - upewnił się.

Roy skinął głową.

- Richard wspominał mi o panu.

Zmienił się na twarzy.

- Pewno nieprzychylnie? - spytał Roy.

- Nie, chyba nie - powiedział Jerry. - Przyznam, że nie pamiętam. Dziś wszystko mi się mąci.

Objął się ramionami, jakby chciał się utulić. Kluczyki upadły na mokry chodnik.

Roy podniósł je.

- Kontaktowałem się z nim w sprawie pewnego materiału.

- Zawsze miał tyle różnych tekstów na tapecie - przyznał Jerry. Zapatrzył się przed siebie.

- I co z nimi teraz będzie?

- Nie wiem. - Roy podał mu kluczyki. Jerry spojrział stropiony, ale opamiętał się i wziął. -

Napisał mój nekrolog.

Na dźwięk tego słowa Jerry się wzdrygnął, jak gdyby coś go ukłuło.

- Richard nie znosił pisać nekrologów. Interesowała go przyszłość. Zawsze wypatrywał, co czeka za rogiem.

Jerry schylił się nad zamkiem, próbował włożyć do niego za duży klucz. Roy wskazał mu właściwy. Kiedy poznał Delię, jeździła takim samym autem.

- Dziękuję - powiedział Jerry.

Włożył właściwy klucz, ale też sobie nie poradził.

- Wiem, że chwila jest wyjątkowo niestosowna - ciągnął Roy - ale Richard szukał błędu w swojej dokumentacji na mój temat. Ciekawe, czy panu o tym wspominał.

Jerry wyprostował się, podniósł wzrok na Roya. Był bardzo niski.

- Przypominam sobie. Twierdził, że musi pan być megalomanem.

- Dlaczego?

- Bo włamał się pan do archiwum. W tak młodym wieku interesować się oceną potomnych? Tak się wyraził.

- Błąd nie dotyczył mnie, lecz mojej żony - uściślił Roy.

- Nie rozumiem.

- Moja żona nie żyje. Chciałem sprostować fakty.

- Mój Boże! - zawołał Jerry. - Od niedawna?

- Od dawna.

Jerry zasłonił sobie na chwilę twarz, ale zaraz się pozbierał.

- Czego pan ode mnie oczekuje?

- Chciałbym wiedzieć, czy Richard zdołał coś ustalić - odparł Roy.

- Nic mi nie mówił - powiedział Jerry. Patrzył na kluczyki. Roy wyjął mu je z ręki i otworzył drzwi. Jerry westchnął przejmująco. - Może znajdę coś w jego notatkach.

Roy czekał. Wiedział, że powinien mieć skrupuły, ale nie miał.

Jerry otworzył drzwi.

- Może pan pojechać za mną.

- Dziękuję.

- Proszę mi nie dziękować. Tak postąpiłby Richard - rzekł gniewnie podniesionym głosem. - Bo tak mu zależało na faktach.

* * *

Elegancki piętrowy biały dom z czarnymi okiennicami stał w bocznej uliczce odchodzącej od Connecticut, niedaleko domu zajmowanego przez Roya i Delię po przeprowadzce z mieszkania w Foggy Bottom. Jerry zaparkował na podjeździe, Roy na ulicy. Przy drzwiach wejściowych pracował ślusarz.

- Prawie skończyłem - oznajmił.

Jerry wprowadził Roya do środka.

- Nie wiem, po co w ogóle się w to bawię - rzekł.

- W co? - spytał Roy.

- W zmianę zamków.

Stali w kuchni. Panował w niej idealny porządek, nie licząc szczątków drewnianego krzesła w kącie.

- To nie było włamanie? - spytał Roy.

- Właściwie to nie - odparł Jerry. - Zdaniem policji ci ludzie albo mieli klucz, albo Richard ich wpuścił. Ale jak ja tu teraz mam mieszkać? - Pokazał na podłogę, miejsce między blatem a połamanym krzesłem. - Tu go znalazłem. Jego skatowane zwłoki. Skurwiele.

I wybiegł z kuchni.

Roy podszedł do kąta, szturchnął nogą kawałek roztrzaskanego krzesła. Przypomniała mu się ostatnia rozmowa z Goldem. *Jedną chwileczkę*, potem brzęk, jakby upadła szklanka i sygnał zajętości. Przyszedł mu do głowy szalony pomysł. A gdyby tak posklejać razem te kawałki, pokraccznie, niezdarnie, raczej podkreślając, niż maskując naprawę?

Wrócił Jerry. Zdjął krawat, miał zaczerwienione oczy.

- Gabinet jest na górze. Chyba niewiele pan znajdzie. Laptop też ukradli. Ale mógłby pan zajrzeć do jego notesu.

- To się stało w czwartek? - upewnił się Roy.

- Między pół do ósmej, kiedy wyszedłem do pracy, a dziewiątą, kiedy przyjechała po niego taksówka - odparł Jerry. - Zwykle w czwartki nie wychodzę tak wcześnie. Tym razem było inaczej.

- Czym się pan zajmuje?

Jerry zbył pytanie machnięciem ręki i zaprowadził Roya na górę. Roy zrozumiał, że mógł słyszeć przez telefon odgłosy napaści na Richarda Golda, a w każdym razie początek ataku. Czy mordercy otworzyli sobie sami z klucza? A może Gold podszedł do drzwi z telefonem w ręce? Czy powinien opowiedzieć to wszystko Jerry'emu? Nie widział powodu.

Weszli do gabinetu.

- To jego biurko - powiedział Jerry.

Stało pod oknem wychodzącym na ogród za domem z wielkim kamiennym grillem i dwoma leżakami. Śmignął błękitnik, złapał w dziób jakiś biały strzępek i odfrunął. Jerry otworzył szufladę biurka. W środku leżał telefon komórkowy i oprawny w skórę terminarz. Wyjął go i podał Royowi.

Roy przekartkował. Gold miał równe, drobne pismo, żadnych skreśleń. Kiedy Roy po raz pierwszy zadzwonił do Golda? Usiłował odtworzyć fakty na podstawie kalendarza meczów w hokejowej lidze. Gdzieś z lewej strony u dołu pod zapiskami, takimi jak *układ NAFTA nie do ruszenia* i *akty oskarżenia w górnictwie, sprawdzić 2.30*, zobaczył *nekr.* Ostatnia notatka na tej stronie. Przewrócił na następną. U góry: *mimo trudności prawnych spodziewane trzy kolejne akty oskarżenia, Edwards*, bez dalszego ciągu, i znów powrót do artykułu o górnictwie. Dopiero po chwili zauważył wyszarpane strzępy w oprawie. Najwyraźniej

wyrwano stąd kartkę.

Doszedł do końca. Ostatni zapisek - *J... re kolacja*, i znalazł ślady wyszarpięcia kolejnej kartki. Ani słowa o nim, o Delii, Instytucie Hobbesa, ONZ.

- I co? - spytał Jerry.

- Nic. - A nawet mniej. - Ale dziękuję za pomoc.

Roy podał mu rękę.

Jerry ją uściskał. Miał zimną, drżącą dłoń.

- Jeżeli chodzi o ten komentarz w sprawie megalomanii, nie chciałbym, żeby odniósł pan fałszywe wrażenie.

- O czym?

- O stosunku Richarda do pana. Kiedy pan się z nim skontaktował, zapoznał się z pańską twórczością i wywarła na nim spore wrażenie. - Wyjął z szuflady telefon komórkowy. - Nawet pojechał do Georgetown i sfotografował jednego z pańskich *Neandertalczyków*.

Jerry zaczął naciskać klawisze w telefonie.

- Nie bardzo się znam - wyznał. - Richard był...

Nie dokończył.

Zdjęcia w komórce Richarda Golda: na pierwszym miejscu Jerry z głupekowatym uśmiechem, w czapce drużyny Redskins. Dalej potężny, siwiejący blondyn stojący pod parasolem po drugiej stronie ruchliwej ulicy. I *Neandertalczyk numer trzy* sprezentowany przez Roya uniwersytetowi.

- O, mam - powiedział Jerry.

- Mógłby pan cofnąć? - poprosił Roy.

- Cofnąć?

- Do poprzedniego.

- Ale...

- Bardzo proszę.

Jerry wrócił do zdjęcia przed *Neandertalczykiem numer trzy*, do jasnowłosego mężczyzny.

- Kto to jest? - spytał Roy.

- Nie mam pojęcia - odparł Jerry.

Roy dobrze się przyjrzał. Zdjęcie nie było wyraźne, parasol ocieniał twarz mężczyzny, zresztą minęło blisko piętnaście lat. Ale poznał w nim Toma Parisha. Czas obszedł się z nim łaskawie.

- Czy Richard coś panu mówił o tym zdjęciu? - spytał Roy.

- Nie. Tylko pokazał mi pańską rzeźbę. - Nagle Jerry'ego poraziła jakaś myśl, wyraźnie się stropił. - Dlaczego pan pyta? Co pan sugeruje?

- Nic - odparł Roy. - To pana nie dotyczy. Czy wie pan, gdzie on zrobił to zdjęcie?

Ale Jerry już się zdenerwował, pokręcił tylko przecząco głową, odwracając wzrok. Roy obejrzał dokładnie zdjęcie, żeby zapamiętać szczegóły. Zauważył stojak z gazetami przy kawiarni Starbucks, a w witrynie sklepu mieszczącego się obok butelki wina.

- Gotowe! - zawołał z dołu ślusarz.

Jerry aż podskoczył na jego krzyk.

Roy skierował kroki do wyjścia. Zatrzymał się. Wskazał rozbite krzesło.

- Chce pan, żebym je zabrał?

Nie mógł się powstrzymać.

Jerry obrzucił wzrokiem kawałki, wrzucił ramionami. Kiedy Roy się po nie schylił, zorientował się, że nie zdjął jarmułki. Złożył ją starannie i schował do kieszeni.

Rozdział 10

Deszcz się nasilił. Roy złożył naręczce połamanych części krzesła na fotelu pasażera. Kiedy odjechał, jego miejsce zajął radiowóz. Roy okrążył cały kwartał. Pusty radiowóz w dalszym ciągu stał przed domem Jerry'ego. Roy zawrócił, znalazł miejsce po drugiej stronie ulicy z widokiem na drzwi wejściowe domu Jerry'ego i wóz policyjny. Czekał. Deszcz bębnił delikatnie w karoserię półciężarówki, omywając Roya falami dźwięku.

* * *

- Nigdy tam nie byłem - powiedział Roy.

- Gdzie? - spytała Delia.

- W Wenezueli - odparł. - Przecież rozmawiamy o twoim wyjeździe.

- To wcale nie jest mój ulubiony kraj.

- Co ci przeszkadza w Wenezueli?

- Nic.

- Nie przekonuje mnie twoja odpowiedź.

Przewróciła się na brzuch, położyła mu głowę na piersi. Musnęła ustami jego tors.

- A muszę cię przekonywać?

- O co ci chodzi?

- O nic. Może nie mam ochoty jechać.

Włożył ręce w pukle jej włosów.

- Dlaczego?

- Cała ta sprawa jest taka...

- Jaka?

Westchnęła. Poczul ciepły, miły oddech na swojej piersi.

- Nie warto o tym mówić. Muszę jechać, i już.

- Sądziłem, że się cieszysz na ten projekt. A ananasy?

- Pieprzyć ananasy - ucięła. Zaraz jednak roześmiała się gardłowo, chrapliwie. Uwielbiał ten jej śmiech. Wyciągnęła rękę, wzięła w dłoń mosznę, zważyła jądra na dłoni jak farmer, który szacuje towar. - Pieprzyć ananasy.

* * *

Otworzył oczy.

- Co, do diabła? - spytał.

Deszcz ustał. Przestało padać, dzień chylił się ku zachodowi, konary drzew, czarne sylwetki dachów i kominów odcinały się od pomarańczowego nieba. Radiowóz z przeciwka zniknął, a dom Jerry'ego tonął w ciemnościach. Do drzwi podeszła kobieta, położyła na ganku bukiet kwiatów i odeszła. Znikła w innym domu na tej samej ulicy.

- Co, do diabła? - powtórzył do siebie. Chciał przecież porozmawiać z policjantem. - Co się ze mną dzieje?

Wrócił do Baltimore.

* * *

W hotelowym barze za kontuarem stała ta sama barmanka. Roy zamówił to samo co za pierwszym razem - *chowder*, stek, pieczone ziemniaki, sałatkę cesarską, piwo, placek z orzechów pekanowych z lodami. Teraz naprawdę czuł głód. Nagle, bez powodu, wpadł w dobry nastrój, jakby go ktoś napompował helem. Dawno już nie miał dobrego humoru, niemal zapomniał, jak potrafi człowieka uskrzydlić.

- Dobrze dziś panu poszło ze złomem? - spytała barmanka.

- Nieźle.

- Rozmawiałam ze swoim kuzynem - oznajmiła. - Twierdzi, że przy obecnych cenach zbytu na złomie naprawdę można zarobić.

Ciekawe, jak by to skomentował Murph? *Nie potwierdzam*. Roy powiedział te dwa słowa na głos.

- Oj, widzę, że przemawia przez pana skromność - powiedziała. Przechyliła się przez kontuar, ukazując duży dekolt. - A rzadko się ostatnio widuje skromnych ludzi. Chociaż zalecałabym tę cechę wszystkim.

Roy się roześmiał.

Zmierzyła go wzrokiem. Wiele wyczytała z jej spojrzenia, może nawet za dużo.

- Jak panu na imię? - zapytała.

- Roy.

- Ładnie. Nigdy nie znałam żadnego Roya - stwierdziła, nalewając mu do pełna. - Za godzinę kończę pracę. Tak tylko mówię.

Czyli się nie pomylił. Barmanka była ładna, niegłupia, może trochę zanadto przy kości, wręcz matronowata, co właśnie teraz bardzo mu odpowiadało. Już miał się uśmiechnąć,

zrobić następny krok, kiedy dodała:

- Mam na imię Jennifer, ale przyjaciele mówią na mnie Jen.

Ten jeden szczegół przesądził sprawę. Zakradły się niezręczność, speszenie, dystans.

* * *

Po powrocie do pokoju Roy przejrzał numery w swoim telefonie, aż doszedł do Jen. Powinna już dotrzeć do Keystone. Może, biorąc pod uwagę różnicę czasu, jeszcze zjeżdża ze stoku. Uwielbiała schodzić z nart ostatnia. Czasem pokrzykiwała, wyskakując na muldach. Roy patrzył na numer, omal nie zadzwonił. Zrozumiał, że któregoś wieczoru na pewno się nie oprze. Dlatego go usunął.

Zbudził się w nocy rozpalony, w pościeli mokrej od potu. Wziął zimny prysznic, prześcielił łóżko. Na niebie za oknem wisiał księżyc w pełni, dosłownie na wyciągnięcie ręki, wyraźnie było widać szczegóły powierzchni. Ogromny okrąg sunący po niebie miał w sobie coś irytującego, przynajmniej tej nocy. Roy wrócił do łóżka i leżał z otwartymi oczami. W głowie kłębiły mu się czarne myśli, do umysłu wtargnął chaos. Dobry humor dawno opuścił Roya. I przypomniał sobie obraz, którym usypiał się w dzieciństwie, choć dawno zarzucił ten zwyczaj. Widok igloo podczas zamieci śnieżnej, a w środku on, siedzący po turecku, opanowany, przed przytulnym kominkiem. Zobaczył naraz wszystkie elementy układanki - zamieć, igloo od środka i od zewnątrz, kominek widziany oczami małego Roya, małego Roya z zewnątrz - tak jak nikt nie może objąć wszystkiego jednocześnie wzrokiem. Ogarnął go doskonały spokój. Zasnął.

* * *

Rano czuł się dobrze. Jeszcze zanim wstał, z szuflady stolika nocnego wyjął książki telefoniczne - Baltimore, Waszyngtonu, stołecznych hrabstw w Marylandzie i Wirginii. Znalazł wielu Parishów, w tym piętnastu Thomasów, dwóch Tomów i jedenastu z inicjałem imienia T. Znalazł również czterech Paulów Habibów oraz ośmiu ludzi o tym nazwisku i imieniu na P. Zaczął od Thomasa Parisha zamieszkałego przy Crestview Lane w Silver Spring.

- Dzień dobry - przywitał się. - Szukam Toma Parisha, który pracował kiedyś w Instytucie Hobbesa, a może do tej pory tam pracuje.

- Co? - zapytała kobieta, wyraźnie bardzo leciwa.

- Szukam Toma Parisha - powtórzył. - Który pracował w Instytucie Hobbesa.

- Proszę mówić głośniej.

Roy podniósł głos.

- Mojego męża Toma? - zapytała. - Będzie trzy lata, jak nie żyje.

- Bardzo mi przykro - powiedział Roy.

- Co takiego?

Znów podniósł głos.

- Bardzo mi przykro. Pracował kiedyś w Instytucie Hobbesa?

- Ale skąd. Tom przez trzydzieści lat pracował w General Electric. Chodzi o emeryturę?

Przechodząc od Thomasów Parishów do Tomów, Roy udoskonalił swoją technikę. Trafił na dwa wyłączone telefony, w jednym ciągły sygnał, trzy sekretarki automatyczne i odpowiedź „nie” udzieloną na różne sposoby. Zanim doszedł do osób jedynie z inicjałem T., wyszedł z domu i jechał do szpitala z wykazem pozostałych możliwości w ręku. Dokończył w poczekalni, gdzie sporządził dodatkową listę numerów, pod które powinien zadzwonić ponownie, bo nikt nie odebrał telefonu. Do czterech Thomasów i trzech T.

* * *

- I jak się dzisiaj nasz Roy czuje? - zapytała pielęgniarka, pobierając krew do trzech kolejnych próbek.

- Dobrze. Przyszły już wyniki?

- Dziś doktor Chu spotka się z panem - oznajmiła Netty. - A potem wróci pan do nas dopiero za dwadzieścia jeden dni.

- Jak to?

- Trzy dni z rzędu, a potem trzy tygodnie przerwy, to rutynowa terapia - wyjaśniła Netty.

- Z pewnością doktor Chu pana uprzedził.

- Nie przypominam sobie.

- Na początku jest dużo szczegółów do zapamiętania - powiedziała Netty, wkładając mu rękaw ciśnieniomierza.

Puls: siedemdziesiąt trzy.

Ciśnienie: sto dwadzieścia pięć na dziewięćdziesiąt.

- Podskoczyły - stwierdził Roy. Netty sprawdziła w karcie.

- Zawsze są wyższe w gabinecie lekarskim.

- Ale wczoraj też byłem w gabinecie.

- Teraz pana zważymy - zapowiedziała Netty.

Roy rozebrał się do bokserek, wszedł na wagę. Netty przesunęła ciężarki.

- Siedemdziesiąt dziewięć kilogramów. - Popatrzyła na skalę. - Czy może już

osiemdziesiąt?

- Osiemdziesiąt - odczytał Roy. - Równo osiemdziesiąt.

Netty wpisała wagę do karty, w rubryce obok wczorajszej - 78,5 kilograma - i przedwczorajszej - 78. Roy czekał na komentarz pielęgniarki, ale się nie doczekał.

* * *

Roy wycisnął ostatnie krople z worka kroplówki i znów usiadł wygodnie. Przyglądał się pulsującej, lśniącej wodzie w fontannie, kiedy wszedł doktor Chu.

- Widzę, że patrzy pan okiem artysty - powiedział.

- Bo ja wiem? - oparł Roy. - Przyszły już wyniki z laboratorium?

- Wyniki?

- Badania krwi pobieranej przez Netty.

Chu otworzył teczkę.

- Są wyniki z dwóch dni - oznajmił.

- I co?

- Mieszczą się w spodziewanej normie.

- Co to znaczy?

- Co znaczy? - powtórzył Chu. - To znaczy, że normy statystyczne nie zostały przekroczone.

- Normy? - spytał Roy.

Pomyślał, że jeśli krew ma w normie, być może wraca do zdrowia.

- Normy w przypadku międzybłoniaka mięsakowatego trzeciego stopnia - wytłumaczył Chu.

- Innymi słowy, terapia działa czy nie? - spytał Roy.

- Dużo za wcześnie, żeby odpowiedzieć na to pytanie - oświadczył Chu. - Usiłujemy dopiero ustalić punkt wyjścia dla pana.

- Ale pod każdym względem czuję się lepiej - pochwalił się Roy. - Kaszel ustąpił, oddech się poprawił.

- To świetnie - pogratulował Chu.

- Przybrałem na wadze.

- To świetnie.

- Proszę sprawdzić w karcie.

Chu spojrzał.

- I to prawie dwa kilogramy! - zawołał. - A przecież gips schnie i kruszy się, więc jest

coraz lżejszy.

Roy zapomniał o gipsie, czyli waży mniej, niż sądził. Już chciał zapytać lekarza o przybliżoną wagę gipsu, ale się powstrzymał.

- Ma pan jeszcze jakieś pytania? - spytał Chu.

- Owszem - powiedział Roy. - Czy mógłbym kontynuować terapię?

- Oczywiście - odparł Chu. - Czekaj pan jeszcze kilka cykli, następny za dwadzieścia jeden dni.

- Myślałem o jutrze - przyznał Roy. - Jeszcze jedną działkę, zanim wyjadę.

- Działkę?

- Koktajlu - wyjaśnił Roy. - Antygenów i angioczegoś.

- Nie ma mowy - rzucił Chu.

- Z pewnością dobrze bym go zniósł - stwierdził Roy i wyprostował się.

- Mam jednak wątpliwości - rzekł Chu. - Ale proszę pomyśleć, co by się stało.

- Co by się stało?

- Runęłaby nam statystyka badania.

Chu głośno parsknął i wyrzucił ręce do góry, imitując wybuch bomby.

- A gdyby sytuacja uległa poprawie właśnie po czwartej dawce? - spytał Roy.

- Nie mam powodu tak przypuszczać - oznajmił Chu.

- Ale gdyby?

Lekarz pokiwał głową, jakby Roy wysunął celny argument.

- Wówczas rozpatrzylibyśmy taką ewentualność podczas kolejnego programu - stwierdził.

W głębi zabulgotała fontanna.

- W takim razie może wypisze mnie pan z tego programu - zaproponował Roy.

- Wypisze?

- Mógłbym wtedy kontynuować terapię sam - dodał Roy.

- Przykro mi - uciął Chu.

Roy nie chciał opuszczać pomieszczenia, bo kierował się dziwnym poczuciem, że nic go nie zabije, dopóki ma podłączoną kroplówkę. Zabrakło mu jednak argumentów.

* * *

Siedział w półciężarówce, z listą pozostałych Thomasów i T. Parishów, a także wszystkich Paulów i P. Habibów w ręku. Ileż trudu wymagało jedno małe sprostowanie. A kiedy znajdzie Instytut Hobbesa i zdobędzie poświadczenie zatrudnienia Delii, co wtedy? Czy

musi wrócić na pole startu do innego dziennikarza, któremu będzie musiał wyznać, że grzebał w komputerach gazety, co na pewno jest wykroczeniem, w dodatku obciążającym Skippy'ego. A wszystko dla kilku słów, których nie zobaczy w druku, choćby żył najdłużej.

Tyle że Delia nie pracowała dla ONZ. Pracowała w Instytucie Hobbesa, można by nawet powiedzieć, że oddała za niego życie.

Wyjął telefon, zadzwonił do pierwszego Thomasa Parisha z pozostałych na liście: Thomas i Carol, 94 Elder Road, Falls Church.

- Szukam Thomasa Parisha, który niegdyś pracował w Instytucie Hobbesa.

- A ja zaczynam tego mieć po dziurki w nosie - powiedział mężczyzna przy telefonie. - I powiem panu to samo co tamtym. Nie słyszałem o żadnym Instytucie Hobbesa. Dotarło? I przestańcie mnie molestować.

- Jakim tamtym? - spytał Roy.

- Najpierw dzwonił jakiś dziennikarz. Potem jakiś facet z ambasady czy Bóg wie skąd.

- Z ambasady?

- Maroka? Mauretanii? Nie zapamiętałem. Ten palant nie chciał mi uwierzyć.

- Że nie jest pan Tomem Parishem, którego szuka?

- No właśnie. W kółko powtarzał, że przypominam go z głosu. Miał gość tupet! A sam nawet się nie przedstawił. Nawiasem mówiąc, pan też nie.

- Proszę wybaczyć - przeprosił Roy. - Nie chciałem pana niepokoić. Odpowie mi pan na jeszcze jedno pytanie?

- Mianowicie?

- Jaki ma pan kolor włosów?

- Żaden - odparł niewłaściwy Tom Parish. - Wyłysiałem w wieku dwudziestu dwóch lat.

- Dziękuję i...

Trzask.

Roy wrócił do listy. Po godzinie wykreślił wszystkich Parishów poza jednym T. Parishem w Annandale, do którego wciąż nie mógł się dodzwonić. Tak samo sprawdził Habibów, eliminując wszystkich Paulów. Zostało mu tylko dwóch P. Habibów. Jego szanse bardzo zmalały. A jeżeli Tom Parish ma zastrzeżony numer albo na przykład mieszka w Delaware? Pora wracać do domu.

Przekręcił kluczyk. I wtedy przypomniało mu się zdjęcie w telefonie komórkowym Richarda Golda. Tom Parish z grzywą siwiejących blond włosów stoi pod parasolem przed Starbucks. Z jednej strony widać witrynę sklepu winiarskiego, a z drugiej stojak z gazetami. Roy miał dobrą pamięć wzrokową, potrafił niezłe przywoływać obrazy. Stojak z gazetami był

zielony z żółtym napisem, taki, w jakich sprzedaje się „Washington Post”. Wyjechał z parkingu i ruszył na południe, w stronę Waszyngtonu.

Rozdział 11

Czy można było podejść do sprawy systematycznie? Zapewne, ale Royowi brakowało systematyczności, zawsze wolał eksperymentować, a poza tym słońce świeciło tak jasno, było tak ciepło, że mógł otworzyć okna. Łagodne powietrze nawet w zimie przypominało mu, jak się tutaj mieszkało z Delią. Zawęził swoje śledztwo do szybkiego spisania kawiarni z sieci Starbucks w dobrych dzielnicach Waszyngtonu i zaczął objazd wszystkich w poszukiwaniu właściwej. Trwało to godzinę, aż wreszcie po drugiej stronie ulicy ukazał się jego oczom pożądany tryptyk. Przewinął się niczym kilka klatek filmu: stojak z gazetami, Starbucks, sklep winiarski. Teraz zobaczył całą witrynę, przeczytał napis na szybie: WINO, Spółka z o.o. Zaparkował.

Gdzie się znajdował? Zobaczył tablicę z nazwą ulicy: Dwudziesta Druga NW, przecnicę albo dwie od Uniwersytetu George'a Washingtona, niedaleko wspólnego pierwszego mieszkania jego i Delii w Foggy Bottom. Wysiadł, przeszedł na drugą stronę ulicy, zobaczył swoje odbicie w szybie sklepu. Nie od razu się rozpoznał. Wyglądał jak swój nieco starszy i trochę szczuplejszy brat. Wszedł do kawiarni.

W środku nie zastał nikogo, kto przypominałby Toma Parisha - dwoje pracowników za ladą, w głębi grupka studentów, elegancko ubrana kobieta przeglądała wystawione płyty CD. Zamówił kawę i największe ciastko z kawałkami czekolady. Ciastko ze względu na kalorie, kawę, żeby znów przypadkiem idiotycznie nie przysnąć.

Wrócił do samochodu i czekał. Z winiarni wyszła kobieta i rozstawiła przed drzwiami sztalugi. Zawiesiła na niej tablicę z reklamą: DZISIAJ DEGUSTACJA OD 17.00. DOSKONAŁE PINOT Z OREGONU I ŚRODKOWEGO WYBRZEŻA. Była wysoka, miała gładką cerę kawa z mlekiem i proste lśniące czarne włosy. Nie spodobało jej się rozstawienie sztalug. Zmieniała je trzy razy, aż zobaczyła, że tablica przekrzywiła się o kilka stopni i też ją poprawiła. Rozejrzała się po ulicy. Nerwowe ruchy nie dodawały jej wdzięku. Przez chwilę zatrzymała wzrok na Royu. Odwróciła się i wróciła do sklepu.

Dwie godziny później Roy, chociaż dawno zjadł ciastko i wypił kawę, w dalszym ciągu czekał. Co za sens tak sterczeć! Wiedział tylko, że mniej więcej z tego miejsca Richard Gold zrobił Tomowi Parishowi zdjęcie. Czy Tom regularnie odwiedza tę kawiarnię? Możliwe, ale też nie można wykluczyć, że rzadko przychodzi. A może czekał na taksówkę albo...

Nagle z lewej strony nadszedł Tom Parish. Miał na sobie ciemny garnitur i krawat w szkocką kratę. Szedł bez pośpiechu. Roy dobrze mu się przyjrzał z profilu - wydatny nos i podbródek, blond włosy nie tylko siwiejące, lecz również rzędzące. Nie miał wątpliwości, że to on. Tom minął stojak z gazetami i kawiarnię, wszedł do sklepu winiarskiego.

Roy wysiadł z samochodu, przeszedł na drugą stronę ulicy. Nagle zabrakło mu tchu. Nie ma powodu się denerwować, powiedział sobie w duchu. Zaraz zakończy całą sprawę. Uspokoił się. A może to nie były nerwy? Ale powietrza mu brakowało. Odetchnął głęboko, a w każdym razie spróbował, i otworzył drzwi do sklepu.

Było to długie, wąskie pomieszczenie z ladą po lewej stronie i rzędami drewnianych beczek z winem po prawej. Za kontuarem stała wysoka kobieta, a z drugiej strony Tom Parish, który z nią rozmawiał. Roy dosłyszał jedynie strzęp rozmowy: „Oczywiście nie na piśmie, Lenore”.

- Śmieszny facet - powiedziała, ale się nie roześmiała.

Z bliska wydała się Royowi starsza, niż sądził. Pewno była jego rówieśniczką. Oboje zauważyli Roya.

Roy spojrział na Toma Parisha. To on, bez dwóch zdań. Teraz tym bardziej uwydatniał się wypisany na twarzy charakter - pewnego siebie światowca z wyższych sfer, absolwenta prestiżowych szkół i snobistycznej Ligi Bluszczowej, podobnie jak jego rodzina od pokoleń.

- Cześć, Tom - przywitał go.

Tom i Lenore, zapewne zdziwieni, szybko wymienili spojrzenia.

- Słucham? - powiedział Tom do Roya.

- Witaj, Tom. - Roy ponowił przywitanie. - Dawno się nie widzieliśmy.

Tom zmarszczył czoło.

- Niestety, pan mnie z kimś myli - rzekł. - Nie mam na imię Tom.

- Thomas - uściślił Roy, podchodząc bliżej. - Thomas Parish. To ja, Roy Valois.

Pustka na twarzy Toma.

- Przykro mi, przyjacielu. Pomyłka.

I ten głos: chłodny, dystyngowany, charakterystyczny, łatwo zapadający w pamięć.

- Oj, przestań - zmytygował go Roy. - Roy Valois, mąż Delii Stern.

Tom rozłożył ręce.

- Niestety, nic mi to nie mówi.

Lenore ze zdumieniem na twarzy wodziła wzrokiem od jednego do drugiego.

- Delia pracowała u ciebie w Instytucie Hobbesa - dodał Roy. - Pływaliśmy razem twoim jachtem *Bellissima*.

Nawet przypomniał sobie nazwę.

- Nie słyszałem o Instytucie Hobbesa - powiedział Tom. Spojrzał na Lenore. Wzruszyła ramionami. - Nigdy też nie byłem właścicielem jachtu, chociaż Bóg mi świadkiem, że chciałbym mieć tyle pieniędzy. A *Bellissima* to piękna nazwa.

Lenore pokiwała głową.

- Zginęła w Wenezueli. Osobiście zawiadomiłeś mnie przez telefon - ciągnął Roy.

- Wygaduje pan androny - rzekł Tom.

- Tom?! - zawołał Roy i postąpił o krok. - Co ty, do cholery, kombinujesz?

- Pan wybaczy - rzekł Tom, cofając się. - Trochę zaczyna mnie to nużyć.

Roy spurpurowiał na twarzy, chociaż nie czuł wstydu ani złości, raczej mętlik w głowie.

- Na miłość boską, przecież wygłosiłeś mowę na jej pogrzebie. To nie jest śmieszne.

- Co do tego zgadzamy się obaj - podchwycił Tom. - Ale powtarzam po raz ostatni: nie mam na imię Tom. A teraz muszę pana przeprosić.

Odwrócił się i ruszył w głąb sklepu do drzwi z napisem: „TYLKO DLA PERSONELU”.

Roy za nim.

- Proszę pana! - zawołała Lenore.

Tom pchnął drzwi i wyszedł.

Roy zaczął biec, ale zaraz oblała go fala gorąca, jakby zapaliła mu się skóra.

- Proszę pana. - Lenore go dogoniła. - Tam nie wolno. To jest wyjście tylko dla personelu.

Roy jednak się nie zatrzymał. Zwykle biegał dość szybko, ale nie dzisiaj. Trudno biec bez tchu, w dodatku kiedy skóra parzy. Zrzucił marynarkę, potem koszulę i tylko śmignął służbowym wyjściem.

Magazyn: na jednej ścianie pojemniki do chłodzenia wina pod sufit, skrzynki z butelkami, plastikowe winorośle oplatające dekoracyjną kratę. Tom sięgnął do gałki drzwi bez napisu na przeciwległej niewykończonej ścianie z surowego drewna.

- Proszę pana.

Lenore chwyciła Roya z tyłu za ramię. Zdumiała go siła jej uścisku, a może niechcący trafiła na szczególnie wrażliwy nerw. Krzyknął z bólu, odtrącił ją.

- Tom!

Tom usłyszał, obejrzał się, pchnął na oścież nieoznaczone drzwi. Royowi tylko mignęło wewnątrz. Pomieszczenie było podzielone na małe boksy, w których siedzieli pracownicy w słuchawkach przed zwisającymi z sufitu monitorami, a na ścianach wisiały ogromne mapy przedstawiające Bałkany, Bliski Wschód, północną Afrykę. Drzwi się zatrzasnęły.

Roy podbiegł, chwycił gałkę, znów poczuł chwyt Lenore, tym razem silniejszy. Ból go rozjuszył. Tom też doprowadzał go do szału, podobnie jak teraz wszystko. Okręcił się, wyprowadził cios pięścią, na co nigdy nie poważyłby się wobec kobiety. Lenore się cofnęła, bez trudu zrobiła unik. Wyjęła z kieszeni telefon komórkowy.

Roy skoczył do drzwi, ujął gałkę. Zamknięte? Jasne! Szarpał, ciągnął, naparł ramieniem, kopnął, ledwo świadom głosu Lenore, która mruzczała coś cicho do telefonu. Wtem, w przyływie furii, poczuł nieznaczące, prawie niezauważalne, łaskotanie w gardle. Odkaslnął, żeby pozbyć się tego odczucia. A potem kaszel wgniółł mu dosłownie klatkę piersiową, jak gdyby Roy dostał taranem. Poczul na języku krew. Spłynęła mu z ust. Najpierw cienką różową strużką pociekła na nagi tors, potem zgęstniała, szczerwieniała, w końcu ściemniała do szkarłatu. Osunął się na podłogę.

Lenore patrzyła z góry, mrużąc oczy wyraźnie zdziwiona. Przy drzwiach wejściowych rozległ się głos kobiety:

- Halo? Czy ktoś mi tu może udzielić informacji na temat znakomitych pinot z... Halo! Co tu się dzieje?

W drzwiach ujrzał dwie kobiety. Jedna trzymała butelkę czerwonego wina. Nie mógł odpowiedzieć, bo odpowiedź wymagałaby powietrza w płucach, a tam go zabrakło.

- Pytam, co tu się dzieje - powtórzyła kobieta trzymająca butelkę.

Roy potrząsnął głową, a w każdym razie miał taki zamiar.

- Ten pan chyba źle się poczul - wyjaśniła Lenore.

- Proszę się odsunąć - powiedziała kobieta z butelką. - Jestem lekarką.

Pieprz się, zaklął Roy. Ale tylko w myślach, bo z jego ust nie dobył się głos. Oczy zamknęły się same. Zasnęła je mgła, bardzo zimna mgła, która ochłodziła jego rozpalone ciało. Poczul ulgę.

- Tak lepiej.

- Czy on coś powiedział? - spytała druga kobieta.

* * *

- Reakcja w granicach normy. - Roy nie od razu rozpoznał głos, choć brzmiał znajomo. Męski, inteligentny. Język nieco sztywny, jak gdyby podręcznikowy. - Teoretycznie sięga trzydziestu procent.

Doktor Chu, pomyślał Roy. Zapragnął otworzyć oczy.

- Reakcja na co? - spytał ktoś obok.

- Na obecną terapię - rozległ się znajomy głos. Szelest papieru. - Proszę, oto opis. Kiedy

stan się ustabilizuje, proszę przysłać go do nas karetką.

- A jeżeli się nie ustabilizuje?

- Bez obaw - zapewnił Chu. - To dość łagodna reakcja.

* * *

Roy usłyszał miły dla ucha bulgot wody. Wyobrażał sobie jej pulsującą, błyszczącą powierzchnię, opadające, pofałdowane szaleństwo podlegające w końcu sile grawitacji. Zrozumiał, że nie złożył jeszcze w swojej twórczości hołdu należnego tej sile. Przeraziło go to przeoczenie. Otworzył oczy.

- Cześć, Roy. - Z góry patrzyła na niego Netty. Znajdował się w pokoju feng shui na wózku albo raczej łóżku na kółkach, a nie na kanapie. - Jak się czujesz?

- Dobrze - odparł.

Podniósł głowę. Trochę niezgrabnie uniósł się do pozycji siedzącej.

- Spokojnie.

Rękę miał oplecioną rurkami.

- Co to jest? - spytał. - Koktajl?

Netty pokręciła głową.

- Płyny równoważące poziom elektrolitów - powiedziała. - Pański organizm zareagował na terapię.

- Czyli muszę ją przerwać?

- Przerwać?

- No, przerwać terapię.

- Ale skąd - zapewniła Netty. - Wciąż jest pan zapisany na dwudziestego czwartego. Takie rzeczy się zdarzają. Doktor Chu zbytnio się nie przejął.

Roy się rozejrzył. W pokoju feng shui nie było okien, dlatego nie sposób było odróżnić dzień od nocy. Netty musiała wyczytać pytanie z jego twarzy.

- Spędził pan noc w szpitalu przy Uniwersytecie George'a Washingtona - wyjaśniła. - Ale pański stan już jest stabilny. Jak tylko poczuje się pan lepiej...

- Jaki jest dzisiaj dzień?

Powiedziała mu.

- Niech pan się nie martwi - rzuciła, wkładając rękawiczki chirurgiczne. - To całkiem normalna reakcja.

Odłączyła kroplówkę.

- Byłem w Waszyngtonie?

Pokiwała głową.

Wspomnienia zakotłowały mu się w głowie, przyniosły dziwne, niezwykle szczegóły jak ze snu.

- Gdzie jest moja półciężarówka?

- Półciężarówka?

Roy wstał. Poczul się wyższy niż zwykle, jak gdyby urósł kilka centymetrów.

- Dobrze się pan czuje?

- Dobrze. Mogę już iść?

- Nie ma pośpiechu - odrzekła. - Kiedy pan będzie gotów.

Był gotów. Pół godziny później siedział w pociągu do Waszyngtonu. Pociąg włókł się niemilosiernie. Roy wciągał głęboko powietrze, żeby sprawdzić oddech. Rezultat go zadowolił. Deszcz zacinał w okna. Świat na dworze ograniczał się do dwóch kolorów - brązu i szarości.

* * *

Półciężarówka stała tam, gdzie ją zostawił. Za wycieraczką tkwiło pięć mokrych mandatów z rozmazanym tuszem, ale nikt jej nie odholował. Późne popołudnie, deszcz się rozpadał, z witryny sklepu winiarskiego bił ciepły blask, w środku kręcili się ludzie. Przed sklepem znów stały sztalugi, tym razem z napisem: SKOSZTUJ WIN ZE SŁONECZNEJ HISZPANII! Roy przeszedł na drugą stronę ulicy, wszedł do środka.

- Dzień dobry - przywitał go mężczyzna stojący przy stoliku pod drzwiami wejściowymi. Miał księżycową, życzliwą twarz, sylwetkę osiłka, może nieco sflaczały brzuch, jak gdyby co najmniej dziesięć lat dzieliło go od gry w uczelnianej drużynie futbolu. Na okrągłym znaczku wpiętym w marynarkę widniał napis: *Jestem Westie. Spytaj mnie o wino.* - Miałby pan ochotę na wino Rioja?

- Rioja? - powtórzył Roy, rozglądając się po sklepie. Znajdowało się w nim dziesięciu, może dwunastu klientów i jeszcze dwóch ekspedientów, jeden przy stoliku w głębi, drugi nabijał coś w kasie. Ani śladu Toma albo Lenore.

- Mam priorat o bardzo przyjemnym bukicie - zaproponował Westie. - Bardziej przyziemny smak od win Rioja, ale również przebija z niego mocny owocowy aromat.

- Chętnie spróbuję - powiedział Roy.

Westie nalał niewielką miarkę do małego plastikowego kubeczka, który ginał w jego potężnej dłoni. I patrzył, jak Roy pociąga łyk.

- Przyjemne - potwierdził Roy.

- Teraz pan rozumie, co miałem na myśli, zachwalając owocowy aromat? - spytał Westie.

- Owszem - zgodził się Roy.

Popił kolejny łyk.

- Co się panu stało w rękę?

- Skutki hokeja.

- Mój ulubiony sport - wyznał Westie.

- Pan gra?

- Grałem w dzieciństwie. Potem przerzuciłem się na futbol. Ale tęsknię za lodem. Brak mi tej prędkości! - Otworzył nową butelkę. - To też jest priorat, lecz stary rocznik - powiedział. Ściszył głos i dodał: - Nie jest dzisiaj do degustacji, ale zdrowie hokeisty.

Nalał trochę do nowego kubeczka i podał Royowi.

Roy skosztował prioratu ze starych winnic.

- Czuje pan te taniny? - spytał Westie.

- Chyba tak - potwierdził Roy.

- Zawsze uważam, że taniny czuje się całym sobą, nie tylko na języku. Też pan tak uważa?

- Trzeba byłoby je zapytać - odparł Roy.

Westie zastanowił się i parsknął śmiechem. Sięgnął po notes.

- Wpisać pana na naszą listę mailingową?

- Może później - powiedział Roy. - Czy zastałem Lenore?

- Lenore?

- Ekspedientkę - wyjaśnił Roy. - A może to kierowniczką.

Westie zrobił zdziwioną minę.

- Tu nie pracuje żadna Lenore.

- Wysoka Murzynka - dodał Roy. - Olśniewająca.

Westie podrapał się po twarzy.

- Może pan pomylił ze Składem Win przy Washington Circle?

Roy przyjrzał się Westiemu - gładka, niepomarszczona twarz, na brodzie skaleczenie od golenia, młodziutki.

- Widocznie - potwierdził. - Dziękuję za wino.

- Bardzo proszę.

Z kubeczkiem prioratu ze starych winnic w ręce przeszedł w głąb winiarni Wino, dołączając do reszty gości. Mężczyzna przy sąsiednim stoliku zakreślił winem i zmierzył je groźnie wzrokiem, jak gdyby próbowało go oszukać. Roy, nie zatrzymując się, minął skrzynię

południowoafrykańskiego sauvignon blanc i skierował do drzwi z napisem: TYLKO DLA PERSONELU.

Rozejrzał się, nikt nie patrzył. Pchnął drzwi. Były to wahadłowe drzwi, zabezpieczone taśmą izolacyjną z jednej strony, bez klamki, idealne do wnoszenia towarów. Naparł na nie trzy dni temu, ale tym razem nie ustąpiły. Naparł całym ciałem. Bez skutku.

- Proszę pana.

Odwrócił się. Westie.

- Pan szuka toalety? Jest tam. - Wskazał drzwi w kącie. - Koedukacyjna - dodał z uśmiechem. - Wystarczy zapukać.

Roy zapukał i wszedł. Znalazł się w zwykłej małej łazience bez żadnego innego wyjścia poza drzwiami, którymi wszedł. Stał, nie wiedząc, co myśleć. Kiedy przejrzał się w lustrze, na twarzy - jakże chudej! - zauważył nową zmarszczkę, płytką pionową bruzdę między oczami. Jakby zobaczył swoją kiepską, wymizerowaną kopię.

Najwyraźniej stracił poczucie czasu. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi i głos Westiego:

- Wszystko w porządku?

Z odbicia w lustrze biła intensywność, jak gdyby pod powierzchnią toczyła się jakaś nader skomplikowana, wymagająca walka.

Kolejne pukanie. Ktoś dobijał się znacznie głośniej.

- Proszę pana!

- Nic mi nie jest - odparł Roy.

Rozdział 12

Roy stanął za grubasem w barze szybkiej obsługi i zamówił to samo co tamten. Sięgnął do kieszeni po pieniądze i poczuł w palcach jedwab. Wyciągnął - jarmułka z pogrzebu Golda. Nie jedwabna, lecz nylonowa. Skrawek taniego materiału z wypukłymi szwami i haftem, jako nakrycie głowy całkiem bezużyteczny. Złożył go w zgrabny trójkąt i wsadził sobie do kieszeni koszuli na piersi.

Za kierownicą zjadł tłusty posiłek. Spalaszował wszystko, hamburgery, frytki i skrzydełka, aż do ostatniego kęsa. Popił dużym koktajlem mlecznym, tym razem truskawkowo-waniliowym, który dokończył jednym haustem, kiedy skręcił z Connecticut Avenue i zaparkował przed domem Jerry'ego. Palilo się u niego światło, a na podjeździe stało jego volvo.

Podszedł do czarnych drzwi ze srebrną kołatką w kształcie słonecznika. Podnosząc ją, z wyglądu i dotyku, choćby po wadze, poznał, że jest ze srebra, ewentualnie z domieszką. Zachwycający przedmiot. Zawahał się. Nigdy przedtem nikomu się nie narzucał. Chyba powinien teraz pojechać do domu, wypocząć, poczytać, poćwiczyć, zająć się pracą - jeśli nie nad *Ciszą*, to nad czymś innym - żeby w jak najlepszej formie przystąpić do następnego etapu terapii. Załomotał piękną kołatką.

Chwilę potem usłyszał kroki na schodach w domu. I głos Jerry'ego.

- Kto tam?

- Roy Valois.

- Czego pan sobie życzy?

- Chciałem porozmawiać.

Jerry otworzył drzwi. Nie wyglądał najlepiej. Miał zaczerwienione oczy, zarost na twarzy, wydał mu się niższy niż poprzednio.

- O czym? O pańskim nekrologu?

- Nie tylko - odparł Roy.

- Dlaczego pan się tak przejmuje?

- Bo chodzi o coś więcej niż nekrolog.

- To znaczy? - spytał Jerry.

- Zajmę panu najwyżej kilka minut - obiecał Roy.

Jerry zamknął oczy, jak gdyby zbierał się w sobie, zrobił krok do tyłu. Roy wszedł. W domu unosił się zapach kwiatów. Stały wszędzie - w wazonach, szklankach, butelkach, nawet w puszcze po piłkach tenisowych - a pod każdym naczyniem leżała podpisana wizytówka. Roy dziwnie się poczuł. Przypomniawszy sobie zalew bukietów po pogrzebie Delii. Tak raziała go ich krzykliwość, że wszystkie wyrzucił do śmieci.

- Prawda, że piękne? - spytał Jerry. - Ludzie wciąż je przysyłają.

Jerry zaprowadził Roya do kuchni. Na stole leżała wielka tablica, a na niej rozłożone kilkadziesiąt zdjęć - Gold z Jerrym, Gold sam, oni obaj z innymi.

- Tworzę kolaż - powiedział Jerry. - Żeby go potem oprawić. - Zaczął przesuwając zdjęcia.
- Niełatwo je dobrze zestawić. - Spojrzał na Roya. - Pan pewnie się na tym zna.

Kolaże nigdy Roya nie interesowały. Nie spodobała mu się aluzja, jeśli to była aluzja, że kojarzą się z jego pracą. Powiedział jednak:

- Mógłbym spróbować.

Usiadł z Jerrym przy kuchennym stole i zaczął układać zdjęcia. Rzeczywiście wymagało to zmysłu artystycznego, którego, mimo włożonego trudu, brakowało Jerry'emu. Roy od razu wpadł na pomysł.

- Niech pan je wytnie owalnie - poradził.

Jerry wziął nożyczki.

- Nie - powiedział Roy. - Ował po skosie.

Jerry wyciął kilka zdjęć w owal po skosie. Roy ułożył je na tablicy.

- Interesujący efekt - zauważył Jerry. - Chociaż pan nawet nie zna tych ludzi.

Roy nie odpowiedział.

Jerry zaczął przyklejać zdjęcia do tablicy. Już nie miał takiej żalostnej miny. Może trochę brakowało mu do radości, ale przynajmniej czymś się zajął.

- Jak śledztwo? - zapytał Roy.

Jerry zastygł na moment z nożyczkami w ręce.

- Dzwonili dziś rano - powiedział. - Sprawa utknęła w martwym punkcie.

Kapnął klej na zdjęcie Golda pozującego przy kaktusie.

- A karty kredytowe?

- Nikt ich nie użył - rzekł Jerry. Położył zdjęcie na tablicy, przycisnął rogi. - Laptop, komputer kieszonkowy BlackBerry się nie znalazły. Odciski palców doprowadziły jedynie do elektryka, który wykonywał tu w zeszłym miesiącu jakieś prace.

- Ale uważają, że to było włamanie? - spytał Roy.

- Oczywiście, skoro tyle rzeczy zginęło - potwierdził Jerry. - A co mogłoby być innego?

Zadrżała mu ręka, w której trzymał za brzeg inne zdjęcie przedstawiające jego z Richardem w słomkowych kapeluszach.

- Nie wiem, ale coś się tutaj dzieje - odparł Roy, biorąc od niego zdjęcie i kładąc na właściwe miejsce.

Jerry odwrócił się do niego.

- W związku z Richardem?

- Tego też nie wiem - rzekł Roy. - Kto prowadzi sprawę?

- Nie jestem pewien - powiedział Jerry. - Rozmawiam tylko z sierżantem Bettisem. Czy mówił, jak ma na imię? Nie przypominam sobie.

- Chciałbym z nim porozmawiać.

- Po co?

Od czego zacząć?

- Chodzi o...

Nagle przeszył go ostry ból, wysoko, z prawej strony piersi.

Jerry nie spuszczał z niego wzroku.

- Co się dzieje?

Ból ustąpił tak, jak się pojawił. Zostało po nim tylko kilka kropli potu na czole, jak gdyby nic się nie stało.

- Już w porządku - stwierdził Roy. Wciągnął głęboko powietrze, aż poczuł się, jak gdyby zawiązano mu niższe partie płuc. - Sprawa dotyczy Toma Parisha, tego ze zdjęcia w telefonie Richarda. Kiedyś był szefem mojej żony. Ale kiedy go znalazłem, nie poznawał mnie i twierdził, że jest kimś innym.

- Nie rozumiem - przyznał Jerry.

Roy spróbował mu to wyjaśnić inaczej. Wymienił Instytut Hobbesa, grecki konsulatu, Wenezuelę.

- Czyli co? - spytał Jerry.

- Podejrzewam, że odpowiedź tkwi w zdjęciu w telefonie Richarda - odparł Roy.

- Odpowiedź? Na co? - spytał Jerry nieco głośniejszym, coraz bardziej zrzędlwym tonem. - Co Instytut Hobbesa może mieć wspólnego z Richardem?

Roy nie wiedział, ale brakowało mu innych tropów.

- Chciałbym sprawdzić, co sądzi na ten temat sierżant Bettis.

Jerry obejrzał kolaż, na jednym ze zdjęć dotknął łodzi na drugim planie.

- Zadzwoń do niego - zaproponował.

* * *

Sierżant Bettis przyjechał za dwadzieścia minut. Dorównywał wzrostem Royowi, tyle że był od niego potężniejszy, nawet porównując z jego sylwetką... przed tym wszystkim. Miał na sobie dzinsy i wiatrówkę, mizerna twarz mogłaby wskazywać na niedospanie. Kiedy usiadł, aż zatrzeszczało pod nim kuchenne krzesło.

Roy opowiedział mu swoją historię podobnie chaotycznie jak Jerry'emu. Sierżant notował w milczeniu, dopóki Roy nie skończył. A właściwie nie skończył, lecz przerwał opowieść.

Bettis przejrzał notatki. Minęła minuta, może więcej. Spojrzał na Roya ciemnymi, bystrymi oczami, bezstronnie.

- Ile pan ma lat? - spytał.

Roy odpowiedział.

- Dlaczego zainteresował się pan swoim nekrologiem?

Tego pytania Roy się nie spodziewał.

- Po rozmowie z kolegą - odparł.

- Tak? - spytał sierżant Bettis. - A o czym?

- O hokeju.

- Na lodzie?

- Tak, ale...

Sierżant Bettis zapisał coś w notesie. Krótka notatka, możliwe że „hokej na lodzie”.

- Słucham dalej.

- Zastanawialiśmy się, czy...

- Tak?

Pewno zabrzmiało to niewiarygodnie.

- Czy bramka, którą nigdy nie strzeliłem, trafi do mojego nekrologu - dokończył Roy.

- Musiała to być ważna bramka - skomentował sierżant Bettis.

- Nie aż tak bardzo.

- W profesjonalnej lidze?

Roy widział, że Jerry wodzi oczami między nimi dwoma, próbując się połapać w niezrozumiałej dla siebie grze.

- Na studiach - odparł Roy.

- Gdzie?

- Na Uniwersytecie Maine.

Bettis zapisał.

- Czy mógłbym poznać nazwisko pańskiego kolegi? - spytał.

- Moim zdaniem to szczegół bez znaczenia - odparł Roy. - Chodzi o... - Poza kilkoma mandatami za przekroczenie prędkości Roy nie miał żadnych doświadczeń z policją. Szukał właściwego urzędowego słowa, ale przez chwilę nie mógł znaleźć. - O rozbieżność w informacji dotyczącej żony...

Sierżant Bettis wpadł mu w słowo.

- Czyli można by rzec, że ciekawość stanowiła motyw? - spytał.

- Motyw? - powtórzył Roy. - Czego?

- Włamania do archiwum „New York Timesa” - wyjaśnił sierżant.

Roy odchylił się na krześle.

- Nie bardzo rozumiem, do czego pan zmierza.

Bettis rozłożył ręce. Jak na tak rosnącego mężczyznę dłonie miał zdumiewająco małe. Royowi przemknęła przez głowę szalona, nienormalna, jak na niego wręcz zaburzona myśl, że jeszcze niedawno, a niewykluczone, że znowu niebawem (błagam, panie doktorze) mógłby pokonać sierżanta Bettisa w walce na pięści.

- Na tym etapie po prostu zbieram fakty - wyjaśnił sierżant. - Jak pan tego dokonał?

- Czego?

- Jak pan się włamał do archiwum gazety.

- Panie sierżancie, chyba pan nie rozumie...

- Studiował pan informatykę na Uniwersytecie Maine?

- Informatykę?

- Programy zabezpieczające, te rzeczy - odpowiedział sierżant Bettis.

- Nie - odparł Roy.

- Czyli ktoś panu pomagał?

- Pomagał?

- We włamaniu na stronę.

- Nie - zaprzeczył Roy. - Nikt mi nie pomagał. Ale...

- Jak pan tego dokonał? - ponowił pytanie sierżant.

Roy podniósł rękę do góry.

- Stop.

- Stop?

- Chyba odbiegamy od tematu - powiedział Roy.

Sierżant się uśmiechnął, jak gdyby uderzyła go zabawna myśl.

- Czym pan się zajmuje? - spytał.

- On jest rzeźbiarzem - wtrącił Jerry.

- Ach tak.

- Sławnym - dodał Jerry.

Roy pokręcił głową.

- Jak by pan zareagował... - Sierżant podniósł wzrok znad notatek - panie Roy, gdybym zaczął pana pouczać, jak formować glinę?

Roy natychmiast przypomniał sobie trzecią klasę, zwłaszcza dzień, w którym pani LeClaire przyłapała go z zapalkami i co nastąpiło potem. Teraz tak samo jak wtedy milczał.

- Nie byłoby to panu w smak, co? - zapytał sierżant. - No więc ja też nie lubię, kiedy ktoś mi mówi, jak mam wykonywać swoją pracę.

- Gdyby takie rady miały poprawić efekt końcowy, chętnie bym ich wysłuchał.

W ten sposób dowiedział, że przynajmniej nauczył się czegoś od trzeciej klasy.

Bettis patrzył na niego. Pokiwał głową.

- Święte słowa.

- Usiłuję tylko powiedzieć, że tu może istnieć powiązanie - rzekł Roy.

- A ja mówię, że to święte słowa - dodał sierżant Bettis. Wrócił do notatek. - Sprawdźmy zdjęcie tego pana w komórce.

Jerry poszedł na górę.

- Vermont - powiedział sierżant Bettis.

- Tak.

- Nigdy tam nie byłem. Bo zimno.

- Możliwe - przyznał Roy.

Jerry wrócił.

- Nie ma go tam.

Obaj zwrócili na niego wzrok.

- Czego nie ma? - spytał sierżant.

- Telefonu Richarda - oznajmił Jerry. - W którym były zdjęcia. Z całą pewnością zostawiłem go na biurku, ale zniknął.

- Sprawdzał pan w szufladzie? - zapytał Roy.

- Oczywiście - potwierdził Jerry. - Wszędzie szukałem.

- Może zaniósł go pan do innego pokoju - podsunął Roy.

- Nigdzie go nie przenosiłem - zapewnił Jerry.

Bettis uniósł brwi.

- Słyszę w tym pewną sugestię.

Jerry spojrział na Roya.

- Ja też - powiedział Roy.

- Ostatnio widziano telefon Richarda w pańskich rękach - przypomniał Jerry.

Nie patrzył Royowi w oczy.

- Zostawiłem go na biurku - oświadczył Roy.

Sierżant natomiast nie zawahał się spojrzeć Royowi w oczy, które teraz nawet rozbłysły trochę, minimalizując zmęczenie na twarzy.

- Chciałbym sam poszukać - rzekł Roy.

- Pan mi nie wierzy? - zdziwił się Jerry.

Sierżant Bettis wstał.

- Rozejrzyjmy się wszyscy - zaproponował.

Poszli na górę - Jerry, Roy, sierżant Bettis. W gabinecie sierżant się rozejrzał. Na przeciwległej ścianie wisiało zdjęcie *Dawida* dłuta Michała Anioła. Czy pańska żona pracowała w tym instytucie? - spytał.

- Tak. Delia.

Sierżant podrapał się w policzek.

- Poszukajmy tego telefonu.

Jerry wskazał biurko. Sierżant podszedł do niego.

- Stąd zginął laptop?

- Tak - potwierdził Jerry.

Sierżant Bettis odsunął przewody. Z biurka sfrunął kłęb kurzu.

- A telefon?

- Jerry wyjął go z górnej szuflady - stwierdził Roy. - Zostawiłem go tutaj.

Wskazał bibułę.

Sierżant Bettis wysunął górną szufladę. Była pusta.

- Gdzie jest terminarz? - spytał Roy.

- Terminarz? - powtórzył sierżant.

- W którym Gold robił notatki do swoich artykułów - wyjaśnił Roy. - Widziałem w nim wydarte kartki na swój temat.

- Pan je widział? - spytał sierżant.

- Ale co?

- Brakujące kartki.

- Nie - odparł Roy. - Niby jak?

- W takim razie skąd pan wie, że wydarte kartki dotyczyły pana - zaciekawił się sierżant

Bettis.

- Bo... - Jak by to ująć? - Wywnioskowałem.

- Aha, wywnioskował pan.

- Nie z samego faktu wyrwania - wyjaśnił Roy. - Lecz z notatek poprzedzających...

- Pokazywał je panu? - Sierżant Bettis zwrócił się do Jerry'ego.

- Co? - spytał Jerry.

- Miejsca wydarcia - wyjaśnił sierżant. - Z tego terminarza czy kalendarza.

- Nie - zaprzeczył Jerry. - O co tu w ogóle chodzi? Nie mam teraz ochoty na takie dociekania.

- Czy wspominał o brakujących stronach? - zapytał sierżant.

- Nie rozumiem - przyznał Jerry.

- Nie! - zawołał Roy podniesionym głosem. - Nie wspomniałem, bo wtedy Jerry przyniósł komórkę. Ale wystarczy odszukać ten cholerny terminarz, a panu pokażę. - Spojrzał na Jerry'ego. - Widocznie gdzieś pan przełożył telefon i terminarz.

- Nie przełożyłem.

- Proszę sobie przypomnieć.

- Próbuję - zapewnił go Jerry. Zamknął oczy i zaraz otworzył. - Nie, to bez sensu. Pamiętam tylko, że miał je pan w ręku.

Roy nachylił się, zajrzał pod biurko.

- Co mi tam, niech pan przeszuka cały dom, jak pan chce - zaproponował Jerry.

Sierżant Bettis ruszył w stronę drzwi.

- Proszę do mnie zadzwonić, jeśli panowie coś znajdą.

- Niech pan zaczeka - poprosił Roy.

Bettis zatrzymał się w drzwiach.

- Jeszcze jedno - dodał Roy. - Kiedy Tom Parish wyszedł, dosłownie przede mną uciekł, zniknął w dziwnym pomieszczeniu na zapleczu winiarni.

- Co to za dziwne pomieszczenie?

Roy opisał boksy, pracowników w słuchawkach, mnóstwo monitorów, wielkie mapy na ścianach.

- Tak? - rzucił sierżant.

* * *

Roy pojechał do sklepu Wino, Spółka z o.o., w nieoznakowanym samochodzie sierżanta Bettisa. Weszli do środka. Zastali tylko Westiego, który podszedł do drzwi.

- Już zamykałem - powiedział. Zauważył Roya. - Witam... I co, zamówił pan w końcu któreś z naszych win Priorat?

Sierżant Bettis błysnął odznaką.

- Zabierzemy panu tylko chwilę.

Westie zrobił duże oczy.

- Zabierzemy? W czym problem?

- Nie dotyczy pana - zapewnił sierżant Bettis. - Chciałbym jedynie zajrzeć do waszego magazynu.

Westie łypnął okiem na Roya.

- Ale po co?

- Bo toczy się śledztwo - wyjaśnił Bettis.

- O kurczę, sam nie wiem! - zawołał Westie. - Chyba powinienem wezwać właściciela.

- Czyli Lenore? - spytał Roy.

- Przecież już panu mówiłem - odparł Westie ze złością. - Tu nie pracuje osoba o tym imieniu.

Sierżant Bettis obrzucił Roya wzrokiem i przeniósł go na Westiego.

- Nie musi pan fatygować właściciela - powiedział, kierując kroki w głąb sklepu.

Westie dreptał za nim, zagryzając wargę. Roy zamykał pochód.

Sierżant Bettis lekko pchnął drzwi dla personelu. Natychmiast gładko się otworzyły. Weszli do magazynu.

W środku zobaczyli piętrzące się pod sufit pojemniki do chłodzenia, skrzynki wina, dekoracyjną kratę oplecioną plastikowymi winoroślami, nieoznaczone drzwi w ścianie z surowego drewna...

Nie. W głębi nie było żadnej ściany z surowego drewna. Magazyn kończył się ceglana ścianą bez drzwi. Mur? Żadnych drzwi? Roy podszedł bez pośpiechu, przejechał ręką po ceglach. Typowa faktura cegieł. Postukał. Czuł dosłownie na plecach fizyczny nacisk spojrzeń Bettisa i Westiego. Uderzył pięścią w ścianę, jak gdyby miała się zawalić, ale nic z tych rzeczy.

- Kiedy to się stało?! - wykrzyknął w stronę ekspedienta.

- Co takiego?

- Kiedy postawiliście tę ścianę?! Jeszcze wczoraj... - Urwał, bo nie mógł sobie przypomnieć, ile czasu przebywał w szpitalu. - Stało tu przepierzenie z surowego drewna. Widziałem na własne oczy. Kiedy wymurowano tę ścianę?

Westie przybrał zdziwioną minę.

- Pracuję w tym sklepie od dwóch lat i zawsze tu była.

- Kłamstwo - powiedział Roy. Walnął w ścianę otwartą dłonią, po czym krzyknął: - Tom!

Wiem, że tam jesteś.

Westie cofnął się, podniósł ręce do góry.

- Co tu się dzieje? - zapytał stropiony, wręcz przerażony.

- Nic - uspokoił go Bettis. Położył rękę na ramieniu Roya. - Już skończyliśmy.

Przepraszamy za kłopot.

Roy strząsnął jego dłoń.

- Jeszcze nie skończyliśmy.

Sierżant Bettis chwycił go za ramię, tym razem mocniej.

- Owszem, skończyliśmy - powtórzył i pociągnął Roya przez drzwi dla personelu. Roy patrzył na ścianę z cegły. Wyglądała solidnie.

Rozdział 13

- Co się panu stało w rękę? - zapytał sierżant Bettis.

Stali na ulicy przed sklepem winiarskim. Światło na wystawie zgasło.

- Podczas gry w hokeja - odparł Roy.

- W dalszym ciągu pan gra?

Pokiwał głową.

- Lubi pan walczyć?

- To znaczy?

- Chyba w hokeju dużo się bijecie.

Sierżant Bettis wyprowadził w powietrze szybką serię ciosów. Royowi wróciła szalona myśl, żeby powalczyć z sierżantem na pięści w dogodnym dla niego czasie. Zaraz jednak wywietrzała mu z głowy.

- Może w telewizji - przyznał. - Bo w naszej lidze nawet nie dopuszczamy kontaktu cielesnego.

- A poza lodowiskiem? - spytał sierżant. - Nie bijecie się czasem na pięści, nie szarpiecie?

- Co to za pytanie? - obruszył się Roy.

- Usiłuję sobie tylko wyobrazić - powiedział sierżant. Westie wyszedł ze sklepu i zapiął palto. Rzucił na nich okiem i czmychnął w stronę Washington Circle. - Partner denata... Jerry?... twierdzi, że pan jest sławnym rzeźbiarzem.

Nieco dalej w jakimś samochodzie zapaliły się światła stopu. Srebrny sportowy wóz, bodajże porsche, zjechał na prawy pas, zatrzymał się na światłach. Westie wszedł. Samochód odjechał.

- Powiedziałem - przypomniał sierżant Bettis - że Jerry określa pana jako sławnego rzeźbiarza.

Roy odwrócił się do niego.

- Trochę przesadza - odrzekł. - Ale co z tego wynika?

- Wiadomo, że sławni ludzie przejmują się własną reputacją - wyjaśnił sierżant.

- Do czego pan zmierza? - spytał Roy.

- Nekrolog świadczy o reputacji, prawda? - zapytał sierżant. - Nic dziwnego, że chciał pan do niego zajrzeć.

- Już mówiłem - powiedział Roy. - Chodziło mi o tę głupią bramkę.

- Wiem, co pan zeznał - stwierdził sierżant. - Przypuścimy, że znana osoba z dowolnego powodu włamie się na odpowiednią stronę, żeby tam zajrzeć, i jej się nie spodoba, może nawet poczuje się trochę urażona, że przedstawiono ją w takim świetle. Może się wkurzy na autora nekrologu.

Milczenie. Sierżant Bettis spojrział bezstronnym wzrokiem - ciemnymi, bystrymi oczami - w oczy Royowi. Ten się roześmiał.

- Sugeruje pan, że zabiłem Richarda Golda?

Bettis nie podchwycił żartu.

- Chce mi pan coś jeszcze powiedzieć?

- Owszem - rzekł Roy. - Przede wszystkim przypominam, że byłem u siebie w domu w Vermontcie, kiedy go zaatakowano. Niewykluczone, że, jak wspomniałem, rozmawiałem z nim wtedy przez telefon.

Sierżant pokiwał głową.

- Miałem taki przypadek - stwierdził. - Pewien dziany facet, chociaż nie z branży sztuki, tak właśnie rozegrał sprawę. Zadzwoił do ofiary tuż przed wybuchem bomby samochodowej. Dokonał napadu, a jednocześnie zapewnił sobie alibi.

Roy wziął głęboki oddech, a właściwie spróbował... bo znów się okazało, że dolne partie płuc ma ściśnięte, niedostępne.

- Miałbym komuś zapłacić? - spytał Roy.

Chwytał powietrze, sapał przy tym, jakby był winowajcą.

Sierżant zwrócił się do niego łagodniejszym, niemal serdecznym tonem.

- Jeżeli pan to zrobił, na pewno dojdziemy do porozumienia. Ale musi pan teraz zacząć mówić prawdę.

- Marnuje pan swój czas - oświadczył Roy. Spróbował złapać oddech, co nie do końca mu się udało. - Mój zresztą też.

Z oczu sierżanta znikła bezstronność.

- Możliwe - powiedział. - Zdarzają mi się pomyłki. - Otworzył drzwi nieoznakowanego samochodu. - Kto by nie popełnił błędu w ciągu dwudziestu dwóch lat służby? - Wsiadł do auta, spojrzął na Roya przez dach. - Jedno się przez ten czas zmieniło. W tym kraju człowiek się już nie ukryje, już nie.

Wsiadł i powoli odjechał.

Roy ruszył w stronę Starbucks. Kawiarnię dzielił wąski zaułek od sklepu winiarskiego. Roy zapuścił się w głąb zaułka, minął kubły na śmieci i ramę rowerową bez kół przykutą

łańcuchem do rynny na tyłach sklepu Wino, Spółka z o.o.

Za budynkami biegł kolejny, tyle że szerszy, zaułek. Mimo wieczornych ciemności Roy widział dosyć wyraźnie w światłach miasta. Znajdowały się tam dwa miejsca parkingowe zarezerwowane dla Wino, Spółka z o.o. I tablica na solidnej ścianie z cegły: ZAREZERWOWANE DLA PERSONELU WINO, SPÓŁKA Z O.O. INNE POJAZDY BĘDĄ ODHOLOWANE. Solidna cegła. Próbował opanować pokusę, żeby przebiec ręką po ścianie, ale się nie powstrzymał.

Wrócił do wąskiego zaułka. Ściana boczna? Też z cegły. Ale wysoko, prawie w rogu, gdzie stykały się obie ściany, zobaczył kwadratową kratkę wentylacyjną z ukośnymi listewkami.

Jeden kubeł na śmieci był pusty, nie licząc kilku centymetrów wody chlupiącej na dnie. Roy przechylił go, żeby wylać zawartość - wodę cuchnącą zdechłą rybą - i postawił do góry dnem pod wentylatorem. Nigdy przedtem nie wchodził na kubeł na śmieci, ale przecież to żaden problem, biorąc pod uwagę jego poczucie równowagi, siłę, zwinność. Udało mu się jednak dopiero za trzecim razem, a wtedy kubeł zakołysał się, omal go nie nakrył.

Roy stał na kubie i sapał. *Człowieku, weź się w garść.* Wspiął się na palce, zajrzał przez listewki wentylatora. Ciemności z drugiej strony, choć niepełne, bo bił jakiś blask... tylko od czego? To błyszczały pojemniki do chłodzenia wina piętrzące się do sufitu. Zobaczył jeszcze skrzynki wina, kratę z plastikowymi winoroślami, zakurzone butelki na stole, obok lśniący korkociąg. Miał więc przed sobą magazyn za drzwiami dla personelu, a nie drugie pomieszczenie z pracownikami w boksach, monitorami i ściennymi mapami, pomieszczenie, w którym Tom Parish zniknął mu z oczu. A za magazynem jedynie zaułek z dwoma miejscami parkingowymi. Zamknął oczy, otworzył, widok się nie zmienił. Czyli to nie była halucynacja. A więc, na zdrowy rozum, tamto biuro, ośrodek dyspozycyjny, mapiarnia czy co to, do cholery, było, stanowiło tylko jego halucynację? Niemożliwe. Przypomniała mu się odpowiedź Delii, kiedy zapytał ją o pracę - że ma mieszane uczucia. Jak brzmiał dokładny cytat? Kiedy go wypowiedziała? Nie mógł sobie przypomnieć, ale odnosił dziwne wrażenie, że Delia już szła tym tropem, a nawet posunęła się dalej. Istny obłęd - bo Delia nie lubiła tropów ani szlaków wędrownych, w górach najczęściej zadowalała ją kilka zjazdów na nartach - ale ta myśl trochę go uspokoiła. Zimą lubiła siedzieć w stodole przy kominku i patrzeć, jak pada śnieg. *W oczach migotały jej wtedy płomienie, rozbłyskiwały złote plamki.* Jej wspomnienie uspokoiło go jeszcze bardziej. Zszedł z kubła.

Wrócił taksówką pod dom Jerry'ego. W oknie na piętrze paliło się jedno światło. Wsiadł do swojej półciężarówki i ruszył w długą drogę do domu. Na tylnym siedzeniu za nim leżało

połamane krzesło. Z czasem kawałki krzesła zaczęły przykuwać jego uwagę, nie dawały mu spokoju, układały się w jego głowie w pewną konfigurację. Przy zjeździe z autostrady Garden State Parkway wypatrzył Home Depot, w którym kupił półkilogramowy pojemnik kleju do drewna Elmera i jeszcze na parkingu sklecił krzesło, zadbawszy, żeby wszystkie spojenia wypadły w niewłaściwych miejscach. Ciąg różniących się nieznacznie od siebie omyłek, które składały się... no właśnie, na co? Nie wiedział.

Przyjrzał mu się bacznie przechodzień z nowym przepychaczem toaletowym. Zaczepił go.

- Panie kolego, identyczne krzesło dostanie pan tu w sklepie za trzydzieści pięć dolarów dziewięćdziesiąt dziewięć centów.

* * *

Deszcz w Hartfordzie, deszcz ze śniegiem na granicy z Massachusetts, śnieg w Vermoncie, najpierw ciężkie, mokre płatki, a potem drobna kasza zacinająca w żółtym stożku świateł. Roy minął jeden rozbity samochód, potem drugi i trzeci, które wskazywały na groźne wypadki. Ludzie codziennie giną na drogach, przechodzą od normalnego życia przez koszmar w nicość. *Kraksy w zwolnionym tempie* - tak kierowca Krishny podsumował *Delię*. Prawdziwe kraksy na drodze rozgrywają się błyskawicznie, zatem akt drugi, czyli koszmar, zwykle trwa zaledwie kilka sekund w przeciwieństwie do wlokących się drugich aktów, kiedy ludzie umierają na przewlekłe choroby. Chorzy, którzy umierają w zwolnionym tempie, mają, cholera, za dużo czasu do myślenia. Za mało czasu do życia, a dużo za dużo do myślenia. I dlatego? Roy przemknął obok pługu śnieżnego, spojrzął na prędkościomierz - sto trzydzieści pięć. Pytanie, czy mu się uda? Zdjął nogę z gazu.

Podjechał pod stodołę. Zerwał się wiatr, zawodził teraz piskliwie w drzewach. Podjazd był nieodśnieżony, nie stał na nim stary sedan Skippy'ego. Roy utknął w pół drogi i już piechotą przebrnął przez śnieg do domu. Światło paliło się tylko w głównym pomieszczeniu. Przez wysokie okno widział *Delię*.

Otworzył drzwi kluczem, wszedł do środka. Usłyszał muzykę, dudnienie, powtarzające się basy tak lubiane przez raperów.

- Skippy?

Cisza.

Postawił torbę. Na pierwszy rzut oka wszystko było na swoim miejscu.

- Skippy?

Obszedł dom, sprawdził pokój gościnny na górze. Na materacu nie było pościeli, tylko

koc i porozrzucone ubrania, a obok grające radio. Żadnych butów. Wyłączył radio. Zostawił światło na ganku i położył się do łóżka.

Nareszcie do własnego. Odetchnął głęboko, prawie jak dawniej. Powieki zaciążyły mu niczym z ołowiu, zupełnie jakby ostatnio przybrały na wadze, tymczasem on z takim trudem walczył o każdy gram ciała... i zamknęły się. Od wielu godzin nie miał nic w ustach. Wiedział, że powinien zejść do kuchni i zrobić sobie coś do jedzenia. Ale nie czuł głodu, a poza tym nie mógł się zmusić do otwarcia oczu. Na dworze coraz przenikliwiej jęczał wiatr. Śnieg dudnił o szyby, cicho i szybko, jak gdyby ktoś bębnił palcami.

* * *

- Tu będzie sypialnia - oznajmiła Delia.
- Nie za mała?
- Będziemy musieli wyburzyć tę ścianę.
- My?
- I trzeba powiększyć to okno. Wychodzi na wschód, prawda?
- Tak.
- Rano będzie wpadało słońce. A łóżko stanie tutaj.
- Może powinniśmy wstawić po jednym łóżku do każdego pokoju - zaproponował Roy.

Delia wszędzie szukała idealnego łóżka. Zwiedzała sklepy z antykami od Eastern Townships po Berkshires, ale nic jej nie odpowiadało. Kiedy wyjechała do Wenezueli, w dalszym ciągu spali na materacu. I Roy wciąż na nim spał.

* * *

Słońce z rana. Roy otworzył oczy. Czuł się dobrze. Wstał, podszedł do okna. Jak okiem sięgnąć, śnieg pokrył dolinę czystą bielą. Wyglądała teraz jak chmury widziane z góry. Przypomniały mu się ulubione komiksy rozgrywające się w niebie.

Zadzwoił telefon.

- Roy? Tu Freddy Boudreau. Jadąc do pracy, zobaczyłem twój samochód na podjeździe. Jak podróż?

- Dobrze.
- A jak ręka?
- Goi się.

- Mam świetną wiadomość. Bez ciebie złapali nas na spalonym na niebieskiej linii, musisz wracać jak najszybciej na lód - powiedział Freddy. - Ale dzwonię dlatego, że ten

chłopak, który pilnował twojego domu...

- Skippy?

- Pewno dumaleś, gdzie się podział. Wiedz, że wczoraj go zamknąłem.

- Chyba nie prowadził znów na gazie?

- Nie - odparł Freddy. - Chociaż lepiej by na tym wyszedł.

- Jak to?

- Siedzi za nielegalne posiadanie broni - powiedział Freddy.

- Nie wierzę.

- To smith & wesson, trzydziestkaósemka - dodał Freddy. - Zgrabny rewolwer z krótką lufą. Nawiasem mówiąc, zatarto numer seryjny, a to kolejne przestępstwo. Kaucję wyznaczono na dziesięć kawałków.

- O Boże! - zawołał Roy. - Czy jego matka....

- Już wie.

- A Murph?

- Murph ze złomowiska?

- To jego wuj.

- Nie kontaktował się.

Roy się ubrał, wyszedł. Na wszystkim, łącznie z półciężarówką, leżały miękkie białe czapy. Z kołka przy drzwiach zdjął szufłę. Lubił odgarniać śnieg, bujać się całym ciałem rytmicznie, słyszeć pisk szufli przy wchodzeniu w śnieg, patrzeć na bryły, które na chwilę zastygały w powietrzu. Czasem ludzie odśnieżali niechlujnie, odwalając tylko tyle białego puchu, żeby wyjechać, ale nie Roy. Zawsze odśnieżał cały teren, uklepywał równo śnieg na ziemi, wyrównywał hałdy u podstaw, dbał o kąty proste. Dziś jednak szufłował byle jak, lecz nawet ten pożałowania godny wysiłek zwałił go z nóg. Zlany zimnym potem oparł się o półciężarówkę i dyszał, z trudem łapiąc powietrze. Długa podróż, skutki uboczne koktajli doktora Chu, może nawet wolny dzień... mało to powodów? Zatrąbił na niego przejeżdżający samochód. Roy się wyprostował, uśmiechnął i pomachał, choć nie wiedział komu.

* * *

- Cześć, Roy - przywitał go Freddy zza biurka w komisariacie. - Fajnie, że jesteś. Wszystko w porządku?

- W porządku. Mogę zapłacić czekiem?

- Od ciebie przyjmę - odparł Freddy. - Nie będziemy go realizować. A jeżeli podpiszesz teraz poręczenie, wystarczy, że wpłacisz dziesięć procent.

Roy złożył podpis, wypisał czek na tysiąc dolarów. Freddy zamknął oba dokumenty w szufladzie i wręczył mu pokwitowanie.

- Zatrzymano go podczas rutynowej kontroli? - spytał Roy.

- Sam go zatrzymałem - powiedział Freddy. - Dzieciak miał gnata w schowku, na wierzchu. Zgodził się na przeszukanie bez szemrania. - Freddy otworzył kolejną szufladę, wyjął broń. - Dowód rzeczowy, idealny do noszenia w ukryciu. - Trzymał w ręce czarny rewolwer z zadartym nosem i wypolerowaną drewnianą kolbą. - Moim zdaniem to damski rewolwer. Zobacz, jaki lekki.

Roy nigdy nie trzymał w ręku broni.

- Nie, dziękuję - odparł.

- Widzisz, gdzie zdrapano numery? - wskazał Freddy. - Nawet nie wyszlifowano pilnikiem. Za dużo zachodu.

Odłożył rewolwer, wstał, otworzył niskie wahadłowe drzwi i poprowadził Roya za biurko, korytarzem do cel. Świeciły pustkami poza ostatnią, w której na pryczy leżał twarzą do ściany Skippy.

- Wstawaj, śpiochu! - zawołał Freddy. Skippy jęknął. - Pan Valois wyciąga cię za kaucją. Kolejny raz.

Skippy przewrócił się na drugi bok, usiadł, przetaił twarz. Popatrzył spomiędzy palców na Roya, odwrócił wzrok.

- Rusz się! - zakomenderował Freddy. - Czekasz na Oscara?

Chłopak wstał. Miał świeże krosty na obu policzkach, zaropiałe oczy, tłuste czoło. Freddy przesadnie szarmanckim gestem otworzył na oścież drzwi do celi. Skippy ze spuszczoną głową, z rękami w kieszeniach, poczłapał na korytarz.

Wyszli na parking, otworzyli drzwi półciężarówki. Krzesło kuchenne Jerry'ego leżało na miejscu pasażera.

- Przełożę na tył - powiedział Roy.

Ale Skippy go powstrzymał.

- Nie, przecież...

I sam usiadł z tyłu na śniegu, w cienkiej kurtce, podartych džinsach, rozsznurowanych adidasach.

* * *

Roy zaparzył kawy. Siedzieli przy kuchennym blacie. Skippy machał prawą nogą. Roy nie miał dzieci, nie wiedział, od czego zacząć. Cisnęły mu się na usta banały. Chłopak patrzył

tępo w blat.

- Napij się kawy - poradził Roy.

Skippy pociągnął łyk.

- Myślałem, że słodzisz. - Roy przysunął cukiernicę. Chłopak posłodził trzy łyżeczki, pomieszał, pociągnął kolejny łyk, tym razem dłuższy. Miał brud za paznokciami. - Jazda na gazie to całkiem inne wykroczenie.

Skippy'emu podskoczyła noga.

- Zgadzasz się? - Chłopak milczał. - Bo jeżeli nie, to wytłumacz.

- Nieważne - burknął. Włosy opadały mu na oczy. - Co ja tam powiem.

- Spróbuj.

- Po co? I tak mi nie uwierzysz.

- W co? - spytał Roy.

- W historię z rewolwerem - wyjaśnił Skippy. - Nie wiedziałem, że tam jest.

Roy usiłował sobie wyobrazić, jak wygląda człowiek mniej wiarygodny.

- A sądziłeś, że gdzie jest? - spytał.

- I widzisz? - podchwycił Skippy. Noga podskakiwała mu coraz szybciej. - Nie wierzysz mi.

Próbował wypić kawę, ale ręka tak mu się trzęsła, że wylał sobie na brodę.

- Chcesz mi wmówić, że nie wiedziałeś o rewolwerze w twoim schowku? - zapytał Roy.

- Chybabym się tak nie zachował - rzucił Skippy, ocierając sobie brodę rękawem.

- To znaczy jak?

- Nie pozwoliłbym temu głupiemu gliniarzowi przeszukiwać schowka - powiedział Skippy. - Chyba tak by mi nie odbiło?

- Może na chwilę opuścił cię zdrowy rozsądek - rzekł Roy.

- Jak to?

- Na przykład, gdybyś wprowadził coś do organizmu.

Chłopak bezradnie pokręcił głową.

- Twierdzisz, że niczego nie zażywałeś - ciągnął Roy. - Ani narkotyków, ani alkoholu.

- Dopiero co się obudziłem - powiedział Skippy. - Dochodziła jedenasta rano. Usłyszałem pukanie.

- Jakie pukanie?

- Do drzwi.

- Do tych drzwi?

- Tak - potwierdził Skippy. - Spałem w gościnnym, bo pilnowałem domu, tak jak kazałeś.

- I kto przyszedł?

- Agentka ubezpieczeniowa.

- Jaka agentka?

- Twierdziła, że musi tu coś pomierzyć, bo należy się jakaś bonifikata.

- Co pomierzyć?

- Nie mam pojęcia - wyznał Skippy. - Kazałem jej przyjść, jak wrócisz.

- I nie weszła?

- Na twojej liście nie było nic o żadnych ubezpieczeniach - wyjaśnił Skippy, spoglądając na kartkę, która leżała na blacie. - Wyglądała jak nie z tego świata. Ubrałem się, pojechałem do Dunkin Donuts. Zatrzymali mnie, kiedy wracałem.

- Za światła stopu - powiedział Roy.

- Ale skąd! - zaprzeczył Skippy. - Poprzedniego dnia skoczyłem do warsztatu i naprawiłem.

- Czyli zatrzymał cię bez powodu? - spytał Roy.

- W naszym mieście to jest na porządku dziennym, panie...

- Freddy tak zatrzymuje?

- Kto to jest Freddy?

- Policjant, który cię zatrzymał.

- Jeden z najgorszych - przyznał Skippy.

Wzrok mu się ożywił, wydał się teraz Royowi znacznie wiarygodniejszy.

- Spytał, czy może przeszukać wóz? - zaciekał się Roy.

- Tak.

- Mogłeś się przecież nie zgodzić.

- Ale nie miałem nic na sumieniu, co właśnie próbuję ci powiedzieć - rzekł Skippy. - Pomyślałem, że jak chce tracić czas, to proszę bardzo.

- I wtedy otworzył schowek.

- Nie mogłem uwierzyć. Sądziłem, że ktoś mi zrobił dowcip. - Spojrzał Royowi prosto w oczy. - Nie znoszą takich dowcipów.

- Ja też - stwierdził Roy.

- I wie pan... wiesz, Roy? Nigdy nie bawiłem się bronią i nie mam zamiaru. Bo gdyby stało się coś złego? Człowiek załatwiłby się na zawsze.

- W takim razie czyj to był rewolwer? - spytał Roy.

- Nie mam pojęcia.

- A skąd się tam znalazł?

Skippy wzruszył ramionami. Noga przestała mu podrygiwać, wstał.

Rozdział 14

- Turk?
 - Cześć, Roy. Wróciłeś? Jak ci poszło?
 - Dobrze. - Zamyślił się. - Bardzo dobrze.
 - Tak?
 - Doktor Chu jest geniuszem.
 - Co zrobił?
 - Dał mi do wypicia koktajl.
 - Jak smakował?
 - Oj, Turk, przecież to nie jest prawdziwy koktajl. Podają go przez kroplówkę.
 - Rozumiem.
 - Dzwonię w sprawie Skippy'ego.
 - Skippy'ego?
 - Siostrzeńca Murpha. Pilnował mi domu.
- Roy opowiedział Turkowi o chłopaku.
- Dużo jest broni w naszej dolinie - podsumował Turk.
 - Naprawdę?
 - To dobrze uzbrojony zakątek kraju.
 - Nie wierzę.
 - Cały ty. Bujasz w obłokach.
 - Nie gadaj bzdur!
- Milczenie.
- Wybacz, chodzi mi o to, że...
 - Chciałbym, żebyś wziął tę sprawę - poprosił Roy.
 - Jaką sprawę?
 - O nielegalne posiadanie broni czy jak ją tam zwał.
 - Oszalałeś? - zdziwił się Turk. - Przecież to prosta sprawa.
 - Podziwiam twojego ducha walki.
- Znów milczenie.
- Widocznie mszczą się na chłopaku - rzekł Roy. - Chociaż naprawił światła stopu, i tak

go zatrzymali.

- Miał rewolwer w schowku.

- Może.

- Jak to „może”? - spytał Turk.

- Pogadasz z nim?

- Nie rozumiem, gdzie tu jest miejsce na „może”.

- O to jedno cię proszę - powiedział Roy. - Na mój koszt.

- Nie chodzi o to, kto płaci - wyjaśnił Turk. - Ale szkoda pieniędzy. Codziennie słyszę takie bujdy. Zawsze wciskają tę samą...

- Zgadzasz się?

Westchnienie.

- Przyślij mi tu tego palanta.

* * *

Skippy poszedł na spotkanie z Turkiem. Pod jego nieobecność Roy przyniósł z samochodu krzesło, ustawił w kącie głównego pomieszczenia, w którym światło padało pod dwoma różnymi kątami. Oświetliło wszystkie posklejane części, bo Roy użył tak dużo kleju, że ociekał we wszystkich spojeniach, aż znikł pierwotny kształt krzesła. Przyszedł mu do głowy pomysł na tytuł: *Sekcja zwłok*. Chwilę patrzył zadowolony z siebie, po czym pomyślał: *Stary, musisz zacząć pracować szybciej.*

Cisza. Jak wyglądały postępy? *Cisza* jeszcze nie powstała, istniał jedynie mglisty zarys w jego głowie i długi srebrny stożek leżący na podłodze dużego pomieszczenia, z dala od rzeźby, jak gdyby niezwiązany. Roy znalazł szkicownik na blacie kuchennym, przyłożył miękki ołówek do pustej strony. I natychmiast przypomniał sobie, że kiedy ostatni raz próbował narysować *Ciszę*, wyszła mu fasada Instytutu Hobbesa. Rysunek powinien być w szkicowniku, ale pierwsza strona pozostała czysta. Czyżby zabrał go ze sobą w podróż? Nie.

Miał jednak pewne wątpliwości. Rzucił w kąt nierozpakowaną torbę podróżną. Rysunku nie było. Podniósł szkicownik do światła, przekrzywił, dostrzegł słabe pionowe ślady po rysunku kolumn na pierwszej stronie.

* * *

- W przyszłym tygodniu jadę na rozmowę kwalifikacyjną - oznajmiła Delia.

- Jaką rozmowę?

- Do ośrodka badawczego. - Przekartkowała terminarz. - Nazywa się Instytut Hobbesa.

Słyszałeś kiedyś o nim?

Roy pokręcił głową.

- Sądziłem, że lubisz swoją pracę.

- Owszem - przyznała. - Ale zgłosił się do mnie pewien człowiek, niezwykle inteligentny.

Nazywa się Tom Parish. Chyba robią coś ciekawego.

- To znaczy?

- Coś podobnego do mojej pracy - powiedziała Delia. - Tyle że mającego większe zastosowanie w praktyce.

- Nie zaszkodzi posłuchać, co proponują.

* * *

Roy siedział na taborecie w zalonym światłem kącie, kiedy wrócił Skippy.

- I jak ci poszło?

Chłopak podszedł. Ręce miał czerwone z zimna.

- Chyba dobrze.

- Co powiedział?

- Niewiele. Prosił, żebyś do niego zadzwonił.

- Ale co powiedział o twojej sprawie? - spytał Roy.

- Że mógłbym trafić do więzienia.

- Nie dopuszczę do tego - rzekł Roy.

Skippy nie ruszał się z miejsca. Nie sprzeczał się, nie negował, ale też ani przez chwilę nie wierzył Royowi. Najwyraźniej stracił ducha walki.

Roy wziął do ręki szkicownik.

- Tu był rysunek fasady pewnego budynku - powiedział. - Widziałeś go?

- Podejrzewasz, że ukradłem? - zapytał Skippy bez wzburzenia w głosie. Był opanowany, zdystansowany, przybity.

- Ale skąd! - odparł Roy. - Zresztą nie był nic wart. Po prostu pytam, czy go widziałeś.

Skippy pokręcił głową.

- Mogę już iść?

- Dokąd?

- Na górę. Chyba że mam się wynosić.

- Skippy, co się z tobą dzieje? - spytał Roy.

- To znaczy?

Roy pamiętał siebie z podobnego, cieleącego wieku, chociaż mgliście. Czy ktokolwiek

kiedykolwiek tak go wdeptał w ziemię? Zawsze miał hokej... i matkę.

- W domu, w szkole, z kolegami.

- Nic - odparł Skippy. - Mogę iść na górę?

Roy skinął głową. Chłopak wyszedł z pokoju i powlókł się po schodach. Kiedy padł na łóżko w pokoju gościnnym, rozległ się przytłumiony łoskot. Poza wieloma różnicami, zapewne też utajonymi, była jedna zasadnicza - mieli inne matki.

* * *

- Turk? I co?

- To, co zwykle - odparł Turk.

- Powiedziałeś mu, że idzie do więzienia?

- Nie ma sensu mydlić ludziom oczu. Dawno się nauczyłem mówić prawdę klientom.

- Ale to jeszcze dzieciak.

- Na szczęście - powiedział Turk. - To znaczy, że czeka go poprawczak w Colchester i wyjdzie góra za trzy lata.

- Nie mógłbyś go jakoś z tego wyciągnąć? - spytał Roy.

- Musiałby pójść na współpracę - zastrzegł się Turk.

- Czyli?

- Przyznać się, od kogo dostał broń - wyjaśnił. - A chłopak zdecydowanie odmawia. No to nie ma rozmowy.

- Dlaczego odmawia?

- Pytasz, jaki podaje powód, czy o prawdziwy powód?

- Jaki podaje.

- Twierdzi, że nie wie, jak rewolwer znalazł się w aucie - oznajmił Turk.

- A jeżeli to prawda?

- To nie jest prawda - rzekł Turk. - Zasięgnąłem języka u Freddy'ego. Dzieciak uwikłał się w wojnę gangów.

- Jaką wojnę?

- Najwyraźniej w dolinie działają dwa gangi narkotykowe, które handlują kradzioną bronią - wyjaśnił Turk. - Chłopak musiał kupić spluwę od jednego gangu. No to drugi go zakablował.

- Nie pojmuję - powiedział Roy.

- Żeby stało się dokładnie to, co się stało - wyjaśnił Turk.

- Wciąż nie rozumiem.

- W komisariacie dostali anonimowy telefon. Dlatego chłopaka zatrzymali.

- Anonimowy telefon?

- Pięć minut przed zgarnięciem - dodał Turk. - Urządzili zasadzkę w nadziei, że w obronie własnej dzieciak wyda źródło. Wykorzystali gliny instrumentalnie, żeby załatwić konkurencję. Cwane posunięcie.

- Skoro telefon był anonimowy - stwierdził Roy - skąd Freddy ma pewność?

- Bo nie wiem, czy wiesz, że jest niegłupim gliną - odparł Turk. - A przy tym twardym. Na lodzie wcale taki nie był.

- Tylko nie bardzo rozumiem dlaczego...

- Freddy wcale nie chce uwalić dzieciaka. Wystarczy, że puści farbę, natychmiast się ze wszystkiego wygrzebie.

Roy poszedł na górę. Skippy leżał w pokoju gościnnym na łóżku. Na widok Roya usiadł.

- Mam się stąd zerwać? - spytał.

- Nie - zaprzeczył Roy. - Chcę ustalić fakty.

- Wszystko ci już powiedziałem.

- Czyli nie znasz żadnego nazwiska?

- Sądysz, że gdybym znał, tobym nie wydał człowieka? - zapytał Skippy.

- Mógłbyś go nie wydać - przyznał Roy.

Nagle poczuł zmęczenie w nogach, jak gdyby cały dzień wędrował na raketach śnieżnych. Oparł się o biurko. Skippy położył się, wbił wzrok w sufit.

- Przepraszam, że nie zdążyłem odśnieżyć - powiedział.

- Trudno odśnieżać z celi - odparł Roy.

Skippy lekko się wzdrygnął. Gdyby Roy bacznie go nie obserwował, mógłby to przeoczyć. Jego reakcja świadczyła wyraźnie o jednym - chyba po raz pierwszy uderzyła go wizja przyszłości.

- Ich wersję znamy - podjął Roy. - A jak brzmi twoja?

- Moja? Tej historii z bronią?

Roy pokiwał głową.

Skippy popatrzył mu prosto w oczy.

- Ktoś podrzucił rewolwer do schowka. Nie ma innej możliwości.

- Na przykład kto?

Chłopak wzruszył ramionami.

- Masz wrogów? - spytał Roy.

- Wrogów?

- Kogoś, z kim się wdałeś w bójkę albo komu byłeś winien forszę.

- Kilka miesięcy temu naparzałem się z Billym Cordero.

- Tak?

- Ale spuścił mi łomot - wyznał Skippy i zamilkł na dłużej. A potem dodał: - Czyli to nie ten wątek.

Roy się roześmiał. Skippy też po chwili parsknął śmiechem.

- Gdybym to ja mu spuścił łomot, mielibyśmy w garści mocny atut.

Zaczęli śmiać się do rozpuku, jakby właśnie zdarzyło się coś zabawnego.

- Roy? - wtrącił Skippy. - Znów ci leci krew z nosa.

* * *

Wyszli na dwór. Skippy pokazał Royowi, gdzie zaparkował samochód. Przed wjazdem do garażu.

- Zamknąłeś?

Skippy pokręcił głową.

- Kupiłem go z wyłamanyymi zamkami.

Wsiedli do półciężarówki, podjechali do Dunkin Donuts, a potem zawrócili do miejsca, w którym Freddy zatrzymał Skippy'ego, zaraz za salonem piękności Dee Dee.

- Szkoda, że ta agentka ubezpieczeniowa nie przyszła wcześniej - powiedział Skippy.

- Dlaczego?

- Bo zadzwoniła pięć minut przed moim zatrzymaniem, co nie? - wyjaśnił Skippy. - Gdyby obudziła mnie dziesięć minut wcześniej, wróciłbym z pączkiem bez problemu do domu.

- Niekoniecznie - powiedział Roy, zwracając uwagę na sformułowanie „bez problemu do domu”.

- Dlaczego niekoniecznie?

Ale Roy już nie słuchał, bo przeglądał numery w telefonie. Doszedł do swojego ubezpieczyciela.

- Dzień dobry, panie Valois - przywitał go agent. - Czym mogę służyć?

- O co chodzi z tą bonifikatą? - spytał.

- Z jaką bonifikatą?

- Która wymaga dodatkowych pomiarów - wytłumaczył Roy. - Była tu niedawno jakaś kobieta.

- Pierwsze słyszę. Proszę chwileczkę poczekać. Sprawdzę. - Minęło dziesięć, może

dwadzieścia sekund. Agent wrócił do telefonu. - Nic takiego się nie dzieje. Pan ją wpuścił?

- Nie.

- Chwała Bogu - ucieszył się agent. - Tyle szumowin się ostatnio kręci. Ostrożność nigdy nie zawadzi.

Roy odłożył słuchawkę, zwrócił się do Skippy'ego.

- Jak ta agentka wyglądała?

- Powiniennem był ją wpuścić?

Roy tracił cierpliwość, ledwo się hamował.

- Pytam tylko, jak wyglądała.

Skippy zagryzł wargę.

- Po pierwsze, była czarna.

- Czarna?

- Nie taka czarna jak węgiel, trochę jaśniejsza... powiedzmy jak Portorykańczycy.

- Portorykanka?

- E, nie - zaprzeczył Skippy. - Tylko miała podobny kolor skóry. Ale mówiła jak pan.

- Jak to?

- Jak ludzie z górnej półki - wyjaśnił Skippy. - Wykształceni. Była wysoka, miała proste lśniące włosy.

- Coś ty powiedział?! - spytał Roy podniesionym głosem.

- Że była wysoka i miała proste lśniące włosy.

Roy usiłował zapanować nad wzburzeniem.

- Narysowałbyś jej twarz?

Żeby zyskać pewność, musi zobaczyć ją na rysunku.

- Narysować? - Skippy był zmieszany, niemal wstrząśnięty. - Ale ja nie umiem.

- Spróbuj - poprosił Roy.

- Jak to? - zdziwił się Skippy. - Uważasz, że ona mogła mieć coś wspólnego z...

* * *

Wrócili do stodoły. Roy dał Skippy'emu szkicownik i miękki ołówek. Chłopak skulony nad kartką wysunął lekko język, postawił kilka chwiejnych kresek. Mówił prawdę, zupełnie nie umiał rysować. W końcu jednak coś mu wyszło, co Roy przyjął bez zdziwienia. Na tyle udatnie odwzorował wysokie czoło i smukłą, ładną szyję, że nie musiał się już nawet wysilać przy lśniących prostych włosach. Rysunek bez cienia wątpliwości przedstawiał Lenore, kobietę o żelaznym uścisku.

Lenore? W Ethan Valley? Usiłowała dostać się do jego domu? Nie tylko usiłowała, lecz się dostała, nawet jeśli musiała przy okazji zrobić szesnastolatka. Po co posunęła się do takiej podłości?

Roy sprawdził szybko cały dom od parteru po strych. Nie znalazł żadnych oznak przeszukania. Niczego nie brakowało poza niedokończonym szkicem Instytutu Hobbesa. Zminiaturyzowana wersja prawdziwej sytuacji, pomyślał Roy, bo instytut również zniknął.

- Roy, dobrze się czujesz?

Rozdział 15

- Załatw mu najlepszą obronę, jaką się da - zażądał Roy.

- Chodzi ci o zarzut posiadania broni przez chłopaka? - spytał Turk.

Siedzieli w jego kancelarii z widokiem na park. Na zaśnieżony czubek *Neandertalczyka numer dziewiętnaście* sfrunął kruk.

- On tego nie zrobił - stwierdził Roy.

- Ktoś mu podłożył rewolwer?

- Tak.

- Jeden z gangów? - spytał Turk. - I nie wiadomo, dlaczego obrał za cel tego dzieciaka?

Trochę kosztowna taktyka, bo poświęcił rewolwer wart sześć stów.

- To nie był gang - wyjaśnił Roy.

- Nie? - zdziwił się Turk. - W takim razie kto?

Roy wyjął rysunek Skippy'ego, podał Turkowi.

- Ta kobieta.

Turk włożył okulary do czytania.

- Portorykanka? - zapytał.

- Nie jest Portorykanką - rzekł Roy. - Ma na imię Lenore. Udaje ekspedientkę albo kierowniczkę sklepu winiarskiego w Waszyngtonie.

- Nie rozumiem - wyznał Turk. - Jaki ma związek z tym chłopakiem?

- Żadnego - powiedział Roy. - Chciała go unieszkodliwić na czas, kiedy będzie buszować w domu.

- W twoim domu?

Roy skinął głową.

- Złodziejka dzieł sztuki?

- W każdym razie złodziejka - potwierdził Roy. - Ale nie tylko.

- Co zabrała?

- Szkic.

- Twój?

- Tak.

- Na ile oszacowałbyś z grubsza jego wartość? - spytał Turk, sięgając po długopis.

- Materialnie nie ma żadnej wartości - odparł Roy. - Można by rzec, że stanowi coś w rodzaju dowodu.

- Na co?

- Cała sprawa dotyczy Delii - wyjaśnił Roy.

Turk rzucił okiem na rysunek Skippy'ego.

- Czy ta kobieta знаła Delię, kiedy mieszkaliście w Waszyngtonie?

- Nie - odparł Roy, ale zaraz pomyślał, że wcale nie jest pewien. Chyba była rówieśniczką Delii. - Chodzi o Instytut Hobbesa.

- Co to za instytut?

- Miejsce pracy Delii.

- Coś podobnego! - zawołał Turk. - A ja zawsze sądziłem, że pracuje na państwowej posiadzie.

- Tak?

- Dziwi cię to? - spytał Turk. - Na pewno rząd zatrudnia tysiące ekonomistów.

- Nie powiedziałem, że mnie dziwi.

- Ale zrobiłeś zdziwioną minę.

- Bo rzeczywiście mnie zaskoczyłeś - przyznał Roy.

- Czym?

- Że nigdy nie rozmawiała z tobą o pracy.

- Rozmawiała - stwierdził Turk. - Wyjawiała mi kiedyś, że jej nienawidzi.

Roy pokręcił głową.

- Widocznie żartowała. Delia była bardzo oddana swojej pracy.

- Może - powiedział Turk. - Ale wyraźnie pamiętam jedną sytuację. Kiedy zasypał nas śnieg w schronisku.

- Podczas zimowego karnawału?

- Tak - potwierdził Turk.

Roy pamiętał ten karnawał, jeden z ostatnich w Ethan Valley - radni zlecieli ekspertyzę, aby się dowiedzieć, czy karnawał opłaca się miastu, ale wkrótce kazali przerwać badanie. Roy z Delią, Turk ze swoją ówczesną żoną wraz z kilkoma innymi osobami wybrali się na raketach śnieżnych na drugą stronę góry, ale złapała ich śnieżycą. To było przed kampanią sieci kurortów narciarskich Ski America, zanim utworzono szlak na tylne zbocze. Prowadziła tam tylko jedna stroma, kręta ścieżka, zapewne przetarta jeszcze przez Indian, łącząca się ze Szlakiem Appalachów, a na przełęczy stało schronisko. Rozpalili piecyk na drewno, wszyscy dzielili się jedzeniem, którego mieli zadziwiająco dużo, znalazł się nawet bukłak z winem.

- Wyszliśmy po drewno złożone za schroniskiem - ciągnął Turk. - Kłody były nieporąbane, dlatego Delia zabrała się do rąbania, a ja trzymałem latarnię.

- Delia rąbała? - spytał Roy.

- Najpierw oczywiście ja chciałem rąbać - odparł Turk - ale zabrała mi siekiere.

- Delia w życiu nie trzymała siekiery w rękach.

- W takim razie świetnie sobie radziła jak na nowicjuszkę - oświadczył Turk z błyskiem w oku. - I wyraźnie pamiętam, że chwaliłem ją przed tobą.

- Kiedy?

- Któregoś wieczoru na lodowisku, między tercjami.

- Nie przypominam sobie.

- Nie?

Z pewnością bym zapamiętał.

- Widocznie uznałem, że żartujesz - rzekł Roy.

- Niewykluczone - stwierdził Turk. - Zmierzam do tego, że hula wiatr, zacina śnieg, kulimy się oboje za chatą w zacisznym zakątku, a ona nagle odwraca się do mnie i mówi: „Mogłabym tak żyć wiecznie”. Chodziło jej o prymitywne życie w leśnej chacie, z wodą ze strumienia.

- Wcale mi to do niej nie pasuje - zauważył Roy.

- Przytaczam jej słowa. Zrobiły na mnie wrażenie - ciągnął Turk. - Powiedziałem jej, że szybko by się znudziła, zatęskniłaby za pracą. Wtedy wyznała, że jej nienawidzi. Zapytałem dlaczego, ale odpowiedziała od rzeczy.

- A dokładnie? - spytał Roy.

Turk się skrzywił.

- „Kiedy człowiek pozna wszystko od podszewki, szybko przestaje go to bawić”, coś w tym rodzaju.

- Ale co pozna?

- Właśnie nie rozumiałem - przyznał Turk. - Światem rządzi ekonomia. Przynajmniej w teorii, prawda?

- Nie zawsze - odparł Roy, bo pomyślał o eskapadzie ananasowej, jak ją nazwał Paul Habib. Wymagała praktycznego podejścia. - Ale pasuje mi to do obrazka.

- Mianowicie?

- Do pracy Delii - wyjaśnił Roy. - Instytut Hobbesa jakby się zapadł pod ziemię.

- Jak to?

Roy opowiedział mu całą historię. O pomyłce w nekrologu, o Richardzie Goldzie i jego

telefonie komórkowym, greckim konsulacie, Tomie Parishu, sklepie Wino, Spółka z o.o., Lenore, sierżancie Bettisie.

Kiedy skończył, Turk milczał dobre dwadzieścia sekund. Za oknem rozpostarł skrzydła kruk, który przycupnął na *Neandertalczyku numer dziewiętnaście*. Nie odfrunął, lecz siedział bez ruchu.

- Twierdzisz, że śmierć tego dziennikarza ma z tym jakiś związek? - zapytał Turk.

- Do tej pory nie wyrażałem głośno takiego przypuszczenia - wyznał Roy.

Nagle usłyszał własny, wyraźnie napięty głos. Czyżby zabrzmiał w nim strach?

- Śmiała koncepcja - orzekł Turk. Spojrzał na rysunek Skippy'ego. - Ten chłopak to narysował?

- Tak.

- A to na pewno jest tamta kobieta ze sklepu winiarskiego?

- Lenore. - Roy wrócił do normalnego tonu. - Musi być.

Turk przez chwilę wpatrywał się w rysunek.

- Załatwmy na początek jedno - zaproponował. - Wyjaśnijmy sprawę Instytutu Hobbesa. -

Odwrócił się do komputera. - Jak się to pisze?

Roy przeliterował.

- Co ty wyprawiasz? - spytał.

- Słyszałeś kiedyś o wyszukiwarce Google?

- Jestem tumanem komputerowym - rzekł Roy.

Kruk złożył skrzydła.

Turk postukał w klawiaturę. Miał grube palce, wykoślawione wskutek licznych złamań, ale pisał szybko i sprawnie.

- Jesteś pewien pisowni?

- Najzupełniej.

- Dziwne - powiedział Turk.

- Co? - spytał Roy.

- Nie ma żadnych wzmianek.

- To znaczy?

Turk nie odpowiedział, poklikał znów chwilę.

- Spróbuję inaczej - zdecydował. - Czasem... Patrzył na ekran, kręcił głową, wpisał coś jeszcze.

- I co? - spytał Roy.

- Też nic. - Odwrócił się do Roya. - Ten twój Instytut Hobbesa nie istnieje w sieci.

- Czyli?

Turk się uśmiechnął.

- Dużo surfujesz po sieci?

- W ogóle nie surfuję.

- Nigdy?

- Chodzi ci o szukanie informacji?

- Tak, o surfowanie w Internecie.

Roy pokręcił głową.

- Czegoś nie rozumiesz - stwierdził Turk. - Spróbujmy. Na przykład Roy Valois. - Klik, klik. - Widzisz?

Roy spojrział na ekran.

- Dwanaście tysięcy czterysta dwadzieścia wyników - oznajmił Turk. - Pewno wyświetlają się też inni ludzie o tym samym imieniu i nazwisku, ale i tak nieźle. Po prostu usiłuję ci powiedzieć, że wszyscy i wszystko trafia do Internetu.

- Spróbuj znaleźć Delię - poprosił Roy.

Turk pochylił się nad klawiaturą.

- Delia Stern - powiedział. - A inicjał drugiego imienia?

- Nie używała.

Klik, klik.

Roy się podniósł, stanął za Turkiem i zaczął czytać ponad jego ramieniem.

- Jedna wzmianka - rzucił Turk. Kliknął na link.

- Sądziłbym, że będzie więcej - rzekł Roy.

Na ekranie ukazała się długa lista nazwisk w porządku alfabetycznym. U dołu widniała Delia Stern podkreślona na czerwono.

- Co to? - spytał Roy.

Turk przewinął do góry, pokazał nagłówek. Byli pracownicy, sekcja gospodarcza UNESCO.

- UNESCO? - spytał Roy. - Czy to ONZ?

Turk pokiwał głową.

- Organizacja do spraw oświaty i czegoś jeszcze.

- ONZ?! - wykrzyknął mimo woli Roy. Przeczytał nagłówek jeszcze raz. A potem trzeci, czwarty i piąty. - Przecież to nieprawda.

Niemal bezwiednie odepchnął Turka, przejął myszkę, przewinął ekran w dół.

Delia Stern.

- Dlaczego jej nazwisko jest podkreślone?
- Tak zaznacza wyszukiwarka.
- A dlaczego na czerwono? - zapytał.
- Wybór twórcy programu - wyjaśnił Turk, wstając. Dotknął pleców kolegi. - Roy?
- Tak?

Roy przewinął do góry, żeby jeszcze raz zobaczyć nagłówek.

- Chodźmy na spacer.
- Nawet nie lubiła ONZ. Napisała artykuł na ten temat.

Roy kliknął na strzałkę Wstecz, wrócił do pierwotnego linku.

Jeszcze raz wszedł na stronę, znów ukazała się lista UNESCO, identyczna z poprzednią. Zaczął przewijać z góry na dół, z dołu do góry...

- Roy?

* * *

Wyszli na spacer po parku. Po zawiei wszędzie piętrzyły się puchate białe zasy śnieżne przypominające jednodniowe bezy.

- Masz swojego faworyta? - spytał Turk.
- Faworyta?
- Wśród *Neandertalczyków*.

Roy spojrzał na Numer Dziewiętnaście, kruk odleciał.

- Nie - powiedział.
- Traktuję go jak starego przyjaciela - wyznał Turk. - Ma takie barczyste ramiona, a przy tym...

Urwał, podniósł wzrok na Numer Dziewiętnaście. Roy spojrzał na niego ze zdziwieniem - czy Turk kiedykolwiek rozmawiał z nim o jego twórczości, pominąwszy kwestię wystaw i honorariów?

- A przy tym - ciągnął Turk - odwraca się, jak gdyby coś usłyszał, może coś niepokojącego nawet dla takiego olbrzyma jak on. - Turk dostrzegł minę Roya, opacznie ją zrozumiał. - Może to kwestia szyn, z pewnością nie jestem krytykiem sztuki - dodał z zawstyżeniem. - Wiele osób ma podobne wrażenie, czuje z nim więź. Ten posąg strzeże niejako miasta.

- Nie wiedziałem - rzekł Roy.

Ich oczy się spotkały. Słońce, które już świeciło ostro, dodatkowo wzmocnione przez odbicie od śniegu, oświetliło siatkę drobnych zmarszczek na twarzy Turka. Roy wcześniej ich

nie dostrzegają. Wyobraził sobie Turka na starość jako poczciwego staruszka z pyzată twarzą, który niczego nie żałuje. Po chwili tknęła go myśl - *nie dożyję tego widoku*.

- Teraz mi głupio - wyznał Turk - jakbym to ja ponosił winę.

- Ale za co? - spytał Roy.

- Za tę historię z nekrologiem - wyjaśnił. - Gdybym nie otworzył jadaczki, teraz nie miałbyś tych wszystkich kłopotów.

- Nie szalej - zauważył Roy. - Nie jestem strusiem i nie wymagam ochrony.

- Wiem - powiedział Turk. - Ale powinieneś teraz dbać o siebie, a nie tracić nerwy... tracić energię na idiotyzmy. Tym bardziej że to drobne nieporozumienie nie jest funta kłaków warte.

- Drobne nieporozumienie? - spytał Roy. Nagle zabrakło mu tchu, z ledwością zadał następne pytanie. - Byłbyś łaskaw powiedzieć, co się tu, według ciebie, dzieje?

Z braku powietrza głos miał teraz piskliwy i skrzypiący, jakim będzie mówił albo mógłby mówić za czterdzieści lat.

- Zastanów się - poprosił Turk. - Ktoś popełnił błąd, coś źle zapisał, a ty wszystko teraz rozdmuchujesz. Pamięć bywa zawodna. Czy to aż takie ważne?

- Pamięć bywa zawodna? - powtórzył Roy. - Co to niby ma znaczyć?

- Chodzi o sytuację sprzed lat - przypomniał Turk.

- Delia pracowała w Instytucie Hobbesa, nie w ONZ - stwierdził Roy. - Ten instytut istniał. Byłem w środku. Znajdowała się tam fontanna.

- Może należał do ONZ - podsunął Turk.

- Był ośrodkiem badawczym.

- Może finansowała go ONZ?

- Nie.

- W takim razie kto go finansował?

Czy Roy kiedykolwiek to wiedział?

- Prywatni fundatorzy - odparł, ale pewności nie miał.

- Na przykład? - spytał Turk.

- Pytasz o konkretne osoby?

- Tak. Prywatni fundatorzy to konkretni ludzie.

- Nie mam pojęcia - wyznał Roy.

Nigdy nie zastanawiał się nad finansami. Po raz pierwszy dotarło do niego, że konkretni ludzie musieli wyłożyć pieniądze.

Turk się uśmiechnął, jak gdyby myślał podobnie.

- Jesteś artystą.

Roy się nie uśmiechnął.

- Dlatego miałbym się nie angażować? Tak brzmi twoja rada?

- Chcę powiedzieć, że nie ma się chyba w co angażować - wyjaśnił Turk. - Jeżeli doktor Chu się sprawdzi, jeśli jego terapia zda egzamin, będziesz miał mnóstwo czasu na swoje śledztwo. Ale na razie zajmij się sobą. Radzę ci to jako twój adwokat i przyjaciel. - Spojrzał na rękę Roya. - A skoro mowa o bramce dla Stringów, musimy cię znów ściągnąć na lód. Jak twoja ręka?

- Dobrze. - Przez cały czas utrzymywał się tępy ból. Roy wciąż ważył w myślach swoje szanse. Jeżeli koktajl zadziała, ma przed sobą lata życia. Gdzie tu słaby punkt? - A co ze Skippym?

- Dostanie najlepszą obronę - zapewnił go Turk. - Masz to u mnie gratis.

- Na czym będzie polegała linia obrony?

- Nie ma powodu, żeby nie wykorzystać tego pomysłu z włamaniem, fałszywą agentką ubezpieczeniową, wyciągnięciem chłopaka z domu - stwierdził Turk. - Tylko zatuszujemy... wszystkie niejasności.

Czyli nie było miejsca na słabe punkty.

* * *

Roy wrócił do domu. Skippy krzątał się w dużym pomieszczeniu, zamiatał podłogę. Słońce wpadało przez okna, oświetlało wzbijany przez niego kurz. Drobinny wirowały wokół *Delii*, która wyglądała w ich roju, jak gdyby obracała się z wolna po orbicie. *Kiedy człowiek pozna wszystko od podszewki, szybko przestaje go to bawić.* Czy kiedykolwiek Delia powiedziała mu coś takiego? Roy miał dziwne uczucie, że sam też jest w ruchu. Pomyślał o ciemnej stronie księżyca.

Rozdział 16

Leżeli w schronisku. Delia i Roy zajmowali jedną z górnych pryczy. W powietrzu unosił się zatęchły, ciężki, nieco dziwny zapach, może od tego tłoku, bo było ich ośmioro albo dziewięcioro, a wszyscy spali blisko siebie na tak małej przestrzeni. Roy wsunął rękę pod włosy Delii, drugą położył na jej piersi.

- Żadnych szaleństw, kolego - szepnęła mu do ucha.

Ale nakłoniła go, żeby zostawił rękę. Chociaż nie wykonała żadnego gestu, nie powiedziała słowa. Czyli jak? Nie musiała nic mówić. Roy wiedział.

Burza zawodziła w drzewach na wysoką nutę. Ogień trzaskał w kominku. Wokół słychać było oddechy, a to lekkie, a to dyszące, jak gdyby schronisko miało płuca. Roy spał smacznie jak nigdy, dosłownie jak niemowlę, zatopiony w mlecznym śnie bez marzeń sennych.

Rano wciąż jeszcze padało, choć już słabiej. Wszyscy obudzili się w radosnych nastrojach, ale odrobinę stropieni. Włożyli narty lub rakiety śnieżne i niewiele mówiąc, wyszli. Roy i Delia opuścili schronisko ostatni. Delia potoczyła wzrokiem po dolinie, cały świat aż po horyzont pokrył się bielą. Śnieg zaokrąglił wszystko - cedry, świerki, szałas. Wzięła Roya za rękę, mocno ścisnęła.

- Spotkajmy się tutaj - poprosiła. - Gdyby cokolwiek się stało, spotkaj się ze mną tutaj.

- Na przykład co? - zapytał.

- Coś złego.

- Nic złego się nie...

- Gdybyśmy się rozdzielili, gdybyś mnie nie mógł znaleźć.

- Co ty wygadujesz?

- Roy, ja mówię poważnie - powiedziała. Z wszechobecnej bieli przebijały jej ciemne oczy, skupione teraz na nim. - Spotkajmy się tutaj.

* * *

Obudził się. Ranek w pokoju, chociaż światło straciło już swoją świeżość. Za kwadrans dziesiąta? *Na razie zajmij się sobą.* Ale nie chciał przesypiać dnia, wołał codziennie cieszyć się światłem o świcie, jeśli tak wolno rzec, nietkniętym. Wstał, poszedł do kuchni. Na gazie perkotała kawa, obok leżała kartka.

Cześć, Roy. Wezwał mnie pan McKenny. Wróć później.

I dzwonił jakiś Krishna.

Roy otworzył lodówkę, niewiele w niej znalazł. Czy był głodny? Nie. Ale wyszedł. Wsiadł do półciężarówki i pojechał do sklepu spożywczego Russo.

- Mam dziś ładny befsztyk z polędwicy - przywitał go Dickie Russo, sam w sklepie.

- Wezmę dwa.

- Jak tam ręka?

Dickie grał w Mieczech D, był chyba najpotężniejszym zawodnikiem w lidze. Na lodzie ujawniała się jego agresja; gdyby nacierał ciałem, mógłby napędzić nie lada strachu.

- Goi się - powiedział Roy.

- Omal wczoraj nie zdobyłem bramki - pochwalił się Dickie.

- Tak dobrze szło ci szlajanie się po barach? - spytał Roy.

- Bardzo śmieszne.

Dickie nigdy nie wbijał krążka do bramki, potężny facet, który słabo strzelał. Zapakował befsztyki w pergamin. Roy obszedł sklep, załadował wózek tuczącymi artykułami.

- Polecam pomidory. Naprawdę smakuja jak pomidory - zachęcił go Dickie.

Roy zapakował je do torby. Przeszedł do jabłek, wziął pół tuzina mekintoszy, dotarł do ananasów. Z boku miały okrągłe nalepki z uśmiechniętym słońcem i palmą. A na opasce napis: Produkt z Wenezueli. Roy stanął jak wryty. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że przedsięwzięcie Delii odniosło sukces.

- Sprowadzasz ananasy z Wenezueli? - zapytał.

- O tej porze roku są równie słodkie jak nasze z Hawajów, a znacznie tańsze - wyjaśnił Dickie.

- Kiedy zacząłeś?

- Co kiedy zacząłem?

- Kupować ananasy z Wenezueli.

Dickie wzruszył ramionami.

- Odkąd pamiętam.

- Od dziesięciu lat? - spytał Roy, próbując obliczyć, jak długo może trwać założenie plantacji i jej rozwój.

- Oj, dłużej - powiedział Dickie. - Sprowadzaliśmy je, jeszcze kiedy tata prowadził sklep, a ja pracowałem tylko w weekendy.

- Jak dawno temu to było?

- Cholera, nie pamiętam - stwierdził Dickie. - Dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat temu, może więcej. Wenezuela jest i zawsze była dużym producentem ananasów. Spróbuj jednego na koszt firmy.

* * *

Ponieważ Skippy jeszcze nie wrócił, Roy sam zjadł w kuchni z pudełka podwójne lody czekoladowe z kawałkami czekolady. Rozpływały się na języku, ale smak miały dziwny, miedziany. Wmusił w siebie dziesięć łyżek, jakby to było lekarstwo. Wokół cisza jak makiem zasiał, tylko odgłos jedzenia. Czas zwolnił tempo, co nie było takie złe. *Na razie zajmij się sobą.* Na zdrowy rozum trudno z tym dyskutować. Dlaczego zatem czuł się tak nieswojo? Bo zajmowanie się sobą oznaczało samolubność i bierność, jakby... Właśnie, jakby był kaleką. Owszem, przyplątała mu się choroba, ale nie był kaleką.

To po pierwsze. Po wtóre, problem Delii nie zniknął. Wręcz się rozrastał, bo teraz zahaczył o uprawę ananasów, z powodu której Delia pojechała do Wenezueli. Roy odstawił pudełko lodów do zamrażalnika i przeszedł do dużego pomieszczenia. Zadarł głowę, spojrzął na śmigła helikoptera w *Delii*. Wróciły myśli, które nie nachodziły go od lat, myśli o tym, jak Delia z twarzą w oknie spada korkociągiem na ziemię, a zielona dżungla błyskawicznie się zbliża.

Fakt - zawiadomił go telefonicznie Tom Parish. Nic tego nie mogło zmienić.

Fakt - Tom Parish również przyjechał karawanem, którym przywieziono trumnę z Waszyngtonu na stary cmentarz przy kościele kongregacjonalistów.

Fakt - Roy znał Delię jak nikt inny.

Fakt - gitarzysta nad grobem zagrał „For All We Know”.

Zszedł do magazynu w piwnicy, gdzie jeszcze po śmierci Delii przez kilka lat trzymał jej rzeczy - ubrania, dokumenty, stopy butów - aż wreszcie zmusił się, żeby wszystko wyrzucić. Rzeczy nadające się do użycia przekazał Armii Zbawienia. Papiery - referaty ze studiów, sprawozdania z pracy, dokumenty finansowe - spalił w kominku w prywatnej ceremonii, którą sobie narzucił. Były wśród nich zielone dowody wypłat. Pamiętał, jak brązowiały na brzegach i zwijały się w płomieniach. Nie pamiętał natomiast, bo chyba nigdy nie zauważył, nadruku w rubryce płatnika. Musiał tam jednak widnieć Instytut Hobbesa. Gdyby zachował choć jeden, miałby teraz dowód dla sierżanta Bettisa. I czy dowody wpłat miały numer banku albo inne dane identyfikacyjne? *Idź śladem pieniędzy*, jak brzmi powiedzenie w wielu kryminałach. A co właśnie usłyszał od Turka? *Za prywatnymi środkami stoją konkretni ludzie.*

* * *

Przy ścianach piwnicznego magazynu z obu stron stały prymitywne regały. Na półkach jednego leżały stare graty. Regały z drugiej strony świeciły pustkami. A może chociaż jeden dowód wypłaty wypadł z pudełka i gdzieś tu się zawieruszył?

Pod sufitem wpadało światło z okienka przy ziemi. Roy na czworakach sprawdził zakurzoną betonową posadzkę. Zajrzał pod dolną półkę, ale zobaczył tam tylko kłęby kurzu, przejechał ręką w nadziei, że wymaca jakiś zmięty papier. Na próżno.

Kucnął, już chciał wstać. Przez chwilę nie mógł się dźwignąć, jak gdyby nagle uszła z niego cała energia. I wtedy zauważył ślad buta w kurzu. Nie jego, bo przyszedł tu bosy, zresztą był to wyraźnie odcisk damskiego buta, a właściwie dwa oddzielne ślady, mały kwadratowy obcasa i większy, owalny, dużego palca u nogi. Musiała tu myszkować Lenore.

- Niech to szlag! - zaklął na głos.

Myśl o jej wtargnięciu i jego bezradności doprowadzała go do szału. Zerwał się targany większym gniewem niż kiedykolwiek, skierowanym na Lenore za to, że wrobiła Skippy'ego i obszukała dom, może nawet znalazła i ukradła dowód, dzięki któremu sierżant Bettis oraz cały świat uwierzyliby w jego, Roya, wersję. A on tymczasem wylegiwał się w szpitalnym łóżku.

I co teraz? Znów usłyszał głos Delii, ale efekt nie był tak kojący jak w pokoju feng shui.

- Przydałaby mi się twoja pomoc - rzekł.

Usłyszał chrzęst śniegu na dworze. Spojrzał do góry w okno pod sufitem. Ktoś przeszedł. Roy zobaczył jedynie, że ten ktoś ma na sobie czarne futro z norek.

* * *

- Mam dobrą wiadomość - przywitał Krishna Roya, gdy ten otworzył mu drzwi. Limuzyna stała z włączonym silnikiem na podjeździe, w zimnym powietrzu buchały spaliny.

- Ojej, co ci się stało w rękę?

- Od hokeja - wyjaśnił.

- Nie mów, że wciąż grasz od hokeja.

- Mówi się „grać w hokeja” - poprawił go Roy.

- Co cię dziś ugryzło? - Krishna przyjrzał mu się bacznie. - Dobrze się czujesz?

- Dobrze - potwierdził Roy.

- Czy ty ostatnio trochę nie schudłeś?

- Nieznacznie - powiedział Roy. - Ćwiczę przed powrotem na lód.

Krishna pokiwał głową.

- Wszystko się razem składa - zauważył.

- Co takiego?

- Tężyzna fizyczna - wyjaśnił Krishna - dobrze wpływa na twoją twórczość.

Roy się zamyślił.

- Zimno na dworze. Nie zaprosisz mnie do środka? - spytał Krishna.

- Oczywiście. Przepraszam.

Weszli do kuchni.

- Nie dotarła do ciebie moja wiadomość? - spytał Krishna. - Żebyś do mnie zajrzał w drodze do Stowe?

Roy spojrzał na karteczkę od Skippy'ego.

Cześć, Roy. Wezwał mnie pan McKenny. Wróć później.

I dzwonił jakiś Krishna.

- Dlaczego się uśmiechasz? - spytał Krishna.

- A, nic - zbył go Roy. - Kawy?

- Chętnie - powiedział Krishna. - Nie ciekawią cię moje wieści?

- Zamieniam się w słuch - odrzekł Roy.

Krishna wziął Roya za rękę i zaprowadził do dużego pokoju. Stał przed *Delią*.

- Mój Boże! - zawołał. - Jest jeszcze wspanialsza, niż zapamiętałem. Zapiera dech w piersiach.

- Dziękuję.

- Mam świetne wieści, bo znalazłem kupca. I to jakiego! I to za jaką cenę! Widząc tylko zdjęcia, zaproponował... jesteś gotów usłyszeć ile?

- Pewnie nie - odparł Roy.

Krishna się roześmiał, klepnął Roya w plecy. Niezbyt mocno, bo był drobnej postury, ale i tak zabolalo.

- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów! Ćwierć miliona.

- No, no.

- No, no? - zdziwił się Krishna. - I tyle? Dwa razy więcej niż kiedykolwiek wzięliśmy.

- Po prostu jestem zdumiony - stwierdził Roy. Skłamał, ale nie chciał psuć Krishnie zabawy. - To fantastycznie.

- Fantastycznie, cudownie, wspaniale - entuzjasmował się Krishna. Wziął Roya za rękę. - Moje gratulacje. Zaslugujesz na to co do centa. Stworzyłeś niezrównane dzieło. Według mnie

wkroczyłeś na nowy poziom.

Roy spojrział na *Delię* - niemal za każdym razem widział kolejną wadę, co bynajmniej nie oznaczało, że Krishna mylił się w kwestii nowego poziomu. Sam natomiast się cieszył, że je dostrzega.

- Co to za kupiec? - spytał.

- I to jest najpiękniejsze - powiedział Krishna. - Jak gdyby ta okrągła suma nie była wystarczająco piękna. Chce to kupić Calvin Truesdale.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Jak to? Calvin Truesdale, właściciel rancza Truesdale'a.

Roy pokręcił głową.

- Ma ranczo podobne do rancza Kinga, tyle że większe - dodał Krishna.

- Hoduje bydło? - spytał Roy.

- Najwyraźniej - odparł Krishna. - Poza tym jest właścicielem dwudziestu procent szybów naftowych nad Zatoką Meksykańską, kilkuset radiostacji, ma pakiet kontrolny w firmie teksaskich półprzewodników i Bóg wie czego jeszcze. Dla nas najważniejsze, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat zainteresował się sztuką. Już zgromadził największą prywatną kolekcję Giacomettiego w kraju, a w kwietniu kupił *Siedzącego Zolę* Rodina za czternaście i pół miliona dolarów. Nieraz próbowałem skontaktować się z jego ludźmi w sprawie niektórych dzieł, chociażby *Tancerki* Degasa, którą miałem dwa lata temu, ale bezskutecznie. I wiesz, co się stało?

- Co? - spytał Roy.

- Wczoraj rano tak po prostu wszedł do mojej galerii.

- Kto?

- Calvin Truesdale - dopowiedział Krishna. - Roy, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Roy pokiwał głową. Kiedy słyszał te nazwiska - Giacometti, Rodin, Degas - nawet wymieniane bez większego z nim związku, czuł się nieswojo.

- Pokazałem mu kilka rzeczy. Od razu kupił małego Matisse'a z wystawy. Wyszedł z nim pod pachą. Następnie przejrzałem z nim katalog, w którym zauważył twoje dzieło. - Krishna wskazał *Delię*. - I zachwycił się.

- Jak?

- Pytasz, jak się zachwycił?

- Tak.

Roy usiłował sobie wyobrazić kowboja w snobistycznej galerii sztuki Krishny w Tribeca skaczącego z radości, i miał z tym pewne kłopoty.

Krishna wzruszył ramionami.

- Wykrzykiwał, że dzieło jest wspaniałe i niesamowite, zasypał mnie pytaniami, między innymi na temat rozmiarów i materiału, no i rzecz jasna wypytywał o ciebie. Chciałby przyjechać i je obejrzeć. Zaproponował uprzejmie, że się do ciebie dostosuje, ale podtrzymuje ofertę, nawet bez obejrzenia osobiście, co zagwarantował czekiem na dziesięć procent sumy.

Krishnie nie schodził uśmiech z twarzy, a przecież zawsze miał radosną minę.

- Zastanowię się - obiecał Roy.

Uśmiech przybladł, marszandowi zrzędnęła mina.

- Ale dlaczego? - spytał. - Nad czym się tu zastanawiać?

- Po prostu nie wiem, czy chcę...

- Czy co chcesz?

- Z nią się teraz rozstawać.

Krishna spojrzał na rękę Roya w gipsie, potem na twarz.

- Żartujesz?

- Niby dlaczego miałbym żartować?

- Może żeby podbić cenę? - powiedział Krishna. - Żeby utrudnić zdobycie pracy.

- Dlaczego miałbym cię zwodzić? - spytał Roy. - Cena już i tak jest zawyżona, i to znacznie.

- Ciii - uciszył go Krishna.

Roy się roześmiał. Krishna też, ale nie tak serdecznie.

- Dobrze, zastanów się - rzekł. - Ja rozumiem. Matka też nie lubi się rozstawać z dzieckiem. Tyle że możesz spłodzić takich dzieł znacznie więcej. Ale pamiętaj o przestrodze Picassa.

- Jakiej?

- Żebyś się nie stał kolekcjonerem własnej sztuki.

Porażająca mądrość, która natychmiast zmieniała sposób myślenia człowieka, co zdarzało się nadzwyczaj rzadko. Roy pojął w lot, że od Picassa naprawdę dzielą go dalekie horyzonty.

* * *

Pili kawę przy blacie kuchennym, siedząc na taboretach.

- Kierowca się nie napije? - spytał Roy.

Krishna zbył go machnięciem ręki.

- Zastanowiłeś się już?

Roy znów się roześmiał.

Krishna napił się kawy.

- Jak sobie życzysz - powiedział - ale wiedz jedno.

- Co takiego?

- Że Delia byłaby wniebowzięta.

Roy spojrział na Krishnę. Już miał mu powiedzieć wszystko, począwszy od tego, jak obecnie mało znaczy dla niego ćwierć miliona dolarów i jak bardzo możliwe jest, że jego płodne dni są policzone. Wtedy przyszło mu do głowy coś innego.

- Pamiętasz Toma Parisha?

- Jak przez mgłę - odparł Krishna.

- Ówczesny szef Delii. Przemawiał na jej pogrzebie.

- Byłem wtedy w Rzymie.

Roy pamiętał.

- Do dzisiaj wyrzucam sobie, że nie mogłem...

- Niepotrzebnie.

- I co z tym szefem Delii? - spytał Krishna.

- Chciałbym go odnaleźć.

- Po co?

- Muszę z nim pogadać.

Krishna spojrział w głąb dużego pomieszczenia na *Delię*. Roy już sobie wyobrażał, jak wymyśla jakieś artystyczne wyjaśnienie.

- Skontaktuj się z tym jak-mu-tam - zaproponował Krishna.

- To znaczy z kim?

- Z facetem, który tam pracował - powiedział Krishna. - To była agencja państwowa, prawda? Delia przysłała go do mnie.

- Kogo do ciebie przysłała?

- Swojego współpracownika, który interesował się mozaikami z okresu mauretańskiego, a ja miałem wtedy bodajże marokańską misę w zasięgu jego możliwości finansowych.

Roy zerwał się na równe nogi.

- Jak on się nazywał?

Krishna się wystraszył.

- To aż takie ważne?

Roy usiłował zatuszować starcze drżenie w głosie, uspokoił się.

- Podaj mi jego nazwisko.

Krishna zamknął oczy.

- Miał taką ekscentryczną zbitkę imienia z nazwiskiem - powiedział.

- Jak to?

- Wielokulturową. - Krishna otworzył oczy. - Na imię miał Paul, na nazwisko Habib.

- Sprzedałeś misę Paulowi Habibowi?

- Nie była zbyt cenna - powiedział Krishna. - Zarobiłem na niej tylko półtora tysiąca dolarów, najwyżej dwa. Inna sprawa, że to był niezły ruch, bo ten Habib kupił ją wiele lat temu, a od tamtej pory ceny wyraźnie poszły w górę. Po prostu usiłuję ci powiedzieć, że mam namiary na niego w biurze. Mogą być nieaktualne, ale czy to wiadomo?

- Mógłbyś do niego zadzwonić teraz?

- Teraz?

- Zadzwoń do swojego biura. Niech ktoś ci odszuka dane.

- Roy, dziś jest piątek. W piątki mam zamknięte. - Spojrzał jeszcze raz na Roya, coś go tknęło. Wyjął telefon. - Philip? - powiedział do słuchawki. - Jak odbierzesz tę wiadomość, jedź do biura, otwórz archiwum i znajdź namiary na Paula Habiba. Paul Habib. I oddzwoń.

- Dzięki - rzucił Roy.

- Nie ma za co - powiedział Krishna, dopijając kawę. - Namysliłeś się?

Rozdział 17

Limuzyna Krishny cofnęła się z długiego, półksiężycowego zaułka, wyjechała zgrabnie na ulicę i znikła. Starsza pani na spacerze z psem odwróciła się i odprowadziła ją wzrokiem.

Dwieście pięćdziesiąt tysięcy - majątek dla człowieka, który wychował się w tak zapyziałym miasteczku jak North Grafton w stanie Maine. Nie mógł nawet marzyć o takiej fortunie wypłaconej od razu. I oto znalazła się w jego zasięgu, wystarczyło, żeby powiedział „tak”.

Roy zadzwonił do mamy.

- Jak miło, że dzwonisz!

- Wszystko w porządku, mammo?

- Super - powiedziała. - Nie mogłoby być lepiej. Matka Roya nie należała do tych ludzi północy, którzy przeprowadziwszy się na Florydę, choćby tylko na zimę, tęsknią za domem. Uwielbiała Florydę... mały apartamencik kupiony przez Roya i minicoopera, którego sama wybrała w salonie, dokąd ją zabrał. Pierwszy raz w życiu miała nowy samochód. Lubiała też nowe grono przyjaciół, wspólne gry w karty i lekcje tańca. - Wiesz, jaka teraz u nas jest temperatura?

Lepiej zaniżyć.

- Dwadzieścia stopni? - zapytał.

- Żartujesz?! - zawołała. - Brrr. Dwadzieścia siedem. A właśnie patrzę na termometr.

Wiesz, o którym mówię, o tym na balkonie.

- Wiem, mammo.

- Hen na horyzoncie widzę frachtowiec, chyba czerwony.

- To fantastycznie.

- Mój własny widok za milion dolarów - pochwaliła się. - A co u ciebie?

- Nieźle.

- Dobrze ci idzie sprzedaż?

- O tak - potwierdził i uśmiechnął się do siebie. Wiedział, że w głębi duszy mama boi się, czy raj na Florydzie nie pryśnie jak bańka mydlana. - Nie mam z tym żadnych kłopotów.

- Miło słyszeć. - Zamilkła na chwilę. - W takim razie masz z czymś innym kłopot?

- Nie, nie - zaprzeczył Roy. - Chciałem się tylko pochwalić, że interesy idą wyjątkowo

dobrze.

- To świetnie - pogratulowała mama. - Sprzedałeś coś ostatnio? Jeżeli nie uznasz, że wściubiam za bardzo nos...

- Wyobraź sobie, że właśnie dostałem najlepszą ofertę w życiu - powiedział.

- To znaczy ile?

- Dużo.

- Teraz już przede mną nie ukrywaj.

- Przyrzeknij, że nikomu nie powiesz.

- Słowo honoru.

Wymienił kwotę.

- Boże! - zawołała. - Kto przy zdrowych...

Ugryzła się w język.

- Kto przy zdrowych zmysłach co? - zapytał rozbawiony Roy.

- Wiesz, że uwielbiam twoją pracę za ten jej rozmach. Zastanawiam się tylko, kto ma tyle pieniędzy.

- Właściciel rancza w Teksasie - powiedział Roy.

- Jak się nazywa?

Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć.

- Truesdale - powiedział w końcu. - Clifton Truesdale.

- Chciałeś powiedzieć Calvin Truesdale? - spytała.

- Tak, chyba tak - poprawił się. - Słyszałaś o nim?

- Czy słyszałam? Ty nie czytasz gazet? Chyba w zeszłym tygodniu w „People” pisali, że polował z prezydentem na swoim ranczu na ptaki. Podobno się przyjaźnią.

- Z jakim prezydentem?

- Na miłość boską, z prezydentem Stanów Zjednoczonych - rzuciła zniecierpliwiona mama. - Też go chyba raz spotkałeś.

- Kogo?

- Nie kpij sobie. Prezydenta, Roy, prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- Powiedzmy - stwierdził.

- Jak można „powiedzmy” kogoś spotkać?

- Wtedy był jeszcze wiceprezydentem - wyjaśnił Roy. - Uścisnął mi tylko rękę.

- Uścisk ręki prezydenta to nie byle co, synu. Nie doceniasz, co ci się przytrafiło.

- Mnie takie rzeczy nie ruszają, mamó.

- A mnie ruszają - oznajmiła mama i zmieniła temat. - Co u Jen?

- Dobrze.
- Wciąż uczysz jazdy na nartach?
- Tak.
- Przeziębilesz się? - spytała już innym tonem.
- Nie.
- Ale dobrze się czujesz? Bo masz taką chrypę.
- Dobrze - odparł. - Muszę kończyć. Niedługo się odezwę.
- Pa, synku. Kocham cię.

Klik.

Odchrząknął. Ściślej rzecz biorąc, wykonał całą serię dźwięków i ruchów gardła, jakie wykonuje się przy chrząkaniu, ale bez pożądanego skutku.

* * *

Stanął przed *Delią*. Choć już nie wirował dookoła niej kurz, w dalszym ciągu wyglądała, jakby się kręciła; może nieświadomie stworzył złudzenie ruchu. *Namysłilesz się?* Nie potrzebował pieniędzy, nie chciał jej sprzedawać. Ani teraz, ani nigdy. Ogarnęła go dziwna, wręcz obrzydliwa chęć, żeby wykopać wielki dół i pochować *Delię* w ziemi obok siebie.

Przypomniał sobie jednak o Skippym. Za dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów chłopak mógłby wyjechać, urządzić się. Mógłby skończyć szkołę średnią, pójść do college'u, mieć zabezpieczenie. Byle tylko zdołali obalić fałszywy zarzut nielegalnego posiadania broni. Roy podszedł do okna. Ani śladu Skippy'ego. Wracała starsza pani ze spaceru z pieskiem w zgrabnym ubranku w kratę. Sama była w wiatrem podszytym paletku, połatany na łokciach, z wystającą z tyłu wiskozową podszewką.

Na drzwiach do składziku z miotłami wisiał kalendarz: LEGENDY HOKEJA. Roy przekartkował miesiące - Bobby On frunie w powietrzu, Gordie Howe jedną ręką powstrzymuje obrońcę, a drugą strzela, Guy LaFleur z włosami do ramion, Glenn Hall bez maski na twarzy w bramce, Boom Boom Geoffrion składa się do strzału z rozmachem, aż do zamykającego rok Rocketa Richarda z płomiennymi, hipnotyzującymi oczami, jak gdyby buzował w nim ogień. Roy wiedział, jaką frajdę sprawi mu grudzień, trzydzieści jeden dni z Rocketem. Byle dożyć.

Jego obowiązki sprowadzały się do odpoczynku, diety i ćwiczeń. Wszystko inne pozostawało w rękach doktora Chu. Poszedł na górę, wyjął strój sportowy - adidas, bluzę, suspensorium, białe bawełniane skarpetki, podkoszulkę Stringów z długą listą określeń wydrukowaną na plecach: *zahaczanie, uderzanie kijem, atak łokciem, wrzucenie na bandę,*

klucie kijem, spowodowanie upadku przeciwnika, trzymanie przeciwnika, nadmierna ostrość w grze, niebezpieczna gra wysoko uniesionym kijem, niedozwolony udział w grze, podcinanie, niesportowe zachowanie, a przy każdym odhaczony ptaszkiem kwadracik. Pod spodem napis: KRÓLOWIE ŁAWKI KAR.

Roy usiadł na łóżku, zdjął buty.

* * *

- Nienawidzę hokeja - oznajmiła Delia. - Ale wiesz, co jest najgorsze?

- Co?

- Jak wy wszyscy cuchniecie. Nikt nie pierze ciuchów? Kiedy stoję za ławką, smród rozchodzi się falami, omal mnie nie zwała z nóg.

- To nie stawaj za ławką.

- Ale stamtąd najlepiej widać grę.

* * *

Mknął po tafli, nieledwie frunął, muskając tylko lód. Osiągał prędkość nieznaną nawet LaFleurowi, Kharmalovowi lub Perraultowi u szczytu kariery, a krążek pędził jak po niewidzialnym sznurku. Co ciekawsze, w ogóle go nie zatykało, wystarczyło, że raz na jakiś czas nabrał głęboko powietrza, które czuł w płucach tak wyraźnie, jak gdyby pochodziło z planety o bogatszej mieszance. I wtedy usłyszał syrenę, koniec meczu.

Otworzył oczy. To dzwonił telefon. Po pokoju przesuwały się mroczne cienie. Leżał na łóżku, obok piętrzył się stos jego skłębionych ubrań do ćwiczeń.

Sięgnął po słuchawkę, upuścił ją na podłogę, wymacał ręką. Z oddali dobiegł go cichy głos.

- Roy, jesteś? Panie Valois?

Znalazł telefon.

- Skippy?

- To ty, Roy?

Odchrząknął.

- Tak. Skippy, co się stało?

- Mógłbyś tu przyjechać? - zapytał Skippy. - Jak najprędzej, najlepiej zaraz. - Mówił podekscytowanym głosem, ale cicho. - Znalazłem ją.

- Kogo?

- Tę kobietę, Roy, ale musisz się pośpieszyć.

- Jaka kobietę?
- Oj, no wiesz którą. Widzę ją teraz.
- Jaka kobietę?
- Tę, która wdarła się do twojego domu.
- Którą narysowałeś? Która cię wrobiła?
- Tak! Widzę ją, ale słabo. Jest z facetem, potężnym gościem...
- Skippy, gdzie ty jesteś?
- Aha. Muszę...

Klik.

Sprawdził, czy w pamięci telefonu pozostał numer Skippy'ego. Owszem. Zadzwoił.

- Joł. Tu Skipster. Zostaw wiadomość albo nie. Wedle uznania. No to nara.

- Skippy, odbierz!

Ale nie odebrał.

Roy zbiegł po schodach, w pędzie włożył wysokie buty, wskoczył do półciężarówki. Na podjeździe poślizgnął się prawą nogą na szklistej koleinie. Był dobrym łyżwiarzem i niezłym narciarzem, szybko łapał równowagę, dlatego rzadko padał na lodowisku albo na stokach, a jeśli już, nie były to ciężkie upadki. Teraz jednak upadł, wylądował częściowo na twarzy, ale głównie na złamanej ręce, z bolesnym skutkiem. Z piersi wyrwał mu się niekontrolowany krzyk bólu. Zabrzmiał mu w uszach zupełnie jak głos kogoś obcego.

Leżał na podjeździe. Ból w ręce znalazł sobie drogę, żeby rozlać się po całym ciele.
Stary, weź się w garść. Co z ciebie za facet?

Wyciągnął zdrową rękę, wymacał stopień z tyłu furgonetki, podciągnął się. Z góry dobiegł go miarowy warkot. Przerazający dźwięk. Odwrócił się, spojrzał w niebo, zobaczył przelatujący helikopter. Zwykły, biały z zielonym napisem: Transport Vrai na boku. Ani straszny, ani ciekawy. *Stary, weź się w garść.* Roy podciągnął się wyżej do przysiadu, wstał. Wsiadł do samochodu i odjechał. Dyszał i płytko łapał powietrze, ale odzyskał panowanie nad sobą, wziął się w garść.

Gdzie jest Skippy? Roy nie miał pojęcia, ale nie mógł być daleko, skoro jego wóz stał na parkingu policyjnym. Skręcił w Main Street, przejechał wolno trzy przecznice, rozglądając się na boki. Ani śladu Skippy'ego, a mrok szybko zapadał. Roy objechał park i wrócił inną drogą na Main Street. Zatrzymał się przed Dunkin' Donuts, wszedł do środka.

Za gablotką stała piętnasto- może szesnastoletnia dziewczyna i wbijała patyczek z tabliczką „Na sprzedaż” w posypany cukrem pudrem pączek.

- Przepraszam, znasz Skippy'ego Bedarda? - zapytał.

Kiedy podniosła wzrok, zobaczył przerażenie w jej oczach.

- Co jest? Coś mu się stało?

- Ma pan zakrwawioną twarz - wyjaśniła.

Dotknął policzka, obejrzał sobie rękę - czerwona.

- Nic mi nie jest - zapewnił ją. - Znasz Skippy'ego?

Pokiwała energicznie głową, ale w oczach miała strach.

- Był tutaj?

Znów pokiwała.

- Kiedy?

Spojrzała na zegarek na pulchnej ręce, a potem na zegar ścienny.

- Kiedy?! - Tym razem bezwiednie krzyknął. Czyżby ją wystraszył? Ściszył głos. - W przybliżeniu.

- W przybliżeniu - powiedziała wolno, cedząc słowa, jak gdyby dopiero teraz zrozumiała - jakieś dwie godziny temu. Kupił czekoladowego pączka z posypką.

- Sam czy z kimś?

Pokręciła głową.

- Nie towarzyszyła mu wysoka Mulatka po czterdziestce? Albo młodszy, potężny mężczyzna?

Snuł tylko domysły, ale na wszelki wypadek opisał Westiego.

- Nie - zaprzeczyła dziewczyna. - Skippy był sam. Ale wie pan co?

- Co?

- Widziałam taką wysoką Mulatkę.

Pokazała za okno.

- Kiedy?

- Nie jestem pewna, ale Skippy tu jeszcze był. Gadaliśmy, bo oboje braliśmy udział w programie *Światowa geografia*, zanim nie wyleciał. Bo on naprawdę jest bardzo inteligentny, to jeden z najmądrzejszych chłopaków...

- Powiesz mi coś o tej kobiecie?

Dziewczyna wskazała za okno.

- Przechodziła tędy, może szła do samochodu?

- I co?

- I co? I nic. Znikła mi z pola widzenia. Proszę spojrzeć stąd, zza lady. Może gdybym się przesunęła, to...

- Czy Skippy skomentował?

- Nie.

- Zrobił coś?

- Nic specjalnego. Zaraz potem wyszedł.

- Po jakim czasie?

Wzniosła oczy do nieba.

- Chyba od razu. - Wskazała na stoliku pod oknem nadgryzionego pączka w czekoladzie z posypką. - Teraz sobie przypominam, że to jego pączek. Sądziłam, że po niego wróci.

- W którą stronę ta kobieta poszła? - spytał.

Dziewczyna machnęła ręką w prawo, w kierunku parku. Roy wybiegł do drzwi, w progu przystanął.

- Do jakiego samochodu wsiadła?

- W ogóle nie pamiętam, czy wsiadła. Ale teraz przypominam sobie, że była spoko. A tu niedaleko stała zaparkowana taka spoko bryka.

- Jaka to jest spoko?

- Z kapitalną opływową sylwetką - powiedziała dziewczyna, pokazując opływowe kształty. - Chyba porsche. Wymawia się „e” na końcu? Srebrny wóz.

Roy otworzył drzwi.

- Czy Skippy znów się w coś wplątał? - zapytała. - Bo to chłopak super, jeden z najfajniejszych w naszym durnym mieście.

* * *

Na Main Street nie było ani Skippy'ego, ani srebrnego porsche. Roy już wsiadał do półcieżarówki, kiedy w barze hamburgerów Raj Normiego po drugiej stronie ulicy otworzyły się drzwi i wyszedł Normie Sawchuck z grubym cygarem w ustach.

- Normie! - krzyknął Roy.

- Cześć, Roy. - Normie pomachał mu, przepuścił busik z narciarzami, przeszedł przez ulicę. - Co u ciebie? Słyszałem, że wycofałeś się z hokeja.

- Czasowo - odparł Roy.

Normie przyjrzał mu się uważniej.

- Co z twoją twarzą?

- Nic. - Roy go zbył. - Potknąłem się i upadłem. Widziałeś porsche zaparkowane tu kilka godzin temu?

- Nie - powiedział Normie. - Ale byłem na górze... - Normie, znany kobieciarz w mieście, w którym podobnych typów nie brakowało, zmierzył Roya chytrze wzrokiem. -

Wyskoczyłem odebrać grupę, przed chwilą wróciłem.

Roy usiadł za kierownicą, już zamykał drzwiczki.

- Koniecznie pójdz do lekarza, żeby opatrzył ci te obrażenia - poradził Normie.

- Później.

Normiego jakby coś tknęło.

- Czy to porsche może było srebrne?

- Dlaczego pytasz?

- Bo kiedy zjeżdżałem, widziałem jedno srebrne śmigające pod górę.

* * *

Jechał górską drogą. W wyższych partiach lśniły ostatnie promienie, oświetlając niedziałające już wyciągi krzeselkowe. Wszystko inne spowijał mrok. Narciarze zjechali ze stoków, ale w barach i restauracjach u podnóża góry paliły się światła, a jedna czwarta miejsc na parkingu była zajęta. Roy przejechał między rzędami. Mijał różne samochody i półciężarówki, na próżno wyglądając porsche. Spróbował ponownie zadzwonić do Skippy'ego.

- Joł. Tu Skipster. Zostaw wiadomość albo nie. Wedle uznania. No to nara.

Roy wrócił tą samą drogą, ale u podnóża zamiast skrócić w stronę miasta, pojechał w głąb doliny i zatrzymał się pod domem Murpha. Zastał go siedzącego samotnie w kantorku - nalewał sobie jacka danielsa do papierowego kubka.

- Roy! - zawołał Murph. - Co ci się stało?

- Nic - odparł Roy. - Widziałeś Skippy'ego?

- Co znowu nabroił? - spytał Murph.

Może gdyby ból w ręce nie uznał za stosowne właśnie wtedy przesyć Roya na wylot, zareagowałby inaczej. Miał jednak pecha. Machnął zdrową ręką, przez co zmiotł papiery z biurka i wytrącił Murphowi kubek z ręki. Rozlała się whisky, Murph podskoczył.

- Co, u diabła?! - wrzasnął.

- Nie mam teraz czasu na wyjaśnienia! - krzyknął Roy. - Odpowiadaj.

- Chryste, Roy, nie widziałem go od wielu dni. Myślałem, że jest z tobą.

* * *

Matka Skippy'ego mieszkała pięć kilometrów dalej, w Ethan Lower Falls. Nie była to dosłownie rudera, ale prawie. W oknach wstawione plastiki, dach pokryty brezentem, śnieg przed domem upstrzony psimi kupami, spod białej pokrywy wystawały zardzewiałe części.

Roy nabrał garść czystego, zimnego śniegu i obmył sobie twarz.

Zapukał do drzwi. Otworzyły się, wyjrzała mama Skippy'ego. Zmrużyła oczy, najwyraźniej go nie poznawała, ale kiedy jeszcze bardziej zwięzła je w szparki, w końcu poznała. Za nią leżał rozwalony na kanapie jej konkubin z krzaczastymi siwymi wąsami, przy nim warował wielki kundel, a na twarzy i na pysku migotało światło telewizora. Ani śladu Skippy'ego. Wszędzie unosił się papierosowy dym.

- Widziała pani Skippy'ego? - spytał Roy.

- Ja? - zdziwiła się matka chłopaka.

- W ciągu ostatnich kilku godzin - uściślił Roy.

Matka przyjrzała się uważnie Royowi.

- Podniósł na pana rękę czy co?

Roy omal sam nie podniósł na nią ręki.

- Tak czy nie?

- Nie jest lekko, no nie? - rzuciła.

- Proszę mi tylko odpowiedzieć.

- Nie widziałam go - oświadczyła.

- Pewno handluje dragami - dorzucił konkubin, nie odrywając oczu od ekranu. Matka pokiwała głową.

Swoją drogą, konkubin aż się prosił, żeby go walnąć. Roy wszedł do środka. Natychmiast zaczął go dusić dym. Rozkasłał się. Ból w płucach, w okolicy serca, połączył się z bólem ręki. Roy dał krok do tyłu, zanosząc się kaszlem. Zawarczał pies. Drzwi się zamknęły.

Rozdział 18

- Chodzi o to - wyjaśnił Freddy Boudreau, bujając się na drewnianym fotelu za biurkiem - że chociaż mieszkasz już długo w naszej dolinie i wszyscy cię lubią, nie pochodzisz stąd.

- Co to niby ma znaczyć? - spytał Roy.

Gdy kaszel wreszcie się od niego odczepił, Roy pojechał do komisariatu i złożył Freddy'emu zeznanie. Ograniczył się do opowieści o fałszywej agentce ubezpieczeniowej i rzekomym włamaniu, na której Turk opierał obronę Skippy'ego, zachowując dla siebie mroczne szczegóły na temat Instytutu Hobbesa, sklepu Wino, Spółka z o.o. i Toma Parisha.

- Bez urazy - powiedział Freddy, biorąc go za rękę. - Może powinienem był dodać, że lubią cię tu i szanują. Bardziej niż jakiegokolwiek innego człowieka z nizin.

- Człowieka z nizin? - spytał Roy. - Pochodzę z Maine. Słyszałeś, jak mówię?

- Mówisz jak człowiek z nizin.

- Diabła tam - zniecierpliwził się Roy. - Ale co to ma wspólnego ze Skippym?

- Wszystko - odparł Freddy, wystukując papierosa z pudełka na biurku. - Weź kogoś takiego jak ja. Urodziłem się tutaj, chodziłem do ogólniaka Ethan. Podobnie jak mój tata, który potem został nauczycielem wychowania fizycznego. Mama była przedszkolanką, trzy lata temu przeszła na emeryturę.

- Skippy do niej chodził?

- Możliwe - rzekł Freddy. - Ale rozumiesz, do czego zmierzam?

- Nie.

Freddy poklepał się po kieszeniach, jakby szukał zapalek.

Nie pał, pomyślał Roy. Skupił się na tej myśli w nadziei, że przeskoczy na drugą stronę biurka. Freddy przestał się obmacywać.

- Próbuję ci powiedzieć - ciągnął - że znam to miasto od podszewki. Znam tajniki duszy mieszkańców, wiem, co tu się naprawdę dzieje, kto co komu zrobił.

- To znaczy?

- To znaczy, że możesz się pożegnać z tymi dziesięcioma kawałkami - oświadczył Freddy.

- Jakimi dziesięcioma kawałkami? - spytał Roy.

Freddy się roześmiał.

- Mówię o kaucji. Ale domyślam się, że to dla ciebie pestka.

Roy wpadł w gniew.

- Bzdura! - wykrzyknął, chociaż rzeczywiście zapomniał o tych pieniądzach. - Co ty wygadujesz!

Freddy'emu stężała twarz.

- Dzieciak zwiął. Forsa wyrzucona w błoto.

- Nieprawda - zaprzeczył Roy. - Mówiłem ci, widziałem tę kobietę, która go wrobiła. Chłopak może być w niebezpieczeństwie. Musimy tam po niego pojechać...

- Hola. Przystopuj. - Freddy buchnął się naprzód, aż zatrzeszczało krzesło. - Naprawdę uważasz, że ta kobieta poświęciła niewykrywalny rewolwer tylko po to, żeby się dostać do twojego domu? Jaki złodziej tak postępuje?

- Mam trochę cennych prac - zauważył Roy.

- Ale są ogromne. Zresztą nic nie zginęło poza małym rysunkiem, który, jak sam przyznajesz, nie jest wiele wart. Poza tym wedle mojego doświadczenia drobne złodziejaski nigdy nie noszą broni, bo po złapaniu straszliwie winduje wyrok. - Freddy rozsiadł się wygodnie. - W moim fachu człowiek od razu uczy się jednego. Kiedy istnieją dwie wersje, jedna prosta, druga skomplikowana, wybierz wersję A, bo sprawdzi się na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Ten chłopak wie, że znam go jak zły szeląg. - Freddy znów zaczął sobie oklepywać kieszenie. Tym razem znalazł zapaliki, zapalił. - Teraz uważaj - rzekł, zaciągając się głęboko - ponieważ chłopak miał pozostawać pod twoją opieką do rozprawy sądowej, prokurator zaraz cofnie uchylene aresztu za kaucją. Wtedy dostaniemy nakaz i zanim się obejrzysz, ktoś go tu przywiezie. - Kłęb dymu przetoczył się nad biurkiem w stronę Roya. - Prawie zawsze, na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, tak się kończy. Zrobię, co będę mógł w sprawie tych dziesięciu tysięcy, ale niczego nie obiecuję.

Roy poczuł nadciągający kaszel.

* * *

Wrócił do domu. Było już późno, większość budynków na zboczach w wyższych partiach tonęła w mroku. Wszedł do środka.

- Skippy?! - zawołał. - Skippy?!

Sprawdził wiadomości w telefonie. Była tylko jedna.

- Mówi Krishna. Zadzwoń, jak będziesz mógł.

Wybrał znów numer Skippy'ego.

- Joł. Mówi Skipster. Zostaw wiadomość albo nie. Wedle uznania. No to nara.

Położył się do łóżka. Ogarnęła go senność, już prawie zasypiał, kiedy dopadła go jeszcze jedna myśl: Kiedy ostatnio jadł? Nie pamiętał. W dodatku wcale nie czuł głodu.

Wstał, poszedł do kuchni, zjadł trochę lodów. Stał przy oknie, wyjrzał na dwór. Hen wysoko światła pługów śnieżnych omiatały szlaki u szczytu.

Wrócił do łóżka. Wierny, przyjazny sen znów czekał, gotów go utulić. Jak miło! Żywot nasz krótki w sen jest owinięty. Skąd to cytaty? A może w sen jest otulony? Delia wiedziałaby, bo odebrała prawdziwe uniwersyteckie wykształcenie, a nie jego hokejowy wariant. Owinięty i otulony, oba określenia brzmią sympatycznie. W końcu przyszedł mu do głowy właściwy pomysł na *Ciszę* - coś w rodzaju kosza łuków. Przez noc nawet najlepsze pomysły ulatują z głowy, o czym Roy doskonale wiedział, dlatego trzymał szkicownik na stoliku nocnym. Teraz jednak zanadto był już owinięty i otulony snem, żeby zapalić światło, wziąć ołówek czy choćby otworzyć oczy.

* * *

Na laminowanym blacie leżał nadgryziony pączek w czekoladzie. Delia usiadła. Kiedy sięgnęła po pączka, zjawił się Skippy z dozownikiem i zaczął przyskać posypką. Głównie, a właściwie tylko czerwoną. Posypał też głowę Delii, potem swoją. Nie wyglądało to na dowcip, błazenadę albo młodzieńczy wygłup. Bardziej przypominało obrzęd.

Tur, tur, tur.

* * *

Roy obudził się rozpalony. Rozpalony, a jednocześnie zlany potem. Wstał, poszedł do łazienki, przejrzał się w lustrze. Na całym ciele miał czerwone plamy. Wziął długi, zimny prysznic, ochłonął. Zaczął łatwiej oddychać. Lepiej się poczuł. Może wystarczyłoby stać tylko pod prysznicem.

Po wyjściu wytarł się. Plamy ustąpiły. Zorientował się, że jest dzień. Wyjrzał przez okno.

Okno łazienki wychodziło na ogród za domem. Posesja Roya liczyła nieco ponad hektar ziemi, w większości wznoszącej się, u góry zaś zwieńczonej płaską łąką. Latem rosło tu zatrzęsienie polnych kwiatów, ale teraz pokrywała ją biel. Na środku łąki stał helikopter - biały z zielonym napisem na boku: TRANSPORT VRAI.

Przez chwilę nic się nie działo. Roy zastanawiał się, czy helikopter się nie rozbił, chociaż nie widać było żadnych uszkodzeń. Zauważył jednak ruch w kokpicie, dostrzegł sylwetkę mężczyzny, może nawet dwóch. Po chwili drzwi kabiny się otworzyły. Opadła stalowa drabinka. W otworze zjawił się wysoki opalony mężczyzna. Miał na sobie długi płaszcz, być

może zamszowy, do ziemi, a na głowie kowbojski kapelusz.

Zszedł po drabinie na śnieg. Zapadł się po kolana, co bynajmniej nie zdziwiło Roya, zdziwiło natomiast mężczyznę. Spojrzał do góry, w stronę kabiny. W drzwiach zjawiał się drugi potężny mężczyzna w czarnym garniturze. Mężczyzna w kowbojskim kapeluszu coś powiedział - z ust buchała mu para, wymachiwał ze złością rękami. Mężczyzna w czarnym garniturze gestykulował przepaszająco. Wyciągnął rękę. Mężczyzna w kowbojskim kapeluszu odtrącił ją i wspiał się po drabinie. Drzwi kabiny się zamknęły. Górne śmigło zaczęło się kręcić, potem tylne. Helikopter wzbił się w górę, zakołował, przechylił się i odleciał.

Przypominało to sen, sen o helikopterze. Miewał już takie wcześniej, kilka nawet pamiętał, większości jednak nie, pozostały mu w pamięci tylko ciemne, niepokojące strzępy. Prawie jak sen, tyle że helikopter zostawił w śniegu prawdziwe ślady płóz. Bo chyba wzrok go nie mylił.

Roy się ubrał, włożył kurtkę narciarską, traperki i wyszedł. Przy takiej zimnicy aż zamarało człowiekowi w nosie. Lubił to uczucie. Rakiety śnieżne stały przy drewnianej skrzyni. Przypiął je, obszedł dom, ruszył w górę wysokiej łąki.

Uwielbiał włóczyć w raketach śnieżnych. Czuł uniesienie, kiedy szedł po niepewnym podłożu, uwielbiał ten rytm, chrzęst różnych odmian miazdzonego śniegu. Tego dnia pokrywa na zboczu wznoszącym się za jego domem wydała mu się dziwna - śnieg skrzypiał cicho jak suchy, uleżany puch, ale uginał się pod Royem tylko kilka centymetrów, jakby był ciężki i bardziej mokry. Albo nacisk mniejszy. Roy posuwał się do góry, oddychał powoli i bez trudu, znów normalnie, i przemierzył halę.

W śniegu widniały dwie równoległe koleiny, mniej więcej trzy i pół metra długości, niecałe pół szerokości. Zobaczył też płytsze wgłębienie tam, gdzie opadła stalowa drabinka i dwie okrągłe dziury po butach mężczyzny w kowbojskim kapeluszu. Czyli to nie był sen. Spojrzał w górę na puste niebo, piękny srebrzysty błękit widoczny jedynie w najbardziej mroźne dni. Niedługo po tym, jak zaróżowił się apteczny test ciąży, co oznaczało, że Delia jest w ciąży, Roy sprawdził naukowe wyjaśnienie, dlaczego niebo jest niebieskie, żeby być przygotowany na takie pytanie dziecka. Okazało się jednak tak skomplikowane i trudne do uproszczenia, że nie znał odpowiedzi do dzisiaj.

Wrócił po swoich śladach do domu, oddychając swobodnie. Postanowił w duchu, że aż do pierwszych śniegów codziennie będzie chodził na raketach śnieżnych. Po powrocie znów wybrał numer Skippy'ego.

- Joł. Tu Skipster. Zostaw wiadomość albo...

Spojrzał na zegar. Już pora obiadowa? Otworzył lodówkę, zobaczył dwa befsztyki, które Dickie Russo zapakował mu w pergamin. Menu - befsztyk z lodami, dwa największe frykasy jego dzieciństwa. Wrzucił jeden befsztyk na ruszt. Drugi zostawił dla Skippy'ego. W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Niezbyt głośne, nienatarczywe, zwykle ciche puk, puk. Tak właśnie zapukałby Skippy.

Podbiegł do drzwi, otworzył. Nie, to nie Skippy. Stał tam mężczyzna w długim płaszczu, rzeczywiście zamszowym, i w kowbojskim kapeluszu. Na podjeździe warczał silnik taksówki, jednej z dwóch w całym mieście, a właścicielem obu był brat Dickiego Russo. Z tyłu siedział mężczyzna w czarnym garniturze.

- Roy Valois? - zapytał mężczyzna w kowbojskim kapeluszu.

- Tak - potwierdził Roy.

- Stokrotnie przepraszam, że nachodzę pana bez zapowiedzi. - Wyciągnął rękę. - Nazywam się Cal Truesdale. - Uśmiechnął się smętnie. - Powiem bez ogródek. Przyjechałem zobaczyć *Delię*.

Roy patrzył na Calvina Truesdale'a. Musiał trochę zadrzeć głowę, bo mężczyzna był wyraźnie od niego wyższy. Miał wydatny nos, na czubku schodziła mu skóra od słońca, oczy srebrzystobłękitne jak dzisiejsze niebo.

Rękę trzymał wyciągniętą.

- Mam wielką słabość do sztuki - powiedział. - To znaczy wielkiej sztuki. Zwłaszcza do rzeźby.

Roy uściśnął mu rękę - długą z długimi palcami, a przy tym zimną od zimna na dworze.

- Zapraszam.

- Bardzo dziękuję - powiedział Truesdale.

Roy wszedł do środka. Truesdale wytarł nogi na wycieraczkę. Skóra jego kowbojskich butów aż lśniła. Przy wejściu zdjął kapelusz. W jednym uchu miał niewielką słuchawkę w cielistym kolorze.

- No, no - odezwał się. - Ale tu jasno i przestronnie. Z pewnością dla twórcy to spełnienie ma...

I wtedy zauważył *Delię*, i zamilkł. Wolno przemierzył kuchnię, wszedł do dużego pomieszczenia, zostawiając mokre ślady kowbojskich butów na drewnianej posadzce.

Obszedł *Delię*, zadzierając głowę do góry, aż zaszkliły mu się oczy, chyba że to światło plątało figla.

- Zdjęcia pańskiego marszanda nie oddają jej sprawiedliwości - powiedział. - W najmniejszym stopniu.

Roy w głębi duszy zaproponował: *Ejże, aż tak dobra nie jest.*

- Ufam, że przedstawił panu moją ofertę - powiedział Truesdale.

- Owszem.

- Dzieło warte jest tej ceny. - Truesdale podszedł bliżej do rzeźby. - Wszystkie szczegóły są brzydkie, a razem tworzą tak piękny obiekt. Mogę dotknąć?

Roy skinął głową.

Truesdale wyciągnął rękę, dotknął *Delii* opuszkami długich palców.

- Co takiego jest w tej rzeźbie? - zapytał, odwróciwszy się do Roya.

- Nie wiem - odparł Roy.

Truesdale podniósł krzaczaste, siwe brwi.

- Przecież sam pan ją stworzył. Musi pan wiedzieć.

- Ale naprawdę nie wiem, panie Truesdale - powtórzył swoje Roy.

- Proszę mi mówić po imieniu. Cal. Wszyscy tak do mnie mówią. Ja też mogę mówić po imieniu?

- Bardzo proszę.

- W takim razie powiedz mi, z łaski swojej, Roy, jak mogłeś stworzyć coś tak wielkiego i nie wiedzieć, co daje temu moc?

- Ja tak nie pracuję - odparł Roy.

- Nie? - zdziwił się Truesdale. - A jak?

- Trudno to określić - rzekł Roy. - I niezbyt ciekawie się o tym opowiada.

- Mnie to ciekawi - sprzeciwił się Truesdale. - Ciekawi mnie twoja praca. Ty mnie ciekawisz. A wszyscy, którzy mnie znają, to potwierdzą, że kiedy trafię na coś ciekawego, węszę jak pies. Zaspokój więc ciekawość starego kolekcjonera i uchyl rąbka tajemnicy powiedzmy przy kawie...

Uśmiechnął się do Roya zachęcająco. Miał równe, śnieżnobiałe zęby poza jednym siekaczem, który był nieco bardziej żółty.

Rozdział 19

- Pyszna kawa - pochwalił Cal Truesdale.

- Dziękuję - odparł Roy.

Z parującymi kubkami kawy w rękach siedzieli na taboretach w dużym pomieszczeniu. Truesdale spojrział na gips Roya.

- Wiem, że na studiach byłeś niezłym hokeistą.

- Krishna ci powiedział?

- Jestem wielkim miłośnikiem hokeja.

- Naprawdę? - zdziwił się Roy.

Akcent Truesdale'a rzucał cień na prawdziwość tego stwierdzenia.

- Oczywiście nigdy nie miałem łyżew na nogach - wyznał Truesdale. - W moim dzieciństwie graliśmy tylko w futbol amerykański. Drużyny w takich małych szkółkach jak moja składały się z sześciu osób. Dlatego późno zainteresowałem się hokejem.

- To znaczy? - spytał Roy.

- Zaangażowałem się w Narodową Ligę Hokeja - powiedział Truesdale. - Za swoje grzechy.

- Jak to?

- Bo w przystępie szaleństwa kupiłem udziały w Dallas Stars - wyjaśnił Truesdale. - Dokładnie pięćdziesiąt jeden procent.

- Komu trzeba więcej? - powiedział Roy.

Truesdale się roześmiał, ale zabrzmiało to jak szteknięcie.

- Mój Boże - westchnął. - Należysz do tych nielicznych artystów, którzy mają głowę do interesów.

- Bynajmniej - zaprzeczył Roy.

- W dodatku skromnych. - Truesdale odwrócił się, żeby widzieć *Delię*. - Ale umiejętność stworzenia takiego dzieła to jedno, a głowa do interesów to drugie. Nieporównywalne wielkości, trzeba dostrzegać proporcje.

- Bo ja wiem? - rzekł Roy. Poczul się w tej rozmowie nieswojo. - Ludzie zwykle rozdmuchują różnice między...

- Zastanów się - wszedł mu w słowo Truesdale. - Nikt nie zgodzi się na pięćdziesiąt jeden

procent *Delii*. Każdy będzie chciał mieć całość.

- Tyle że ja nie jestem pewien, czy w ogóle chcę ją sprzedawać - zripostował Roy.

Truesdale pokręcił głową.

- O rany! - rzucił. - Zapędziłeś mnie teraz w kozi róg.

- Nie rozumiem.

- Masz ty nosa do interesów - pochwalił. - Rzadko widuję lepsze wyczucie. Oszczędzę nam obu czasu i atłasu, dam za wygraną i od razu przyznam, że dwieście pięćdziesiąt tysięcy zaproponowałem tylko na rozgrzewkę.

Roy się roześmiał.

- Nie chodzi o pieniądze - powiedział.

- Niezły jesteś - znów go pochwalił Truesdale.

- Wierz mi - zarzekał się Roy. - Nie uprawiam żadnej gry.

- Każdy tak mówi - stwierdził Truesdale. - Wiesz, jaka była moja pierwsza myśl?

- Że to gra - odparł Roy.

Truesdale nachylił się do Roya, dał mu przyjacielskiego kuksańca w prawą rękę. Lekkiego, i to w zdrową rękę, żeby nie zabolalo.

- Zuch chłopak - pogratulował mu Truesdale. - Od pierwszej chwili się na tobie poznałem. - Wstał, obszedł *Delię*. Ściszył głos, jak gdyby mówił do siebie. - A tak z ciekawości, skoro to nie jest gra, nasuwa się oczywiste pytanie. Czy istnieje prawdziwa Delia, która tłumaczy twoje opory?

Wypił łyk kawy, spoglądając srebrzystoniebieskimi oczami na Roya znad kubka.

- Nie - odrzekł Roy.

Truesdale pokiwał głową.

- Dziwne imię - stwierdził. - Dlaczego je wybrałeś? Jeżeli nie wściubiam za bardzo nosa, że użyję jednego z ulubionych powiedzonek mojej matki.

- Mojej również - powiedział Roy.

- Niemożliwe - zdziwił się Truesdale. - Czy ta zacna kobieta jest wśród nas?

- Owszem.

- Miło mi słyszeć. Moja mama od dawna nie żyje. Ale niech zgadnę, twoja ma na imię Delia.

- Edna - sprostował Roy.

- I mieszka gdzieś niedaleko?

- Na Florydzie.

- A gdzie dokładnie, jeśli wolno spytać?

- W Sarasocie - powiedział Roy.

- Piękna okolica - pochwalił Truesdale. - Dawno temu miałem ciotkę Ednę, straszliwą heterę. Kowboje na moim ranczu, starzy wyjadacze, trzęśli przed nią portkami. Znasz trochę Teksas?

- Odwiedzałem ze dwa razy.

- Byłeś na prawdziwym ranczu?

- Nie.

- W takim razie wpadnij do mnie kiedyś w dogodnym dla siebie terminie. - Z wewnętrznej kieszeni wyjął notes, zapisał coś złotym piórem. - Tu jest mój prywatny numer telefonu. - Podeszedł do Roya, dał mu kartkę. Roy spojrział w dół i zobaczył, że wyraźną różnicę wzrostu Cal zawdzięcza głównie kowbojskim butom na obcasach. - No to na czym polega sekret *Delii*?

Promieniujący ból po przyjacielskim kuksańcu zaczął ustępować. Roy znów poczuł się dobrze albo prawie.

- Nie ma żadnego sekretu - powiedział. - Była moją żoną.

- Rozwiodłeś się? - spytał Truesdale. - Nic więcej nie mów. Ja mam czwartą.

Miałby się rozwieść z Delią? Niemożliwe. Czy można sobie wyobrazić lepsze małżeństwo? Poza tym rodzina im się rozrastała, Delia była w trzecim miesiącu ciąży.

- Nie - zaprzeczył. Usłyszał wręcz gniew w swoim głosie, czego natychmiast pożałował. Skąd miałby Truesdale... zamożny amator, wręcz miłośnik jego sztuki, zapewne wedle oceny Krishny teraz nie najlepiej przez artystę traktowany... znać takie szczegóły z jego życia? - Umarła.

- Przykro mi - rzekł Truesdale.

Roy skinął głową.

- Dawno temu - dodał.

- Mimo to najszczerze wyrazy współczucia. - Spojrział na *Delię*. - Jak dawno temu?

- Prawie piętnaście lat.

- Ożeniłeś się drugi raz?

- Nie.

Truesdale pokiwał głową, jak gdyby składał kawałki układanki. Zirykowało to Roya. Miłośnik był zarazem kolekcjonerem, może nawet koneserem, który wiązał jego życie z twórczością, i to w jego obecności.

- Chyba wyciągasz za daleko idące wnioski - powiedział.

Wciąż dudnił mu w uszach komentarz: *Poharatany w srodku wybrales jazde po bandzie.*

- Ale skąd - zaprzeczył Truesdale. - Próbuję cię tylko poznać. - Ułożył palce w trójkąt i cicho zapytał: - Jak umarła?

- Zginęła w katastrofie lotniczej.

Truesdale spojrział na wykręcone śmigła *Delii*.

- W helikopterze? - spytał.

- Tak.

- Nienawidzę tych okropnych maszyn - stwierdził Truesdale. Roy czekał, aż powie coś o własnym helikopterze, który wylądował na hali, ale nawet się nie zająknął. Spytał natomiast: - Gdzie to się stało?

- W Wenezueli - rzekł Roy.

- Piękny kraj - powiedział Truesdale. - Prowadzę tam interesy.

- Hodowlę ananasów? - spytał Roy.

Truesdale zrobił zdziwioną minę.

- Mam zakład przetwórstwa krewetek i magazyny - odparł. - A dlaczego pytasz o ananasy?

- To długa historia - odparł Roy.

- Mam czas.

- Jak dobrze znasz ten kraj?

- Wenezuelę? Jeżdżę tam od czterdziestu lat.

- Dużo podróżujesz w głąb kraju?

- Trochę. A dlaczego pytasz?

Nie miał zielonego pojęcia, od czego zacząć. Oto trafił mu się bogaty, możny klient z koneksjami, zaprzyjaźniony z prezydentem Stanów Zjednoczonych, bo polowali razem na ranczu biznesmena. Kiedy los da mu taką drugą szansę?

- Opowiedz mi o uprawach ananasów w Wenezueli - poprosił Roy.

- Nie wiem, co powiedzieć - odrzekł Truesdale. - Hoduje się ananasy.

- Czy to tradycyjna uprawa? - spytał Roy.

- Jak to?

- Pytam, czy kiedy zacząłeś tam jeździć czterdzieści lat temu, widziałeś dużo plantacji ananasowych?

- Rozumiem. Nie, nie przypominam sobie.

- A teraz?

- Teraz widuje się plantacje.

- Kiedy nastąpiła zmiana?

- Trudno powiedzieć - stwierdził Truesdale. - Rzadko tam jeżdżę. Chyba w ciągu ostatnich pięciu albo dziesięciu lat, ale głowy nie dam.

Roy się zastanowił. Ananasowy projekt Delii nie miał sensu, jeśli Wenezuela już słygnęła z upraw, jak twierdził Dickie Russo, miałby natomiast ogromny sens, gdyby nie słygnęła, jak twierdził Truesdale. To wszystko kupy się nie trzymało. Gdzie tu błąd?

- Rozjaśniłem ci w głowie? - spytał Truesdale.

- Nie jestem pewien - odparł Roy.

Truesdale się nachylił, opuszkami długich palców dotknął kolana Roya.

- Zdradzisz mi, dlaczego tak cię nurtują ananasy?

Roy spojrzał w srebrzystoblękitne niebieskie oczy Truesdale'a. Skórę wokół miał pociemniałą, pomarszczoną od słońca południa, pofałdowaną w przyjazny, sympatyczny sposób.

- Delia zginęła podczas misji w Wenezueli. Miała rozwinąć tam uprawę ananasów - powiedział.

- I teraz próbujesz się dowiedzieć, czy misja się powiodła - podsumował Truesdale - żeby stanowiąc jej trwałe hołd. Bardzo to wzruszające.

- Niezupełnie - sprostował Roy.

- Niezupełnie? - zdziwił się Truesdale i usiadł wygodnie, zdejmując jednocześnie palce z kolana artysty. - To mi wytłumacz, bo nie rozumiem.

- Słyszałeś kiedyś o Instytucie Hobbesa? - spytał Roy.

Truesdale przewrócił oczami z zamyśleniem.

- Nie przypominam sobie - powiedział. - Jak go się pisze?

Roy przeliterował.

- Nie - rzekł Truesdale. - Co to za instytut?

- Centrum badawcze w Waszyngtonie, w którym pracowała Delia - wyjaśnił Roy.

- W ogóle nie znam tego świata - stwierdził Truesdale.

- Ale znasz prezydenta.

Truesdale się roześmiał.

- Naprawdę cię lubię. Czy znam prezydenta? Jasne, znam go bez mała trzydzieści lat, zanim jeszcze objął urząd wiceprezydenta. Był wtedy dopiero początkującym kongresmanem z najbardziej zapyziałego okręgu w naszym stanie. Pozwól, że teraz ja cię o coś zapytam. Poznałeś wielu polityków?

- Żadnego.

- Prawda wygląda tak, że polityków robiących karierę, zwłaszcza tych, którzy

kilkadziesiąt lat obracają się na scenie politycznej, nie sposób przejrzeć. A wiesz dlaczego?

- Nie.

- Bo nie zostało w nich nic. To jedna z najważniejszych nauk, jakie wyniosłem w swojej karierze. Nie wyobrażasz sobie, ile mi dała. - Nachylił się do Roya. - Po dwudziestu, trzydziestu latach życia politycznego jest w nich jedynie pustka. Resztę sprzedali, przehandlowali lub roztrwonili na pochlebstwa.

- Jak to? - zdziwił się Roy.

- Artysta twojego pokroju nigdy tego nie zrozumie - stwierdził Truesdale. - Politycy to pochlebcy, od początku do końca. Zawsze tak było i będzie.

Rzeczywiście?

- Przecież prezydent, każdy prezydent, już dotarł na szczyt - powiedział Roy. - Czy nie mógłby przestać się mizdrzyć?

Truesdale parsknął śmiechem znowu przypominającym szczek.

- Masz na myśli Washingtona i Lincolna - oświadczył. - Ale tamte czasy dawno minęły. Cofnęliśmy się do schyłku imperium rzymskiego, w którym wszyscy wyciągają szpony i pazury, żeby utrzymać, co się tylko da.

- Czyli co? - spytał Roy.

- Oczywiście globalną władzę - wyjaśnił Truesdale. - A także bogactwa i wpływy, jakie się z nią wiążą.

Roy w ogóle się na tym nie znał. Ciekawe, co Delia powiedziała teraz? Mnóstwo by dał, żeby usłyszeć jej opinię. Z grubsza jednak się domyślał.

- Delia zajmowała się podziałem bogactwa - oznajmił.

Truesdale zmrużył sympatycznie oczy.

- Naprawdę? - spytał.

- To był jedyny cel Instytutu Hobbesa - powiedział Roy.

- Rozumiem - rzekł Truesdale. - I ten instytut finansował projekt uprawy ananasów?

- Owszem, to był pomysł Delii - stwierdził Roy.

Truesdale odwrócił się znów, żeby spojrzeć na *Delię*, zupełnie jakby przyciągała go siłą grawitacji.

- Nie potrafię wyrazić, jaki ci jestem wdzięczny, że poświęciłeś mi czas - podziękował. Spojrzał na wykręcone śmigła u szczytu. - O wiele więcej teraz rozumiem. Wszystko układa mi się w spójną całość.

Cztery miesiące do roku. Może koktajl doktora Chu zadziała, może nie, ale czas Royowi nie sprzyjał. Czy w kwestii Instytutu Hobbesa zbliżył się do prawdy? Nie. Teraz natomiast

siedział u niego człowiek, do którego wszyscy oddzwaniali, który mógł szybko nadać bieg sprawom. Jakieś przeciwwskazania? Roy nie widział żadnych. Podjął decyzję.

- Wierz mi, Cal - powiedział - że nie wszystko się układa.

Truesdale nie odrywał oczu od *Delii*.

- Nie wszystko? Jak to?

- Pewno cię to zdziwi - zapowiedział Roy.

Truesdale przeniósł wzrok na niego.

- Zgadniesz, ile mam lat?

Pytanie wymagało podobnej odpowiedzi jak pytanie o temperaturę na Florydzie, najlepiej zaniżyć. Roy postanowił wykorzystać tę samą taktykę co wobec mamy.

- Sześćdziesiąt osiem.

Truesdale się uśmiechnął.

- Najlepszy dowód, że wciąż jesteś młody. Młodzi ludzie mają kłopoty z wielkimi liczbami przypominającymi o schyłku życia. Mam siedemdziesiąt dziewięć lat, a w lipcu stuknie mi osiemdziesiątka. Kiedy człowiek żyje tak długo, nic go już nie dziwi.

- W takim razie może coś zrozumiesz - powiedział Roy. - Instytut Hobbesa zapadł się pod ziemię.

- Czyli został zlikwidowany?

- Też tak z początku sądziłem - stwierdził Roy. - Teraz jednak odnoszę wrażenie, że nigdy nie istniał.

- Jak to?

- Począwszy od samej siedziby - wyjaśnił. - Wybrałem się tam kilka tygodni temu w nadziei, że znajdę kolegów *Delii* z tamtych czasów i...

Truesdale uniósł palec wskazujący.

- Po co? - spytał.

- Po co?

- No właśnie, po co ich szukałeś? - zapytał Truesdale.

Roy milczał.

- Co cię zainteresowało po tylu latach? - dodał.

Doktor Chu, międzybłoniak oskrzelowy, mięsakowy, nieoperacyjny, a dalej cała litania łacińskich nazw. Czy Roy chciał się wdawać w takie szczegóły? Nie.

- Ostatnio dużo o niej myślałem - odparł.

Natychmiast pojął, jak prawdziwe jest to stwierdzenie, prawda żyjąca własnym życiem, niezależnie od Instytutu Hobbesa.

- To zrozumiałe - rzekł Truesdale, wskazując *Delię*. - Słucham dalej.

Również nie chodziło tylko o pracę. Ale Roy nie miał czasu tego zanalizować - żeby wykryć, dlaczego Delia tak go zajmuje - bo teraz on, uczciwy mężczyzna, znalazł się w sytuacji, w której nie bardzo się sprawdzał. Pominięcie doktora Chu wymagało pominięcia nekrologu, a zarazem „New York Timesa”, Richarda Golda, Jerry'ego, nawet sierżanta Bettisa. Jednakże przyjęta przez niego skrócona wersja i tak zawierała wiele szczegółów: konsulatu greckiego, wyparcie się znajomości z Royem przez Toma Parisha, zniknięcie pomieszczenia na tyłach sklepu winiarskiego, przekonanie o wtargnięciu Lenore do jego domu oraz zniknięcie Skippy'ego, który prawdopodobnie trafił na Lenore i Westiego, a teraz może znajdować się w niebezpieczeństwie. Truesdale słuchał i nie odezwał się ani nie wydał żadnego dźwięku. Nie poruszył się też - dosłownie nie mrugnął srebrzystobłękitnymi oczami, których nie odrywał od Roya. Nawet kiedy Roy skończył, milczał przez chwilę.

Potem zaczerpnął głęboko tchu.

- Zaraz ci powiem, co o tym myślę - rzekł - ale chciałbym wiedzieć, z czym się na ogół spotykasz.

- Nie rozumiem.

- Jak ludzie zwykle reagują na twoją opowieść?

- Nikomu jeszcze tego nie mówiłem - wyznał Roy. Początkowe kłamstwo już wciągało go w labirynt, przed czym matka przestrzegła go we wczesnym dzieciństwie. - Pominąwszy adwokata.

- Z Waszyngtonu? - zapytał Truesdale.

- Nie, stąd - odparł Roy. - To mój przyjaciel.

- I co ci poradził?

- Właściwie, żebym o tym zapomniał - powiedział Roy.

Truesdale pokręcił głową.

- Ech, ci prawnicy - jęknął.

Roy musiał przetrwać jego komentarz.

- Czyli nie popierasz?

- Jasne, że nie!

- Też uważasz, że coś jest na rzeczy?

- Jak najbardziej - potwierdził Truesdale. - Historia to mój konik i wyniosłem z niej ważną lekcję, że czasem najbardziej szalone opowieści okazują się prawdą, zwłaszcza z pewnymi szczegółami. A już zwłaszcza, jeśli pochodzą od kogoś obdarzonego takim darem obserwacji jak ty.

- Czyli, co się, twoim zdaniem, dzieje?

- Za wcześnie wyrokować - powiedział Truesdale. - Ale podejrzewam machlojki finansowe. Z pewnością zamierzam je wykryć.

Roy poczuł, jak mu się prostuje kręgosłup, jak gdyby ktoś zdjął mu z barków ciężar, który przyginał go do ziemi.

- Co zamierzasz? Chcesz sprawdzić ich finanse?

- Między innymi - odparł Truesdale. - Kiedy przyszedł ci do głowy ten pomysł?

- To pomysł mojego adwokata - rzekł Roy. - Twierdzi, że za prywatnymi środkami stoją konkretni ludzie.

Truesdale roześmiał się z zachwytem.

- Za prywatnymi środkami stoją konkretni ludzie - powtórzył. - Ten twój adwokat naprawdę jest nie w ciemną bitą.

- Owszem.

- Jak się nazywa?

- Mike McKenny - rzekł Roy. - Ale wszyscy nazywają go Turk.

- Zapewne tak się przyjęło w środowisku hokeistów - stwierdził Truesdale. - I daleko posunąłeś się w badaniu finansów?

- Nie wiedziałbym, od czego zacząć - przyznał Roy.

- I bardzo dobrze - podsumował Truesdale, wstając. Miał ruchy znacznie młodszego mężczyzny. - Tym lepiej dla mnie. Spokojnie czekaj i pozwól mi się wszystkim zająć.

- Mogę ci podać rysopisy tych ludzi: Toma Parisha, Lenore, Westiego - zaproponował Roy.

- Założę się, że wiernie - powiedział Truesdale. - Ale nie będą konieczne.

- Nie są potrzebne?

- W każdym razie nie na tym etapie - uściślił Truesdale. - Bądźmy w kontakcie.

- Doceniam twój...

Truesdale powstrzymał go uniesieniem palca.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł. - A właściwie mój obowiązek wobec sztuki. Twój czas jest za cenny, żebyś marnował go na tak przyziemne sprawy.

- Wcale nie uważam...

Ale Truesdale już nie słuchał.

- A na końcu - podjął, podchodząc do *Delii* - kiedy wszystko się już wyjaśni, mam nadzieję, że podasz mi jakąś cenę możliwą do przyjęcia dla nas obu. Nawet nie będę cię tym trudził osobiście. Po prostu określ tę sumę marszandowi w dogodnym dla siebie czasie.

Roy nie chciał się rozstawać z *Delia*, ale jak miałyby się teraz wycofać?

- Wracaj do pracy, nie zaprzataj sobie głowy takimi problemami - zachęcił go Truesdale ciepłym głosem przypominającym trochę Williego Nelsona w gwiazdkowym albumie. - Ja się wszystkim zajmę. - Jeszcze raz dotknął rzeźby. - Nie myślałeś, żeby zainteresować sprawą dziennikarzy?

Owszem. Musiałby jednak opowiedzieć o Richardzie Goldzie, nekrologu, chorobie, dlatego zaprzeczył.

- Nie.

- Na razie chyba słusznie - pochwalił Truesdale. - Ale z czasem możemy to rozważyć. Mam kilka nieocenionych wtyczek w mediach. - Odwrócił się do Roya i dodał z szelmowskim mrugnięciem: - Zwłaszcza w mediach, których jestem właścicielem.

Roy się roześmiał. Truesdale mu zawtórował.

Rozdział 20

Wracaj do pracy.

Brzmiało zachęcająco. Sęk w tym, że Royowi odechciało się pracować nad *Ciszą*. Nie chciał już nawet patrzeć na długą srebrną zakrzywioną tuleję. Skąd? Naprawdę z elektrowni jądrowej? Schylił się, ale nie miał siły jej podnieść. Dziwne, bo przecież przyniósł ją tu bez trudu. Czy to możliwe, że ma zmienny ciężar atomowy? Roy ciągnął ją do drzwi, kiedy zadzwonił telefon.

- Cześć, Roy - przywitał go Krishna.

- Wybacz, że nie oddzwoniłem - przeprosił Roy. - Ale przed chwilą mnie tu odwiedził.

- Nie bardzo rozumiem - przyznał Krishna.

- Calvin Truesdale - wyjaśnił Roy. - Chyba po to dzwoniłeś, żeby mnie uprzedzić, że tu jedzie?

- Calvin Truesdale był u ciebie w domu?

- Dziesięć minut temu. Chciał zobaczyć *Delię*.

- Boże! - zawołał Krishna. - Czy ty wiesz, co to znaczy? Dwieście pięćdziesiąt tysięcy to tylko jego wstępna propozycja.

- Owszem, dał mi do zrozumienia - rzekł Roy.

- Ale co dokładnie powiedział?

- Co dokładnie?

- Tak, tak.

- Właściwie nie pamiętam - odrzekł Roy. - Że dwieście pięćdziesiąt daje na początek.

- Tak się dosłownie wyraził?

- Albo bardzo podobnie.

- Jasno to powiedział? Kawa na ławę? Bez niedomówień?

- Chyba uważał, że twardo negocjuje.

Krishna się roześmiał.

- Niezły dowcip. Będziemy bogaci, Roy. Bardzo bogaci.

- Ty już jesteś bogaty.

- Bogactwo to rzecz względna - pouczył go Krishna. Spoważniał. - Ale dostrzegam wyraźną ułomność w człowieku, który przestaje się emocjonować takimi sumami jak pół

miliona dolarów, a może i więcej. Zapominasz, że w dzieciństwie zaznałem biedy.

- Twoi rodzice byli lekarzami.
- Lekarzami w Indiach, a to zupełnie inna sprawa.
- Studiowałeś w Exeter.

- W Loomis, i to częściowo na stypendium - sprostował Krishna. - Ale chodzi o coś więcej niż pieniądze. Twoja kariera rzeźbiarza wkracza w nową fazę. Otwiera się przed tobą droga na szczyt. Pomyśl, jak daleko możesz zajść w dziesięć lat.

Roy milczał.

Krishna znów się roześmiał.

- Zajarzyłeś, jaką to ma wagę? Nie przejmuj się, ja się wszystkim zajmę. A jeżeli Truesdale skontaktuje się z tobą bezpośrednio, najlepiej od razu odeślij go mnie, zgoda?

- Zgoda - powiedział Roy.
- Doskonale - odparł Krishna. - No to do usłyszenia.
- Krishna?
- Tak?
- W jakiej sprawie dzwonisz?

- Racja, zapomniałbym - powiedział Krishna. - Pamiętasz klienta, o którym rozmawialiśmy? Tego, który kupił misę almorawidzką? Nawiasem mówiąc, zapłacił tysiąc dwieście dolarów, bo zapomniałem o wyższej cenie z powodu glazury. Ale i tak zrobił dobrą inwestycję. Nie zdziwiłbym się, gdyby...

- Mówisz o Paulu Habibie?

- Owszem. - Zaszleściły kartki papieru. - Wysłaliśmy ją pod adres dziewięćset dziewiętnaście Eliot Street, Cambridge, Massachusetts.

- Poczekaj - poprosił Roy, podchodząc do blatu. Pamiętał, że Habib był wówczas konsultantem oddelegowanym skądinąd. Zanotował adres na świstku papieru, na którym Skippy napisał: Wrócę później.

- Podaję ci numer telefonu - dodał Krishna.

Numer też zanotował.

* * *

Roy zadzwonił pod podany numer. Odebrał mężczyzna.

- Halo?
- Czy to Paul Habib?
- Pomyłka.

Klik.

Zadzwonił ponownie.

- Halo? - powiedział mężczyzna.

- Proszę się nie rozłączać - poprosił Roy. - Mam ważną sprawę.

- Co?

- Czy mieszka pan w Cambridge, Eliot Street dziewięćset dziewiętnaście?

- Nie. Co tu się dzieje? Czy to jakiś...

- Od jak dawna ma pan ten numer?

- Nie odpowiadam na takie pytania przez telefon.

- Ale...

Klik.

Roy wybrał jeszcze raz ten sam numer. Cisza. Po dziesięciu dzwonekch dał za wygraną.

* * *

Dziesięć minut spędził przy internetowej mapie. Następnie spakował torbę, przykręcił temperaturę w domu do trzynastu stopni. Wyciągnął długą srebrną tuleję na dwór. Śnieg chrząścił mu pod nogami i dodatkowo skrzypiał od siarczystego mrozu północy. Władował ją na tył półcieżarówki. Podrzucił Murphowi w drodze do miasta, oparł o stos zardzewiałego żelastwa w kącie złomowiska, bardzo się przy tym nachrzakał i zasapał. Widocznie za mało ostatnio ćwiczył. Murph przyglądał mu się z okna kantorka, ale nie wyszedł ani nie zamachał. Roy wsiadł z powrotem do półcieżarówki i skierował się na południe. Ale ziąb. Nastawił ogrzewanie na cały regulator. Prawie od razu zrobiło się za gorąco. Przykręcił dmuchawę, lecz nie pomogło. Otworzył okna. Zaczął padać śnieg, wirujące płatki trafiały do kabiny, ale Royowi w dalszym ciągu było za gorąco, jakby włączył się niewidoczny piec.

* * *

- Głodna?

- Nie mam czasu! - odkrzyknęła Delia.

Krzętałi się po kuchni ich małego mieszkanka. Nie tego pierwszego w Foggy Bottom, które Roy wynajął, kiedy jeszcze mieszkał sam, lecz drugiego, trochę dalej na północ. Roy stał przy kuchence, Delia wrzucała ubrania do walizki.

- Jajka na bekonie - zaproponował Roy.

- Nie zdążę.

Delia uwielbiała jajka na bekonie, zwłaszcza smażone przez Roya. Rozbił dwa duże jajka,

położył plastry boczku na patelni. Natychmiast zaczęły skwierczeć, a po chwili rozszedł się smakowity zapach. Roy niemal widział, jak unosi się w stronę nosa Delii.

- Nie mam, cholera, czasu! - zaklęła.

- Zawsze jest czas na jajka na bekonie - stwierdził Roy. - Bez nich życie straciłoby sens!

Przerwała pakowanie, spojrzała na niego. W złotych plamkach jej oczu zaigrało światło. Roy zawsze wtedy myślał, że to dyskretne wabiki dla poszukiwacza złota, podpowiedz, że w środku kryje się kopalnia.

- Lada chwila tu będzie - powiedziała.

- Kto?

- Habib. Ma po mnie przyjechać.

- Z jakiego lotniska odlatujesz?

- Nawet nie wiem.

Wrzuciła do walizki szczotkę do włosów, która odbiła się i wylądowała u stóp Roya. Podniósł ją i podał Delii.

- Co się dzieje?

- Nic.

Objął żonę.

- Trzy dni na Karaibach - powiedział. - To taka straszna perspektywa?

- Na Karaibach?

- To Wenezuela nie leży na Karaibach?

- Nie jedziemy tam.

Otworzyła usta, jakby chciała coś dodać, ale milczała. Nikt nie miał takich ust, można z nich było czytać jak z oczu. Roy ją pocałował.

- Przestań - poprosiła.

Porwał ją w ramiona, zakręcił, delikatnie posadził na krześle przy stole.

- Jajka na bekonie - oznajmił.

Przez chwilę miała zagniewaną minę. Zaraz się jednak roześmiała.

W milczeniu jedli jajka na bekonie, dotykając się stopami pod stołem. Nawet nie usłyszeli pierwszego klaksonu z ulicy.

Roy podszedł do okna, wyrzwał. W Waszyngtonie panowała wiosna. Ich wiśnia rosła na kawałku trawy na chodniku przed domem. W pełni rozkwitu przypominała zastygły wybuch rózu. Na włączonym silniku stał odkryty kabriolet - biały z białą tapicerką, za kierownicą siedział Paul Habib. W dziwnej skróconej perspektywie Roy widział kanciastą głowę, barczyste prostokątne ramiona, pulchne dłonie na kierownicy.

- Zaczyna łyściec - stwierdził Roy, odwracając się do żony.

- No dobrze - powiedziała Delia.

Kłęczała przy walizce, próbowała zaciągnąć suwak.

- Nie zapomniałaś kostiumu kąpielowego? - spytał Roy.

- Nie jadę na urlop.

- Ale tam jest gorąco - rzucił Roy, bo przypomniał sobie, że nie widział, żeby pakowała szorty lub bluzki z krótkimi rękawami.

- Gorąco jak diabli - przyznała. Na skroni pulsowała jej błękitna żyłka w kształcie błyskawicy. Delia mocowała się z suwakiem. - Cholera, złamałam paznokcieć.

Włożyła palec do ust. Oczy jej się zaszkliły? Nie, to do niej niepodobne, może zamigotało w nich po prostu subtelne światło wiosennego poranka, które wpadło przez okno. Roy zamknął walizkę na suwak. Ich ręce się zetknęły. Delia zamarła.

- Mam już dosyć - powiedziała.

- Czego?

- Spodziewamy się dziecka. - Wyczuł, że drży jej dłoń. - A to wszystko zmienia.

Roy słyszał, że ciąża powoduje czasem huśtawkę nastrojów, zastanawiał się, czy tak jest w wypadku Delii.

- Jak to? - spytał.

Habib zatraził ponownie.

Żyła na skroni pulsowała.

- Porozmawiamy po moim powrocie.

- O czym?

Delia uśmiechnęła się do niego.

- Tylko o dobrych rzeczach.

Cofnęła dłoń.

- Na przykład? - spytał. - Habib może poczekać pięć minut.

Ale Delia pokręciła głową. Roy zniósł walizkę do samochodu.

- Cześć, Paul.

- Witaj, co słyhać? Wrzuć na tył.

Habib miał wiśniową koszulę. Pod obiema pachami wykwitły plamy potu.

Roy postawił walizkę na tylne siedzenie. Pocałował Delię. Tym razem go nie powstrzymywała. Przez ułamek sekundy popatrzyła mu głęboko w oczy, a potem zamknęła swoje. Roy poczuł smak jajek. Delia wsiadła do samochodu.

- Do zobaczenia w piątek - pożegnał ją. Poklepał bagażnik. - Szczęśliwej podróży.

Odjechali, Habib z wyprostowaną kanciastą głową, Delia swoją owalną głowę przechyliła nieco w prawo.

* * *

Dzwonek. Telefon. Roy sięgnął do stolika nocnego. Nie wymacał słuchawki.

Otworzył oczy. Nie leżał w łóżku, ale siedział skulony za kierownicą półciężarówki, której fotele, podłogę, deskę rozdzielczą pokrywała kilkucentymetrowa warstwa śniegu.

Dryń, dryń.

Obejrzał się, może trochę rozkojarzonym wzrokiem zobaczył, że stoi w kącie dużego parkingu. Po drugiej stronie znajdowała się restauracja McDonald, stacja benzynowa Mobil, długie sznury samochodów za pługami śnieżnymi w obu kierunkach. Autostrada Mass Pike, miejsce obsługi podróżnych, zapewne następne po zjeździe numer 14.

Dryń, dryń.

Gdzie to dzwoni...

Wyjął telefon z kieszeni.

- Halo?

- Roy? Mówi Cal Truesdale. Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

- Nie - powiedział Roy, spoglądając na zegar. - Oczywiście, że nie.

Na autostradzie zatrąbiła długo i głośno ciężarówka.

- A cóż to za hałasy na twojej małej uliczce? - spytał Truesdale.

- Bo ja...

Truesdale się roześmiał.

- Piękna dolina, Roy. Niedaleko mieszka Tom Thompson.

- A kto to jest? - spytał Roy.

- Kanadyjski malarz, którego kolekcjonuję - wyjaśnił Truesdale. - Ale nie dlatego cię niepokoję. Pamięć nie dopisuje mi jak dawniej. Zapomniałem spytać cię o najważniejsze.

- Mianowicie?

Zimno w kabinie. Włączył silnik, zamknął okna.

- Wspomniałeś pewnego mężczyznę - przypomniał Truesdale. - Byłego szefa Delii, którego goniłeś w sklepie winiarskim.

- Nazywa się Tom Parish.

- O właśnie - powiedział Truesdale. - Po co go tam szukałeś?

Odpowiedź: Wykorzystał zdjęcie w telefonie komórkowym Richarda Golda. Komórka zniknęła, kiedy trzeba było ją pokazać sierżantowi Bettisowi. To była pierwsza komplikacja.

A druga: Wiadomości o telefonie Golda nie da się oddzielić od nekrologu, doktora Chu ani pozostałych informacji, które zataił w wersji opowiedzianej Truesdale'owi.

- Roy, jesteś tam?

Nagle zdał sobie sprawę, dlaczego tak się wzdraga przed powiedzeniem prawdy. Z tego samego powodu, z którego wyjawiał swoją diagnozę tylko Turkowi, a i to niechętnie. Bo wypowiedzenie tych słów na głos urzeczywistniało sytuację.

- Miałem szczęście - powiedział.

- Szczęście?

- Kręciłem się po okolicy, bo kiedyś tam mieszkałem, kiedy go zauważyłem.

- Rzeczywiście, szczęście - przyznał Truesdale. - Los się do ciebie uśmiechnął.

- Aha. - Przez chwilę rozważał, czy przekazać Truesdale'owi nowy zamiar na Paula Habiba. Ale zamiar był niepewny, a poza tym sam nie chciał czekać z założonymi rękami. Sprawa Instytutu Hobbesa coraz bardziej go nurtowała. Z drugiej strony podgryzała go choroba - zrozumiał, że toczą wyścig, dlatego nie może czekać. Bo stawka jest bardzo...

Jednocześnie uderzyła go ważna myśl - sprawa dotyczy nie tylko jego. Dotyczyła również Toma Parisha, Lenore, Westiego i Bóg wie kogo jeszcze, wszystkich, którzy zadali sobie dużo trudu, żeby zatrzeć ślady po Instytucie Hobbesa. Po co? Co by się stało, gdyby informacja o jego istnieniu przedostała się na zewnątrz? Po co tyle starań? Komu by to zagrażało? O jaką stawkę grają tamci?

- Coś cię nurtuje? - spytał Truesdale.

- Nie - odparł Roy. - Dziękuję za pomoc.

- Nie ma za co - powiedział Truesdale. - I trzymaj się.

* * *

W Cambridge, na wschód od drogi 495, śnieg przeszedł w deszcz, a kiedy Roy zaparkował przed Eliot Street 919, padał już tylko kapuśniaczek i nad zaspami śnieżnymi unosiły się wstęgi mgły. Znał trochę okolicę, kilka przecznic od Harvard Square, bo zawsze świętował tam z kolegami z drużyny po wygranych meczach z Harvardem, w barach, które zawsze wyzwalaly w nich najgorsze instynkty, niezależnie od tego, czy wygrali, czy przegrali. Z obu stron stały rzędem wysokie, wąskie, murowane szeregowce, jedno odnowione, inne nie. Numer dziewięćset dziewiętnaście znajdował się prawie na końcu.

Wszedł po schodach. Nalepka na drzwiach nakłaniała do postawienia prezydenta w stan oskarżenia. Podobne naklejki widywał na zderzakach w Ethan Valley. Czy prezydent zwracał uwagę na takie napisy? Może omawiał je z Calvinem Truesdale'em, kiedy czekali, aż zerwie

się stado kuropatw? Nacisnął dzwonek.

Drzwi się otworzyły. Wyrzała pięcio- może sześćoletnia dziewczynka. Natychmiast spojrzała na jego gips.

- Cześć - przywitał się Roy. - Czy któregoś z rodziców jest w domu?

Pokiwała głową.

- Mógłbym z którymś z nich porozmawiać?

- Mama jest w pracy. Tata smaży chińszczyznę.

- Mogłabyś go poprosić?

- Taaa-tooo.

Zjawił się mężczyzna. Zapewne rówieśnik Paula Habiba, ale nie on. Wysoki, szczupły, o kościstej, ascetycznej twarzy.

- Anya, przecież wiesz, że nie wolno ci nikogo wpuszczać.

- Nie wpuściłam - zaperzyła się Anya.

Ojciec dziewczynki obrzucił Roya wzrokiem, wziął ją za rękę, pociągnął za siebie.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział Roy. - Szukam Paula Habiba.

- Nikogo takiego tu nie ma - odparł mężczyzna.

- Jestem pewien, że tu mieszkał.

Coś się zmieniło w oczach mężczyzny.

- Habib, powiada pan?

- Paul.

Mężczyzna pokręcił głową.

- Nie pamiętam żadnego Paula - stwierdził - ale kupiliśmy ten dom od niejakiej pani Habib. Mieszkała tu sama.

- Kiedy to było? - spytał Roy.

- Prawie czternaście lat temu - powiedział mężczyzna.

Anya zza jego pleców dopowiedziała:

- Przed moim urodzeniem.

- A pamięta pan, jak miała na imię? - spytał Roy.

- Nie pamiętam.

- Może ma pan w akcie notarialnym zakupu - podsunął Roy.

Mężczyzna spojrzał na niego, ale nic nie powiedział.

- To ważne - dodał Roy.

- Dlaczego?

Roy nie miał się czego uchwycić, co najwyżej nalepki na drzwiach.

- Moja żona pracowała z Paulem Habibem w projekcie rolniczym dla Trzeciego Świata.

Tamten kraj chce mu dać nagrodę.

Roy się zdumiał, jak łatwo przyszło mu to kłamstwo. Może wystarczy odrobina wprawy.

- Jaki kraj? - spytał mężczyzna.

Nic prostszego.

- Kuba - powiedział Roy.

Po dwóch minutach znał już imię - Janet.

- A tu ma pan adres, pod który się przeprowadziła - powiedział mężczyzna, wręczając mu wizytówkę. - W Cape Cod. Dawno temu, ale nic nie wiadomo. Powodzenia.

Rozdział 21

Nie wiadomo, dlaczego Roy zawsze uważał, że to był chłopiec. Ale przecież mogła być dziewczynka. Jeszcze nie zdecydowali, ile prenatalnych informacji chcą poznać, zanim Delia wyjechała do Wenezueli. Teraz, kiedy zobaczył Anyę, tknęło go, że mógł mieć córkę podobną do tej dziewczynki. Mógł mieć małą Delię. Dziecko mogło być chłopcem lub dziewczynką. Nie wolimy niespodzianki? - spytał Delię. Zawahała się. Znał tę jej minę; kiedy nie była czegoś pewna, zaraz marszczyła czoło, jak gdyby złościła się na siebie. Im bliżej Cape Cod, tym bardziej niebo się przejaśniało, a ruch na drodze był niewielki, mógł więc napawać się obrazem Delii i tą jej miną, którą widział z najdrobniejszymi szczegółami, jak chociażby pociemniałe nieco złote plamki w oczach. Czy ta mina zostałaby jej na całe życie, czy Delia by z niej wyrosła? Bardzo chciałby usłyszeć teraz jej głos, najchętniej radę: *Walcz jak sukinkoty*. Albo: *Czy mu się uda?* Albo cokolwiek.

Roy przejechał przez most Bourne'a. W dole płonęło zachodzące słońce, odbijając się na powierzchni kanału. Z drugiej strony po ścieżce rowerowej jechał chłopak na rolkach, a za nim wlokł się jego długi cień. Zjeżdżając z mostu, Roy okrążył rondo i skierował się na południe. Wyjął telefon komórkowy i wybrał numer Skippy'ego.

- Joł. Mówi Skipster. Zostaw wiadomość albo nie. Wedle... - Trzaski. A po chwili: - Halo?

Męski głos, ale nie Skippy'ego.

Roy szarpnął kierownicą w prawo, stanął na poboczu.

- Halo? - powtórzył mężczyzna.

- Kto mówi? - zapytał Roy. - Gdzie jest Skippy?

- Nie znam żadnego Skippy'ego - powiedział mężczyzna. - To nie jest mój telefon. Znalazłem go dziesięć minut temu.

- Gdzie? - spytał Roy.

- W Ethan Valley, w Vermoncie - powiedział mężczyzna.

- Ja tam mieszkam - rzekł Roy. - Gdzie pan znalazł ten telefon?

- Jak pan się nazywa? - spytał mężczyzna. - Czy ja pana znam?

- Roy Valois - przedstawił się Roy. - Gdzie pan...

- A, to pan jest... był przyjacielem Jen, nie myłę się?

- Zna pan Jen?

- Pracuję w patrolu narciarskim - powiedział mężczyzna. - Właśnie teraz jestem w pracy.

I znalazłem telefon.

- Gdzie?

- Jak dobrze zna pan naszą górę?

- Nieźle.

- Z drugiej strony też?

- Dlaczego pan pyta?

- Bo tu ją znalazłem - odrzekł mężczyzna. - Zna pan schronisko na bocznej grani Szlaku Appalachów? Telefon wystawał z zasy śnieżnej przy drzwiach. Ma krótką antenę, ale błyszczała, dlatego zauważyłem.

- Należy do Skippy'ego Bedarda - poinformował Roy.

- Nic mi to nazwisko nie mówi.

- To dzieciak, szesnastolatek. Chudy, długie włosy, miał na sobie brązowo-żółtą kurtkę.

- Nikogo takiego nie widziałem.

- A wysoką Mulatkę po czterdziestce? Albo młodszego mężczyznę metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ponad sto dziesięć kilogramów wagi?

- Też nie - powiedział strażnik z patrolu. - Nikogo zresztą nie widziałem. Właśnie skończyłem ostami zjazd. Na całej górze nikogo nie ma.

- Zajrzał pan do schroniska?

- Jasne. Zawsze zaglądamy. Nikogo tam nie było.

Roy siedział w półciężarówce na poboczu. Może powinien wrócić? Czy wiadomość o komórce Skippy'ego jest dobra, czy zła? Skippy nie poradzi sobie z takimi wygami jak Lenore czy Westie, zresztą chyba z nikim. Roy próbował szukać plusów tej sytuacji. Druga strona, bo nie wątpił w jej istnienie, nie zostawiała rozgrzebanych spraw, a więc telefon leżący w śniegu może oznaczać, że chłopak jest bezpieczny. Poza tym Roy już znajdował się na Cape, blisko domniemanego miejsca zamieszkania Janet Habib, cztery do pięciu godzin jazdy od Ethan Valley.

- Właśnie wchodzę do schroniska - powiedział strażnik. - Miałem zamiar oddać ten telefon do biura rzeczy znalezionych.

- Niech pan tego nie robi - poprosił Roy.

- Nie?

- Bardzo pana proszę - rzekł Roy. - Teraz jestem poza miastem. Zna pan Freddy'ego Boudreau?

- A kto to taki?

- Sierżant policji.

- Ten groźny z wąsami?

- Przy bliższym poznaniu okazuje się, że wcale nie jest groźny - zapewnił Roy. - Mógłby pan mu oddać telefon?

- No dobrze.

- Ale zaraz? - spytał Roy.

- Jak to zaraz?

- Zapłacę panu za poświęcony czas.

- E, nie trzeba - rzekł strażnik z zażenowaniem.

- Dzięki - powiedział Roy. - Niech pan mu powie, gdzie go znalazł. I wspomni, że prosiłem, żeby pofatygował się na górę do schroniska i dobrze się rozejrzył.

- Nie urwie mi głowy?

- W razie czego to mnie urwie - zapewnił go Roy.

- O co tu chodzi? - zapytał strażnik. - Czy temu chłopakowi coś grozi?

Roy poczuł delikatny prąd w ramieniu. Przebiegł, ale znikł. W miejscu, w którym Lenore trafiła na wrażliwy nerw.

* * *

Nigdy nie był na Cape. Wyobrażał sobie plażę, ocean, mewy, ale nie zobaczył nic z tych rzeczy. Pod podanym adresem - Hatchville, Kettle Lane 1 - znalazł dom położony w głębi sosnowych lasów, ostatni przy polnej drodze. Trzy razy musiał pytać o drogę i dlatego dom znalazł dopiero o zmroku. Żółte światła błyskały spomiędzy drzew, z komina sypały się złote iskry. Mała chałupa kryta gontem, do której prowadził ceglany podjazd w opłakanym stanie. Podchodząc do drzwi, usłyszał dzwoneczki wietrzne.

Już miał zapukać, kiedy z drugiej strony drzwi rozległ się kobiecy głos:

- Kto tam?

- Roy Valois.

- Nie znam nikogo o tym nazwisku.

- Szukam Janet Habib.

- Po co?

- Moja żona pracowała z Paulem Habibem. Chciałbym z nim porozmawiać.

Cisza.

Roya coś tknęło.

- Jeżeli państwo nie są już razem, może pomogłaby mi się pani z nim skontaktować.

- Pracowała z nim w MIT? - spytała kobieta.

- Nie - odparł Roy. - W Instytucie Hobbesa.

Znów cisza.

- Jak pańska żona ma na imię?

- Delia - powiedział Roy. - Delia Stern.

Nie minęło pół minuty, a kobieta zareagowała w zdumiewający sposób.

- Czy ta zdzira jest z panem?

- Słucham?

Cisza. Royowi zdawało się, że słyszy oddalające się kroki. Następnie ich powrót. Cichy szcęk odsuwanej zasuwki. Drugi, głośniejszy. Na ostatku brzęknął odpięty łańcuch. Drzwi się uchyliły. Stała za nimi siwa kobieta z włosami w nieładzie. Z tyłu za nią trzaskał na kominku ogień. W uszach miała duże koła, była w dżinsach i kolorowym skandynawskim swetrze. Całość tworzyła spójny obraz, podobne kobiety widuje się również w górach Vermontu. Jeden szczegół nie pasował do obrazka, mianowicie pistolet w ręce, tak zaskakujący, że Roy musiał spojrzeć dwa razy. Dominował nad całą sceną - zwłaszcza że był większy od rewolweru znalezionego w schowku Skippy'ego i bardzo się od tamtego różnił, chociaż Roy, całkowity ignorant w dziedzinie broni palnej, nie umiałby określić czym - nadawał ton.

Roy podniósł odruchowo ręce do góry, w geście zaprogramowanym w zakamarkach mózgu.

- Ma pan przy sobie broń? - spytała.

- Oczywiście, że nie. I proszę we mnie nie mierzyć.

Pistolet nawet nie drgnął. Kobieta omiotła spojrzeniem Roya, jego samochód, który stał na obrzeżu światła padającego na dom, i otaczający go las.

- Jest pan sam?

- Tak - potwierdził Roy. - Czy pani pytanie dotyczyło mojej żony?

Machnęła lufą, oddalając pytanie.

- Jak mnie pan znalazł? - spytała.

- Przez marszanda Krishnę Madapana. Sprzedał państwu marokańską misę.

Janet Habib spojrzała znów na niego.

- Pan jest tym rzeźbiarzem?

- Tak.

- Czego pan chce?

- Już mówiłem. Chcę porozmawiać z Paulem.

- Chyba nie mówi pan poważnie.

- Jak to?

Przez chwilę patrzyła mu w oczy, a potem opuściła pistolet i odsunęła się. Roy wszedł do środka. Od progu zauważył wiszący nad kominkiem szkic węglem przedstawiający Paula Habiba. Podszedł bliżej, twórca złagodził rysy Habiba, przez co portret wypadł mniej interesująco. Usiłował odczytać podpis w prawym dolnym rogu, kiedy usłyszał odgłos ryglowanych za nim drzwi i szcęk zasuwanego łańcucha.

Odwrócił się. Janet nie trzymała już pistoletu w drobnych, kościstych dłoniach. Prawie na wszystkich palcach miała pierścionki, dlatego trzeci palec lewej ręki wydawał się osamotniony.

- Czy to niedawny szkic? - spytał Roy. - Bo mąż prawie się nie zmienił.

- Pan ze mnie kpi? - spytała. Twarz zapłonęła jej blaskiem ognia z kominka, chociaż oczy pozostawały w cieniu. - Czy jest pijany?

- Co pani wygaduje?

- To ja pytam, co pan wygaduje! - zawołała Janet podniesionym głosem. - Paul zginął piętnaście lat temu. Równy piętnaście będzie na wiosnę.

Roy usiadł, a właściwie zorientował się, że usiadł, kiedy już siedział na murowanym palenisku. Nogi miał jak z waty.

- Leciał tym samym helikopterem?

- Jakim helikopterem?

- Tym, który rozbił się w Wenezueli - uściślił Roy.

Janet zbliżyła się o krok. Zmrużyła oczy, twarz jej pałała gniewem.

- Powiedziała panu, że helikopter rozbił się w Wenezueli?

- Kto?

- Delia - rzuciła Janet z odrazą, jak gdyby brzydziła się tym imieniem.

- Delia nic mi nie powiedziała - odburknął Roy. - Przecież sama zginęła w tej przeklętej katastrofie.

Janet pokręciła głową.

- Teraz pan gada od rzeczy.

- Co też pani mówi! - zdziwił się Roy. - Chodzi mi o projekt uprawy ananasów.

- O żadnej uprawie nie słyszałam - stwierdziła Janet.

- Jak to? - zapytał Roy. - Przecież mieli nauczyć Wenezuelczyków hodować ananasy. Pani mąż przyjechał po Delię, żeby ją zabrać na lotnisko. Polecili do Wenezueli, gdzie

zginęła w katastrofie lotniczej. Tylko nie rozumiem, dlaczego nikt mnie nie powiadomił, że Paul również zginął.

Janet stała z rozdziawionymi ustami.

- Skąd pan ma takie rewelacje?

- Przecież to fakty.

- Kto tak twierdzi?

- Ja - powiedział Roy. - Ja tak twierdzę.

- Był pan w Wenezueli? Widział pan ten wypadek?

- Nie.

- To skąd pan wie? - spytała Janet. - Kto pana poinformował?

Kto? Musiał go ktoś informować? To było wydarzenie historyczne, jak pożar w Chicago albo lądowanie w Normandii. Czy w przypadku śmierci Delii istniał tylko jeden informator? Tak.

- Tom Parish.

Janet prychnęła.

- Wszystko jasne.

- Co pani sugeruje? - spytał Roy. - Był ich szefem.

Janet spojrzała na niego spode łba. Następnie wyjęła chusteczkę z pudełka na kominku i mu podała.

- Leci panu krew z nosa.

Roy przyłożył chusteczkę do nosa, obejrzał ją. Wykwitły na niej czerwone plamy.

- Niech pan odchyli głowę do tyłu - poradziła Janet. Ale Roy nie miał teraz czasu na głupstwa. Chciał jak najszybciej zrozumieć, co ta kobieta do niego mówi. Osuszył niecierpliwie, wręcz z wściekłością, nos i wrócił do tematu.

- Tom Parish przywiózł jej ciało. Przemawiał na pogrzebie.

- Co pan kombinuje? - spytała.

- Nic nie kombinuję - odparł. - Dlaczego pani tak sądzi?

- Bo opowiada mi pan dyrdymały. Jakaś katastrofa lotnicza, Tom Parish, który przywozi ciało. Wierutne bzdury.

- Jak to?

- Przecież Delia wróciła do domu cała i zdrowa - stwierdziła Janet.

- Delia?

- Delia.

- To jakiś obłąd.

- Nasuwa się mnóstwo negatywnych określeń, ale akurat nie obłąd - sprostowała Janet. -
Chociażby obrzydliwość, cynizm, okrucieństwo, ale nie obłąd.

Royowi zakręciło się w głowie. Wokół twarzy Janet pojawiła się nikła, pulsująca aura.

- Co pani usiłuje mi powiedzieć? - spytał.

- W takim razie niech pan posłucha - rzekła Jane. - Tom zapukał do moich drzwi.
„Zdarzył się wypadek. Bardzo mi przykro. Paul nie żyje”. Powtarzam słowo w słowo.

- Do pani domu w Cambridge?

- Zgadza się.

- Po tamtej podróży?

- Owszem.

- Wiosną?

- Przecież mówimy o jednej podróży - powiedziała Janet. - Spytałam Toma: „Jaki wypadek?”. Dowiedziałam się, że samochodowy. Podobno Delia jechała za szybko i samochód runął w przepaść.

Delia rzeczywiście jeździła za szybko. Ten jeden szczegół się zgadzał. Ale co za różnica, czy to była katastrofa lotnicza, czy wypadek samochodowy? Coś innego natomiast stanowiło dla Roya zasadniczą różnicę.

- Dlaczego pani twierdzi, że Delia wróciła do domu cała i zdrowa?

- Tom przyjechał limuzyną - oznajmiła Janet - z zaciemnionymi szybami z tyłu. Ale kiedy wyszedł ode mnie na ulicę, obserwowałam go zza zasłony. Otworzył tylne drzwi i zobaczyłam ją siedzącą w środku.

Ktoś popełnił kolosalny błąd... ale przecież błąd zawsze oznacza, że gdzieś czai się wyjaśnienie, które wystarczy znaleźć.

- Jak pani poznała, że to ona? - spytał Roy.

Janet wzruszyła ramionami.

- Tak jak poznaje się wszystkich znajomych - powiedziała. - Spotkałyśmy się wiele razy.

- Gdzie?

- Raz czy dwa w Cambridge, potem na obiedzie w Waszyngtonie. To na pewno była ona. Siedziała z tyłu na środku, obok jakiś mężczyzna. Miała zabandażowaną głowę, ale i tak ją poznałam. Przecież pan wie, że miała charakterystyczną urodę.

Chociaż Roy nie wierzył w aury, wiedział, że zwiastują kłopoty. Teraz aura Janet zaczęła się rozrastać w jego stronę.

- Miała zabandażowaną głowę? - spytał cichym, dochodzącym jakby z daleka głosem.

- Ale jak najbardziej żyła - zapewniła go Janet.

- Nie wierzę - powiedział Roy.

- Jak pan uważa - odburknęła Janet. - Skoro uwierzył pan w bajki o Wenezueli, we wszystko pan uwierzy.

- Jak to?

- Dlaczego miałyby jechać do Wenezueli akurat z Paulem? - zapytała Janet.

- Nie rozumiem.

- Takie to trudne? Przecież nie nazywał się Hernandez ani Rodriguez, lecz Habib.

- Chodzi pani o to, że nie znał hiszpańskiego? - spytał Roy. - Delia też nie znała.

- Bo to nie do niej należało - stwierdziła Janet.

Roy pokiwał głową.

- Byli ekonomistami.

- Paul był historykiem, a nie ekonomistą.

- Nie wiedziałem.

- Specjalizował się w Afryce Północnej i biegle władał dialektami Maghrebu - wyjaśniła Janet. - Dlatego go zatrudniono.

- Do sekcji Toma? - spytał Roy.

- Jakiego tam Toma! - Janet się zachnęła. - Co się pan tak uczeplił tego Toma? Do sekcji Delii.

- Delia go zatrudniła?

- Była jego szefową - powiedziała Janet.

Dosięła go aura drżąca na obrzeżach.

Rozdział 22

Roy nie słyszał burzy, ale wiedział, że szaleje obok. Nie miał się czego bać, siedział bezpiecznie w ciepłym igloo. Czy musiał wysuwać stamtąd nos? Nie przychodził mu do głowy żaden powód. Niech więc sobie duje. Odprężył się. Wsłuchał się w ogień trzaskający nieopodal. Robiło mu się coraz cieplej.

Tyle że... no właśnie. Igloo buduje się z lodowych brył. Dlatego rozlewające się ciepło mogło oznaczać tylko... no właśnie. Nieszczęście. Nieszczęście takie jak topnienie, przeciekanie, bezdomność. Otworzył oczy.

Ogień rzeczywiście trzaskał nieopodal. Roy się odsunął.

- Nic panu nie jest?

Rozejrzał się, może nawet z odrobiną strachu. Zobaczył nad sobą twarz kobiety z siwymi włosami w nieładzie i podkrążonymi oczami. Janet Habib.

- Zemdlał pan - powiedziała.

- Niemożliwe! - zawołał.

Zerwał się, a w każdym razie jego mózg wysłał taki sygnał. W rzeczywistości jednak wstał powoli, z trudem, bez tchu. Miał czas, żeby wszystko sobie przypomnieć.

- Nic panu nie jest? - ponowiła pytanie.

- Widziała ją pani żywą? - spytał.

Pytanie zabrzmiało mu dziwnie, podobnie zresztą jak własny, nieoczekiwanie starczy głos.

- Tak jak powiedziałam - zapewniła go Janet. - Ale pan zbladł!

- Delię?

- Delię.

- Przecież to niemożliwe - stwierdził Roy. - W takim razie dlaczego...

- Dać panu wody?

Pokręcił głową. W takim razie dlaczego nie wróciła do domu?

Janet poszła do kuchni i przyniosła szklanekę wody. Podała mu upierścienioną ręką. Brakowało tylko obrączki na serdecznym palcu. Wypił najpierw łyk, potem dwa, a resztę zachłannie, jak gdyby wrócił z pustyni. Dosłownie przełknął jednym haustem. Na własnej skórze odczuł, że woda równa się życiu.

Janet nie odrywała od niego wzroku.

- Proszę się nie bać - powiedziała. - Jest zdatna.

- Nie bardzo rozumiem.

Poczuł wyraźny przypływ sił, wróciła dawna forma.

- Woda - wyjaśniła. - Zanieczyszczenie rozlewa się po wodach podziemnych, ale moją studnię sprawdzano tydzień temu i nic nie wykryto. - Wzięła od niego pustą szklanę. - Chciałabym coś panu pokazać.

- Co?

- Na dworze.

Roy włożył kurtkę. Janet wzięła latarkę, poprowadziła go na zewnątrz, za szopę na tyłach domu. Na niebie zjawił się księżyc, wprawdzie tylko rogalik, ale odbijał się niezliczoną ilość razy w pomarszczonej tafli pobliskiego stawu.

- Piękna okolica - stwierdziła Janet. - Jeżeli ktoś lubi zacisze.

Otworzyła szopę, oświetliła latarką wnętrze. Roy zobaczył stary biały kabriolet z odsuniętym dachem pokryty kurzem i pajęczynami.

- Samochód Paula? - upewnił się, chociaż wiedział. Biały z białą tapicerką, czekał na Delię pod ich kwitnącą wiśnią.

- Uwielbiał go - oznajmiła Janet.

Roy podszedł, położył rękę na zagłówku od strony pasażera. Zimna, spękana skóra, ale kiedy jej dotknął, poczuł, jakby dotknął Delii. Jeżeli do tej pory zdarzały mu się takie rzeczy, czy to nie znaczy, że znał ją na wylot?

- Chciałam go nawet pochować w tym wozie - powiedziała Janet. - A potem ogarnęły mnie wątpliwości, czy on by sobie tego życzył? Byliśmy młodzi. Tylu rzeczy nie zdążyliśmy omówić.

Roy pokiwał głową.

- Najdziwniejsze, że w końcu właściwie go w nim pochowałam - dodała.

- Nie rozumiem.

Podeszła, sięgnęła do samochodu, otworzyła schowek. Wyciągnęła owalną, spłaszczoną na końcach urnę wykonaną z matowego srebrnego metalu, być może cyny.

- Przysłano mi ją po kilku dniach kurierem - wyjaśniła. - Nie zdobyłam się na ostatni krok, żeby pogrzebać samochód. Uznałam to za przesadę.

Trzymała urnę na ręku, tak jak się trzyma niemowlę.

Jak to się mówi? *Kiedy prawda wyjdzie na jaw*. Kiedy Delia wyjdzie na jaw? Chyba już niedługo, co? I wtedy uderzyła go, niemal fizycznie, pewna myśl. Jeżeli Janet Habib mówi

prawdę, możliwe, że prawda o Delii w końcu wyjdzie na jaw. Albo nie tylko prawda... Wręcz niewyobrażalna dalsza sekwencja zdarzeń kazała mu się oprzeć o samochód i przez chwilę, na wszelki wypadek, przytrzymać.

- Czy mogłaby mi pani powtórzyć - poprosił.

- Ale co?

- Jak Delia przyjechała pod pani dom w Cambridge.

- Nie mam powodu pana przekonywać - stwierdziła Janet. - Nie obchodzi mnie, czy pan wierzy.

- Bardzo panią proszę.

Zerwał się wiatr, zatrzasnął drzwi szopy. Janet zapaliła światło, rozbłysła żarówka zwisająca z belki sufitu, oświetlając jaskrawo jej twarz. Janet zmrużyła oczy. Przed jakim widokiem?

- Naprawdę nie widział jej pan już po tej podróży?

- Zadzwoił Tom Parish z informacją - powiedział Roy. - I przyjechał na pogrzeb. Jest pochowana na miejscowym starym cmentarzu.

- Widział pan na własne oczy? - upewniła się Janet.

- Oczywiście. Byłem na pogrzebie.

- Nie została spopielona?

- Nie, pochowałem ją w trumnie.

Białej, zdobionej złotymi liśćmi. Na koszt Instytutu Hobbesa, a w każdym razie odniósł takie wrażenie, bo nie przysłano mu rachunku.

- Nie rozumiem - rzekła Janet.

- Właśnie dlatego dopytuję, czy na pewno Delia siedziała wtedy w limuzynie?

- Nie mam cienia wątpliwości.

- Czy Tom Parish powiedział pani, gdzie zdarzył się wypadek samochodowy?

- Nie pytałam.

- Dlaczego?

- Nie chciałam wiedzieć - odparła Janet. Znów ściszyła głos, zupełnie jakby mówiła do siebie. - Nie chciałam znać szczegółów. I chciałam, żeby Tom o tym wiedział.

- Wiedział, że pani nie chce wiedzieć? - upewnił się Roy.

Spojrzała na niego. Oczy miała ciemne, zamglone.

- Proszę wyjaśnić - powiedział.

- Czy wszyscy artyści są tacy jak pan? - spytała. - Powinien pan rozumieć dlaczego. Żeby uniknąć takich sytuacji jak ta.

- Czyli jakich?

- Że zjawia się obcy człowiek i zadaje niebezpieczne pytania. - Odwróciła wzrok do urny, potem popatrzyła w dal. - Paul powiedział mi tylko, że jedzie do Waszyngtonu. Ale domyśliłam się, bo widziałam, jak się denerwuje.

Habib miał wiśniową koszulą. Pod obiema pachami wykwitły plamy potu.

- Czego się pani domyśliła? - spytał Roy.

- Poza tym mówił przez sen - ciągnęła, spoglądając Royowi w oczy. - Mruczał coś po arabsku.

- O czym?

Odwróciła wzrok.

- Nie znam tego języka.

- Chyba pani wie, dokąd pojechali - zauważył Roy.

Pokręciła głową.

- Proszę mi powiedzieć.

Cofnęła się, tuląc w ramionach urnę.

- Co pan wyprawia? - Żarówka zamrugała, zgasła, ponownie się zapaliła. Strach malował się na twarzy Janet. - Co pan wyprawia?

Co wyprawiał? Próbował znaleźć wyjaśnienie bardziej wiarygodne od wersji, w którą święcie wierzyła Janet, że Delia pojechała z Paulem do arabskojęzycznego kraju, a nie do Wenezueli. Czy to znaczy, że nigdy nie miała Wenezueli w planach, że go okłamała? A może zmiana nastąpiła w ostatniej chwili, bo informacja czekała na lotnisku?

- Po co pan tu przyjechał? - spytała Janet. - Czego pan chciał od Paula?

- Instytut Hobbesa zapadł się pod ziemię - wyjaśnił Roy. - Jak gdyby nigdy nie istniał.

- No więc?

- Co pani o nim wie?

- Nic.

- Niemożliwe - powiedział.

- A niech pan sobie myśli, co chce.

- Czego pani się tak boi?

- Niczego - odparła. - Pana.

- Z mojej strony nic pani nie grozi - zapewnił ją. Byli zupełnym przeciwieństwem. - Chciałbym zobaczyć jego dowody wypłat.

- Jakie dowody?

- Wszelkie dowody pobranych należności.

- Nie trzymam takich rzeczy - oświadczyła.

Został jednak samochód, nieustawiony na koźlach, niezabezpieczony, po prostu porzucony. No i prochy, niepogrzebane ani niewystawione na kominku, jakby wdowa nie przesądzała sprawy. Roy nie wierzył tej kobiecie. Bardziej prawdopodobne, że czepiała się wszystkich ewentualności, bo nie pogodziła się ze stratą Paula. Roy doskonale to rozumiał.

- Gdzie pani trzyma dowody wypłat? - spytał.

- Nigdzie - odpowiedziała. - Wyrzuciłam dawno temu. Przed wielu laty.

Roy pokręcił głową. Uświadomił sobie coś ważnego. Że ta szopa - z samochodem, którym odjechała Delia, i z prochami ostatniej osoby, która ją widziała - stanowi jego pole startowe. Trafił na właściwy trop, choćby dlatego, że Janet pierwsza nie wytrzeszczyła oczu na wzmiankę o Tomie Parishu i Instytucie Hobbesa. Ta świadomość wywołała natychmiastowy fizyczny skutek. Ból ustąpił, tlen wypełnił Royowi płuca - poczuł się silny, mocny, trzeźwy na umyśle tak samo jak rok, pół roku albo nawet trzy miesiące temu.

- Janet, zamierzam poszukać tych dowodów - zapowiedział. - Wolałbym, żeby mi pani pomogła, ale i bez pomocy nie odstąpią od zamiaru.

- Grozi mi pan? - spytała.

- Nie musi się to odbyć w niezgodzie - powiedział Roy. - Ale jeżeli nie...

Wolną ręką sięgnęła pod sweter, za pasek spodni. Roy przypomniał sobie poniewczasie o pistolecie. Sprawy nabrały tempa. Pistolet na widoku, lufa w górze. Roy, zaprawiony w takich sytuacjach na lodowisku, niewiele myśląc, rzucił się na nią, jak gdyby frunął w powietrzu. Odległość nie była duża, a nogi zawsze miał silne, ale nie wiadomo dlaczego, nie doskoczył, tylko pacnął Janet słabo w rękę i upadł.

Wylądował z łoskotem na złamanej ręce, gips pęknął. Krzyknął z bólu, zabrakło mu tchu w piersiach. Janet, straciwszy równowagę, potknęła się o puszkę farby i też runęła dość niefortunnie. Pistolet i urna również upadły na podłogę. Wieczko urny odskoczyło.

Roy podczołgał się do pistoletu, z trudem chwytając powietrze. Chwycił broń, odwrócił się. Janet klęczała i wpatrywała się w niewielką kupkę grafitowego pyłu - prochy.

- O Boże! - zawołała.

Zaczęła się kołysać.

Roy wstał, zerwał pęknięty gips z ręki, ból wcale się nie nasilił, może nawet odrobinę zelżał, i podszedł do kobiety. Schował pistolet do kieszeni, ukląkł przy niej. Janet nie zwracała na niego uwagi.

- O Boże - powtarzała w kółko. - O Boże.

Sięgnął po urnę i położył ją na podłodze, tak jak podstawia się szufelkę, i zaczął zgarniać

ręką prochy. Krematorium, może nawet za granicą, nie bardzo się postarało, chyba że zwykle w prochach można znaleźć małe odpryski kości. A co to? Co tu może błyszczyć?

Wyłuskał to coś. Janet za jego plecami zamilkła. Metalowy przedmiot z wysokogatunkowej stali węglowej - bo przecież znalazł się na metalach - pięciocentymetrowa blaszka nierówna na brzegach, częściowo szerniała z jednej strony, zakończona w szpic z drugiej. Odłamane ostrze noża.

Janet zakryła usta. Oczy jej się rozszerzyły i pociemniały.

- Został zamordowany? - spytała.

Roy nie odrywał wzroku od ostrza. Nawet odczytał wyryte na nim litery: *caria*.

- Potwierdza pan? - dociekała. - Tak mam to rozumieć? - Wbiła mu paznokcie w rękę. Nie wiadomo dlaczego, nic nie poczuł. - Niech pan mi powie, co to znaczy.

* * *

- To wszystko - powiedziała Janet. Po powrocie do domu siedzieli przed kominkiem. Wyciągnęła tekturowe pudła... trzy, cztery i kolejne... i wysypała ich zawartość na dywan. - Więcej nie mam.

Spędził nad nimi wiele godzin. Znalazł trzy dowody rzeczowe.

Pierwszy: Wśród wielu dowodów wypłaty tylko jeden nie pochodził z MIT. Czek z Inwestycji Verdadero na sumę 783, 56 dolara dla Paula Habiba.

- Co to za spółka? - zapytał.

- Nie mam pojęcia - odparła.

Drugi: Kolorowe zdjęcie z lotu ptaka, a dokładnie z lecącego wysoko samolotu lub z satelity, przedstawiające ogromną kanciastą budowlę z wieżami we wszystkich rogach. Wydruk komputerowy był na dole opatrzony podpisem: „Operacja Ananas”. Ale nie mogło być zrobione w Wenezueli. Dookoła ciągnęła się pustynia, i to nietypowa dla południowego zachodu Ameryki, lecz klasyczna, z wydmami rzucającymi czarne faliste cienie.

- Gdzie to jest?

- Nie mam pojęcia.

Trzeci: Kolejne zdjęcie, tyle że czarno-białe i nieostre. Paul, młodszy i szczuplejszy, niż zachował się w pamięci Roya, siedzi na płocie i się śmieje. Za nim stoi bokiem mężczyzna w kowbojskim kapeluszu. Też się śmieje. Chociaż zdjęcie było niewyraźne, a twarz mężczyzny ginęła pod rondem kapelusza, włosy zaś miał szatynowe, nie siwe, to był prawie na pewno Calvin Truesdale.

- Pani go zna? - spytał Roy.

- Nie - powiedziała Janet. - Nigdy tego zdjęcia nie widziałam. - Przyjrzała mu się uważnie. - Kto to jest?

Roy czuł, że czeka niecierpliwie na jego odpowiedź. Uznał, że chyba zbyt niecierpliwie.

- Nie wiem - skłamał.

- Ale uważa pan, że to ważne? - Nagle coś ją tknęło, może nawet przestraszyło. - Z powodu osoby, która zrobiła to zdjęcie?

- Może.

- A kto je zrobił?

Roy nie chciał powiedzieć. Jeżeli to wszystko było prawdą, dlaczego Delia do niego nie wróciła? Przypomniała mu się znowu odpowiedź Delii, kiedy zapytał ją o pracę i kiedy wyjawiała mu, że ma mieszane uczucia. Przeraził się na to wspomnienie.

- Co się dzieje? - zapytała Janet.

Spojrzała w okno, potem na Roya.

- To ja panią pytam - odparł.

Ogień wygasł, jeszcze kilka węgli żarzyło się w palenisku, i to słabiej niż oczy Janet.

- Zawsze w głębi duszy czułam niepokój, bo tylko tam mogłam spuścić zasłonę na całe swoje małżeństwo. - Podała mu zdjęcie. - Pan też?

- Nigdy - zaprzeczył Roy.

Oczy zaszyły jej łzami, przepęłniły się.

- Sądziłam, że już do końca wypłakałam oczy.

- Nie odzyska pani spokoju, dopóki pani nie wyjawি wszystkiego, co ukrywa - powiedział Roy. Wtem coś mu przyszło do głowy. - Czy Paul kiedykolwiek wspominał o kobiecie imieniem Lenore?

- Nie.

- Wysokiej Mulatce, obecnie po czterdziestce?

Janet wybałuszyła na niego oczy.

- Widziałem ją - dodał Roy. - Kim ona jest?

Janet się cofnęła.

- Nie wiem, o kim pan mówi.

- Oczywiście, że pani wie.

Potrząsała tylko przecząco głową, uparcie jak dziecko.

- Niech pan już idzie - poprosiła.

- Proszę mi pomóc - rzekł Roy. - Razem to rozwikłamy.

- Jasne! Też mi współnik!

Spojrzała na jego zakrwawiony rękaw, pozostałość po krwotoku z nosa.

- Bardzo proszę.

Ona jednak nie przestawała kręcić głową. Wyszedł.

Rozdział 23

Roy jechał na północ, przeciął kanał Cape Cod, na tylnym siedzeniu wiózł trzy dowody rzeczowe. A: dowód wypłaty Paula Habiba z Inwestycji Verdadero. B: fotografię z lotu ptaka przedstawiającą dużą budowlę na pustyni. C: czarno-białe zdjęcie Habiba z Calvinem Truesdale'em. Trójkąt ABC. W szkole nie był najlepszy z geometrii, co z perspektywy czasu bardzo go dziwiło, ale teraz zajmował się trochę trójkątami, zwłaszcza kiedy pracował nad cyklem *Neandertalczyków*. Ponieważ w nocy na drodze nie było ruchu, jechał sam w sunącym naprzód żółtym tunelu światel własnego samochodu, obracał intensywnie trójkąt ABC w myślach, przy czym ta chwiejna, a zarazem mroczna, niejasna figura nie tyle kręciła się w przestrzeni, ile w czasie, zwłaszcza przeszłym. Wiedział, że zaraz natknie się na twarde orzech. Całe swoje artystyczne życie spędził na rozwiązywaniu problemów przestrzennych, natomiast czasowe stanowiły dla niego nowość. A przecież, na Boga, też go dotyczyły. Nieosłonięta gipsiem ręka pulsowała mu na kolanach, w jednym rytmie z wielkim silnikiem V8 i mocno profilowanymi oponami śnieżnymi na suchej nawierzchni.

Włączył radio, znalazł stację jazzową. Puszczali wolny, senny kawałek, głównie delikatny kontrabas i lekki szmer na miotełkach perkusyjnych. Następnie odezwał się prezenter cichym, sennym głosem. Zapewne lepiej zarobiłby jako hipnotyzer. Powieki Roya stały się ciężkie. Zastanawiał się, czy nie zjechać na pobocze, kiedy usłyszał „For All We Know” w wykonaniu Billie Holiday.

Od razu się ocknął. Niemal czuł, jak w różnych częściach mózgu zapalają mu się obwody elektryczne. Tę piosenkę zagrał nad grobem Delii jej znajomy gitarzysta, podstarzały hipis, który w piątkowe wieczory grał w pubie Ethan, jej ulubionym lokalu w całej dolinie, głównie ze względu na koktajl z krewetek, bo zawsze go zamawiała, jeżeli tylko był w karcie. Po jednym czy dwóch drinkach zaczynała go prosić o coraz bardziej romantyczne kawałki - „Every Time We Say Goodbye”, „My Romance”, „I'll Be Seeing You”, „Here's That Rainy Day”, „It Never Entered My Mind”, „Little Girl Blue”. Znała wszystkie teksty, miała wielki zbiór takich piosenek, co zaskoczyło Roya. Gitarzysta z rozkoszą spełniał jej prośby. Na jej pogrzebie wystąpił w krawacie; tylko wtedy Roy widział go w takim stroju.

Był pierwszy dzień w tym roku, roku śmierci Delii, kiedy zapachniało wiosną, słońce przygrzało mocniej, a wiatr przyniósł ciepło, którego brakowało od miesięcy. Kto stał nad

otwartym grobem? Roy z przodu, za nim pastor, dalej Turk ze swoją ówczesną żoną, tamten gitarzysta, jeszcze kilka osób, ale nie mógł sobie przypomnieć kto. Tom Parish? Z pewnością był na nabożeństwie żałobnym w kościele, ale na cmentarzu? Chyba nie. Roy pamiętał tylko ciepły wiatr, „For All We Know”, złote liście na białej trumnie, huk, z jakim pierwsza symboliczna łopata wilgotnej wiosennej ziemi spadła na wieko.

* * *

Kiedy Roy wjechał do Vermontu, zaczął prószyć śnieg, małe płatki wisiały nieruchomo w świetle reflektorów. Wyjął telefon. W spisie miał wszystkich zawodników Stringów. Wybrał numer Freddy'ego Boudreau.

- Roy? Odbiło ci? Jest trzecia nad ranem.

- Wiem - powiedział, chociaż, prawdę mówiąc, na śmierć zapomniał o zegarze. - Zastanawiałem się, czy facet z patrolu śnieżnego oddał ci telefon Skippy'ego.

- Nie mogłeś się zastanawiać kilka godzin dłużej?

- Przepraszam - powiedział Roy. - No to oddał czy nie?

- Oddał. Ale przedyskutujemy...

- I pojechałeś tam?

- Dokąd?

- Do schroniska, żeby się rozejrzeć - wyjaśnił Roy.

- Uczysz mnie, jak mam wykonywać swoją robotę? - spytał Freddy.

- Nie o to chodzi - sprostował Roy. - Tylko...

- Sądysz, że mamy środki na przeszukiwanie lasu po nocy? - rzekł Freddy. - To się grubo mylisz!

- Nie sądzę - odparł Roy.

- Dlatego czekam na światło dnia.

- Po prostu martwię się, czy on...

- Idź spać, bo zaczynasz mnie już wkurzać.

* * *

Roy zaparkował pod stodołą. Wyjeżdżając, zostawił zapalone światło. Fragmenty *Delii* zobaczył w kilku wysokich oknach, bardzo podobne do fragmentów układanki. Wszedł do środka. Wszystko było normalnie, ale ogarnęło go osobliwe uczucie, jak gdyby to miejsce przestało do niego należeć.

Kiedy po raz ostatni jadł? Nie pamiętał. A przecież jego obowiązkiem było teraz jeść,

odpoczywać i nabierać sił. Czymś więcej niż obowiązkiem, celem w życiu. Jak to świadczy o człowieku, jeżeli zapomina o życiowym celu? Otworzył lodówkę, niewiele znalazł - kilka butelek piwa, sok pomarańczowy, befszyk kupiony dla Skippy'ego, ananas - produkt wenezuelski - od Dickiego Russo. No i lody w zamrażalniku. Ale nie miał na nie ochoty. Odciął czubek ananasa, pokroił owoc na tuzin plasterów, bardzo dokładnie, jak gdyby pracował nad nowym dziełem. Następnie zaczął jeść, najpierw powoli, potem zwiększył tempo, pochłaniał ananasa coraz łapczywiej jak wygłodzone zwierzę, aż sok ściekał mu po brodzie.

Wszedł do sypialni, położył się na łóżku. Na ostatnich nogach, jak brzmiało powiedzonko; tak mówiła jego matka, kiedy wracała do domu z nocnej zmiany, a Roy szykował się do szkoły. Sam nieraz bywał zmęczony, ale nigdy nie czuł się na ostatnich nogach. Teraz zrozumiał różnicę między baterią wymagającą doładowania a kompletnie zużytą, którą należy wymienić. Zamknął oczy. Najpierw porządnie się wyśpi, a potem...

Oczy jednak otwierały mu się same. Jedna część mózgu, niekoniecznie racjonalna, doceniająca mądrość stwierdzenia: *Sądysz, że mamy środki na przeszukiwanie lasu po nocy?* nie chciała się wyłączyć.

Nagle zmroziło go określenie *przeszukiwanie lasu*. Niosło fatalne skojarzenia.

Poszedł do łazienki, obejrzał sobie złamaną rękę. Wychudła, ale to chyba normalne? Pulsowanie oznaczało, że się do końca nie zrosła. Nic dziwnego. Odkręcił kran, przemył ostrożnie przedramię ciepłą wodą. Kojąca ciepła woda dobrze mu zrobiła. Marzył, żeby lała się tak w nieskończoność.

W apteczce znalazł bandaż elastyczny, obwiązał sobie starannie rękę. Włożył kalessony, spodnie narciarskie, polar, czapkę, buty, zdjął kurtkę z haczyka przy drzwiach. Śnieg padał w dalszym ciągu, ale wiatr ustał. Spojrzał na termometr obok drzwi. Minus trzynaście stopni. Przypiął rakiety śnieżne, wrzucił kijki do półciężarówki i ruszył w stronę podnóża góry.

* * *

Pokusa, żeby chodzić nocą po górach, nawet taką bezksiężycową, bezgwiezdną jak ta, wcale nie świadczyła o głupocie - jak mógłby sądzić człowiek z nizin - jeżeli ktoś znał tak dobrze okolicę jak Roy. W każdym razie tak sobie powiedział, kiedy ruszył na szlaki: z Bananowej Łodzi na Trasę Lubego, z niej na Morderczy Szlak i dalej na przełęcz. Mimo ciemności szlaki odcinały się jaśniejszym światłem niczym odwrócone cienie. Wciąż prószył śnieg. Roy wprawdzie go nie widział, ale czuł płatki zsuwające mu się po twarzy. Wokół bezwietrzna, spokojna noc, wśród której narastało tylko coraz głośniejsze sapanie. Roy parł

naprzód w kierunku przełęczy, żeby przejść na drugą stronę góry, kiedy zrozumiał, że to on tak sapie. Zawstydził się, że tak hałasuje w lesie. Przystanął, oparł się o armatkę śnieżną i próbował uspokoić oddech.

Chwilę to trwało, zwłaszcza że znów poczuł się tak, jakby mu ktoś odciął u dołu dostęp do trzeciej części, może nawet połowy płuc. Następnie się przeciągnął, wypiął pierś, wciągnął tyle powietrza, ile mógł, nie unikając przy tym bólu, żeby złamać w sobie tę blokadę. Trochę pomogło. Kilka razy normalnie, głęboko odetchnął, kijkami zepchnął śnieg z czubków rakiet i poszedł dalej.

Przełęcz wyrabana przez Ski America po długiej batalii z państwowymi oraz miejscowymi towarzystwami ochrony środowiska zwięzła się wzdłuż grani, zgodnie z warunkami końcowej umowy. Roy bardziej czuł, niż widział zbliżające się drzewa, co przyniosło mu ulgę i otuchę. Na tej wysokości rosły już prawie tylko świerki. Na ostatnie, jak się potem okazało, Boże Narodzenie Delii ściał taką choinkę i zawlókł do domu.

* * *

Roy, czy to zgodne z prawem?

Szara strefa.

W niej zaczynają się problemy.

Zrobiła anioła z papier mache i zatknęła na czubku choinki. Wyglądał dziwnie, bardziej przypominał diabełka, bo Delia nie miała za grosz talentu artystycznego.

* * *

Temperatura spadła o kilka stopni, faktura śniegu uległa zmianie. Bardziej szorstki chrząścił teraz na zboczu góry pod raketami. Zerwał się wiatr. Roy nie od razu go poczuł, bo najpierw usłyszał cichy świst w wierzchołkach drzew. Z górnej gałęzi spadła gruda śniegu. Roy szedł przed siebie wpatrzony w ciemności. Boczna grań Szlaku Appalachów, szerokości najwyżej półtora metra do dwóch, trudno było wypatrzeć nawet za dnia. Odchodziła w bok od przełęczy na samym grzbiecie, gdzie deskarze urządzili sobie pole startowe. Roy piął się coraz wyżej. Wiatr dał silniej, schodził niżej z wierzchołków drzew i dopadł go. Roy słyszał dziwny gwizd wzmagającej się wichury. Już sądził, że musiał przegapić skręt, gdy wtem zobaczył przed sobą stromą ścieżkę. Ruszył naprzód, dźwignął się na kijkach, wspiął na grań.

Posuwał się w ślimaczym tempie, *co z tobą, chłopie*. Kiedy zbliżał się do szczytu, co poznał po nagłym podmuchu, który uderzył go na nieosłoniętej przestrzeni w twarz, usłyszał łoskot, jak gdyby kolejna bryła śniegu spadła z hukiem z gałęzi, tyle że głośniejszy. Odgłos

bardziej przypominał trzask niezabezpieczonych drzwi.

Roy źle stąpnął, piętą jednej rakiety nadepnął przód drugiej. Co za niezgrabność, zupełnie do niego niepodobna. Przecież od małego chodzi na raketach. Stracił równowagę, upadł, przekoziółkował do podnóża grzbietu i turlał się tak, nabierając śniegu za kołnierz, aż uderzył nogami w drzewo.

Leżał teraz na wznak. Śnieg zacinał lodowatymi igiełkami, siekł mu twarz. Nietrudno sobie wyobrazić, że zatyka dziurki w nosie, zasypuje go całego; nie trzeba by długo czekać. Podobno śmierć przez zamrożenie nie niesie bólu, a nawet pod koniec czuje się ciepło.

Roy chrząknął gniewnie. Sam do siebie poczuł obrzydzenie. *Co z tobą, chłopie?* Sięgnął do wiązań, sprawdził, czy trzymają. Pomacał dookoła, żeby znaleźć kijki, ale bez skutku. Podkulił nogi, wstał, zaczął schodzić. Coś twardego uderzyło go w złamaną rękę. Nie poczuł bólu. Co to było? Jego kijek sterczący w śniegu. Poprawił mu się nastrój. Roy złapał kijek i ruszył dalej.

Piął się coraz wyżej, podpierając kijkiem, wolną ręką obmacując śnieg, na samej grani szedł już na czworakach. *Tak na oko lekko nie jest, chłopie.* Klęczał chwilę zasapany. Wiatr wzmógł się jeszcze bardziej. Roy zorientował się, że zgubił czapkę. Niedobrze.

Gdzie jest ta odnoga grani? Powinna być po prawej, chyba że całkiem pomylił drogę. Spojrzał w tamtą stronę, wypatrując w ciemnościach niewielkiej przecinki, i zobaczył nikłe żółte światełko, wprawdzie chybotliwe, ale pewne.

Skierował się w jego stronę, a już kilka kroków dalej znalazł się poza zasięgiem wiatru, na bocznej grani, na bardzo wąskiej ścieżce z obu stron zasypanej szyszkami. W kopnym śniegu posuwał się wolno z jednym kijkiem, ale brnął przed siebie w ciszy przerywanej jedynie dudnieniem rakiet. Wtem ponownie rozległ się tamten dziwny gwizd. Co to, do diabła, za dźwięk? Zatrzymał się, nasłuchiwał. Cisza. Znow ruszył, i znow ten gwizd. Musiał przejść jeszcze kilka kroków, żeby pojąć oczywistą prawdę.

Żółte światło jaśniało, stabilizowało się. Po chwili zobaczył wielką bryłę schroniska odcinającą się od kompletnie czarnego nieba. Zbliżał się do celu. To tam jaśniało żółte światło. Roy zobaczył kwaterowe okna, za którymi spodziewał się ciepła i bezpieczeństwa. Czyżby Skippy się tam ukrywał? Niezła kryjówka, zwłaszcza w zimie, kiedy turyści nie chodzą po szlakach. Niezła kryjówka. *Łebski chłopak, chociaż nikt się na nim nie poznał.* Ale jak jego komórka znalazła się w zaspie śnieżnej? Coś tu nie grało.

I wtedy Royowi przyszła do głowy zdumiewająca myśl, niczym pierwszy szkic cudu religijnego. *Spotkajmy się tutaj. Gdyby cokolwiek się stało, spotkaj się ze mną tutaj.*

W całkowitym milczeniu, wstrzymując oddech, żeby nie świszcząć, podkraść się do

schroniska. Uchylił nieco drzwi. Światło oświetliło ślady butów narciarskich w śniegu na schodach. Narty stały oparte o ścianę. Roy odpiął rakiety, wszedł do środka. Stapał cicho po śladach.

Na przykład co?

Coś złego. Gdybyśmy się rozdziłi, gdybyś mnie nie mógł znaleźć.

Serce mu waliło. Słyszał je niczym łoskot bębnow w nocy. Sięgnął do drzwi, pchnął. Otworzyły się.

W głębi schroniska, przy łózkach piętrowych, tyłem do niego klęczała kobieta w kombinezonie narciarskim. Tak jakby czegoś szukała pod łóżkiem. Miała na sobie czerwony kombinezon, czerwoną czapkę, czerwone buty narciarskie. Żaden cud, lecz chłodna, logiczna kalkulacja. Brakowało jedynie kilku faktów, żeby wszystko ułożyło się w sensowny łańcuch.

Wszedł do środka.

- Delia?

Rozdział 24

Odwróciła się.

Nie, to nie Delia.

Różniła się od Delii pod wieloma względami, ale przede wszystkim śniadą karnacją, kawa z mlekiem, a spod narciarskiej czapki wystawał jej rąbek lśniących czarnych włosów.

Lenore. Druga strona: to się działo na jawie.

Wstała opanowana, bez pośpiechu. Zmienił jej się wyraz twarzy. Znikł z niej strach, ustąpił miejsca zaskoczeniu, a może jeszcze bardziej stonowanej reakcji. Przeniosła wzrok z Roya na otwarte drzwi za nim, na kijek narciarski w jego ręce, ponownie na twarz.

- W tych stronach wchodzi się bez pukania? - odezwała się.

- Gdzie jest Skippy? - zapytał Roy.

Uniosła brwi.

- Skrzywdziłaś go?

- Nikogo nie skrzywdziłam - odparła Lenore. - Nie wiem, o czym pan mówi.

- O szesnastolatku, który natknął się na ciebie przy pączkami Dunkin' Donuts - powiedział Roy. - Ciebie i Westiego. - Poczul na karku chłodny powiew, kopniakiem zatrzaskał drzwi, nie odrywając oczu od kobiety. Drażnił go jej spokój, który mu się jednak udzielił, mroząc gniew w nieznane dotąd uczucie. - Opowiedz mi o tamtym pokoju.

- Jakim pokoju? - spytała Lenore.

Cofnęła się w stronę łóżek, rzucała teraz długi cień na podłogę. Jedyne światło pochodziło z małej, prostokątnej lampy u jej stóp.

- Na zapleczu sklepu winiarskiego - wyjaśnił. - O pokoju, w którym zniknął Tom. Co tam się dzieje?

Lenore milczała. Roy wskazał kijkiem podłogę pod łózkami.

- Czego tam szukałaś?

- Niczego.

Zrobił krok w jej stronę. Lenore cofnęła się jeszcze o krok, stała już oparta plecami o łóżko.

- Lepiej się wytłumacz - powiedział. - Bo teraz wszystko się wyda.

- Co miałyby się wydać? - spytała.

- Siadaj - zażądał.

Nawet nie drgnęła. Nie dorównywała Royowi wzrostem, była drobniejszej postury i nie tak silna.

- Zaczynaj od Instytutu Hobbesa - polecił.

- Nigdy o nim nie słyszałam.

- Wiedz, że widziano cię w Ethan Valley. Mam świadków.

Wyraźnie zaczęła myśleć. Roy też zaczął zachodzić w głowę, czy to możliwe, że gdzieś tu jest Westie, może nawet w pobliżu? Nadstawił ucha, ale usłyszał jedynie wiatr świszczący na dworze. Przełożył kijek do zdrowej ręki.

- Siadaj - powtórzył żądanie.

Spojrzała na kijek, usiadła na dolnym łóżku.

- Czego szukałaś?

- Koca. - Patrzyła mu prosto w oczy, może nie spodobało jej się jego spojrzenie. - Utknęłam w tym miejscu. Szukałam koca, w razie gdybym musiała tu nocować.

Roy wskazał stos szarych wojskowych koców na górnym łóżku.

- Utknęłaś? A co cię tu przywiodło? - spytał.

Nie odpowiedziała.

- Pokaż mi bilet z wyciągu.

Spojrzała na swój czerwony kombinezon. Nie było na nim biletu. Czyli weszła tu po ciemku tak samo jak on, tyle że w butach narciarskich i z nartami na ramieniu; ciężkie podejście.

- A może coś tam chowałaś? - dociekał. - Tak?

Patrzyła na niego bez słowa.

- Odsuń łóżko od ściany - zażądał.

- Sam sobie odsuń - odparła.

Postąpił krok naprzód, wymierzył do niej kijem. Wiatr się rozhulał, płatki śniegu bombardowały okna. - Zrobię, co będę musiał - zagroził.

Po jej oczach poznał, że mu uwierzyła; zmieniła ton.

- Dokąd mam odsunąć?

Pokazał.

- Chcę zajrzeć pod spód.

Pod łóżkiem było wystarczająco dużo miejsca, żeby się zmieścił dzieciak, zwłaszcza tak chudy jak Skippy.

Lenore chwyciła dwa pionowe słupki łóżka i pociągnęła. Przesunęło się gładko. Co

zobaczył pod nim? Jedyne kłęby kurzu na nieheblowanych sosnowych deskach, mniej wydeptanych niż reszta podłogi. Roy spojrział na łóżko. Czyżby w nim właśnie spał z Delią tamtej nocy podczas Zimowego Karnawału? Tak mu się zdawało. *Gdybyśmy się rozdzielili, gdybyś mnie nie mógł znaleźć.* Poraziła go nieprawdopodobna, wręcz szalona myśl, ale taka właśnie była Delia.

- Zerwij te deski - polecił.

Już wiedział, co Lenore robi w schronisku, czego szuka.

- Po CO?

- Oszczędzę ci czasu.

- Nie rozumiem - wyznała.

- Bo odsłonisz kryjówkę - powiedział Roy.

- Co tam ma niby być?

Czyżby przez twarz przemknął jej nikły uśmiech? Roy uderzył bardzo mocno kijkiem w materac, tuż koło niej, aż zadudniło w całym schronisku.

- List - powiedział. Serce znów zaczęło mu łomotać z podniecenia, które ledwo wytrzymała jego pierś. - Czy cokolwiek mi zostawiła?

- Ale kto? - spytała Lenore.

- Dobrze wiesz, kto. Delia.

- Nic mi to imię nie mówi - stwierdziła.

Jak najbardziej mówiło. Zobaczył to w jej oczach. Jeszcze jak mówiło!

Podszedł, spojrział na podłogę, zauważył obłuzowaną deskę pod ścianą, od której dzieliła ją półcentymetrowa szpara.

- Zaczynij tam - polecił, wskazując kijkiem.

- Ale co?

- Już powiedziałem. Zrywać deski.

Lenore ani drgnęła. Zmierzyła go chłodnym wzrokiem od stóp do głów.

- Ja też chcę o coś spytać. Co ci jest?

- W jakim sensie? - zainteresował się Roy.

- Najpierw miałeś atak, napad kaszlu czy jak go tam zwać - powiedziała. - Jesteś chory?

- Nie - zaprzeczył Roy.

- To poważna choroba?

- Na nic nie jestem chory - zaprzeczył. Ale drżał na całym ciele i nie mógł tego powstrzymać. Wycelował kijek narciarski w jej twarz. - Zrywaj tę przeklętą podłogę.

- Jak? - spytała.

Pierwsze właściwe i uczciwe słowo padło z jej ust. Rozejrzał się, zauważył przy piecyku na drewno pogrzebacz. Oczywiście nie mógł pozwolić, żeby go wzięła do ręki, ale...

Kątem oka dostrzegł nagły ruch, błysk czerwieni. Rzuciła się na niego jednym susem, wyrwała mu kijek i przygwoździła do podłogi chwytem, którego nie zdążył odeprzeć. Złapała go z tyłu za szyję, zaczęła zaciskać ręce. Chłód zniknął z jej oczu, teraz zapałały ogniem. Z lubością wykonywała swoją pracę. Miała zamiar zabić Roya. Wił się pod nią, wykręcał, usiłował wywinąć, i w tym momencie wyczuł w prawej kieszeni kurtki twardy przedmiot, pistolet Janet Habib, o którym całkiem zapomniał. Wyszarpnął rękę, sięgnął, wyciągnął broń. Oczy Lenore zrobiły się okrągłe. Rozluźniła nieco uścisk. I wtedy rąbnęła ją pistoletem w twarz.

Krzyknęła, upadła na wznak. Roy, jeszcze na podłodze, wycelował w nią pistolet. A jej broń? Z przyjemnością uświadomił sobie, że jej rewolwer jest w komisariacie, w biurku Freddy'ego Boudreau.

- A teraz odpowiedz mi na kilka pytań - powiedział. - Zacznijmy od Skippy'ego.

- Dobrze - odparła, mimo że z ust ciurkała jej krew. - Tylko pozwól mi...

Po czym kopnęła butem narciarskim, tyle że nie w Roya, lecz w przenośną lampę, która poszybowała do góry i zgasła pod sufitem. Pociągnął za spust. Usłyszał cichy trzask. Bezpiecznik? Roy nie znał się na broni. Zaczął majstrować przy niej po ciemku, ale drzwi schroniska otworzyły się z hukiem i Lenore wybiegła na dwór.

Zerwał się, zobaczył we framudze mrok nocy trochę jaśniejszy od ciemności w schronisku. Wiatr się wzmógł, skowytał wśród drzew. Roy ujrzał ciemną sylwetkę Lenore śmigającą na śniegu. Doleciał go stukot niesionych nart. Wybiegł. Schyliła się. But z trzaskiem wpasował się w wiązanie. Podniosła się, schyliła nad drugą nartą. Odkopnął ją w bok. Lenore syknęła wściekle, usiłowała wyrwać mu pistolet, ale jej się to nie udało.

Roy wymierzył do niej i zawołał, przekrzykując wiatr:

- Czekam na odpowiedzi!

Lenore również podniosła głos.

- Jeszcze nie zrozumiałeś?! - odkrzyknęła. - Nigdy ich nie poznasz.

I wtedy nieoczekiwanie odepchnęła się wolną nogą. Za późno się zorientował, co robi Lenore. Odjechała na jednej nartcie. Strzelił. Wichura zagłuszyła odgłos wystrzału. Lenore prawie natychmiast znikła mu z oczu spowita mrokiem nocy i zamiecią śnieżną. Stał jak wryty. Usłyszał jeszcze ostry, krótki chrzęst na zakręcie brany z wprawą, bez poślizgu. Kolejny chrzęst. A potem już tylko wycie wiatru.

Słuchał z przejęciem, modlił się o odgłosy upadku. Ale się nie doczekał. Pewno była już

na przełęczy. Gonić ją w rakietach? Bez sensu. Jeżeli znała górę albo choćby przez pięć minut studiowała mapę szlaków, to wiedziała, jak dotrzeć na skróty do Swobodnego Jeźdźca - szerokiej, równej nartostrady na sam dół. A jego telefon komórkowy? Został w półciężarówce.

* * *

Wrócił do schroniska, zamknął drzwi. Kiedy szedł przez salę, wpadł na piecyk. Obszukał wierzch po omacku, znalazł zapałki. Zapalił jedną i chwilę potem zapłonęły dwie grube świece. Z pomocą pogrzebacza i szczypiec wyważył obluzowaną deskę przy ścianie pod łóżkiem, w którym spał z Delią podczas Zimowego Karnawału. Nic tam nie było. Podważył kilka kolejnych desek z podobnym skutkiem. I na wszelki wypadek jeszcze jedną. Nic. Żadnego znaku.

- Delio, błagam cię - poprosił.

Usiadł na podłodze między dwiema świecami oparty o ścianę. Nigdy w życiu nie miał kłopotów z plecami, a teraz raptem poczuł ból pośrodku między łopatkami, w miejscu, gdzie ktoś mógłby celować. Przemyślał wszystko, spróbował ułożyć spójną wersję zdarzeń na podstawie widzianych i zasłyszanych faktów. Nie układały się w logiczną całość powiązaną od A do Zet. Inna sprawa, że nie wiedział, co oznacz Zet. Ale czy aby mógł być pewien A?

Owszem, to druga strona stanowiła A. Przypuszczalnie zatem poznał już część pozostałych spraw między A i Zet. Zastanawiała go najistotniejsza - obstawanie Janet przy tym, że widziała Delię na tylnym siedzeniu limuzyny. Czy była to informacja prawdziwa, czy fałszywa? *Miała zabandażowaną głowę, ale i tak ją poznałam.*

Roy musi odkryć prawdę.

Nic więcej nie miało dla niego znaczenia. Serce, którego nigdy wcześniej nie był tak bardzo świadom, ponownie zaczęło walić. Tym razem łomot zatykał mu dech w piersiach, bo zachłanne serce zużywało cały dostępny tlen. Przez chwilę sądził, że już nie zdoła zaczerpnąć tchu. Najadł się strachu, zrozumiał, co czuje tonący. Powoli jednak oddech wrócił, z początku słaby, stopniowo głębszy, normalniejszy, w każdym razie wedle obecnych norm Roya. Wstał, przypiął rakiety do nóg, zdmuchnął świece.

Przyszło mu do głowy, żeby zostawić wiadomość. *Delio, odz szukaj mnie.* Jednakże nie zdążył się jeszcze dowiedzieć, czy ta prośba w ogóle ma sens. Na razie przypominało to pytanie o literę alfabetu wykraczającą poza Zet. Musiał zdobyć dowód. Wiedział, gdzie szukać, ale najpierw musiał się odpowiednio uzbroić, bo nie wiadomo, co tam go może czekać. Żeby się uzbroić - to określenie kojarzyło się z metalem - wyprostował się, zebrał w

sobie, jak gdyby rzeźbił własne ciało. Napłynęła też energia, może fałszywa, ale nie mniej przydatna od prawdziwej. Napędzała ją wściekłość - wściekłość na ucieczkę Lenore, która tak łatwo pokonała go w walce fizycznej, a co gorsza, była kobietą.

* * *

Wiatr ucichł, śnieg przestał padać, lecz dolina tonęła jeszcze w ciemnościach, kiedy Roy zaparkował na placu za kościołem kongregacjonalistów. Na nogach znów miał rakiety, na ramieniu śnieżną szuflę i łopatę oraz latarkę wiszącą przy pasku. Przemierzał cmentarz. Ziemię pokrywał kopny śnieg, w który dodatkowo obciążony Roy zapadał się z każdym krokiem o kilka centymetrów głębiej. Wiedział, że jest *na ostatnich nogach*, ale nogi jakby nie przyjmowały tego do wiadomości. Parły naprzód jak para nożyc.

Ciemności zasnuwały niebo, w dole rysował się jeszcze ciemniejszy las, ale śnieg na cmentarzu lśnił nikłym blaskiem, dlatego Roy nie potrzebował latarki, dopóki nie doszedł do ostatniego rzędu z grobem Delii. Uporządkował go, zanim pojechał do kliniki doktora Chu, lecz teraz znów spadł śnieg, toteż nagrobek ledwo wystawał spod warstwy puchu. Plastikową szuflą delikatnie odgarnął śnieg z kamiennej płyty, zapalił latarkę, żeby sprawdzić. Przeczytał wryty tam napis: Mary Ann Little. Podeszedł do sąsiedniego grobu, ponowił próbę.

Delia Stern.

Zgasił latarkę, zaczął odśnieżać. Odgarnął szuflę pół metra puchu, spychając go na bok, między drzewa. Potem trafił na ubity śnieg, z którym poszło mu wolniej. Zdjął kurtkę, zaciągnął mocniej bandaż elastyczny, wrócił do szuflki. Mózg wydawał rozkazy, a ciało mimo uszczerbku na zdrowiu je wykonywało.

* * *

Fontanna w Instytucie Hobbesa pięknie szemrała, pluskając i bulgocząc.

- Zainstalujmy sobie podobną.

- Ale co zainstalujemy, Roy?

- Taką fontannę w stodole. Mniejszą, ale fajniejszą. Moglibyśmy napuścić dużych miedzianych ryb.

- Pełen pomysłów, co?

- Przepraszam.

- To komplement.

Delia odchyliła głowę, wypila szampana. Roy zauważył, że przygląda jej się jakiś mężczyzna.

- Spójrz - powiedział. - Czy to wiceprezydent?

- Co ta gadzina tutaj robi? - spytała.

- Gad miałby być wiceprezydentem? - zażartował Roy. Głupi żart, ale takie zwykłe śmieszły Delię. Tym razem jej nie rozbawił.

Wiceprezydent z kimś rozmawiał, jeszcze raz spojrział na Delię.

- Znasz go? - zaciekał się Roy.

- Dlaczego miałabym go znać?

- Nie wiem, ale chyba idzie w naszą stronę.

Wiceprezydent szedł ku nim po marmurowej posadzce. Kilku mężczyzn w czarnych garniturach za nim. Roy ściszył głos.

- Jak mam się do niego zwracać?

- Chyba lubi "jego wysokość" - powiedziała Delia, nie ścisząc głosu, a może nawet ciut podnosząc.

- Delia Stern? - zwrócił się do niej wiceprezydent z szerokim uśmiechem. - Podobno znakomicie się pani spisuje w pracy. Moje gratulacje.

Uściskał jej dłoń oburącz; ten gest skojarzył się Royowi z pastorami z południa, choć w rzeczywistości nigdy go nie widział.

- Dziękuję - powiedziała Delia. - Pan pozwoli, mój mąż Roy Valois.

Royowi wiceprezydent uściskał rękę normalnie.

- Szczęściarzu z pana, młody człowieku - pogratulował. Na chwilę oślepił Roya błysk światła odbity od okularów wiceprezydenta. Zaczął mówić:

- Ależ to bardzo...

W tym momencie zjawiała się grupka ważnych na pierwszy rzut oka osobistości i odciągnęła wiceprezydenta na bok.

- No, no! - zawołał Roy. Był pod wrażeniem.

- Sprawdź dłoń, czy nie dostałeś kurzajek - poradziła Delia.

* * *

Szufla uderzyła w twardą ziemię, aż ból przeszył złamaną rękę. Roy się wyprostował, wygiął ręce do tyłu, wyprężył tors, bo ostatnio taka pozycja pozwalała mu zaczerpnąć głębiej powietrza. Chwilę tak oddychał. Zamienił szuflę na łopatę i zaczął kopać.

Dopiero teraz rozpocznie się prawdziwa praca. Kopanie skutej mrozem ziemi nie mogło się równać z odgarnianiem lekkiego śniegu. I tu zaskoczenie! Łopata wchodziła prawie bez oporu. Ziemia nie była zamrznięta, nawet nie stwardniała. Kopał dość szybko, mimo zimna

ociekał potem, co go rozluźniło. Czy ten wysiłek zmobilizował armię mikroskopijnych wojowników do ataku? Żywił taką nadzieję. Doktor Chu to geniusz. Choć przed Royem jeszcze daleka droga, ale już poczuł się dobrze, spróbował nawet przyspieszyć rytm, wbił łopatę głęboko w...

Łup.

Łup? Zupełnie jakby trafił na coś twardego, na przykład drewno. A przecież zszedł niewiele ponad pół metra. Dół był z pewnością znacznie głębszy. Roy usiłował przywołać jego obraz, konkretne wymiary, z pogrzebu Delii, ale bezskutecznie. Ziemia nigdy nie stoi w miejscu, zawsze trochę się przesuwa. Ukląkł, odgarnął ręką wzruszoną ziemię, zapalił latarkę. Ujrzał ornament w rogu białej drewnianej skrzyni, nikły blask złotego liścia.

Kopał wolno, ostrożnie jak archeolog, z latarką opartą na świeżo usypanym kopcu. Najpierw usunął ziemię z trumny. Potem wykopał z boku miejsce pod nogi. Odrzucił łopatę, rozejrzał się, zobaczył perliste światło na niebie od wschodu, zorientował się, że już od dłuższego czasu nie potrzebuje latarki.

Wszedł w wykopany dołek, odchylił się, wsunął ręce pod wieko trumny. Następnie się wyprostował, pociągnął, uniósł powoli wieko, odłożył na bok.

Zajrzał do środka. Nie zobaczył tam Delii, co nie znaczy, że trumnę zastał pustą. No tak, sprawy wykroczyły poza Zet. W środku leżał twarzą do ziemi ktoś inny. Miał długie, zmierzwione włosy i cienką kurtkę, dużo za lekką na zimę. Roy przestał oddychać, a raczej zamurowało go, jak gdyby nagle ktoś mu zabetonował płuca. Ledwo starczyło mu powietrza, żeby przewrócić ciało na wznak. To był Skippy.

Sprawy wykroczyły poza Zet? Tak.

Rozdział 25

Tur, tur, tur.

O nie. Znow ten helikopter. Tylko tego brakowało! Helikoptery oznaczają śmierć. Śnieg mienił się w słońcu.

* * *

Hej, Bobby, wyglądasz jak bałwan.

Mów za siebie, Roy.

Cięli jak szaleni piłami łańcuchowymi, rozwalali worki złożone na stosach w starym betonowym budynku w odległym kącie złomowiska Kinga, zaśmiewając się, zarabiając krocie i dobrze się przy tym bawiąc.

* * *

Tur, tur, tur.

Do nosa? Do gardła? O nie, mój drogi, za cholere.

Nic jednak nie mógł poradzić.

Powietrza!

Tur, tur, tur.

* * *

Wszystko ucichło. Wokół niego wznosiło się igloo. W sercu rozbłysnął mu mały płomyk. W pierwszej chwili Roy się przestraszył, że ogień z igloo nie idą w parze. Przecież lód nie wytrzyma. Ale ciepło dobrze mu zrobiło. Poddał mu się bez reszty. Świat skurczył się do wdechów i wydechów. Czas stanął. Bardzo miłe uczucie. Jak gdyby w końcu dotarł do celu.

* * *

- Roy, obudziłeś się?

Pokręcił głową.

Śmiech... cichy, ale zadowolony. Roy otworzył oczy. Z góry patrzył na niego doktor Chu. Uśmiechał się, lecz oczy miał poważne, czujne.

- Już widzę, że mózg nie doznał uszczerbku - powiedział.

Roy chciał zapytać, dlaczego miałoby być inaczej, ale się zorientował, że nie może mówić.

- Na razie proszę się nie odzywać - zalecił doktor Chu. - Jest pan podłączony do respiratora, ale wkrótce na pewno go odłączymy. Zdarzyło się chwilowe pogorszenie, jednakże nie ma powodu do paniki, sytuacja niebawem się ustabilizuje. - Spojrzał na monitor na ścianie. - Teraz proszę odpoczywać.

Roy pokręcił głową.

- Coś pana boli? - spytał doktor Chu.

Roy znów pokręcił głową.

- Nie chce pan odpoczywać?

Z głębi gardła dobył mu się charkot. Zabolało.

- Proszę się uspokoić - poradził Chu. - Podałem panu środek przeciwbólowy, żeby pan zasnął, żeby nie musiał się pan niczym martwić.

Jeszcze energiczniej pokręcił głową. Ból się rozprzestrzenił.

Kątem oka zobaczył błysk. Igła?

- Teraz najważniejszy jest sen - rzekł Chu.

Sen nadchodził szybko. Roy uniósł bardzo ociężałą teraz rękę, wykonał ruch, jakby coś pisał.

- Chce pan coś napisać?

Skinął głową bardzo delikatnie, żeby nie zabolalo, ale i tak przeszył go ból. Chu podał mu długopis i receptariusz. Kiedy Roy wyciągnął po nie rękę, zorientował się, że drugą ma znów w gipsie, tym razem białym, grubszym i cięższym niż poprzednio. Przytrzymał receptariusz i napisał dużymi literami: Delia żyje.

Lekarz pochylił się nad nim.

- Kim jest Delia? - spytał.

Moja żona - napisał Roy.

- Pan ma żonę? - spytał Chu ze zdziwieniem.

Roy chrząknął potwierdzająco. Chu przyjrzał mu się badawczo, po czym bardzo delikatnie położył mu rękę na czole.

- Nie przypominam sobie tego z pańskiej karty - powiedział.

Roy warknął, próbował też strącić rękę Chu z czoła. Czując dotyk lekarza, pomyślał, że ten człowiek ma przed sobą długie życie.

- Z pańskich akt wyczytałem, że jedyny kontakt, jaki pan podał, to adwokat, mecenas

McKenny.

Chu zdjął rękę z czoła Roya i poprawił zawór w rurce.

Roy zaczął pisać na receptariuszu: Dlatego tak powiedziałem. Przekreślił i napisał: Bo nie wiedziałem. Bardzo skomplikowane. Oczy Chu - nieubłagane podobnie jak choroba Roya - prześwidrowały go na wylot. Roy postanowił więc tylko podkreślić dwa słowa - Moja żona. Nie dokończył, bo receptariusz wysunął mu się z rąk, długopis też. Upadł z cichym stukiem i poturlał się po podłodze.

Royowi zamknęły się oczy. Mimo spuszczonej powiek czuł jeszcze przez chwilę przenikliwy wzrok lekarza. Czyżby lekarz czymś się niepokoił? I nagle koszarne wspomnienie przebiło się przez mgłę spowijającą jego umysł: Skippy. Za późno. Znów bowiem, blok za blokiem, wznosiło się nad nim igloo.

* * *

Nie odczuwał głodu, pragnienia ani bólu, bo jakiś środek w organizmie podnosił mu nastrój, a w piersiach czuł tony powietrza, które sięgały dna płuc. Czego więcej chcieć? Może to jeszcze nie niebo, ale jest bliżej nieba niż piekła. A może już nie żyje? Raptem otworzył oczy. Zobaczył nad sobą Freddy'ego Boudreau.

Freddy miał dziwny wyraz twarzy, zupełnie jakby czegoś się przestraszył, chociaż nie to było najważniejsze. Najważniejsze, że dzięki Freddy'emu, szczegółom jego szorstkiej twarzy, takim jak cienka wystająca blizna dzieląca łuk brwiowy na dwoje, Roy się upewnił, że żyje.

- Cześć - przywitał go Freddy.

Roy usiłował coś powiedzieć, ale nie mógł. Coś mu uwięzło w gardle, w nosie, w nim całym. *Jest pan podłączony do respiratora. Żyje, ale stoczył się po równi pochyłej bliżej piekła.*

- Lekarz pozwolił mi z tobą chwilę porozmawiać - wyjaśnił Freddy. - Jeżeli czujesz się na siłach.

Kciukiem do góry Roy pokazał, że się zgadza.

- Chyba na coś cię tu leczą - rzekł Freddy. - Niewiele mi chcieli powiedzieć. Ale pół godziny po tym, jak doktor Bronstein obejrzał cię w Szpitalu Okręgowym Ethan Valley, przewieźli cię tu helikopterem, stąd uznałem... - Przerwał, oblizał usta. - Wiesz, gdzie teraz jesteś?

Roy nie odrywał wzroku od twarzy Freddy'ego.

- W Baltimore - rzucił Freddy.

Znów gest kciukiem, bo Roy do tej pory nie był pewien.

- Leżysz tu już kilka dni.

Kilka dni? Niemożliwe. Nawet się nie zorientował.

Freddy podszedł bliżej.

- Doktor twierdzi, że bierzesz silne leki - powiedział. - Które mogą nieźle ci namieszać w głowie. Ciekawe, czy to one zaważyły...

Roy tylko patrzył.

- ...na twoich niedawnych posunięciach. A właściwie obecnych też - dodał. - Weźmy choćby sprawę Skippy'ego Bedarda.

Twarz Freddy'ego widziana przez Roya straciła kształt, zamazała się, jak gdyby patrzył na nią przez tafelę wody. Ale to jego twarz stała się mokra. Roy poczuł w ustach smak soli.

- Czekamy na wyniki sekcji zwłok - ciągnął Freddy - ale wygląda na to, że umarł z wychłodzenia. Mamy kłopot z odtworzeniem twoich poczynań. Na przykład, dlaczego miałeś przy sobie broń, dlaczego chowałeś go w tym samym... dlaczego właśnie tam go chowałeś. I co zrobiłeś z drugim... ciałem.

- Nie! - próbował krzyknąć Roy.

Z ust wyrwał mu się rozdzierający dźwięk. Nie było to „nie” ani żadne inne słowo, lecz głośny skowyt.

- Co tu się dzieje? - Zjawiała się kobieta w bieli. Netty. Ostatnim razem wyglądała inaczej, teraz miała głębokie bruzdy na czole i gniewny głos. - Przecież doktor Chu wyraźnie podkreślił, żeby pod żadnym pozorem nie denerwować pana Valois.

- Ale ja... - zaczął mówić Freddy i... zniknął. Netty również.

Roy zamknął oczy. Mokre, jakby gumowe rzęsy zaczęły mu się kleić. Poczuł się tak, jak gdyby ktoś go składał do grobu lub nawet mumifikował. Nie mógł jednak nic na to poradzić.

* * *

Fontanna bulgotała i tryskała. Przez chwilę Roy sądził, że znajduje się w holu Instytutu Hobbesa i że w końcu uzyska odpowiedzi na niektóre pytania. Fontanna jednak szemrała zbyt cicho, zbyt łagodnie. Otworzył oczy i zobaczył strumyki wody ściekające po miodowych kamieniach. Wokół przyćmione, kojące światło jak w planetarium przed rozpoczęciem pokazu. Znowu znajdował się w pokoju feng shui, leżał na zamszowej kanapie. Obok stał stojak z kroplówką; wenflon miał założony na rękę.

- Panie Roy? - Podeszła Netty. Twarz miała już normalną, sympatyczną, pyzată, ładną, choć minę chyba nieco chłodną. - Jak pan się czuje?

Patrzył na nią.

- Już może pan mówić - zachęciła go. - Teraz oddycha pan samodzielnie.

Zaczerpnął tchu. Dobrze się poczuł.

- Muszę... - Zdziwił go jego własny głos, cienki, piskliwy głos starca. Odchrząknął. Zaboląło. Netty podała mu tekturowy kubek. Napił się orzeźwiającej, zimnej wody, spróbował ponownie. - Muszę porozmawiać z Freddym.

Ujęło mu to kilka lat, ale nie odzyskał dawnego, normalnego głosu.

- Z sierżantem Boudreau? Wrócił do Vermontu.

- Ale ja muszę...

- Proszę posłuchać. Pan musi tylko odpoczywać, nie przemęczać się, reszta należy do terapii.

- Przecież nie minęło dwadzieścia jeden dni - powiedział Roy.

- Nawet więcej - zapewniła go Netty. - Ale doktor Chu musiał najpierw ustabilizować pański stan.

- Jaki jest dzisiaj dzień?

- Środa - odparła Netty. - Dwudziestego szóstego.

Wyjrzał przez okno, licząc na podpowiedź. Ale zobaczył tylko zachmurzone niebo.

- Luty? - spytał.

Skinęła głową.

- Nie ma powodu do obaw. Mamy tylko jeden dzień opóźnienia. Pan doktor uważa, że to nie powinno wpłynąć negatywnie.

Roy się zastanowił.

- Są jakieś postępy? - zapytał.

- Ale w jakiej dziedzinie?

- W badaniach. Chciałbym na przykład wiedzieć, jak inni... - już miał powiedzieć „koledzy”, ale ugryzł się w język, bo przecież nie stanowili drużyny - pacjenci się czują.

- Nie powinien pan sobie zaprzętać tym głowy - poradziła Netty.

- Czyli w dalszym ciągu jest nas czworo? - spytał Roy.

- Liczba pacjentów znacznie teraz wzrosła - poinformowała Netty. - Prawie codziennie zgłaszają się nowi ze skierowaniami. Proszę spokojnie leżeć. Zaraz kończymy.

Potrząsnęła plastikowym workiem na stojaku kroplówki.

Roy opadł na zamszową kanapę. Po chwili jednak spytał:

- Ilu nas zostało z początkowej czwórki?

Milczenie. Rozejrzał się po pokoju feng shui. Netty znikła. Zauważył, że ma na sobie flanelową, szpitalną piżamę, a nie codzienne ubranie. Denerwował go kwiecisty, pastelowy

deseń.

Fontanna natomiast koła. Spróbował sobie wyobrazić, tak jak dawniej, miliony mikroskopijnych wojowników doktora Chu, którzy biorą głodem komórki rakowe i zwracają jedne przeciw drugim. Tym razem mu się nie udało, nie potrafił wywołać w głowie żadnego obrazu.

* * *

Wszedł doktor Chu, zacierając zżawo ręce, jak gdyby chciał wykrzesać ogień.

- Nareszcie dopięliśmy celu - oznajmił.

- Jak to? - spytał Roy.

- Postawiliśmy pana na nogi - wyjaśnił Chu.

- Na nogi?

- W porównaniu ze stanem, w którym tu pana przywieziono - dodał Chu.

- Chciałbym z panem o tym porozmawiać - powiedział Roy. - Poza tym domagam się zwrotu ubrań. I telefonu.

- Mamy mnóstwo czasu - odparł Chu.

Spojrzał na prawie pusty worek kroplówki.

- Naprawdę? - spytał Roy.

- Zapewniam pana - rzekł Chu. - To dopiero pierwszy dzień drugiego cyklu.

Podszedł, wyjął igłę z ręki Roya. W worku pozostało jeszcze wiele kropli, co dręczyło Roya. A jeżeli jego los zależał od kilkuset wojowników w tych kroplach? Spojrzał lekarzowi w oczy.

- Muszę wiedzieć, jak pan ocenia mój stan.

Chu przystawił sobie krzesło.

- Zacznijmy od tego, jak się pan czuje.

- Dobrze. Czasem tylko brakuje mi tchu.

- Mniej niż podczas ostatniej wizyty? Bardziej? Czy tak samo?

- Może mniej - powiedział Roy. - Pytam o swoje postępy w porównaniu z innymi.

- Znakomicie się pan spisuje - pochwalił Chu. - Pierwszorządnie.

- Coś nowego - rzucił Roy.

Chu się roześmiał i z zenującym w tej sytuacji rozbawieniem spytał:

- A odczuwa pan bóle?

- Nie jest źle.

- Większe? Mniejsze? Takie same?

- W tej chwili żadnego.

Nie bardzo mijał się z prawdą.

- Wybornie - ucieszył się Chu. - Brak tchu. Czasem boli, ale nie teraz. Coś jeszcze?

- Nie.

- A zmiany psychiczne?

- Zmiany psychiczne?

- W trakcie naszych badań zdarzyło się kilka epizodów halucynacyjnych - oznajmił Chu.

- Nie - zaprzeczył Roy. - Niczego takiego nie doświadczyłem.

- Nie chodzi wyłącznie o wyobrażanie sobie czegoś, czego nie było - ciągnął Chu - chociaż i to się zdarzało. Ale dochodziło również do dziwnego pomieszania zmysłów, odtwarzania dawnych zdarzeń, a nawet przeżywania poniekąd nowych ich wersji.

- Nie rozumiem - rzekł Roy.

- Są to prawie na pewno skutki uboczne naszej terapii, chociaż wciąż nie potrafimy ustalić ich etiologii - przyznał Chu. - Mieliśmy na przykład pacjenta, którego przed laty wyrzucono z brygady murarskiej. Przyjął pracę w stoczni, gdzie miał kontakt z azbestem, co niewątpliwie stanowi istotny szczegół. Po trzecim rzucie terapii wrócił do domu, włożył kask i zgłosił się do pracy na dawnym placu budowy, chociaż w tym miejscu od dawna znajduje się ukończone osiedle. - Lekarz przekrzywił lekko głowę, zapewne żeby lepiej przyjrzeć się Royowi. - Jak gdyby chciał odwrócić bieg czasu, tym razem lepiej się spisać, nie dać się wyrzucić.

- Nic takiego mi się nie zdarzyło - oświadczył Roy.

- Na pewno?

- Na pewno.

- Bo to nie powód do wstydu - zapewnił go Chu.

- Do jasnej cholery... - Jego słowa zabrzmiały donośnie w pokoju feng shui, tyle że skrzekliwie, jakby krzyczał rozgniewany starzec. Odchrząknął, opanował się. - Wiem, że to nie powód do wstydu. Ale ja nie miałem halucynacji.

- Halucynacje bywają bardzo przekonujące - rzekł Chu. - Dlatego czasem tak trudno...

- Niech pan da spokój - uciął Roy. - Nie miałem żadnych halucynacji.

Chu znów zatarł ręce, teraz mniej energicznie.

- Badania to nie to samo co terapia - powiedział.

- Zdaję sobie sprawę.

- To dopiero eksperyment - dodał. - Nikogo nie powinien dziwić nieprzewidziany bieg wydarzeń.

- Ale nie doszło do nieprzewidzianych wydarzeń. Sam pan przyznał, że jestem w świetnej formie.

Chu zapatrzył się w fontannę. Nagle Roy odniósł wrażenie, że lekarz przestał słuchać.

- Na niewielkim obszarze ludzkiego ciała dochodzi do starcia potężnych sił. - Chu wrócił do przerwanej wątku. Wstał, aż zatrzeszczało mu w kolanach, co zdumiało Roya, i podszedł do miodowych kamieni. Usunął stamtąd zwitek papieru przypominający opakowanie gumy do żucia. Z surową miną powiedział: - Policjant z pańskiego miasta, jeśli się nie mylę, sierżant Boudreau, wyraził zdziwienie ostatnimi wypadkami. Próbowałem mu wytłumaczyć, co się dzieje, ale chyba nie zrozumiał.

- O czym pan mówi? - spytał Roy.

- O nieprzewidywalnych wypadkach - odparł Chu. - Zwłaszcza o niezamierzonych reakcjach psychicznych. - Odwrócił się do Roya. - W tym wypadku silne emocje przeżywane w teraźniejszości mieszają się z silnymi emocjami z przeszłości.

- Nie rozumiem - wyznał Roy.

- Skutkują - wyjaśnił Chu - zachowaniami przypominającymi poniekąd zachowania wspomnianego przeze mnie robotnika, tyle że bardziej złożone i na większą skalę.

- W dalszym ciągu nie rozumiem.

- Wykopał pan szczątki swojej żony, podmienił na ciało tego nieboraka - rzekł Chu. - Mówię o zaburzeniu psychicznym. Sierżant Boudreau znacznie bardziej interesuje się miejscem złożenia zwłok niż zrozumieniem...

Roy zerwał się na równe nogi, jednym susem przemierzył pokój. Chu był drobnej postury i z natury flegmatyczny. Ledwo zdążył się cofnąć, zanim Roy chwycił go za poły kitła.

- Sęk w tym, że nie ma żadnego ciała. Oni wiedzieli, że to miejsce jest puste. Pomysł był w ich mniemaniu genialny, w moim... diaboliczny.

Roy krzyczał coraz głośniej, aż wykrzyczał ostatnie słowo. Zamilkł.

- Bardzo proszę - powiedział Chu.

Roy widział, że lekarzowi wali serce. Chu miał przerażoną minę. Przez sekundę Roy nawet poczuł satysfakcję, po chwili jednak odezwały się w nim skrupuły. Opuścił lekarzowi.

- Przepraszam - powiedział już dużo ciszej, bo uszła z niego cała energia wykrzesana w nagłym wybuchu.

Chu utkwiał wzrok trochę poniżej oczu Roya.

- Ja to rozumiem - powiedział. - Wszystkiemu winien stres. Wracamy do naszego badania?

* * *

Netty zbadała mu puls i ciśnienie.

- Wyniki dobre?

- W normie.

- Czyli?

- Puls siedemdziesiąt trzy. Ciśnienie sto dwadzieścia pięć na dziewięćdziesiąt.

- A ostatnio?

Sprawdziła.

- Miał pan dokładnie takie samo.

- Czyli dobre, prawda?

Czyżby nastąpiło przesilenie?

Netty się uśmiechnęła. Stabilne, czyli dobre. Wbiła mu w rękę igłę, pobrała ciemniejszą niż poprzednio krew do trzech probówek, które oznaczyła różnokolorowymi naklejkami.

- Proszę wejść na wagę - poprosiła.

- Zdjąć piżamę? - spytał.

- Może pan nie zdejmować.

- No to odejmijmy pół kilograma, żeby było dokładnie - powiedział.

Wszedł na wagę. Netty przesunęła ciężarki. Poprzeczka spadła, potem zakołysała się, podniosła, stanęła. Ważył sześćdziesiąt pięć kilogramów.

W głowie miał kłębowisko myśli. Pozostał jedynie widok Netty wzruszającej ramionami. Odwrócił się do niej.

- Ilu zostało nas z pierwszej czwórki? - zapytał.

- Nie mogę udzielać informacji na temat badań - powiedziała Netty. - Tylko pan doktor...

- Troje? Dwoje?

Karta zadrzała jej w rękę, ale odpowiedziała opanowanym głosem.

- Tylko pan.

Rozdział 26

Doktor Chu zajrzał na salę Roya.

- Jak smakuje obiad? - spytał.

Roy jadł obiad z plastikowej, trójdzielnej tacki - lasagne, chleb kukurydziany, sałatkę owocową.

- Jem dokładkę - pochwalił się.

- Kucharz się ucieszy - rzekł Chu.

Roy się roześmiał.

Lekarz się uklonił.

- Taki żarcik - dodał. - Ale chleb kukurydziany cieszy się u nas dobrą sławą.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Roy znów pomyślał, że Chu pisane jest bardzo długie życie, a jednocześnie wyobraził sobie siebie jako obiekt malejący we wstecznym lusterku.

- Proszę się zbytnio nie przejmować spadkiem na wadze - poprosił Chu. - W końcu to tylko skutek.

- Terapii?

- Nie. Ustalono ponad wszelką wątpliwość, że choroby. Ale skutek odległy, niekoniecznie proroczy. Rozumie pan różnicę?

Roy nie miał pewności, ale potwierdził.

- Różnica jest istotna - powiedział Chu. - Mam też dobrą wiadomość, że wczoraj w pańskiej krwi pojawiły się wyniki napawające optymizmem.

- To znaczy?

Chu wdał się w długi wywód, który Roy najpierw śledził, a potem przestał. Nieznajome określenia, skomplikowane powiązania, mnóstwo liczb, ale z wypowiedzi Chu tchnęła wiara, która wystarczyła pacjentowi. Roy chciał żyć, a jeszcze bardziej, jeśli takie powiedzenie ma sens, musiał. Instytut Hobbesa, który teraz zapadł się pod ziemię, wtedy przysłał mu pustą trumnę. To go przede wszystkim nurtowało, a nie żadna teoria na temat nakładania się dawnych emocji na obecne. Na rozwikłanie tego problemu trzeba czasu. Musi więc żyć. W przeciwnym razie umarłby w niewiedzy.

Kiedy został sam, a jego cień zaczął sunąć wolno po ścianie, zawołał: „Jestem głodny”, chociaż to było kłamstwo. Powtórzył. Nikt się nie zjawił. Wyskoczył z łóżka, wybiegł na

ulicę, kupił długą kanapkę od ulicznego sprzedawcy i pochłonął ją w trzech kęsach. Ta ostatnia scena rozegrała się tylko w jego głowie.

* * *

Nazajutrz ważył sześćdziesiąt sześć kilogramów. A następnego dnia, czyli trzeciego dnia drugiego cyklu, przytył do sześćdziesięciu siedmiu.

- Pani to zapisuje? - spytał Netty.

Pokiwała głową.

- Są już wyniki wczorajszych badań krwi?

Zapoznał się już z procedurami, zupełnie jakby tam pracował, jakby należał do personelu.

- Właśnie przyszły - stwierdziła Netty.

- I co?

- Znakomite - pogratulował Chu. - Jeszcze lepsze niż wczoraj.

- Sam mógłbym zaświadczyć - powiedział Roy. - Bo czuję się lepiej.

Chu i Netty patrzyli na niego.

- Dużo lepiej.

- Cieszę się - rzekł Chu.

- Mam kilka pytań.

- Słucham.

- Naprawdę czuję się znacznie lepiej - zapewnił Roy. - Czy widział pan przedtem u kogoś taką poprawę?

- Poprawę? - powtórzył Chu.

- W trakcie badań - wyjaśnił Roy. - Wiem, że wszyscy inni umarli, ale czy przedtem ktoś doświadczył takiej poprawy?

Oczekiwał zaprzeczenia. U niego przebieg był inny.

- Czy doświadczył poprawy? - jeszcze raz powtórzył Chu.

- Takiej, jaką odczuwam teraz - wyjaśnił Roy. - Mam dobre wyniki, przybieram na wadzę, lepiej oddycham... już nie pamiętam, czy wspominałem. Ogólna poprawa.

- Bardzo dobre pytanie - rzekł Chu. Zastanowił się. Netty przyglądała mu się uważnie. - Żeby udzielić panu wiążącej odpowiedzi, musiałbym przejrzeć wszystkie dane.

- A co panu podpowiada intuicja? - spytał Roy.

- Nie mogę polegać na intuicji - odparł Chu. - Jestem naukowcem. Ale kiedy pan wróci za dwadzieścia jeden dni, przygotuję dla pana szczegółowe porównanie.

- I jeszcze jedno - dodał Roy. - Skoro tamci już odeszli, co by pan powiedział na czwartą

dawkę?

- Dawkę?

- Koktajlu.

Albo piątą, szóstą, siódmą, tyle, ile trzeba, żeby po kilogramie dziennie wrócić do wagi osiemdziesięciu sześciu kilogramów.

- Zapomina pan o nowych osobach - powiedział Chu. - Mamy teraz piętnaścioro pacjentów.

Netty pokręciła głową.

- Czternaścioro - sprostował Chu.

- Kolejny zgon? - spytał Roy.

Netty ścisnęła go za rękę.

- Niech pan się skupi na sobie - poradziła.

Roya tknęła pewna myśl. Choć miał skrupuły, nie mógł się powstrzymać, żeby nie zadać tego pytania.

- Czy można kupić pański koktajl? - zwrócił się do lekarza.

- Słucham?

- Mógłbym panu zapłacić. - Roy był gotów pertraktować do dwustu pięćdziesięciu tysięcy lub więcej. - Litr albo dwa.

Chu przekrzywił nieco głowę, jak gdyby patrzył w dół po swoim nosie.

- Oznaczałoby to kres nauki - powiedział. - Do zobaczenia za dwadzieścia jeden dni.

* * *

Roy wynajął samochód i pojechał do Waszyngtonu. Był w niezłej formie, oddychał bez trudu, prawie nie czuł bólu. Zastanowił się. Rzeczywiście trudno liczyć na to, że przez dłuższy okres będzie mu codziennie przybywał kilogram na wadze, ale nawet pół kilograma dziennie zbliżyłoby go do osiemdziesięciu kilku już za... Obliczył w głowie, po czym zaplanował różne rzeczy w kalendarzu, uwzględniając przybywanie na wadze w różnym tempie. Wyznaczył sobie docelową datę przy absolutnie minimalnym tyciu - piętnaście dekagramów tygodniowo - kiedy skręcił w Dwudziestą Drugą Avenue i zaparkował naprzeciwko znajomego tryptyku: kawiarni Starbucks, stojaka z gazetami i sklepu Wino, Spółka z o.o. Wszystko wyglądało tak samo poza witryną sklepu, teraz wyklejoną od środka szarym papierem i opatrzoną tabliczką na drzwiach z napisem: DO WYNAJĘCIA.

Wcale to nie wstrząsnęło Royem, nawet go nie zdziwiło. Może wręcz uspokoiło. Zniknięcie sklepu przekonało go nie wiadomo dlaczego, że znajduje się na właściwym tropie.

Ów trop z całą pewnością prowadził aż do pogrzebu z pustą trumną i do jeszcze wcześniejszych wydarzeń. Mimo to nie wiedział, co robić dalej. Wracać do domu? Przycisnąć znów Janet Habib, żeby wyciągnąć od niej to, co zataiła? Może jedno i drugie, poczynawszy od...

Zadzwoniła komórka.

- Roy Valois? Mówi Jerry. Pamiętasz... przyjaciel Richarda Golda...

- Jasne.

- Ciekaw jestem, czy udało ci się coś ustalić w sprawie korekty nekrologu.

- Nie bardzo.

- Ale szukasz?

- Owszem - przyznał. - Dlaczego pytasz?

- Chodzi o komórkę Richarda.

- Znalazła się?

- Nie - powiedział Jerry. - Sprawa dotyczy mężczyzny ze zdjęcia, o którego pytałeś.

Blondyna, sądząc z wyglądu, zamożnego faceta. Szefa twojej żony.

- Toma Parisha?

- Obecnie używa innego nazwiska - powiedział Jerry. - Ale widziałem go.

- Gdzie?

Roy ścisnął teraz kurczowo telefon.

- W Rakietach Tenisowych i Innych.

- Co to takiego?

- Sklep. Prowadzę im księgowość - wyjaśnił Jerry.

- Nie rozumiem.

- Jestem księgowym - rzekł Jerry. - Zostawił u nas rakiety do naciągnięcia.

- Kiedy?

- Wczoraj. Ma przyjść po nią dzisiaj.

- Gdzie jest ten sklep? - spytał Roy.

- W Chevy Chase - odparł Jerry. - Mogę ci pokazać, kiedy następnym razem będziesz w

Waszyngtonie.

- Jestem w Waszyngtonie - powiedział Roy.

* * *

Biały dom Jerry'ego z czarnymi okiennicami nadal był nienagannie zadbane, ale na trawniku stała tablica: NA SPRZEDAŻ, podobna do tej z napisem: DO WYNAJĘCIA w

sklepie winiarskim, chociaż Roy nie umiałby określić podobieństwa. Z okna na parterze przyglądał mu się Jerry. Miał bladą owalną twarz. Wszedł, dygocząc, chociaż nie było zimno, prawie dziesięć stopni Celsjusza. Zapiął prochowiec pod szyję.

Wsiadł do samochodu.

- Cześć - przywitał się, spoglądając na Roya.

Zatrzymał na nim spojrzenie chwilę dłużej, zdziwienie odmalowało się w jego oczach. Roy zrozumiał, ale się nie przejął.

- Sprzedajesz dom? - spytał.

- Tutaj wszystko mi go przypomina - powiedział Jerry. - Na końcu ulicy skręć w lewo.

Roy usłuchał, przejechał przez Rock Creek Park.

- Odzywał się do ciebie sierżant Bettis?

- Nie - odparł Jerry. - Przez cały ten czas nie dostałem żadnych informacji.

- Ale on wciąż uważa, że to było włamanie?

Jerry pokiwał głową.

- Zginęło kilka przedmiotów - przypomniał.

- Dwukrotnie - powiedział Roy.

- Jak to?

- Za pierwszym razem zapomnieli o komórce - wyjaśnił Roy. - I o tych kartkach, które potem wyrwali z notesu Richarda.

- Nie rozumiem - rzucił Jerry.

- To nie było żadne włamanie - stwierdził Roy. - Richard pracował nad pewnym materiałem, a to komuś nie odpowiadało.

- Jakim materiałem?

- Nad moim nekrologiem.

Roy poczuł na sobie wzrok Jerry'ego.

- Sierżant Bettis podejrzewał, że ta zbrodnia może mieć związek z tobą - wyjawiał Jerry. - Ale nie wierzyłem mu ani przez chwilę.

- Dlaczego?

- Ze względu na to, jak pomogłeś mi przy kolażu - wytłumaczył Jerry. - Musiałbyś być potworem. - Przytknął rękę do wywietrznika. - Pracował nad nekrologiem... Chodzi ci o ten instytut, w którym pracowała twoja żona?

- To załedwie początek - powiedział Roy, włączając ogrzewanie.

Jerry mimo to postawił kołnierz płaszczu. Znajdowali się w Chevy Chase, na ulicy pełnej ekskluzywnych sklepów.

- Jak to? - spytał Jerry.

Jak to? Przede wszystkim Delia żyje. Roy miał co do tego pewność. Ale gdzie w takim razie przebywa? I dlaczego do niego nie wróciła? Nie znał na te pytania odpowiedzi, nie miał zielonego pojęcia.

- Jacyś ludzie ukrywają coś ważnego - powiedział. - Są gotowi na wszystko.

- Masz na myśli morderstwo? - spytał Jerry.

- Wszystko.

- Richard został zamordowany, żeby coś ukryć?

- Nie tylko on - powiedział Roy.

Opowiedział Jerry'emu o Skippym.

- Boże! - zawołał Jerry. - Może powinniśmy zawiadomić sierżanta Bettisa?

- Próbowałem - rzekł Roy.

Jerry chwilę milczał.

- Co to za oni? - spytał. - Kto tu co ukrywa?

- Chodzi o jakąś Operację Ananas.

- Nie brzmi szczególnie groźnie.

- Mają nosa do sprytnych kamuflaży - przyznał Roy i natychmiast zrozumiał prawdziwość swoich słów. Drugi dowód stanowiła nazwa instytutu. - A tożsamość sprawców właśnie próbujemy ustalić.

Jerry się obejrzał. Zobaczył tylko codzienny ruch uliczny na przedmieściach.

* * *

Z prawej strony Roy dostrzegł sklep Rakiety Tenisowe i Inne. Zatrzymał się.

- Ładny sklep - powiedział cicho Jerry, jak gdyby się bał, że ktoś usłyszy. - Ale przynosi straty, pięć tysięcy miesięcznie, a przy tym właściciel nie pobiera pensji.

Roy spojrzał na Jerry'ego.

- Jakim jesteś księgowym? - spytał normalnym tonem.

- Jakim? Licencjonowanym, jeżeli o to pytasz - odparł w dalszym ciągu cichym głosem.

- Dobrym?

Zamrugnął oczami.

- Staram się - powiedział już normalnym tonem.

- Chętnie bym cię zatrudnił.

- Do czego?

- Żebyś się dowiedział, czego tylko możesz o firmie Inwestycje Verdadero.

- Po co?

- Chyba wystawiali dowody wypłat dla Instytutu Hobbesa.

Jerry wyjął notes.

- Po hiszpańsku *verdadero* znaczy „prawdziwy” - wyjaśnił i zapisał.

- Tak? - Roy znał trochę francuski, bo osłuchiwał się z nim w dzieciństwie, ale nie hiszpański.

- Sprawdź - obiecał Jerry.

Siedzieli w samochodzie. Do sklepu weszła wysoka kobieta z końskim ogonem. Wyszła po kilku minutach z rakieta tenisową opakowaną w plastik pod pachą. Następnie wyszedł mężczyzna znacznie młodszy od Toma Parisha, z pudełkiem piłek.

- Mówił, kiedy odbierze raketę? - spytał Roy.

- Nie słyszałem - odrzekł Jerry. - Już był w drzwiach, kiedy wszedłem. Minał mnie w progu. Dobrze mu się przyjrzałem. Właściciel pożegnał go: „No to do jutra, Ned”.

- Ned?

- Prawie jestem pewien.

Czas mijał. Nikt nie wchodził ani nie wychodził.

- Straci ostatnią koszulę - odezwał się Jerry.

Roy otworzył oczy.

- Co?

Jerry patrzył na niego.

- Dobrze się czujesz?

- Dobrze - zapewnił Roy.

- Bo zbladłeś.

- Wydaje ci się.

Roy się wyprostował.

Obserwowali fasadę sklepu. Jakiś mężczyzna podszedł do wystawy.

- Właściciel - powiedział Jerry.

Mężczyzna zarzucił sweter tenisowy na ramiona manekina, rozejrzał się po ulicy, schował w głąb sklepu.

- Cholera, jak to długo trwa - niepokoił się Roy.

Chciało mu się krzyżeć, dosłownie, nie mógł już nad sobą zapanować. A jednocześnie coś jakby się w nim otworzyło. Walnął w kierownicę, aż zatrzęsała się cała kabina.

Jerry spojrzał wystraszony.

- Mógłbym tam wejść - zaproponował.

- I co byś zrobił? - spytał z rozdrażnieniem Roy.

- Udawał, że muszę coś sprawdzić - odparł Jerry. Uśmiechnął się przelotnie, ale dało to Royowi wyobrażenie, jakim wcześniej był człowiekiem. Opanował się. - A w rzeczywistości powęszyłbym trochę.

- Dlaczego nie?

Jerry wszedł do sklepu na rekonesans. Roy patrzył, jak rozmawia z właścicielem. Obaj znikli za regałem z obuwiem. Roy wyjął batonik z kieszeni, zjadł połowę: 145 kalorii. Koktajl doktora Chu działał w trakcie samej terapii. Ale on musi się bardziej przykładać podczas dwudziestojednodniowych przerw.

Jerry wyszedł ze sklepu, wsiadł do samochodu, zamknął drzwi.

- Dobrze, że tam poszedłem - powiedział. - Ten facet odebrał swoją raketę dziś rano. W książce zamówień figuruje jako Ned Miller. - Podał Royowi kartkę ze swojego notesu. - Masz adres. Farma Dzikiej Róży, Meadville Rd., Meadville, Maryland.

- Gdzie to jest? - spytał Roy.

- Droga na Wirginię Zachodnią - wyjaśnił Jerry. - Tereny hodowli koni. Adres zdobyłem w dziesięć sekund - dodał ściszym głosem. - Właściciel niczego nie podejrzewał.

Jerry popadł w zadumę. Roy zastanawiał się, czy chodzi o Richarda, bądź co bądź dziennikarza, i frajdę, z jaką Jerry opowiedziałby mu tę historię. Oczy Jerry'ego nabiegły łzami. Odwrócił się. Kiedy Roy podwiózł go pod dom, czekał już tam agent handlu nieruchomościami z klientem.

Rozdział 27

W Vermoncie w pobliżu Roya znajdowało się mnóstwo farm, ale żadna nie przypominała Farmy Dzikiej Róży. Rozciągała się na łagodnym wzniesieniu przy zakolu rzeki Potomac, a od strony Wirginii Zachodniej wznosiły się wyższe góry. Całość prezentowała się okazale: dom, stajnia, nawet szopy i inne zabudowania gospodarcze - stare, dostojne, świetnie urządzone, jak gdyby właśnie wyszedł stamtąd projektant wnętrz nieograniczany budżetem. Wokół kompletny bezruch, pominąwszy stado ptaków, które przyfrunęło przez rzekę i przysiadło w nagich gałęziach drzew w sadzie za ujeżdżalnią. Kiedy Roy jechał długim podjazdem, pod kołami chrzęścił żwir. Zaparkował przed domem.

Chwilę posiedział w wynajętym samochodzie, jedynym po horyzont, i próbował obmyślić przynajmniej pierwsze kroki jakiegoś planu. Przyszło mu tylko do głowy, żeby zapukać w ogromne dwuskrzydłowe drzwi, białe ze złotą kołatką w kształcie końskiej podkowy, i czekać, aż ktoś otworzy. Na szybę spadła duża kropla deszczu, wzbijając obłoczek kurzu. Wysiadł i zastukał kołatką.

Nikt nie podszedł.

Zapukał jeszcze raz, mocniej. Nastawił ucha, ale usłyszał jedynie rzenie konia w pobliżu. Czyli nawet pierwszy krok mu nie wyszedł. Nie miał czasu na takie podchody. Maniery, ceregiele, konwenanse. Jakież mogą mieć teraz znaczenie? Szarpnął drzwi. Zamknięte.

Cofnął się, rozejrzał. Przez trawnik przetoczyła się ściana deszczu przypominająca unoszącą się kurtynę. Deszcz bębnił cicho o ścianę stodoły trzysta do czterystu metrów dalej. Może nawet więcej, bo kiedy ruszył w jej kierunku, zorientował się, że w pierwszej chwili bardzo zaniżył jej wielkość.

Obszedł budynek. Z przodu znajdowała się ogromna, podnoszona do góry brama, zamknięta, nie do ruszenia. Podobna była na tyłach, skąd rozciągał się widok na rzekę, również zamknięta. Nad górami od strony Wirginii Zachodniej wisiały czarne chmury. W głębi błysnęła nieśmiało błyskawica. Nurt rzeki się wzburzył, nadciągał ulewny deszcz.

Z boku stajni znalazł drzwi. Też były zamknięte, ale miały niewielkie okno z pojedynczą szybą. Zajrzał do środka. W drugim końcu przestronnego, mrocznego pomieszczenia stał olbrzymi, kanciasty pojazd. Wyglądał jak wielka przyczepa kempingowa.

Ponownie zarżał koń, tym razem głośniejszy. Roy zrozumiał, że rzenie dobiega ze stajni.

Zdumiał się, a jednocześnie wpadł na pomysł. Wziął z boku ścieżki pomalowany na biało kamień i rozbił okno. Po chwili znalazł się w środku.

W ciemnościach unosiły się typowe zapachy, od siana przez gnój po smar do siodeł. Ruszył przejściem między boksami, które stały teraz puste, z otwartymi drzwiami. Poza ostatnim. Znad bariery patrzył na niego duży czarny koń z rozbieganymi nerwowo, wielkimi, szklistymi oczami. Roy pogłaskał go po pysku.

- Już dobrze - powiedział.

Koń cofnął się na sztywnych nogach, rąbnął mocno zadem w tylną ścianę.

- Spokój - zakomenderował Roy.

Koń unióś łeb, parsknął, a potem stał już spokojnie, tylko nozdrza mu falowały.

Roy przemierzył drewnianą, wydeptaną na gładko podłogę i przeszedł na drugi koniec pomieszczenia. Wzrok go nie mylił, stał przed olbrzymią przyczepą na niskim podwoziu na kółkach. Była piaskowego koloru, w oknach nie miała żadnych zasłon ani żaluzji. Roy obejrzał ją ze wszystkich stron. Wszedł na podwozie, spróbował otworzyć wąskie drzwi z owalnym zakończeniem w kadłubie przyczepy. Ustąpiły.

W środku panowały niemal zupełne ciemności, dopiero po chwili wzrok Roya się przyzwyczaił. Zaczął rozróżniać szczegóły - biurowe boksy z komputerami na biurkach, monitory magnetowidów zwisające z sufitu, na ścianach wielkie mapy, tyle że wszystkie szczegóły tonęły w mroku, bo sprzęt elektroniczny był całkowicie wygaszony. Żadnych ludzi, odgłosów, kompletny bezruch, ale Roy już widział to miejsce przedtem, za pomieszczeniem służbowym w sklepie Wino, Spółka z o. o. Próbował je nawet pokazać sierżantowi Bettisowi, ale mu się nie udało. Przenośne biuro. Tom Parish, Lenore, Westie, wszyscy bez trudu wpuścili go w kanał. Dlaczego? Bo zabrakło mu wyobraźni, chociaż niby stanowiła jego mocną stronę. Nie wierzył wówczas w istnienie - jak by go nazwać? - równoległego świata. Teraz uwierzył. Co Delia powiedziała Turkowi w rozmowie za schroniskiem? *Kiedy człowiek pozna wszystko od podszewki, szybko przestaje go to bawić.* Dlaczego nigdy nie powiedziała nic podobnego jemu? Może wówczas... Zaraz jednak przypomniał pewne inne sformułowanie: *Pieprzyć ananasy.* Czy potrafił znaleźć inne przykłady? W głębi duszy czuł, jak wypływają na powierzchnię wszystkie sytuacje, w których próbowała mu coś powiedzieć.

Znalazł się w przyczepie. Wszedł do pierwszego boks, usiadł przy komputerze, nacisnął guzik. Nic. Znalazł wtyczkę, włożył ją do gniazdka. Otworzył szufladę biurka. Pusta. Sprawdził inne szuflady, macał w nich po ciemku; były puste.

Wstał, zaczął obchodzić wszystkie boksy - włączał pstryczki, naciskał klawisze, otwierał szuflady i zatrząskiwał z hukiem.

- Niech to szlag trafi.

Musiał poznać odpowiedzi, i to szybko. A ścienne mapy? Podszedł do najbliższej - w ciemnościach ledwo rozpoznał Bliski Wschód - przejechał po niej ręką. Mapa, która pod palcami wydawała mu się plastikowa, zadrżała i zaczęła zsuwać się ze ściany. Próbował ją złapać, ale okazała się zadziwiająco ciężka, spadła na podłogę i stłukła się. Nie była z plastiku, lecz ze szkła. Łoskot go ogłuszył. Roy nerwowo się rozejrzał, ale nic się w ciemnościach nie poruszyło. Znow słyszał tylko dudnienie własnego serca, za szybkie i za lekkie.

Spojrzał na ścianę, na której przed chwilą wisiała mapa. Okazało się, że ukrywała białą tablicę, na której pisze się ścieralnym markerem. Widniał na niej napis. Może jeśli podejdzie bliżej, zdoła go odczytać. Podszedł bliżej. Przeczytał: *Roy Valois*.

Niżej kilka linijek drobniejszym pismem, tak drobnym, że Roy nie mógł przeczytać. Wrócił do drzwi przyczepy, znalazł deskę rozdzielczą z włącznikami, zaczął pstrykać, ale bez skutku. Czy gdzieś w stajni znajdzie latarkę albo zapalniczki? Otworzył drzwi. Znow zarżał koń. Roy zatrzymał się z nogą na podwoziu, gdy wtem otworzyły się drzwi, przez które się włamał, i w prostokącie światła z zewnątrz ujrzał sylwetkę mężczyzny. Za nim padał ulewny deszcz, zacinając ostro. Potężny mężczyzna wszedł do stajni. Roy cofnął się w głąb przyczepy i cicho zamknął drzwi.

Stał i nasłuchiwał. Słyszał krople deszczu na dachu, zupełnie jakby bębniły niezliczone palce. Usłyszał cichy stukot; może to tylko koń w boksie przestąpił z nogi na nogę. Roy cofnął się jeszcze głębiej. Wpadł na kant biurka. Jakiś przedmiot spadł na podłogę, na tyle lekki, że w ogóle albo prawie w ogóle nie spowodował hałasu. Roy schował się za ścianę boksu.

Cisza. Po chwili odezwał się i ucichł prawie niesłyszalny szmer. Roy wyłowił go uchem tylko dlatego, że doleciał z tak bliska, a dokładnie z jego piersi, dał się słyszeć z każdym oddechem. Mniejsza z tym, bo oddychał już bez trudu, czuł przyływ sił, wciąż chroniony koktajlem doktora Chu. Przestał się bać tego, co zaraz może się wydarzyć. Zmiana nastawienia nie wymagała żadnego wysiłku, po prostu nagle nabrał odwagi lub przynajmniej odrzucił strach, bo zapewne jedno nie równa się drugiemu. Czyżby to skutek uboczny koktajlu? Roy podniósł z biurka mały ciemny przedmiot. Okazało się, że to zszywacz. Czekał.

Zero akcji. Powstał kolejny trójkąt, tym razem z dwoma punktami stałymi - on i koń - i trzecim ruchomym - mężczyzna w drzwiach stajni. Roy czuł, jak trójkąt zmienia kształt. Tak dłużył mu się czas w tej ciszy przerywanej jedynie delikatnym, miarowym szmerem, że nabrał pewności, iż ruchomy punkt wycofał się ze stajni i oddalił. Nagle drzwi przyczepy się

otworzyły.

Zaświeciła latarka. Snop światła szperał po kątach, po czym zaczął omiatać całe wnętrze, od tyłu do przodu. Przez chwilę padł na jakiś błyszczący przedmiot, bo nagle w słabym odbitym świetle zamajaczyła twarz mężczyzny, okrągła, który to kształt zwykle kojarzy się z serdecznością, lecz w tej twarzy nie było krztyny serdeczności. Westie. Snop światła zbliżył się, a gdy przejechał po ścianie boksu, Roy kucnął.

- Wyłaź! Ręce do góry! - krzyknął Westie.

Roy wyrzwał zza ściany. Snop światła trafił na strzaskaną mapę. W blasku latarki zalśniły odłamki szkła.

- Jesteś w potrzasku - oznajmił Westie. - Stąd jest tylko jedno wyjście.

Roy ani drgnął. Westie wszedł do przyczepy, stapał bardzo cicho jak na tak potężnego mężczyznę.

- Wyrostek z obozu? - spytał. - Naprawdę chcecie, żebym wezwał policję?

Określił się, skierował światło na boks obok Roya, który się uchylił, ale dopiero kiedy dostrzegł rewolwer w drugiej ręce Westiego. Snop światła zaczął omiatać zygzakami ścianę w głębi boksu, szybko i sprytnie, jakby miał własny rozum, lecz chybił dosłownie o włos.

- Nic ci złego nie zrobię - obiecał Westie. - Jakoś się dogadamy.

Podszedł bliżej. Roy za ścianą słuchał cichych, ostrożnych kroków. Westie zatrzymał się pół metra od niego.

Czy czas sprzyjał Royowi? W głębi duszy świetnie znał odpowiedź na to pytanie. Jeśli nie teraz, to kiedy? Wstał, choć nie tak szybko, jak zamierzał, sięgnął górą przez ścianę i zszywaczem rąbnął mocno Westiego w głowę. Nigdy w życiu nic podobnego nie zrobił, nie zaatakował z ukrycia, ale przypomniał sobie Skippy'ego i natychmiast wszelkie opory ustąpiły.

Poszło łatwo, co nie znaczy, że skutecznie. Po pierwsze, zszywacz tylko odbił się od głowy Westiego, a większość siły ciosu poszła w ramię lub może nawet w przedramię. Po drugie, wypalił pistolet. Po trzecie, Roy Stracił równowagę i upadł na ściankę działową, która przewróciła się, nakrywając Westiego. Roy leżał na wierzchu. Niemal w tym samym czasie rozległ się obrzydliwy odgłos uderzającej w twardy przedmiot głowy.

Roy leżał pokrzywiony, wciśnięty między podłogę a kant przewróconej ścianki działowej. Powinien zareagować, ale nie mógł. Zziębnięty z trudem łapał oddech. Westie mógł zatem ruszyć do czynu. Ale rewanż nie nastąpił. Oddech Roya się uspokoił. Przewrócił się na brzuch, ukląkł na czworakach. Na podłodze leżała latarka wymierzona w Westiego. Pierś mu falowała, ale oczy miał zamknięte. Roy podniósł latarkę, wstał.

Połysek światła zatrzymał się na rewolwerze leżącym w kącie przy sąsiednim boksie. Smith & wesson z krótką lufą i drewnianą kolbą. Ten sam model Lenore podrzuciła Skippy'emu do schowka. Roy zdjął pasek Westiemu, przeturlał go i związał mu ręce na plecach.

- Obudź się - zażądał, podnosząc broń.

Brak odpowiedzi. Westie oddychał spokojnie i głęboko.

- Obudź się.

Mężczyzna jęknął cicho, ale się nie ocknął. Roy przestąpił leżącą ściankę działową, podszedł do tablicy, oświetlił ją latarką.

Roy Valois

1. Co R.V. wie na temat Operacji Ananas?
2. Skąd jego nagłe zainteresowanie po tak długim czasie?
3. Powiązanie między R.V. a Goldem.
4. Związek ze schroniskiem.

Roy przeczytał cztery punkty wypisane na białej tablicy. Poślinił palec, potarł jedną literę. Tusz się rozmazał. Roy zrozumiał, że trafił do równoległego świata, całkiem realnego. Serce znów zaczęło mu bić w znanym rytmie - za szybko i za płytko. Żeby je uspokoić, spróbował nabrać więcej powietrza w płuca, wyprężył pierś, odgiął do tyłu łokcie. Wcześniej to zadziałało, przynajmniej trochę, ale tym razem nie. Poczul nagły ból głęboko w piersi, i to silny, jak gdyby ktoś go kopnął od środka. Za jego plecami Westie ponownie jęknął. Roy chwycił się podłokietników, dźwignął, na co zużył całą siłę. Skierował snop światła na Westiego. Mężczyzna otworzył oczy i teraz mrużył je przed światłem.

- Coś ty za jeden? - spytał.

Roy oświetlił latarką białą tablicę, przez chwilę zatrzymał na niej światło, żeby Westie mógł przeczytać, po czym ją odwrócił.

- Znalazłem Skippy'ego - powiedział Roy.

Westie się nie odezwał.

- Odpowiadaj - zażądał Roy.

- Co mi zrobiłeś w nogę? - spytał Westie.

- Nic.

- Bo krwawi.

Roy uniósł latarkę, zobaczył na nogawce Westiego, na wysokości uda, mokrą plamę.

- Postrzeliłeś się - wyjaśnił. - Zawiozę cię do szpitala, ale najpierw odpowiesz mi na kilka pytań.

- Na jaki temat?

- Zacznijmy od Instytutu Hobbesa.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

Roy stanął nad nim.

- Nie widzisz, że gra skończona? Zabiłeś niewinnego chłopaka.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Roy omal go nie kopnął. Westie się wzdrygnął, chociaż Roy w ogóle się nie poruszył.

- Krwawię.

Roy spojrzał na mokrą plamę na nodze Westiego, chyba większą niż przed chwilą.

- Kto napisał te punkty na tablicy? - spytał.

Westie pokręcił głową.

- Tom Parish? Ned Miller czy jak on się tam nazywa? Roy dostrzegł błysk w oku Westiego.

- Czym była Operacja Ananas? - spytał.

- Nie najlepiej się czuję.

- Zawiozę cię do szpitala - obiecał Roy. - Czym była Operacja Ananas?

Brak odpowiedzi.

- Co oznacza związek ze schroniskiem?

Westie pokręcił głową.

- Dlatego zabiłeś Skippy'ego? Co tam robiłeś?

- Nikogo nie zabiłem. Jego...

Ugryzł się w język.

- Chciałeś powiedzieć, że jego zabiła Lenore?

Westie milczał. Czas uciekał. Roy kopnął Westiego, chociaż nie z całej siły, w nogę. Nawet nie zwrócił uwagi, czy kopie w postrzeloną, czy w zdrową. Chyba jednak w krwawiącą, bo Westie zawył z bólu. W stajni na zewnątrz ponownie zarżał koń.

- Czyli Lenore? - spytał Roy.

Westie podniósł rękę, spojrzał na dół. Mokra plama powiększyła się, rozlała się na podłogę. Twarz mu się zmieniła, wydał się teraz Royowi młodszy. Sam niedawno wyrósł z dzieciństwa.

- Mogę umrzeć - powiedział.

- Twój wybór - odparł Roy.

Pod tym względem Westie i tak miał więcej szczęścia z nich dwóch.

- Jak to?

- Jak zaczniesz gadać, zawiozę cię do szpitala - wyjaśnił Roy. - Naprawdę warto umierać za te tajemnice?

Westie się zastanowił.

- Gdzie jest Delia? - zapytał cicho Roy.

Westie podniósł na niego wzrok. Z każdą chwilą jak gdyby młodniał. Roy przestał zwracać na to uwagę.

- Nie wiesz, z czym walczysz - uprzedził go Westie.

- Czekam, że ty mi powiesz.

- Z historią.

- Walczę z historią?

Westie pokiwał głową.

- Jak to?

- Albo wiesz, albo nie.

- Co to ma wspólnego z Delią?

Długa chwila. Royowi zdawało się, że słyszy powolne kapanie na podłogę.

- Nic o niej nie wiem - odparł Westie, a potem dodał: - W każdym razie nie z pierwszej ręki. Pracuję tu dopiero kilka lat.

- Tu, czyli gdzie?

- U Lenore. - Znów długa chwila i wyjaśnienie: - Ona jest szefem ochrony.

- Czyjej?

- Organizacji.

- Jakiej organizacji?

- Bez nazwy.

- Ale kiedyś nosiła nazwę Instytut Hobbesa? - spytał Roy.

Znów odgłos kapania. Westie skinął głową. Widocznie podjął decyzję, że które tajemnice warto umierać. Roy odłożył broń, zdjął kurtkę, oddał podszewkę, obwiązał ją jak krepulcem nogę Westiego. Pomógł mu wstać.

- Nie z pierwszej ręki, to znaczy, że coś wiesz - powiedział, łapiąc Westiego za pasek wiążący mu ręce. Pchnął go między łopatkami. Ruszyli do otwartych drzwi przyczepek.

- Wiem tylko, że to była porażka - rzekł Westie.

- Ale co?

- Operacja Ananas.

- Co się stało? - zapytał Roy. Poślizgnął się na mokrych śladach zostawianych przez Westiego.

- Nie czuję się najlepiej.

- Skippy też nie czuł się najlepiej - uciał Roy. Ale już nie popychał Westiego, tylko położył mu rękę na plecach. - Co się stało?

- Źle poszło.

- Dlatego zamknięto Instytut Hobbesa? - spytał Roy. - Po co te wszystkie tajemnice?

Westie pokiwał głową.

- Żeby sprawa nie wydostała się na zewnątrz.

- A gdyby się wydostała?

- Nastąpiłaby katastrofa.

- Dla kogo?

- Dla całego kraju.

- Dlaczego? - spytał Roy. - Czy Instytut Hobbesa należał do CIA albo podobnej organizacji?

Westie roześmiał się cicho.

- Co cię tak bawi?

- Właśnie o to chodziło - powiedział - żeby uniknąć porażek w stylu CIA.

- Komu o to chodziło? - spytał Roy.

- Nie czuję się najlepiej - powtórzył Westie.

Roy spojrział na nogę Westiego. Przestała zostawiać mokre ślady.

- Wylizesz się.

- Kiedy?

- Jak tylko odstawię cię do szpitala - stwierdził Roy. - Czy z powodu porażki zadżgano Paula Habiba? - Royowi nasunęła się okropna odpowiedź na to pytanie. - To był powód?

Westie odwrócił się do niego.

- Zadżgano? - spytał. - Nikt Habiba nie zadźgał. Wypadł z helikoptera.

- Przestań z tym helikopterem - warknął Roy. - I z Wenezuelą. Nie wciśniesz mi już tego kitu. Spróbuj czegoś nowego.

- Mylisz się - zapewnił Westie. - Rzeczywiście wypadł z helikoptera. Tyle że miejsce...

W drugim końcu stajni podniosła się do góry cicho, lecz szybko frontowa brama. Do środka wpadło oślepiające niemal światło. Wkroczyła Lenore, za jej plecami szalała ulewa. Na widok Roya z Westiem zamarła z karabinem w ręku. A smith & wesson Westiego? Leżał

na podłodze tam, gdzie Roy go zostawił, kiedy obwiązywał Westiemu nogę.

Roy schował się za Westiego, jedną ręką trzymając pasek.

- Gra skończona - oświadczył. - Wszystko wyszło na jaw. Dalsza przemoc nie ma już sensu. Zabieram go do szpitala.

- Przepraszam - rzucił Westie.

- Co mu powiedziałaś? - spytała Lenore.

Roy mylnie wziął to pytanie do siebie.

- Co mu powiedziałem? To jest bez...

Błysk światła, huk. Przypominały błyskawicę i grzmot, tyle że w mniejszej skali, doleciały z lufy. Roy poczuł straszliwą siłę wystrzału, który poderwał Westiego i cisnął na niego, przewracając i opryskując krwią.

Ale krwią Westiego. Roy podniósł się na czworaki. Obok leżał na wznak Westie z dziurą w piersi i patrzył na Roya. Poruszył ustami.

- Miejsce - powiedział i zastygł w bezruchu.

- Ręce do góry! - krzyknęła Lenore.

Roy nie podniósł rąk. Rzucił się do najbliższego boksu, otworzył bramkę, to znaczy skoczył do jedyne go zajętego, i wpadł do środka. Kolejny huk z broni Lenore. Roy usłyszał tuż koło siebie trzask rozłupywanego drewna. Koń z bliska wydał mu się ogromny. Rżał dziko i przebierał nogami w miejscu, przygniatając Roya do ściany.

W pewnej chwili zamarł i tylko drgały mu mięśnie, a siłę miał ogromną. Roy widział jedno oko nie dalej niż metr od siebie, wytrzeszczone ze strachu. Czuł smród potu zwierzęcia, wsiąkał mu w koszulę.

- Wychodź - zażądała Lenore. Podeszła bliżej, nie więcej jak kilka kroków od bramy. - Musimy porozmawiać. Możemy jeszcze sensownie z tego wybrnąć.

Roy odwrócił głowę, widział ją przez szparę między bramką a ścianą boksu. Lenore trzymała karabin wycelowany w wyjście. A więc tak chciała z tego wybrnąć.

Odwrócił się, musiał odeprzeć masywne cielsko. Wcisnął ręce między konia a siebie, położył dłonie tuż przy końskim uchu. Takie potężne zwierzę, a duże, spiczaste ucho miało takie miękkie i wrażliwe. Ucho drgnęło. Roy ostro klasnął.

Koń stanął dęba, wypełniając stajnię dzikim rzeniem, i wyskoczył z boksu. Roy miał nadzieję, że zwierzę osłoni jego ucieczkę. Tak się jednak nie stało. Wystraszony koń grzebnął przednim kopytem w powietrzu i kopnął Lenore w głowę. Upadła. W kilku sprężystych susach zwierzę wyrwało się ze stajni i zniknęło w deszczu.

Rozdział 28

Zjawił się obcy i zadaje groźne pytania.

Roy obudził się z tym zdaniem w myślach i poczuciem, że powtarzał je wielokrotnie we śnie. Wstał, nie wiadomo dlaczego z wielkim wysiłkiem, i zobaczył, że razi go oślepiające światło, jak gdyby miało się zacząć przesłuchanie. Sen przeszedł w jawę.

- Proszę opuścić okno.

Opuścić okno? Gdzie on jest? Chyba nie zasnął znów w półciężarówce? Niestety, tak. Przysłonił oczy, przekręcił kluczyk, opuścił okno. Na zewnątrz stał policjant. Nachylił się do niego.

- Co jest?

- Nic - odparł Roy.

- Pił pan?

- Nie.

Policjant pociągnął nosem. Oświetlił latarką wnętrze kabiny. Światło padło na trzy przedmioty na siedzeniu obok: dowód wypłaty Paula Habiba z Inwestycji Verdadero, zdjęcie z Operacji Ananas i zdjęcie przedstawiające Habiba z Calvinem Truesdale'em.

- Co to za zdjęcia? - spytał policjant.

Dowody straszliwej zbrodni. Odpowiedź natychmiast nasunęła się Royowi, bo w głowie zaświtała mu wielka prawda. Ale odparł:

- Tylko zdjęcia.

- Tak? Chciałbym zobaczyć.

Roy wręczył mu je. Policjant rzucił okiem, oddał. Na rękawie miał naszywkę waszyngtońskiej policji.

- Tu nie wolno spać - oświadczył.

- W porządku - odparł Roy.

- Dobrze się pan czuje?

- Tak.

- Bo spocił się pan jak świnia.

Roy przejechał ręką po czole. Mokre.

- Nic mi nie jest - zapewnił.

- Nie wygląda pan najlepiej - stwierdził policjant. - Brał pan coś?

- Nie wiem, o co pan pyta.

- O narkotyki.

- Nie.

Policjant znów poświecił, może szukał narkotyków.

- Tu nie wolno spać - powtórzył.

- I tak nie mam czasu - powiedział Roy.

- Co?

I tak nie mam czasu - wyrwało mu się. Wyrzwał, zobaczył, że stoi na parkingu przed sklepem w nie najlepszej dzielnicy.

- Już jadę - powiedział.

- I słusznie - odparł policjant.

Roy wyjechał z parkingu słabo oświetloną, nieznaną sobie ulicą. Po prawej zobaczył autostradę. Ruszył w jej stronę. Policjant jechał za nim przecznicę albo dwie, a potem zawrócił. Nagle pierś Roya przeszył silny, ostry ból, jak gdyby wtargnęło tam żywe stworzenie, żeby go skrzywdzić. Przez chwilę sądził, że nie wytrzyma, ale znalazł dogodną pozycję. Wypiął pierś tak mocno, że stykały mu się łopatki i od razu lepiej się poczuł. Kiedy wjeżdżał na autostradę, z brody kapały mu krople potu.

W oddali zobaczył pomnik Washingtona. Jego widok go zdenerwował, chociaż nie miał pojęcia dlaczego. Nigdy przedtem nie widział umierającego człowieka. A dzisiaj zobaczył z bliska dwie okrutne śmierci, nawet do jednej przyłożył rękę, a może nawet do obu. W głowie mu się rozjaśniło, wszystko sobie przypomniał, niektóre fragmenty dokładnie, na przykład wszystko, co się zdarzyło w stajni. Inne mniej wyraźnie - na przykład nie pamiętał, jak uciekł, bo na pewno nie w popłochu, ani jak znalazł się na parkingu przed sklepem, ale przynajmniej wiedział, dokąd zmierza. Zjechał najbliższym zjazdem.

* * *

Schludny biały dom z czarnymi okiennicami był ciemny, nie paliło się ani jedno światło. Roy miał złe przeczucie, zląkł się, że przyjechał za późno. Wysiadł z półciężarówki, rzucił się biegiem do drzwi. Ale przystanął w pół drogi, bo musiał oprzeć się o drzewo, zasapany. Chociaż nie miał bzika na punkcie czerpania energii z drzew, bo wychował się w pobliżu tartaku, poczuł wielką siłę bijącą od tego drzewa, która przypominała mu pokój feng shui i kroplówkę. Ale nie czas teraz się rozklejać, bawić w takie dyrdymały, skoro Delia żyje. Operacja Ananas, cokolwiek kryło się pod tym kryptonimem, nie powiodła się, ale Delia

przeżyła, wróciła i widziano ją w limuzynie pod domem na ulicy Eliot 919 w Cambridge. *Miała zabandażowaną głowę.* Nie mógł marnować czasu.

Wciągnął głęboko powietrze, choć dotarło jedynie do szczytów płuc, i odepchnął się od drzewa. Przemierzył jeszcze kilka kroków, zastukał elegancką srebrną kołatką.

Nikt nie otworzył. Roy przyłożył ucho do drzwi, ale nic nie usłyszał. Zapukał ponownie, tym razem mocniej.

- Jerry! - zawołał. - Jerry!

Zapaliło się światło w domu po drugiej stronie ulicy. Zaraz potem zza drzwi dobiegł go głos.

- Kto tam?

- Roy. Wszystko w porządku?

Drzwi się otworzyły. Stał w nich Jerry w ciemnej piżamie zapiętej pod szyję, cały i zdrów.

- Po raz pierwszy od wielu tygodni smacznie zasnąłem - pożalił się.

- Przepraszam - powiedział Roy. - Ale sporo się wydarzyło. Nie chciałem, żeby tobie stało się coś złego.

Jerry zamrugał.

- Nie rozumiem. Co się wydarzyło?

Roy wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi, zasunął rygiel.

- Giną ludzie.

- Tak jak Richard?

- Tak - potwierdził Roy.

Podszedł do najbliższego okna, wyjrzał na ulicę. Nie zauważył żadnego ruchu. W domu naprzeciwko zgasło światło.

- Rozmawiałaś z tym blondynem? - spytał Jerry. - Tomem Parishem, Nedem Millerem czy jak mu tam.

- Nie - powiedział Roy.

- Dlaczego? - z irytacją w głosie spytał Jerry.

- Wszystko się pogmatwało - odparł Roy. - Nie mogłem go znaleźć.

- Co się pogmatwało? - zainteresował się Jerry. Na jego twarzy odmalowała się troska. - Żle się czujesz?

- Dobrze.

- Usiądźmy.

Jerry zapalił światło, zaprowadził Roya do kuchni. Roy usiadł przy stole. Jerry zaparzył

herbaty. Roy założył ręce na piersi. Zauważył, że różnią się kolorem. Prawa była normalna, lewa znacznie bielsza.

- Z cukrem i z mlekiem? - spytał Jerry.

- Poproszę czarną.

Jerry postawił na stole dwa kubki, do swojego nalał dużo mleka, posłodził. Roy przypomniał sobie, że po czarnej nie czuje się najlepiej, dlatego sobie też nalał mleka.

- Z cukrem i mlekiem jest smaczniejsza - powiedział Jerry.

Roy wypił. Herbata dobrze mu zrobiła, nawet trochę po niej ochłonął, aż dziwne. *Odtąd tylko słodzona i z mlekiem.*

- Jaka rolę odgrywają Inwestycje Verdadero? - rzucił Jerry.

- Sprawdzałeś?

- Tak - odparł. - Nie znam się na pracy śledczej, ale czasem pomagałem Richardowi.

Zwłaszcza raz...

- Znalazłeś coś?! - przerwał mu Roy, nieoczekiwanie dla siebie stanowczo.

Jerry aż rozlał herbatę. Odstawił kubek.

- Nic ważnego - powiedział. - Inwestycje Verdadero przestały istnieć. Była to spółka z ograniczoną odpowiedzialnością zarejestrowana na Kajmanach, ale dokumenty likwidacyjne złożono prawie czternaście lat temu.

- Co to znaczy?

- Że ją zlikwidowano, rozwiązano, zamknięto jako korporację.

- A kim byli wspólnicy?

Jerry pokręcił głową.

- Przykro mi, ale wszyscy byli obwarowani prawami o zachowaniu tajemnicy - powiedział.

- Czym się zajmowali? - spytał Roy.

- Kto?

- Jaki był cel Inwestycji Verdadero.

- To akurat mogę ci powiedzieć - rzekł Jerry. - To był fundusz inwestycyjny.

- A w co inwestował?

- W różne rzeczy.

- Na przykład?

- Głównie w bezpieczne akcje giełdowe wiodących przedsiębiorstw - powiedział Jerry. - I w nieruchomości na Karaibach, przynajmniej sądząc z nazw, i jeszcze w kilka innych spółek. Sporządziłem listę, gdyby cię to interesowało.

Roy się zawahał. Czy był sens sprawdzać listy wiodących spółek i kurortów na Karaibach? Jemu chodziło o nazwiska wspólników. *Za prywatnymi środkami stoją konkretni ludzie.*

- To dla mnie żadna fatyga - zapewnił go Jerry.

Poszedł na górę. Roy oddychał ciężko. Jerry wrócił z wydrukiem.

Roy się zorientował, że osuwa się na krzesło. Usiadł prosto i wziął od Jerry'ego wydruk. Długi wykaz bezpiecznych akcji czołowych spółek, takich jak: Microsoft, Bank of America, Honda, Exxon, Home Depot, firmy deweloperskie na Dominikanie, w Saint Lucia, Gwadelupie, na Grenadynach, uzdrowiska i hotele na Barbados i Jamajce, a także pod nagłówkiem Jerry'ego „Pozostałe” kilka małych firm - Skóra i Zamsz Import, Zabawki Dziecięce, Usługi Biurowe Lone Star. Roy odwrócił kartkę, żeby doczytać na następnej, ale jej nie było.

Jerry spojrzał na niego.

- Powinny być jeszcze dwie, widocznie się nie wydrukowały - powiedział.

Jeszcze tylko dwie. Roy poczuł watek w nogach, jak gdyby miały już na zawsze odmówić mu posłuszeństwa. Zmusił się jednak, żeby wstać.

- Może przeczytam je na monitorze.

- Jasne - powiedział Jerry. - Komputer stoi w gabinecie. Nie jestem tylko pewien, czy...

Roy poszedł na górę do dawnego gabinetu Richarda Golda. Usiadł przed komputerem, przetaił oczy i kontynuował czytanie listy udziałowców Inwestycji Verdadero: Bajgle i Bagietki, Transport Vrai.

Transport Vrai?

Tur, tur, tur.

Zrobił wydruk. Kartka drżała mu w ręce. Zszedł na dół. Jerry mieszał herbatę, podniósł na niego wzrok.

- Przypomnij mi, co znaczy *verdadero* po hiszpańsku? - spytał Roy.

- Prawdziwy - powiedział Jerry.

- A po francusku *vrai* - rzekł Roy, kładąc kartkę na stole.

Jerry przeczytał nazwę ostatniej firmy.

- Czyli Inwestycje Verdadero były właścicielem Transportu Vrai - stwierdził. - I obie firmy noszą „prawdę” w nazwie, ale poza tym...

- Transport Vrai istnieje po dziś dzień - zapewnił go Roy. - Mają helikoptery. Przynajmniej jeden... sam widziałem.

- A jaki to ma związek z Instytutem Hobbesa? - spytał Jerry.

- Wiąże go z chwilą obecną - wyjaśnił Roy.

Przypomniął sobie słowa sierżanta Bettisa. *W tym kraju człowiek się już nie ukryje, już nie.*

- Chyba nie bardzo cię...

Roy poczuł, że wracają mu siły w nogach, powoli i nie całkiem, ale doceniał i to.

- Z Inwestycji Verdadero dokonywano wypłat w Instytucie Hobbesa. - Na pewno? Widział tylko jeden dowód. Ale Roy snuł domysły dalej. Przecież nie byli na sali sądowej. Przeciwnie. Wszystko w tej sprawie było bezprawiem... decyzję podjęto dawno temu, i to nie on ją podejmował. *Decyzję, żeby uniknąć porażek.* - Do tego funduszu należała również firma Transport Vrai.

- Czyli można teraz cofnąć się po nitce do kłębka? - dopytywał się Jerry.

- Mam nadzieję.

Chociaż w duchu miał pewność na podstawie dowodu C, czarno-białego zdjęcia, a także przez człowieka, który wyszedł z helikoptera na zaśnieżoną halę za jego domem.

Jerry obliznął usta.

- Czy Richard tym się właśnie zajmował? Powrotem do przeszłości?

Roy pokiwał głową.

- Co odkrył?

- Może nic - odparł Roy. - Może wystarczyło, że zadawał pytania.

Jerry'emu zaszkliły się oczy.

- Żeby go zabić? - Pokręcił głową. - Wciąż trudno mi uwierzyć, że coś takiego mogło się wydarzyć.

Roy też przez całe życie był łatwowierny. Ale to się skończyło. *Kiedy człowiek pozna wszystko od podszewki, szybko przestaje go to bawić.* Czy ludzi można było podzielić na dwie grupy - niewielką garstkę poinformowanych i pozostałych? A jeśli tak, to dlaczego Delia utrzymywała go w niewiedzy podobnie jak wszystkich innych?

Wstał, podszedł do okna, odsunął zasłonę. Na ulicy panował spokój, lśnił czarny asfalt. Żadnego ruchu, pominąwszy jedną kroplę deszczu spływającą zygzakiem po szybie zaparkowanego samochodu.

- Czy szukając Inwestycji Verdadero, zostawiłeś jakieś ślady? - zapytał Roy.

- Ślady? - zdziwił się Jerry.

- Dowody poszukiwań.

- Nie wiem - odrzekł Jerry. - Zasięgałem informacji wyłącznie w urzędach publicznych. Codziennie na pewno spływają tam tysiące podobnych pytań. Kto by to wszystko sprawdził?

Roy zasunął zasłonę.

- Pewnie masz rację - powiedział. - Ale może powinieneś mimo wszystko...

- Szczerze mówiąc, Roy, przeszkadza mi ta cała konspiracja - przerwał mu Jerry.

- Co ty wygadujesz? - spytał Roy.

Jerry zrobił zakłopotaną minę.

- Chyba istnieje wiele prostszych sposobów wyjaśnienia, dlaczego...

Zadzwoił telefon Roya. Wyjął go z kieszeni.

- Halo.

- Witaj, Roy. Mówi Calvin Truesdale. Co u ciebie?

- Dziękuję - odparł Roy.

Ale natychmiast znów go zatkało, niemal rozrywało mu płuca, a wszystko przed oczyma zażółciło się na obrzeżach.

- Brzmisz, jakbyś walczył z przeziębieniem - powiedział Truesdale. - Żle się czujesz?

- Nic mi nie jest.

- Miło słyszeć. Nie będę cię zatrzymywał. Dzwonię tylko, żeby ci powiedzieć, że sprawdziłem ten twój Instytut Hobbesa.

- Tak?

- Z natury jestem dociekliwy - wyznał Truesdale. - Nawyk starego ranczera. Potwierdziły się z grubsza moje podejrzenia poza jednym czy dwoma szczegółami.

- To znaczy?

- Tak jak sądziłem, instytut był uwikłany w finansowe machlojki - oznajmił Truesdale. - Do tego dodaj kilka brudnych, ohydnych spraw sądowych dotyczących kłębowiska zmij, jakim są azjatyccy inwestorzy, dlatego całemu przedsięwzięciu zgodnie z umową urwano łeb, co wyjaśnia, dlaczego nigdzie nie możesz znaleźć wzmianek na temat instytutu.

- Chcesz powiedzieć, że właścicielami Instytutu Hobbesa byli azjatyccy inwestorzy?

- Jako organizacja non profit - powiedział Truesdale - do spółki z agencją ONZ zamkniętą w następstwie skandalu z embargo na ropę naftową.

- ONZ?

- Mają taki bałagan w dokumentacji, że trudno się dokopać prawdy - wyznał Truesdale. - Ale jeżeli sobie życzysz, chętnie sprawdzę ci, co tylko zechcesz. Jesteś teraz w domu?

- Dlaczego pytasz? - spytał Roy. - Jesteś w pobliżu?

Truesdale się roześmiał.

- Wszędzie mogę dotrzeć w kilka godzin.

- Helikopterem z firmy Transport Vrai? - dociekał Roy.

Jerry wytrzeszczył oczy.

Nastąpiła chwila milczenia.

- Chociażby - potwierdził Truesdale.

Teraz Roy chwilę milczał.

- A co z Delią?

Cisza w słuchawce trwała tak długo, że Roy podejrzewał Truesdale'a o przerwanie rozmowy. Sam jednak milczał. W końcu Truesdale powtórzył:

- Z Delią?

- Tak - powiedział Roy. - Pytam z związku z tym, kiedy ostatni raz ją widziałeś.

- Nie rozumiem, przyjacielu - rzekł Truesdale.

Powiedział to zupełnie innym tonem i Roy usłyszał ciche bzyczenie.

- Pytam o rzeźbę, Cal. Która stoi u mnie. Chciałem wiedzieć, czy w dalszym ciągu ci na niej zależy.

- Oczywiście - potwierdził Truesdale znowu normalnym głosem. - Bardziej niż kiedykolwiek. Sądziłem, że wiesz.

- Postanowiłem ją sprzedać - oznajmił Roy.

Raptem znów oddychał bez trudu, normalnie.

- Alleluja!

- Za zaproponowaną przez ciebie cenę.

- Umowa stoi - rzeki Truesdale. - Już wybrałem dla niej miejsce u siebie na ranchu.

- To może wpadnij do mnie - zaproponował Roy. - Umówimy się w kwestii transportu, a ty przekazesz mi wszystko, co wiesz o Instytucie Hobbesa.

- Odpowiada ci jutro? - spytał Truesdale.

- Około czwartej?

- Będę punktualnie.

Roy się rozłączył.

- O co chodzi? - spytał Jerry.

Roy się uśmiechnął. Czuł się znakomicie. Z lodowiska znał sytuacje, które człowiekowi rozpalają krew w żyłach.

- Muszę pędzić, Jerry - powiedział. - Jestem ci zobowiązany.

- Ale..

- I jeszcze jedno. Wynieś się z domu na jakiś czas. Powiem ci, kiedy będziesz mógł wrócić.

- Dokąd?

- Do hotelu. Najlepiej z przyjacielem.

Jerry rozejrzał się po kuchni, zawiesił wzrok na kącie, w którym kiedyś leżało połamane krzesło.

- Naprawdę uważasz...

- Obiecuj mi - poprosił Roy.

Rozdział 29

Z początku wszystko szło dobrze. Pęd się zmieniał, porywał Roya. Za każdym razem, kiedy spoglądał na prędkościomierz, widział, że jedzie za szybko, sto dwadzieścia, sto trzydzieści, a nawet więcej, jak gdyby pchała go jakaś siła. Przypomniawszy sobie bramkę strzeloną Harvardowi, nie tyle szczegóły fizyczne - chociaż i te pamiętał dokładnie, ile widok bramkarza przeciwników, który obejrzał się, żeby sprawdzić, czy naprawdę krążek leży w bramce - ale jak ta bramka podniosła na duchu całą drużynę! Teraz czuł podobne uniesienie. Najważniejsza strzelona przez niego bramka, a ponadto, jak teraz sobie uświadomił, jedno z najważniejszych wydarzeń w całym jego życiu. Gdyby nie zastanawiał się na głos przy Turku, czy zamieszczą mu informację o bramce w nekrologu, nigdy nie dowiedziałby się... no właśnie, czego? Tego, czego się zaraz dowie. W głowie już układał plan.

Kilka kilometrów przed Baltimore zatrzymał się, żeby zatankować. Przyszło mu na myśl, że warto by zadzwonić do Freddy'ego Boudreau, co stanowiło punkt pierwszy planu, ale tak zaparkował, że musiał nalewać lewą ręką, którą nie miał siły utrzymać węża. W rezultacie oblał sobie ręce benzyną. Wszedł do środka i umył je w umywalce. I wtedy zobaczył swoją twarz w lustrze. Zamarł. Wyglądał jak żywy portret namalowany przez jednego z ekspresjonistów, do których nigdy się nie przekonał, a którzy lubowali się w asymetrii, ciemnych konturach i odcieniach skóry niewystępujących w rzeczywistości, takich jak fiolet pod oczami, zieleń na policzkach, wszędzie indziej kredowa biel.

Kiedy ostatnio jadł albo pił? Nawet nie mógł sobie przypomnieć. W ogóle nie czuł głodu, ale nagle zaczęło mu doskwierać pragnienie. Wszedł na stację, kupił dwie kanapki w folii, jedną z indykiem, drugą z szynką, i litrową butelkę wody. Wrócił do półciężarówki, wypił całą butelkę, a potem ugryzł kęs kanapki z indykiem. Nie miała żadnego smaku. Spróbował drugiej z szynką. To samo. Zawinał je z powrotem, położył na siedzeniu obok i zadzwonił do Freddy'ego Boudreau.

- Wiem, że jest późno, ale...

- Nie szkodzi - stwierdził Freddy. - I tak siedzę w pracy. Zresztą też chciałem z tobą pogadać.

- O czym?

- Przede wszystkim powiedz, jak się czujesz.

- Dobrze - zapewnił go Roy.

Freddy milczał.

- Nie wiem, co ci doktor Chu naopowiadał - dodał Roy. - Pewno wszystko wyglądało znacznie gorzej, niż jest w rzeczywistości.

- Miło mi to słyszeć - powiedział Freddy. Odchrząknął. - Winien ci jestem przeprosiny.

- Za co?

- Za swoją teorię na temat twoich lekarzy, że wypaczyli ci myślenie. Grubo się myliłem.

- Ciekawe, dlaczego zmieniłeś zdanie? - zainteresował się Roy.

- Przyjrzałem się lepiej telefonowi - odparł Freddy.

- Skippy'ego?

- Tak.

- I co znalazłeś?

- Wolałbym ci pokazać osobiście - odrzekł Freddy. - Mógłbym wpaść do ciebie rano?

Roy spojrzał na zegarek.

- O dziesiątej?

- Dobra.

- Jeszcze jedno. Przynieś sprzęt do... - Musiał się zastanowić nad określeniem tego urządzenia. - Żebyś mógł mnie okablować.

- Okablować?

- Chciałbym nagrać kogoś z ukrycia.

- Kogo? - spytał Freddy.

- Wyjaśnię ci - obiecał Roy.

- Nie mogę się doczekać.

Owszem, pęd się zmieniał. Prawo - w osobie Freddy'ego Boudreau, niepopularnego prowincjonalnego gliniarza, który często grał na lodzie zaskakująco łagodnie, ale mimo wszystko reprezentował prawo - stało teraz po jego stronie. Roy nigdy nie zastawił na nikogo pułapki, nawet nie przyszło mu coś takiego do głowy. Teraz zastawianie pułapek zaczęło mu sprawiać frajdę. Chyba nawet istnieje takie powiedzonko, że jak ktoś raz zapoluje na człowieka, to już nie chce robić w życiu nic innego. A może przestaje się wtedy nadawać do czegokolwiek innego? Roy wrócił na drogę i przypomniał sobie, od kogo i kiedy usłyszał te słowa.

* * *

Chciała jechać na jarmark.

- Na jaki jarmark?
- Jak to jaki? W Mad River.
- Skąd o nim wiesz?
- Od tygodnia nikt nie mówi o niczym innym.
- A kto dokładnie?
- Turk, Normie, wszyscy chłopcy.
- Będziesz rozczarowana.
- Zobaczysz, że się w nim zakocham.

I rzeczywiście, zakochała się w jarmarku Mad River. Obstawiła jak szalona wyścig zaprzęgów wołów, zjadała się wszystkim, co serwowano, łącznie z polską kiełbasą, pączkami i *poutine* z Quebecu, zdobyła trzecie miejsce w podrzucaniu na patelni pokonana przez dwie rywalki, z których każda ważyła co najmniej pięćdziesiąt kilogramów więcej od niej, i nie zauważyła, że ma keczup na brodzie. Nawet zmierzyła się z Turkiem na strzelnicy. Turk przed Dartmouth chodził do wyższej szkoły wojskowej, gdzie był kapitanem drużyny strzeleckiej. Strzelnica była staroświecka i pływały w niej na różnych poziomach kaczki, a zwycięzców nagradzano pluszowymi maskotkami. Turk tylko raz chybił. Delia ani razu.

- Litości! - zawołał Turk. - Gdzieś ty się tak nauczyła strzelać?

Delia w końcu się zorientowała, że ma keczup na brodzie, wytarła i powiedziała:

- Szczęście początkującego.
- Rozumiem. Roy, wiedziałeś, że ożeniłeś się z wielką białą łowczynią?
- Oczywiście - odparł Roy. - Przecież mnie złowiła.

Delia się roześmiała i objęła go. Właśnie wtedy zacytowała tamto powiedzonko o polowaniu na ludzi.

* * *

Ale co dokładnie powiedziała? Nie wiadomo dlaczego rozróżnienie między stratą ochoty na jedne zajęcia a nienadawaniem się do innych wydało mu się takie istotne. Jeszcze ważniejsze były okoliczności. Strzelanie do celu. *Pieprzyć ananasy*. Nawet słowa rzucone tamtego ranka kwitnącej wiśni: *Mam już dosyć*. Czyż nie próbowała mu czegoś powiedzieć? Jak mógł te wszystkie znaki przeoczyć? Czy dlatego, że dzieliła ich zasadnicza, nieoczekiwana różnica, bo on nie umiał pogodzić w głowie dwóch sprzecznych myśli naraz, tymczasem ona...

Roy nieoczekiwanie nagle zwymiotował całą zawartość żołądka. Niewiele tego było, tylko dwa niestrawione kęsy kanapek z indykiem i z szynką oraz kwaśny płyn, ale wstrząsały

nim mdłości. Zatrzymał się na poboczu, niepomyślnie na klaksony za plecami, wysiadł z samochodu. Stał przy barierce, oparł ręce na kolanach, wciąż targany mdłościami, ale już nic nie poszło, bo zwrócił ostatnie cierpkie krople. Nudności męczyły go, aż zaczęło mu brakować tchu, na przemian szarpało nim albo zatykało dech w piersi, jakby przeistoczył się w koszmarne dwusuwowe tłok. Wtem w klatce piersiowej obudził mu się demon bólu, na dodatek w bardzo złym humorze. Roy zatoczył się na półciężarówkę. Zobaczył wytrzeszczone ze zdziwienia oczy kobiety w przejeżdżającym samochodzie.

Wsiadł do półciężarówki, chwycił się kierownicy. Nudności minęły, ale nie mógł nabrać powietrza w płuca. Demon bólu, który nie potrzebował powietrza, może wręcz żywił się jego brakiem, zyskał na sile. Roy w ogóle nie mógł zaczerpnąć tchu. Co to znaczyło? Że tonie? Tonie na suchej ziemi? Młócił rękami i wtedy przypomniał sobie tamtą dziwną pozycję. Wygiął łokcie do tyłu, wypiął pierś i spróbował z całej siły zrobić to, co wszystkim przychodzi bez trudu, czyli zaczerpnąć powietrza, którego nabrał odrobinę, tyle, ile się zmieści w dziurce od nosa. Następnie drugą, potem jeszcze kilka.

Najwyraźniej rozjuszył demona. Poczul w środku ucisk, jakby ktoś go tam chwycił w szpony. Wzniósł się na wyższy poziom bólu, a jednocześnie wiedział, że jest dopiero u podnóża góry. Przekręcił kluczyk, wjechał na szosę, ruszył w stronę domu. Wygiął do tyłu łokcie, wypiął pierś, krople potu kapwały mu z brody, kabinę wypełnił kwaśny odór, a z gardła dobył mu się cichy charkot wymierzony w demona. Nie zatrzymywał się jednak. Musi dotrzeć do domu, choćby nie wiem co, bo inaczej cały plan straci rację bytu.

Nie mógł jednak nabrać wystarczającej ilości powietrza, jedynie odrobinę. Ponadto w środku płonął, a demon wraz z nim. Kiedy sytuacja stała się nie do zniesienia, zobaczył przy zjeździe z drogi drogowskaz: Szpital Uniwersytecki Johns Hopkins.

Jego ręce przejęły inicjatywę, skrzyły kierownicę. Próbował się opierać, walczyć, choćby z powodów ambicjonalnych. Nie miał jednak siły, w kilka sekund przegrał ważną batalię. Wreszcie zrozumiał, jak ludzie mogą rezygnować ze zdrowego rozsądku na rzecz wiary w zbawiciela, oddawać się w ręce dalekiego obcego. Jego zbawicielem był doktor Chu.

* * *

- Panie Roy? Panie Roy?

Owinięty, otulony w sen o igloo. Dobrze się czuł.

- Panie Roy? Proszę otworzyć oczy.

Dobrze się czuł. Czy mógłby się czuć lepiej?

- Poznaje pan mój głos? Jestem Chu. Jeżeli pan mnie słyszy, proszę podnieść palec

wskazujący prawej ręki.

Owinięty i otulony.

- Albo wykonać dowolny ruch.

Wolał pozostać w bezruchu. Urządzenia piszczały miarowo, kojąco.

- Nie może pan teraz mówić z powodu respiratora. Ale to stan przejściowy, byle nastąpiła poprawa.

Poprawa?

- Chyba poruszył palcem, panie doktorze.

- Poruszył pan? Mógłby pan to dla mnie powtórzyć, bo przeoczyłem.

Na czym polegała ta poprawa? Przede wszystkim miał powietrze, i to do woli. Co za rozkoszna planeta pokryta bezmiarem miękkiego powietrza. Czuł, jak powietrze rozchodzi mu się po całym ciele, wyraźnie zapewnia więź z życiem na ziemi, chociaż nigdy przedtem tak o tym nie myślał.

- Niech pan tylko podniesie szybko palec.

Pip, pip, pip.

- Mamy notatnik na podkładce. Z pewnością ma pan jakieś pytania, panie Roy.

Pytanie: Dlaczego nie rozumiał, kiedy próbowała mu coś powiedzieć, jeżeli nawet nieświadomie, to w wymykających jej się aluzjach. O dziwo, takie pierwsze pytanie przyszło mu do głowy. Ona cierpiała katusze, a on nie kiwnął palcem, bo nawet o tym nie wiedział. Otworzył oczy, usiadł, a w każdym razie usiłował, i spróbował powiedzieć: „Delia”.

- Pomału, panie Roy.

Rozejrzał się, zobaczył doktora Chu, Netty i drugą, nieznaną pielęgniarkę. Przez okno wpadło światło. O Boże, co z jego planem? Wykonał gest pisania. Netty podała mu długopis i notatnik. Napisał: Czy to jutro?

- Czy co jutro? - spytał Chu.

Machnął niecierpliwie ręką i napisał: Dzisiaj.

- Nie rozumiem - powiedział Chu.

- Może pyta, czy dzisiaj jest jutro - odpowiedziała Netty.

- Czy dzisiaj jest jutro? - powtórzył Chu. - Wciąż...

- Licząc od dnia przyjazdu tutaj - wyjaśniła Netty.

Roy postawił ptaszek na papierze.

- Rozumiem. - Chu spojrzał na Roya. Czyżby dziwnym wzrokiem? Royowi nie spodobało się jego spojrzenie. - Jest pan tutaj od trzech dni. Miał pan szczęście, że trafił tu w porę.

Roy napisał: 3 dni?

- Nie ma powodu do obaw - rzekł Chu. - Dużo widzieliśmy, znamy gorsze przypadki.

Wyniki wskazują na poprawę.

Pański stan poprawia się dosłownie z godziny na godzinę. Szybko postawimy pana na nogi.

Roy napisał: Teraz.

Chu roześmiał się z zażenowaniem.

- Niedługo - obiecał.

Roy spojrział Netty w oczy, nie zobaczył w nich optymizmu. Spojrział na drugą pielęgniarkę. Najwyraźniej się zamyśliła.

Problem polegał na czym innym. Napisał go i podkreślił dwa razy: 3 dni bardzo źle.

Netty się pochyliła, pogłaskała go po rękę. Jej dłoń przypominała ciepłe stworzenie. Tętniło w niej życie, którego mogła jeszcze udzielić innym.

- To musi być dziwne uczucie, że trzy dni minęły tak niepostrzeżenie, ale... - Chu urwał, zastygł z rozdziawionymi ustami, zapewne szukając krzepiącego sformułowania.

- Co było, to było - skwitowała Netty.

- Otóż to - podchwycił Chu. - Trzeba żyć terazniejszością.

Roy napisał: Muszę wrócić do domu.

- Oczywiście - potwierdził Chu.

Dzisiaj.

- Rozumiem - powiedział Chu. Sprawdził jedno z urządzeń. - Tyle że to nie...

- Panie Roy, proszę się nie martwić o dom - wtrąciła Netty. - Wszystko jest w porządku.

Zwrócił oczy na nią.

- Dzwonił tamten policjant - dodała. - Sierżant Boudreau? Zapisałam wiadomość.

Wyjęła z kieszeni kartkę różowego papieru, podała Royowi.

Przeczytał: Sierżant Boudreau z Ethan V. Wszystko OK. Odezwij się po powrocie. Wpadł klient i wszystkim się zajął. Wracaj do zdrowia.

Klient? Walił się cały jego plan, żeby okablować się przy pomocy Freddy'ego, a właściwie już się zawalił. Musiał działać, i to natychmiast. Usiłował podnieść się do pozycji siedzącej, i udało się. Przymocowali mu tyle rurek - zaczął od tej w zagłębieniu łokcia.

- Spokojnie, Roy - powiedziała Netty i położyła go delikatnie na łóżku, chociaż stawiał z całej siły opór.

Wysiłek go wykończył. Roy zamknął oczy. Zmusił się, żeby je otworzyć, wziąć notes i napisać: Czy dostaję koktajl?

- Jeszcze nie czas na kolejny cykl - odparł Chu. - Znasz harmonogram.

Roy napisał: Podłączcie mi.

Chu patrzył na niego bez słowa, Roy znów zamknął oczy. Podłącz mi, ty sukinsynu. Nie widzisz, że potrzebuję wojowników? Podłącz mi.

* * *

Obudził się w nocy w ciemnym pokoju, urządzenia piszczały cicho. Coś go zdziwiło, ale co? Dopiero po chwili zrozumiał. Czuł się dobrze, zero bólu, nawet wrócił mu apetyt. W dodatku oddychał sam. Westchnął. Zaczerpnął głęboko tchu, może nie bardzo głęboko, ale jednak. Każdy, kto tak oddycha, będzie długo żył. Czyżby jednak dostał koktajl? Najwyraźniej. Widocznie doktor Chu uległ. Rozejrzał się, chciał zobaczyć, w którym worku nad głową jest koktajl. W tym momencie drzwi się otworzyły.

Stanął w nich mężczyzna, którego ciemna sylwetka odcinała się od światła płynącego z korytarza. Miał na sobie biały kitel i stetoskop na szyi.

- Nie śpię - powiedział Roy.

Jego głos zabrzmiał dziwnie. Odchrząknął, spróbował jeszcze raz. Tym razem lepiej.

Mężczyzna wszedł, pchając łóżko na kółkach.

- Jak się pan czuje? - spytał.

- Dobrze - odrzekł Roy. - Kim pan jest?

- Nocnym AL - odparł mężczyzna.

Stanął przy łóżku, spojrział na Roya.

- Kto to jest AL?

- Asystent lekarza.

- Dlaczego ma pan maskę? - dociekał Roy.

- Wracam z sali operacyjnej - wyjaśnił asystent.

- No tak.

Asystent lekarza sprawdził rurki. Roy zauważył, że ma już podłączoną tylko jedną.

- Zgłodniałem - powiedział.

- Zjeżdżając, możemy zatrzymać się przy automacie z kanapkami - stwierdził asystent.

- Dokąd jedziemy? - spytał Roy.

- Na radiologię - oznajmił asystent. - Lekarz zlecił jakieś prześwietlenia.

- Doktor Chu?

Asystent pokiwał głową, a jednocześnie zawiesił worek z kroplówką na drążku przy

łóżku na kółkach.

- Teraz? - zdziwił się Roy. - W środku nocy?
- Maszyny działają na okrągło.
- W ogóle mi o tym nie wspominał - zauważył Roy.

Asystent zdjął kartę wiszącą w nogach łóżka.

- Ma pan wpisane w karcie - wyjaśnił.
- Rozumiem - rzekł Roy.

Asystent przysunął ruchome łóżko do łóżka Roya.

- Przesunę pana - powiedział.
- Nie trzeba, poradzę sobie.

Niby drobna sprawa, przesunąć ciało o pół metra, ale Roy zapomniał o niesprawnej lewej ręce.

- Niech mi pan pozwoli...
- Sam się przesunę.

I przesunął się, tyle że obudził demona. Nie czuł bólu, ale wiedział, że demon czyha w pobliżu.

- Wygodnie? - spytał asystent.

Zielona lampka jednego z piszczących urządzeń odbiła się w jego oczach.

Roy pokiwał głową.

- No to jedziemy.

Łóżko ruszyło - za drzwi, korytarzem, do windy, na zewnątrz. Po drodze patrzył na sufity. Wszędzie plamy po zalaniach, jakby cały szpital ociekał jakąś szkodliwą substancją. Łóżko się zatrzymało.

- Snickers, M&M, doritos, twizzlers - wymienił asystent.
- Wezmę snickersa - zdecydował Roy. - I może jeszcze doritos.

W automacie zabrzączały monety.

- Oddam panu - obiecał Roy.
- Nie trzeba.

Przekąski zadudniły w kieszeni automatu. Asystent podał je Royowi.

- Mogę je teraz zjeść? - spytał Roy.
- Jasne.
- Myślałem, że przed badaniami...
- Ale nie tymi - rzekł asystent.

Ruszyli dalej, skręcili za róg, jechali słabo oświetlonym korytarzem do drzwi, które

otworzyły się z pneumatycznym sykiem na dużą, zimną i mroczną halę z betonowym sufitem. Podziemny parking, wywnioskował Roy. Odpakował batonik i ugryzł kęs.

- Smaczny? - zapytał asystent.

- Owszem - potwierdził Roy i ugryzł następny kęs. - Ma pan ochotę?

Zatrzymali się. Asystent zapukał. Roy uniósł głowę, wyciągnął szyję, żeby się rozejrzeć.

Znajdowali się o metr od tylnych drzwi karetki. Drzwi się otworzyły.

- Ale... - powiedział Roy.

- Tomograf jest w przybudówce - wyjaśnił asystent.

- Co to jest tomograf? - spytał Roy.

- Na trzy. Raz, dwa, trzy - zakomenderował mężczyzna w karetce.

Łóżko podjechało do góry, wsunęło się do karetki. Drzwi się zamknęły.

- Gotowe - rzucił mężczyzna z tyłu karetki. Niewykluczone, że to lekarz. Miał na sobie elegancką tweedową marynarkę.

- Co to jest tomograf? - powtórzył Roy.

Karetka ruszyła. Mężczyzna w tweedowej marynarce odwrócił się do niego. Na chwilę Roya opuścił duch walki. Poczul się pusty w środku.

- Chyba urządzenie do bardzo skutecznych prześwietleń - wyjaśnił mężczyzna.

Roy milczał. Najpierw musiał się pozbierać.

- Czy ty masz jakieś prawdziwe nazwisko?

- Znów występuję jako Tom Parish.

Rozdział 30

Karta Roya leżała na wózku. Tom Parish wziął ją do ręki, szybko obejrzał, po czym usiadł na ławeczce z boku i przejrzał całą historię choroby, strona po stronie. W karetce panowała cisza, pominąwszy szelest przewracanych kartek i bębnienie deszczu po dachu. Po chwili Tom, nie odrywając oczu od karty, spytał:

- Co dokładnie znaczy „nie podlega resekcji”?

- Sprawdź sobie - odburknął Roy.

Tom spojrział na niego z zaciekawieniem, jak gdyby Roy zareagował dość niespodziewanie, po czym wrócił do lektury.

- Masz rację - dodał niemal jakby do siebie. - Dałem plamę jako absolwent filologii klasycznej. Przecież „resekcja” wywodzi się z łacińskiego „resectio”, czyli odcinać, a zatem...

- Dumny uśmiech wykwitł mu na twarzy. - Nie podlega resekcji to inaczej nieoperacyjny. - Znowu spojrział na Roya. - Gdzieś ty, do diabła, miał kontakt z azbestem?

- Nieoperacyjny wcale nie znaczy, że nic się nie da zrobić - wytknął mu Roy.

Tom pomachał dokumentacją w powietrzu, wypadła jedna kartka, sfrunęła na podłogę. Najwyraźniej nie zauważył.

- Rozumiem - powiedział. Karetka przyspieszyła. - Można przynajmniej próbować.

- Podnieś tę kartkę - zażądał Roy.

Tom jakby go nie słyszał. Czytał, wzdychając.

- Zaczynam rozumieć - stwierdził. - Niefortunny układ wydarzeń! Zdumiewający pech. Odwrotność szczęśliwego trafu.

- O czym ty mówisz?

- Nie wiedzieliśmy, co się, do diabła, dzieje - powiedział Tom. - Wielce to denerwujące.

- My, czyli kto? - spytał Roy.

- Chyba znasz odpowiedź na to pytanie - rzekł Tom.

- Wolałbym usłyszeć od ciebie.

Tom wrócił do karty. Wodził wzrokiem po papierze. Roy sprawdził kroplówkę, pozostała w niej jedna trzecia płynu. Nikt mu nie powiedział, że zawiera koktajl, ale Roy był tego pewien, bo wracały mu siły. Tom studiował kartę, usadowił się wygodnie z założonymi nogami. Zirykowało to Roya.

- Kto zadzgał Paula Habiba? - spytał.

- Skąd ci przyszło do głowy, żeby o to pytać? - powiedział Tom, nie podnosząc wzroku.

Roy nie odpowiedział. Z oddali dobiegł go odgłos syreny. Jej dźwięk narastał. Pierwsza myśl - doktor Chu. Inteligentny człowiek, znacznie inteligentniejszy od Toma Parisha. Czy to możliwe, żeby zareagował tak szybko? Teraz syrena wyła tuż nad nimi. Tom się nie przejął, nie odrywał się od historii choroby. Świadczyło to o jego arogancji lub głupocie. Za chwilę policja zatrzyma ich karetkę. Roy już szykował swoją wersję zdarzeń: *Możecie go aresztować za porwanie, ale sprawa wygląda znacznie poważniej. Datuje się aż od...*

I wtedy nastąpiło coś, na co Roy nie był przygotowany - zjawisko Dopplera - po czym syrena zaczęła się oddalać. Chwilę potem już jej nie słyszał. Tylko krople deszczu na dachu, może przyciszoną muzykę.

- Nie musisz odpowiadać - rzekł Tom. Włożył kartę Roya pod pachę i wstał. - Pytanie tylko, jak długo będziesz na to umierał.

Otworzył drzwi prowadzące na przód karetki. Rozległa się głośna muzyka: *Po co blokować drogę? To wolny kraj* - Bob Marley, Rebel Music, jeden z ulubionych kawałków Roya. Tom przeszedł do przodu, stanął, odwrócił głowę:

- Kiedy mówię, że rozumiem, jak znaleźliśmy się w tym punkcie, to nie znaczy, że jestem z ciebie zadowolony. Niełatwo będzie zastąpić Lenore.

Zamknął drzwi. Bob Marley ucichł.

Roy leżał i patrzył, jak poziom płynu w kroplówce powoli się obniża, trudno było zauważyć, jak go ubywa. Może wolne tempo stanowiło dobry znak. Wyobraził sobie swoje ciało przepełnione mikroskopijnymi wojownikami doktora Chu tak bardzo, że posiłki nie mogły się przebić, zrobił się korek przypominający zator kibiców w bramce obrotowej przy wejściu na wielki mecz piłkarski. Z każdym ułamkiem milimetra Roy czuł się lepiej. Przecież tego nie można udawać. Albo ktoś się czuje lepiej, albo nie. Poprawa samopoczucia, powrót sił to jego tajna broń - jak w wypadku Samsona, któremu odrosły włosy. Wziął głęboki oddech, bardzo głęboki, aż do dna płuc, i zdał sobie sprawę, że nie jest przywiązany.

Usiadł. Trwało to dłużej, niżby sądził, na chwilę go zatkało, ale przecież trzy dni leżał na wznak. Przesunął się, postawił nogi na podłodze. Nie tylko trzy dni na wznak, lecz również trzy dni wykreślone z życia. Nie może dopuścić, żeby to się powtórzyło.

Położył ręce na krawędzi łóżka, dźwignął się, wstał. Przed oczyma wszystko mu się zamazało, poczuł się dużo za duży. Zakołysał się do przodu i do tyłu, machnął ręką, żeby się czegoś chwycić, tak gwałtownie i niezdarnie, że wyrwał sobie kroplówkę z ręki i złapał się łóżka. Ścisnął je kurczowo. Po chwili w głowie mu się rozjaśniło. Nasłuchiwał dźwięków z

przodu karetki, odgłosów ruchu lub alarmu, ale słyszał tylko deszcz. Wyprostował się.

W meczu hokejowym zawsze pojawiał się problem, kiedy wycofać bramkarza i wprowadzić dodatkowego napastnika. Doświadczenie uczyło, że większość trenerów, pragnąc uniknąć ryzyka pustej siatki, czeka do ostatniej chwili, ale trener Roya z drużyny Karlów, niejaki Blenny, właściciel sklepu z narzędziami, czasem dokonywał tej zmiany nawet siedem lub osiem minut przed końcem meczu. Stukał się w wielki czerwony nochal i powiedział: „Czuję, chłopcy, w którą stronę to idzie, i wierzcie mi, że coś tu śmierdzi”.

Teraz Roy też czuł, że coś tu śmierdzi. Rozejrzał się w poszukiwaniu broni, ale jego wzrok padł najpierw na kartkę, która spadła na podłogę. Schylił się, sztywny jak starzec - ale czy mógł być giętki po trzech dniach w łóżku? - i podniósł. Niewiele tam było napisane. U góry wydrukowano jego nazwisko i datę jednego z trzech straconych dni. Poniżej tylko krótka odręczna notatka podpisana: dr med. C.G. Chu. Notatka brzmiała: „Oдноśnie do śpiączki. Jeżeli pacjent się wybudzi, nie reanimować”.

Nie reanimować? Niby dlaczego? I co znaczy: Jeżeli pacjent się wybudzi? Jeżeli? I ta śpiączka? Rzeczywiście śpiączka? Spojrzał na kroplówkę, której rurka wisiała swobodnie, a igła dotykała podłogi. Jeżeli naprawdę zapadł w śpiączkę - w co nie bardzo wierzył - tylko koktajlowi doktora Chu zawdzięczał, że stoi teraz o własnych siłach, a energia wraca mu z każdą chwilą. Ten środek zdoła utrzymać go przy życiu. Może nie na zawsze, ale wystarczająco długo.

Przesunął się cicho na tył karetki, zajrzał między listewki żaluzji w oknie, mając nadzieję, że zobaczy, gdzie jest lub przynajmniej oceni prędkość. Nie zobaczył nic. Ani ciemności, ani nocy, nic. Dopiero po chwili się zorientował, że szyba jest pomalowana na czarno. Żaluzje na zaczernionym oknie, nic dodać, nic ująć.

Z jednej strony karetki stały dwie szafki. Wyglądały jak szafki medyczne, spodziewał się więc opatrunków, lekarstw, pojemników z tlenem, raczej nie skalpeli, ale chociażby nożyczek, które by mu wystarczyły. Odsunął zasuwkę w najbliższej szafce, otworzył.

Była płytka, miała zajętą tylko górną półkę. Leżały na niej trzy znajome dowody rzeczowe A, B, C: dowód wypłaty Paula Habiba, zdjęcie z Operacji Ananas i zdjęcie Habiba z Calvinem Truesdale'em. Roya wcale nie zdziwiło, że włamano się do jego samochodu.

Otworzył drugą szafkę i na górnej półce znalazł tylko jeden przedmiot. Cynową urnę z prochami Paula Habiba. Zamarł z przerażenia: *Skąd ci przyszło do głowy, żeby o to pytać?*

- Widzę, że wstałeś. - Obejrzał się. Wrócił Tom, drzwi do kabiny kierowcy były rozsunięte. - Musiałem coś źle zrozumieć z karty. Nie sądziłem, że istnieje taka możliwość.

- Wszystko w porządku?! - zawołał drugi mężczyzna z przodu.

- Tak - odparł Tom. - Pilnuj kierownicy. - Zamknął drzwi. - Miałeś nie móc wstać.

Roy przemilczał uwagę.

Tom spojrział na urnę.

- Wiesz, co powiedziała kobieta, kiedy do niej przyjechaliśmy?

- Nie.

- „Już sądziłam, że nigdy się nie zjawicie”. - Pokiwał głową, jak gdyby się wzruszył. - To nie jej wina. Ja też nie czuję się z tym najlepiej. Ale Paul był mięczakiem, który nie potrafił utrzymać języka za zębami. Nie zadbał o jej ochronę. Wiedziała za dużo, a ponieważ była nie w ciemni bita, przeżyła tyle lat, wiedząc, że wie za dużo.

- W przeciwieństwie do mnie - powiedział Roy.

- W przeciwieństwie do ciebie do niedawna - uściślił Tom. - Bo do niedawna nie wiedziałeś nic.

- Delia zadbała o moją ochronę?

- Żebyś wiedział - potwierdził Tom. - Chyba już odkryłeś, jak bardzo cię chroniła. Ale teraz jest inaczej. Jak wspominałem, niefortunny układ wydarzeń.

- Nie wierzę, że pracowała z tobą - oświadczył Roy. - Ani z nikim twojego pokroju.

- To jedynie dowodzi jej wartości - rzekł Tom.

Roy nie wierzył.

- Chcę, żeby mi to powiedziała sama.

Tom dziwnie na niego popatrzył.

- Na pewno byłoby miło - przyznał. - Ale, pominawszy wszystko inne, nie ty tu dyktujesz warunki.

Karetka weszła w ostry zakręt. Urna odbiła się od ściany ambulansu, ale się nie przewróciła.

- Opowiedz mi, dlaczego ponieśliście klęskę - poprosił Roy.

- Jaką klęskę?

- Operacji Ananas.

- Niby po co?

- Czyli boisz się powiedzieć - stwierdził Roy.

- Przesadzasz - rzucił Tom. Na jego twarzy wystąpiło kilka różowych plam, jak gdyby miał zaraz wypełznąć rumieniec. - Może z przyzwyczajenia jestem ostrożny.

- Tak sam się postrzegasz? - spytał Roy. - Jako człowieka ostrożnego?

- Bardzo. Ostrożność to podstawa - zapewnił go Tom. - Może połów się jednak?

Roy nie usłuchał, lecz zdjął z półki zdjęcie Operacji Ananas.

- Gdzie to jest? W północnej Afryce?

Tom nie spuszczał go z oka.

- Czy to fort? - pytał dalej Roy. - Czy może więzienie?

Tom uśmiechnął się słabo.

- Niezły jesteś. Może minąłeś się z powołaniem.

Komentarz zdenerwował Roya. Już chciał schować zdjęcie do kieszeni, kiedy się zorientował, że ma na sobie szpitalną piżamę. Ale w bluzie była kieszeń. Wsunął do niej zdjęcie Operacji Ananas.

- Kładź się!

Roy ani drgnął.

- Co się stało w więzieniu?

Tom, nie odwracając się do tyłu, postukał w drzwi prowadzące do kabiny kierowcy.

- W każdym razie musieliście użyć helikoptera - powiedział Roy.

- Tak?

- W wersji Westiego - dodał Roy. - W jego opowieści często przewijały się helikoptery.

Tom spochmurniał. Drzwi się otworzyły. Wyciągnęła się ręka, podała Tomowi rewolwer, taki sam jak poprzednie. Krótka lufa, drewniana kolba, jak gdyby kupili je hurtowo ze względu na rabat.

- Najbardziej urządzaloby nas - powiedział Tom - gdybyś umarł na... mezoteliomę. Dobrze wymawiam?

- Skoro to było więzienie - ciągnął swoje Roy - usiłowaliście kogoś wydostać? Kogoś, kto też pracował w instytucie, a na przykład wpadł w trakcie poprzedniej porażki?

- Ponoś cię artystyczna wyobraźnia - zapewnił go Tom.

- A może... - Roy przypomniał sobie jarmark w Mad River. - Może było odwrotnie?

- Odwrotnie? - zainteresował się Tom.

Roy nie chciał o tym mówić.

- Słucham - zachęcił go Tom. - Zaciekawileś mnie.

Z jego słów Roy wywnioskował, że wpadł na właściwy trop.

Na dziedzińcu więzienia trudno o przyjaciela, łatwiej o wroga.

- Trafiał tam ktoś, kogo chcieliście zabić? - dociekał.

- Niby kto? - spytał Tom.

Roy nie wiedział. Czy kraje północnej Afryki uważano za ich sojuszników? I ciekawe, po której stronie są więźniowie z tych krajów.

- Widzisz, jakie to się robi skomplikowane? - zauważył Tom. - Powiedzmy, że chcieliśmy

zlikwidować bardzo złego człowieka.

- Helikopter przeleciał nad dziedzińcem więziennym, a Delia była... - Jakiego słowa użyć? Snajperką? Zabójczynią?

- Zgadza się - potwierdził Tom. - Ale nie ponosiła odpowiedzialności za porażkę naszej misji. Ona była, jak to się mówi, profesjonalistką w każdym calu.

- Kłamiesz - rzekł Roy.

- Lenore do dziesiątej potęgi - dodał Tom.

Roy nie posiadał się z oburzenia.

- Była ekonomistką - zaproponował.

- I to świetną - przyznał Tom. - Ale jej rola się rozrosła.

- Musiałbym to usłyszeć z jej ust.

- Wierzysz w życie pozagrobowe? - spytał Tom i wskazał rewolwerem łóżko. - Wracaj na nie, póki proszę po dobroci.

Blenny miał rację. Jeżeli trzeba przegrać, to przynajmniej warto przegrać w ataku. Roy ruszył w kierunku łóżka na kółkach. Stało na środku karetki, oparte jedną parą kół o gumowy klocek. Roy złapał się tylnej krawędzi, szybkim kopnięciem usunął gumowy klocek. Zebrał się w sobie jak słaby, chory człowiek, który przystępuje do dużego wysiłku fizycznego. Nawet nie bardzo musiał udawać.

- Pomóc ci? - spytał Tom.

- Nie - odparł Roy.

Przykląkł, jakby chciał się dźwignąć, nabrał powietrza.

- Na pewno? - spytał Tom.

Roy pokiwał głową. Przysunął łóżko trochę bliżej siebie. Rzucił okiem na Toma, który opuścił broń, bo tak pochłonęły go zmagania Roya, i obserwował wszystko jak widz. Niebezpieczny facet! Roy z całej siły pchnął łóżko przed siebie.

Nie szurnęło po podłodze, ale przynajmniej drgnęło. Poza tym szczęście mu sprzyjało, bo w tym momencie karetka gwałtownie zahamowała, Tom stracił równowagę i jednocześnie uderzyło go łóżko. Upadł. Ponieważ Roy z całej siły pchał łóżko, też upadł, tyle że na Toma.

Tom trzymał w ręku rewolwer. Roy chwycił go za nadgarstek, usiłował wyrwać mu broń oburącz, ale prawa ręka w coś mu się zaplątała, jak się okazało, w rurkę kroplówki. Na lewą, złamaną, nie mógł liczyć. Tom zrzucił go w jednej chwili jak piórko. Roy upadł na podłogę. Impet wycisnął z niego resztki tchu. Tom usiadł Royowi okrakiem na piersi. Podniósł rewolwer.

- Wcale nie musiało się tak skończyć - oświadczył. - Zaplanowaliśmy bardziej

humanitarny koniec.

Pieprz się. Royowi jednak zabrakło siły, żeby to powiedzieć, żeby odejść tak, jak chciał.

Tom wycelował broń w środek czoła Roya. Roy poczuł delikatne ukłucie w miejscu, w które miał trafić pocisk. Kiedy rewolwer naprawdę wypalił, a może tuż wcześniej, karetką przechyliła się na kolejnym zakręcie, urna spadła z półki i trąciła Toma w ramię. Broń wypadła mu z ręki i szurnęła po podłodze. Tom skoczył za nią. Roy też, chociaż miał prawą rękę owiniętą rurką, a końcówkę z igłą ścisnął w dłoni. Obaj klęczeli, Tom sięgał po rewolwer, kiedy Roy wycelował igłę w jego oczy.

- Nie ruszaj się! - zawołał. - Bo cię zarażę.

- Nieprawda! - rzucił Tom.

Ale miał przerażenie w oczach. Wyprowadził instynktowny, spazmatyczny cios, którym zaledwie musnął głowę Roya. Jednakże Roy był w tak opłakanym stanie, że nawet od tego muśnięcia zakręciło mu się w głowie. Rzucił się naprzód. Pod naporem ciała Roya igła kroplówki wbiła się Tomowi w szyję.

Gdy po chwili Roy odzyskał klarowność umysłu, ujrzał wewnątrz karetki zbryzgane krwią, która wciąż sikała Tomowi z szyi. Roy wstał, podniósł z podłogi rewolwer.

- Gdzie ona jest? - spytał.

Tom patrzył, lecz nie mówił. A może oczy po prostu mu znieruchomiały? Roy uzmysłowił sobie, że karetką stoi. Otworzyły się drzwi z przodu, do środka zajrzał kierowca, którego Roy wcześniej nie widział.

- Co jest, do diabła? - rzekł. Zobaczył rewolwer, skoczył z powrotem do kabiny, zatrzasnął za sobą drzwi. Roy usłyszał jeszcze: - Wóz jeden do bazy. Wóz jeden do bazy. Czerwony alert. Czerwony alert.

Roy nie miał pojęcia, co to oznacza. Wiedział tylko, że na wezwanie kierowcy nie zgłosi się porządny człowiek. Znalazł worek kroplówki, otworzył tylne drzwi karetki i wysiadł.

Za oknem noc i znów w oddali pomnik Washingtona. Przyciskając worek kroplówki do piersi, znalazł się na ulicy Georgetown, pełnej barów i restauracji opustoszałych o tej porze. Za rogiem jednak stała długa kolejka młodych ludzi czekających na wejście do nocnego klubu. Padły uwagi na temat jego pizamy, wszystkie sympatyczne. Pożyczył od kogoś telefon i zadzwonił do kilku osób. Najpierw do Jerry'ego. Czuł się dobrze, bo za nim stał Blenny, a może nawet cały hokej.

Rozdział 31

RZEŹBIARZ ROY VALOIS, LAT 46, NIE ŻYJE

Richard Gold i Myra Burns

Rzeźbiarz Roy Valois, którego ogromne prace stoją wystawione w miejscach publicznych w całym kraju oraz w kilku znakomitych muzeach, umarł wczoraj w swoim domu w Ethan Valley, w Vermoncie. Miał 46 lat.

Przyczyną śmierci była mezotelioma, choroba nowotworowa spowodowana kontaktem z azbestem, według doktora Chan Gao Chu ze Szpitala Uniwersyteckiego Johnsa Hopkinsa, w którym Valois przechodził terapię.

Valois, artysta samouk, tworzył niemal wyłącznie prace z odzyskanych materiałów, najczęściej złomowanych metali, chociaż nie był prymitywistą, zdaniem Kurta Palmateera, byłego dyrektora Muzeum Mass MoCA w North Adams, w stanie Massachusetts, gdzie w skład stałej ekspozycji weszła pierwsza rzeźba należąca do późniejszego cyklu *Neandertalczyków*. „Elegancja stylu i głębokie zaangażowanie formalne wskazują na pokrewieństwo z Henrym Moore'em, a nawet z neoklasycystami dziewiętnastego wieku”, twierdzi Palmateer. Roy Valois urodził się w North Grafton na zachodzie Maine. W szkole wyróżniał się w sporcie, jako wybitny hokeista dostał stypendium na Uniwersytecie Maine. Kiedy podjął wakacyjną pracę, która wymagała spawania i obróbki metali, znalazł swoje powołanie. Jego pierwsze dzieło stojące obecnie w North Grafton przed biblioteką publiczną powstało latem na trzecim roku studiów, po godzinach. Wykonane z mosiężnych części wydobytych z zatopionego frachtowca, zatytułowane *Finwal*, zwróciło uwagę profesor Anny Cohen z Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Maine, dzięki czemu dostał dwuletnie stypendium Uniwersytetu Georgetown.

Tam zaczął przyciągać uwagę kolekcjonerów. Ceny wielu prac z cyklu *Neandertalczyków* „tragicznej epepei ze złomowanej stali”, jak określił ją krytyk Hilton Kramer, przekroczyły 100 000 dolarów. W Georgetown Valois poznał żonę, Delię Stern, ekonomistkę, która podjęła następnie pracę w ONZ. Zginęła piętnaście lat temu w katastrofie lotniczej na granicy Wenezueli. Nie mieli dzieci, a Valois nie ożenił się ponownie. Zostawił matkę Ednę Valois zamieszkałą w Sarasocie na Florydzie.

- Mamo? - powiedział Roy. - Przepraszam, że tak późno dzwonię.

- Nie szkodzi, synu. I tak nie spałam. Coś się stało? Tak mi brzmisz, jakbyś wciąż walczył z przeziębieniem.

- Wszystko w porządku, mamo. - Trzymał w ręce wydruk swojego nekrologu, kilka godzin przed ukazaniem się porannego wydania gazety. - Tylko chciałem, żebyś miała najświeższe dane.

- Nie mów, że znów trafiła ci się ogromna gratka.

- W pewnym sensie.

- Nie bardzo rozumiem.

- Jutro się dowiesz... - Jak by to ująć? - ...czegoś nieprawdopodobnego na mój temat. Robię pewien eksperyment, działanie artystyczne. Nie wierz w to ani przez chwilę. Ale chciałbym, żebyś wzięła w nim ze mną udział.

- Co to za historia?

Roy jej powiedział.

Chwilę milczała.

- Nie rozumiem, na czym polega gratka.

- Źle się wyraziłem - przyznał.

- Czy to tak zwana sztuka performansu?

- Niezupełnie. Wyjaśnię ci później.

Znów milczenie.

- Może po prostu do tego czasu przestanę odbierać telefon - powiedziała.

* * *

- I jak ci poszło? - zapytał Turk.

Jechali cadillakiem Turka, on za kierownicą, Freddy Boudreau z przodu obok kierowcy, Roy z tyłu.

- Nie za dobrze - powiedział. - Matka się martwi.

- Ja też - wtrącił Freddy, chociaż przedtem wyglądało na to, że dobrze się bawi. Otworzył piwo, wręczył Royowi, który pociągnął łyk, trochę więcej, niż zamierzał, ale zimna puszką przyjemnie chłodziła mu rękę. Przekroczyli granicę stanu Teksas. Freddy przez całą drogę nie zapalił ani jednego papierosa. Roy wiercił się, kładł na boku, bo tę właśnie pozycję lubił sobie ostatnio demon. Fajnie było znowu być z chłopakami z drużyny. Komu innemu mógłby zaufać? Złożył głowę na worku kroplówki.

* * *

- Myliłem się.

To były pierwsze słowa wypowiedziane przez Freddy'ego, kiedy wjechali cadillakiem do Waszyngtonu. Turk przyleciał przed nim. Po telefonie Roya owej nocy jazdy karetką zaraz wsiadł do samolotu, w którym spędził kilka godzin. Freddy przejrzał telefony w komórce Skippy'ego, wydrukował trzy ocalałe zdjęcia - paczka w czekoladzie z posypką, młodej ekspedientki z Dunkin' Donuts, rzeźby *Delii* - zjął odciski palców z telefonu, a następnie sprawdził nagrania.

- Chłopak okazał się naprawdę łebski - pochwalił go Freddy, wciskając guzik. - Pierwszy głos należy do tamtej kobiety ze sklepu winiarskiego?

Siadaj na łóżku, nie zrobimy ci nic złego.

Roy skinął głową.

- Lenore.

Tak? Skippy mówił nieco drżącym głosem, lecz może dlatego, że w schronisku hulał zimny wiatr, a on miał tylko lekką wiatrówkę. *W takim razie dlaczego on celuje do mnie z rewolweru?*

Siadaj. Tylko chwilę pogadamy.

Nie wierzę. Milczenie. To jest taki sam rewolwer jak tamten. Kurczę, to wyście mnie wkopali.

W co wkopali? To Westie.

Podrzuciliście mi rewolwer. Wpakowaliście mnie w gówno. Dlaczego?

Nie bierz tego do siebie. Wynagrodzimy ci straty. Wystarczy pięćset dolarów?

Chrząć się.

Klik.

- Przyszły wyniki sekcji zwłok. Został uduszony - powiedział Freddy. - Łebski chłopak.

- I odważny - dodał Turk.

Roy nic nie powiedział. Po raz pierwszy w życiu odezwał się w nim morderczy instynkt.

* * *

- Jak tam, Roy?

- W porządku.

- Potrzeba ci czegoś?

- Nie.

Miał wszystko na tylnym siedzeniu cadillaca Turka. Nie tylko lodówkę pełną kanapek i

napojów, teraz już niepotrzebnych, oraz duże opakowanie silnego środka przeciwbólowego oxycontins pożyczone od Freddy'ego z komisariatu, które to pigułki nieco go oszalały, a demon i tak je odrzucał, lecz również leżące na podłodze ochraniacze na łydki nie do pary, zwinięta w kłębek podkoszulkę „Królów ławki kar” i tumult drogi. Sięgnął pamięcią wstecz. Ileż to razy ruszał w hokejowe trasy, ile odbył długich podróży. Przypomniał sobie rezerwowego bramkarza w Maine, cichego chłopaka, który bez uprzedzenia wypiął na autostradzie tyłek przed przejeżdżającym radiowozem.

- Co cię tak śmieszy? - spytał Turk.

- Nic - odparł Roy.

Zamknął oczy. Demon też się zdrzemnął.

* * *

Roy usiadł. Na dworze chyba panował upał. Nie lubił takiej pogody w zimie.

- Gdzie jesteśmy?

- Pod San Antonio - powiedział Freddy.

Serce zabiło Royowi żywiej, kołatało szybko i płytko. Na pewno z nerwów, przejęcia, podniecenia. Roy próbował się uspokoić, żeby oszczędzać siły.

- Wydzwanają różni ludzie w sprawie pogrzebu - powiedział Turk. - Łącznie z doktorem Chu.

- Doktor Chu wybiera się na pogrzeb?

- Poinformowałem go, że nabożeństwo żałobne planujemy dopiero za miesiąc albo dwa - powiedział Turk. - Unikałem szczegółów. Podał mi wszystkie namiary na siebie.

Miło słyszeć. Zastanawiali się, czy nie wyjawić doktorowi Chu prawdy, ale się wstrzymali. Częściowo ze względu na ochronę planu, a częściowo na ochronę doktora Chu. Freddy zadzwonił do niego, zawiadomił, że Roy widocznie na własną prośbę wyszedł ze szpitala i wrócił do domu, gdzie on znalazł ciało. Turk zadzwonił do „New York Timesa”, odbył rozmowę z dziennikarką Myrą Burns, powiedział jej o doktorze Chu, gdyby chciała sprawdzić dane do nekrologu. Tak samo postąpili wobec Krishny. Żeby nikt nie musiał niczego udawać. Wszystko działało jak w zegarku, plan wykluczał przeciek.

- Niezależnie od daty - uprzedził Roy - ja się nie wybieram.

Z przedniego siedzenia cadillaca gruchnął śmiech. Roy też się roześmiał z własnego dowcipu i przez chwilę poczuł się jak zawsze w trasie z chłopakami. Z tą jedną różnicą, że dzięki walącemu sercu szybował ku nieznanym wyżynom.

Zadzwonił telefon Turka.

- Tak? - powiedział. I zaraz zmienił głos. - A, cześć. - Przez chwilę milczał. - Tak, to straszne. - Znów tylko słuchał. - Wybacz, ale jeszcze nie znam odpowiedzi na to pytanie. - Royowi się zdawało, że słyszy w słuchawce płacz. - Będę w kontakcie. Trzymaj się.

I rozłączył się.

- Kto to był? - zapytał Roy.

- Oj, wolałbyś nie wiedzieć.

- Kto?

- Jen.

W samochodzie zapadło milczenie.

- Cholera - zaklął Freddy. - Że też nie przewidziałem.

Podobnie jak Roy. Dowód, że Jen miała rację - coś w nim pękło po katastrofie helikoptera, która nie zdarzyła się w Wenezueli, a może w ogóle się nie zdarzyła. Myliła się jednak, że to zdarzenie wiązało się z uszkodzeniem nerwów. Zakończenia nerwowe miał w nienaruszonym stanie, tyle że przemieszane, poskręcane, zawodne. Czyżby to zniekształcenie wpłynęło na poprawę jego weny twórczej? Możliwe.

- Na co nie znałeś odpowiedzi? - spytał Roy.

Turk się obejrzał. Roy, leżąc na boku, spojrzał na niego.

- Od jak dawna znałeś diagnozę - powiedział Turk, odwracając wzrok. - W kontekście waszego rozstania.

- Na pewno...

Już miał powiedzieć, że na pewno jej to wynagrodzi, ale się zawahał. Bo niby jak? Przecież niebawem spotka się z Delią.

- Odpocznij trochę - poradził Turk.

Roy zamknął oczy. Okazało się, że śmierć wcale nie ułatwia życia. Ile osób miało okazję się o tym przekonać?

* * *

Obudził się w ciemnościach. Wiał lekki wietrzyk. Usiadł.

- W samą porę - pochwalił go Freddy z przedniego siedzenia.

Siedzieli w cadillacu zaparkowanym na otwartej przestrzeni; okna opuszczone, zgaszone światła. Royowi się zdawało, że w oddali widzi linię zaokrąglonych wierzchołków gór.

- Jak się czujesz? - spytał Turk.

- Obłeci.

- Może byś coś zjadł?

- Dobra.

Ale nie był głodny.

Na niebie zjawilo się światło, najpierw słabe, potem coraz jaśniejsze. Minęło dziesięć, może dwadzieścia sekund, zapaliły się kolejne światła, tym razem na ziemi, nieopodal - żółte oświetliło niewielki kwadratowy budynek, a obok dwa długie, równoległe niebieskie pasma. Roy usłyszał najpierw cichy szum, potem narastający warkot, wreszcie ryk nad głową. Samolot zatoczył półkole, zszedł niżej, wylądował na końcu pasm światła, wzbijając obłoki niebieskiego pyłu, stanął przed żółtym budynkiem. Śmigła zastygły w bezruchu.

Cisza. Podmucha ciepły wiatr. Nikły zapach benzyny.

W budynku i w samolocie otworzyły się drzwi, wylały się potoki światła. Odcinały się od nich sylwetki zabieganych ludzi. Krzątali się przy ogonie samolotu, w jednej chwili władowali długi, niezgrabny przedmiot na widły ogromnego wózka widłowego. Silnik mrucał cicho, wózek przejechał wolno obok budynku, mroczne światła błysnęły w łańcuchu ogrodzenia niewielkiego dziedzińca. Sylwetki krzątały się jeszcze chwilę, lecz zaczęły kolejno gasnąć wszystkie światła - w wózku, wzdłuż pasa startowego, w budynku. Zza budynku wyjechały dwa wielkie SUV-y i ruszyły w kierunku odległych gór, ich światła tylne nikły w ciemnościach, aż zgasły zupełnie. Na niebie wzeszedł księżyc i noc znów nabrała tu i ówdzie blasku.

- No dobra - powiedział Freddy.

Turk włączył światła postojowe. Cadillac przemierzał wyboistą, krzewiastą pustynię; zatrzymał się przy terenie ogrodzonym drucianą siatką. Metalowa tabliczka głosiła: RANCZO TRUESDALE. WSTĘP WZBRONIONY. Na kadłubie stojącego obok samolotu widniał ledwo widoczny w poświacie księżyca napis: TRANSPORT VRAI. Wysiedli.

- Muszę się odlać - powiedział Freddy.

Wysikali się wszyscy pod kilkumetrowym ogrodzeniem zwieńczonym drutem kolczastym. Roy czuł ucisk na pęcherz, co by znaczyło, że też powinien, ale prawie nic nie poleciało. Strumienie Turka i Freddy'ego pluskały po ubitej ziemi.

- Uff - powiedział Freddy.

Wózek widłowy stał po drugiej stronie, za ledwie kilka kroków od nich. Długi, niezgrabny przedmiot leżał bokiem na widłach przykryty brezentową plandeką w czterech rogach przywiązaną do postumentu ze sklejki. Freddy podszedł do bramy, zastukał kłódką, pokręcił głową. Turk otworzył bagażnik cadillaca, wyjął aluminiową drabinę.

Rozciągnął ją, aż sięgnęła kolczastego drutu, wspiał się, przekręcił, trzymając się najwyższego szczebla, i zeskoczył z drugiej strony. Po nim manewr powtórzył Freddy, na

ostatku Roy. Wszedł bez problemu, chociaż w połowie drogi na górę zabrakło mu tchu w piersiach, musiał więc zrobić chwilę przerwy. Na górze nie bardzo mógł się przekreślić, kłopot sprawiała mu niesprawna lewa ręka. Stracił uchwyt i spadł. Turk złapał go delikatnie, buforując wstrząs, i postawił na ziemi.

- To nie było konieczne - powiedział Roy.

- Wiem - odparł Turk.

Podeszli do wózka widłowego. Freddy rozwiązał końce plandeki. Roy włożył rękę, wymacał zimną, powyginaną, poskręcaną stal: śmigła wypełniające urwany łuk *Delii*. Odwrócił się, pokiwał głową.

- Wiecie, że to się może udać? - rzekł Freddy.

- Czemu nie? - odparł Turk z oczami lśniącymi w poświacie księżyca. - Przecież to klasyka.

- Jak to? - spytał Freddy.

- Tak było u Homera - oznajmił Turk.

Freddy wzruszył ramionami.

- Nie mam czasu na telewizję.

Życie bywa rozkoszne.

* * *

Ściągnęli plandekę, usiedli na postumencie ze sklejki. Księżyc wszedł wyżej. Ochłodziło się, jak gdyby księżyc podważył moc słońca. Roy łatwiej oddychał. Czyżby zaczął woleć noc?

- Jak tam u ciebie? - spytał Turk.

- W porządku - odpowiedział Roy.

Freddy sięgnął do kieszeni marynarki.

- Weź to - powiedział. - Wystarczy nacisnąć guzik.

- Dobra.

- Wypróbuj teraz - poprosił Turk. - Przecwicz.

- Umiem nacisnąć guzik - odrzekł Roy.

- Działa w promieniu pięciu kilometrów - dodał Freddy.

- A jeżeli będziecie poza zasięgiem? - spytał Roy.

- Niemożliwe - uciął Freddy.

- Wtedy pozostałby nam tylko.... - zaczął mówić Turk.

- No tak - wszedł mu w słowo Freddy. - Młotek. Roześmiał się, Turk również, dołączył

też Roy, jak gdyby wszyscy trzej uknuli jakiś żart na przerwę w szatni między tercjami, żeby utrzyć nosa zarozumiałej drużynie. Turk wyjął komórkę, przewinał książkę telefoniczną, wybrał numer.

- Redaktor Myra Burns? - spytał. - To pani jest współautorką nekrologu Roya Valois? - Chwilę słuchał. - Tak, wiem, że jest późno, ale Roy chciałby panią pozdrowić.

* * *

Roy leżał na platformie. Turk i Freddy zawiązali z powrotem plandekę.

- Wszystko w porządku?

- W jak najlepszym.

- Odpoczywaj.

- Dobra.

Potrzebował odpoczynku, żeby zebrać siły na to, co go czekało, bo musiał dobiec do mety, zanim ona dobiegnie do niego.

- Nie zapomnij o guziku.

Kroki się oddaliły, zachrząściły suche rośliny. Roy usłyszał szczęk - drabina uderzyła o siatkę ogrodzenia - i w końcu cadillac z cichym pomrukiem odjechał. Zapadła zupełna cisza. Roy przybrał wygodną pozycję na boku i oddychał. Czuł za plecami twardą, zimną *Delię*. Co powie *Delii*? *Witaj, skarbie, dawnośmy się nie widzieli?* Zabrzmiało to jak słowa ze starej piosenki, a takie lubiła. Przewrócił się na drugi bok, przytulił do *Delii*. Jego serce zerwało się do kolejnego lotu, ostatnio lubiło szybować na wyżyny.

Rozdział 32

- Hańba.

Roy otworzył oczy. Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje, brakowało mu powietrza, czuł się osaczony, jakby ktoś go pochował żywcem. Już chciał zacząć się szamotać, ale powstrzymał go znajomy głos.

- Straszliwa hańba - mówił Krishna. - Naprawdę każecie mi uwierzyć, że dzieło tej rangi całą noc pozostawiono bez ochrony?

- W zaleceniach nie było nic o ochronie - stwierdził mężczyzna.

- Teren jest bezpieczny - dodał drugi. - Patrz pan na ten drut kolczasty.

- W każdym razie - podsumował trzeci - nic się nie stało.

- O, skąd ta pewność? - rzucił Krishna.

- Przecież leży jak byk. Niech pan rzuci okiem.

- Właśnie mam zamiar - powiedział Krishna. - Proszę rozwiązać z tej strony.

- Z tej tutaj?

- Jeżeli pan łaskaw - polecił Krishna.

Roy przyłgął mocniej do *Delii*, zaklinował się pod niskim łukiem powykręcanych promieni. Wtem usłyszał łopot i oślepiło go dzienne światło. Zamrugał, jakby u wylotu tunelu zobaczył ciemną, a mimo to schludną sylwetkę. Kiedy oczy już zaczęły się przyzwyczajać i dostrzegł twarz Krishny, bardzo dzisiaj nieszczęśliwego, brezent opadł i powróciły ciemności.

- I co? - spytał pierwszy mężczyzna. - Wszystko w porządku?

Krishna milczał.

- Te szprychy wyglądały mi na promienie - zauważył drugi.

- A ja myślałem, że to ma być dzieło sztuki - dodał trzeci.

- Panowie, załadujcie bardzo ostrożnie na ciężarówkę - poprosił Krishna. - Będę was eskortował limuzyną. Tylko nie przekraczajcie pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Ile to jest warte?

- Nie chodzi o wartość - odparł Krishna tonem, którego Roy nigdy u niego nie słyszał.

- A o co?

- O szacunek.

Po chwili szcękniętą łańcuch otwieranej bramy i Roy poczuł ruch. Krótka, chwiejna jazda

wózkiem widłowym, przerwa, chrobotliwy zjazd. Syk odpuszczonych hamulców pneumatycznych - i ruszyli. Przez podłogę ciężarówki i drewniany postument, na którym leżał, czuł głęboką, dudniącą wibrację, delikatną jak masaż, ale nie spodobała się jego demonowi. Roy próbował znaleźć pozycję, z której obaj byliby zadowoleni. Uderzyła go szalona myśl, że uczestniczy w tajnej misji, coś w rodzaju Operacji Ananas, tyle że jego misja miała służyć naprawieniu sytuacji. Delia mogła liczyć na pomoc Paula Habiba, on - swojego demona.

Nagle poczuł, że ciężarówka zwalnia, powodując napór *Delii* na niego, po czym staje. Słyszał głosy, zbyt słabe, żeby mógł rozróżnić słowa. Ktoś uderzył w ciężarówkę tuż obok niego i znów ruszyli. Teraz droga wydawała się gładsza. Demon, niczym rozkapryszony, nękane kolką niemowlę zabrane na przejażdżkę, w końcu ustąpił i się zdrzemnął. Chociaż Roy przespał całą noc, ogarnęło go zmęczenie. Wyjął zza pazuchy worek z kroplówką, otworzył i wypił zawartość do dna. Następnie też się zdrzemnął.

* * *

- Śliczne miejsce.

Roy się obudził. Już nie jechał. Poczł zapach kwiatów.

- Bardzo mi miło, że się panu podoba - powiedział Calvin Truesdale. - Zaznaczam, że dach się rozsuwa.

Roy pomacał w kieszeni, dotknął guzika w bezprzewodowym nadajniku Freddy'ego. Ale nie nacisnął, tylko upewnił się, czy go ma.

- Zastanawiał się pan, gdzie umieści ten eksponat? - spytał Krishna.

- W niszy - odparł Truesdale. - Wiedziałem od pierwszej chwili.

- Jeszcze zanim Roy zdecydował się ją sprzedać? - spytał Krishna.

Truesdale się roześmiał.

- Nigdy nie wierzyłem w tę jego odmowę. Tylu artystów wykazuje nieoczekiwaną przebiegłość.

- Ale nie Roy.

- Pan go oczywiście znał lepiej. Poza tym najwyraźniej już był bardzo chory, kiedy go poznałem. Nie był sobą.

- A moim zdaniem był sobą aż do końca.

- Tak? Pod jakim względem?

- Choćby to, jak przeprowadził tę transakcję - powiedział Krishna.

- Możliwe - rzekł Truesdale. Westchnął. - Co za tragedia.

Krishna milczał.

- Kiedy odbędzie się pogrzeb? - spytał Truesdale.

- Była mowa o nabożeństwie żałobnym - powiedział Krishna. - Jeszcze nie ustalono terminu.

- Proszę mnie zawiadomić.

- Wybiera się pan?

- Jeżeli tylko będę mógł. Ale na pewno chciałbym wysłać kwiaty.

Milczenie.

- Miałby pan ochotę coś przekąsić albo się napić? - spytał Truesdale. - Zwiedzić moje ranczo?

- Bardzo pan łaskaw - rzekł Krishna - ale...

- Albo jeszcze lepiej - przerwał mu Truesdale - wieczorem wydajemy przyjęcie. Wszyscy rozstawiają właśnie namioty nad rzeką. Będzie młody wół z różną, ujeżdżanie, chwytywanie na łące, fajerwerki z barki. Może pan zostanie?

- A co to za okazja? - spytał Krishna.

Truesdale się roześmiał.

- Nic takiego - odparł. - Po prostu mam ochotę się zabawić, rozerwać.

- Muszę być w Nowym Jorku na kolacji - oświadczył Krishna bardzo oschłym tonem, nieznanym Royowi.

- W takim razie pożegnam pana - powiedział Truesdale. - Robić interes z panem to wielka przyjemność.

- I *vice versa*.

- Odprowadzę pana do samochodu.

- Proszę się nie fatygować.

- Ależ to żaden kłopot.

Odgłos kroków się oddalił. Kiedy Truesdale odezwał się ponownie, ledwo go było słychać.

- Czy umie pan przewidzieć, jak rynek potraktuje jego twórczość za pięć, dziesięć lat?

Drzwi się zamknęły, dlatego Roy nie dosłyszał odpowiedzi Krishny.

* * *

Przez chwilę słyszał jedynie rżenie konia w oddali. Wyjął rękę spod brezentu, uniósł jeden koniec. Najpierw zobaczył dużą kobietę z brązu dłuta Henry'ego Moore'a, znaną mu z podręczników. Rzeźba stała na tle ściany z wysokimi, blisko dziesięciometrowymi oknami,

które zwieńczono witrażowymi rozetami. Dalej ciągnęły się zielone ogrody spryskane delikatną mgiełką systemu nawadniającego, a na ich drugim końcu znajdowała się zagroda. Srokaty koń, znacznie mniejszy od tamtego w stajni Toma Parisha, wykonywał radośnie ósemki pod siodłem kobiety w stylowym hiszpańskim cylindrze z płaskim denkiem i okrągłym rondem. Jak okiem sięgnąć, nikogo innego.

Kobieta siedziała sztywno, wyprostowana, ledwo ruszała biodrami w rytm konia. Być może z powodu przesłaniającej widok mgielki mogło się wydawać, że ma więcej wdzięku z nich dwojga, chociaż i koń był piękny. Przemawiała za tym jej postawa, szczupła sylwetka, niezwykle skupienie i żywotność. Roy zszedł z postumentu, przemierzył marmurową posadzkę, nie zwracając uwagi na wystawione tam dzieła sztuki, przylepił twarz do okna. Poznał ją od razu - po przekrzywieniu głowy, po zaokrąglonym cieniu ronda kapelusza padającym na twarz i tysiącach innych szczegółów widywanych tyle razy w snach. Poznał i już.

Rozejrzał się, którędy jak najprędzej stamtąd wyjść, i dopiero teraz zlustrował wzrokiem całe pomieszczenie. W wielkiej galerii ze szkła i kamienia w kształcie litery U stały po obu stronach rzeźby, a na końcu, tuż za postumentem pokrytym brezentową plandeką, znajdowały się wysokie, dwuskrzydłowe drzwi. O dziwo, bez trudu otworzył ogromne marmurowe wrota. Wybiegł na dwór, nie szczędził sił, chociaż nikogo nie było w pobliżu. Nic by go nie powstrzymało: dostał teraz wielkiego napędu i właśnie poczuł jego napór podobny do siły pierwszej fali wolnego, lecz potężnego wybuchu. Na tej fali minął ogród, chłodzącą go, zbawienną mgiełkę, bo dopiero teraz się zorientował, jak mu było gorąco. Dobiegł do zagrody, dał nura pod poprzeczką, biegł dalej. Amazonka wyszła z zakrętu, zobaczyła go, pociągnęła wodze, zatrzymała konia.

- Prrr, Angus.

Koń stanął, odchylił łeb do tyłu. I koń, i ona patrzyli na Roya z odległości trzech metrów.

Nie, to nie Delia. Po pierwsze, kobieta nie była jego rówieśniczką, w ogóle nie była jeszcze kobietą, lecz nastolatką. Po wtóre... nie znalazł jednak drugiego argumentu. Zbliżył się, już nie biegiem, lecz bardzo powoli, rejestrując wszystkie szczegóły jej twarzy. Serce znów zerwało się do lotu. Zapowiadał się jego szczęśliwy dzień.

Amazonka zrobiła zdziwioną minę. Jednakże po chwili się wyprostowała, w jakże znajomej reakcji na stres, i zapytała:

- Pan jest nowym weterynarzem?

Ten jej głos, delikatny teksaski akcent, ale poza tym identyczny.

- Nie - zaprzeczył Roy, podchodząc bliżej. - Jestem...

Ściągnęła brwi, zsunęła kapelusz na tył głowy. Teraz ujrzał jej włosy - kręcone, szatynowe, przetykane złotem. Światło padało jej na twarz, w oczach dostrzegł takie same złote plamki.

- Kim? - spytała.

Roy nie mógł oderwać od niej wzroku, patrzył jak urzeczony.

- Jestem Roy - przedstawił się. - Roy Valois.

Wzruszyła ramionami, typowy gest nastolatki. Ile go ominęło!

- Czy moje nazwisko nic ci nie mówi?

- Nie.

- Jestem... - Zaczerpnął tchu niezbyt głęboko. Zaświstało mu w piersiach, może z powodu zdenerwowania. Czuł, że ogromne zwycięstwo jest bardzo blisko. Tak, to jego szczęśliwy dzień. Nie marzył nawet, że triumf będzie podwójny. - Szukam twojej mamy.

- Mojej mamy? - spytała dziewczyna. - To jakaś pomyłka.

- Dlaczego?

- Bo ja nie mam mamy.

Otworzył usta, bo chciał coś powiedzieć, ale nie zdołał. Spróbował jeszcze raz.

- Nie masz mamy?!

Angus się spłoszył, cofnął.

- Spokój - zakomenderowała. Koń się uspokoił. - Nie lubi podnoszenia głosu.

- Przepraszam - rzucił Roy. - Nie masz mamy?

- Przecież powiedziałam. - Dziewczyna sięgnęła do pionowej kieszeni w kowbojskiej koszuli, wręczyła Royowi kostkę cukru. - Niech pan mu da.

Wziął od niej kostkę. Ich dłonie się zetknęły. Przeszedł go dreszcz, najpierw po ręce, następnie po krzyżu. Miała jego dłonie. Delikatniejsze, bo kobiece, ale z całą pewnością jego. Wyciągnął rękę z kostką cukru. Angus chwycił ją wargami przypominającymi gumę.

- Mam przybraną babcię - oznajmiła dziewczyna. - Pan jej szuka?

- Nie - zaprzeczył Roy. - Szukam twojej mamy.

Dziewczyna pokręciła głową.

- Mama umarła.

- Nie!

- Już mówiłam, on nie lubi podniesionego głosu - upomniała dziewczyna, znów powściągając Angusa. - Jak to „nie”? Kto może wiedzieć lepiej ode mnie? Umarła dawno temu.

- Kiedy? - spytał Roy prawie szeptem.

Angus majtnął nieznacznie ogonem.

- Pyta pan o dokładną datę? Nie znam. Niedługo po moim urodzeniu.

- Jesteś pewna?

- Ale czego?

- Że mama nie żyje.

Dziewczyna zadarła podbródek. Roy pamiętał również ten ruch. I ostrzejszy ton głosu.

- Co to za pytanie? Przecież to najważniejsze wydarzenie w moim życiu.

Spięła Angusa, który wykonał obrót. Roy chwycił wodze.

- Proszę cię - powiedział Roy. - Nie chciałem cię zdenerwować.

- Ale pan zdenerwował - powiedziała. - Czego pan chce? Dlaczego tak mnie pan wypytuje?

- Bo to w moim życiu również najważniejsze wydarzenie - odparł Roy.

Stanąła, przekrzywiła nadgarstki, żeby wyrwać mu wodze.

- Śmierć mojej mamy?

- Tak.

- Niby dlaczego?

- Zaraz ci wyjaśnię. Ale najpierw mi odpowiedz. Nigdy jej nie poznałaś?

Dziewczyna pokiwała głową.

- Masz piętnaście lat? - spytał.

Po chwili znów pokiwała.

- Urodziny obchodzisz we wrześniu.

- Dwudziestego pierwszego - uściśliła. - Skąd pan wie? I kim pan w ogóle jest?

Roy spojrzął na nią.

- Była moją żoną.

- Moja mama była pana żoną?

Roy wyjął portfel. W bocznej kieszonce na rzep trzymał zdjęcie Delii, którego nigdy nikomu nie pokazywał, po prostu zawsze nosił je ze sobą. I zawsze o nim pamiętał; Roy z Delią na plaży, spleceni ramionami, twarze o poważnych minach. Pokazał je dziewczynie.

Obejrzała. Zsunęła się z konia, klepnęła go lekko, odbiegł truchtem. Wzięła zdjęcie.

- To moja mama?

Pytanie nie wymagało odpowiedzi ze względu na ich uderzające podobieństwo.

Dziewczyna przyjrzała się zdjęciu, nie mrugnęła okiem.

- Nigdy nie widziałam zdjęcia mamy - powiedziała cicho.

- Jak to? - spytał Roy.

Rozejrzał się. Nikogo nie było w pobliżu.

- Wszystkie jej rzeczy spłonęły w pożarze. - Podniosła na niego oczy. - Czy to fotomontaż? Z komputera?

- Niby po co miałbym cię oszukiwać?

Zastanowiła się, aż twarz jej się skurczyła. Przybrała taką samą zafrasowaną minę jak niegdyś Delia wobec trudnych pytań.

- Chyba po nic - odparła. - Czyli był pan przedtem jej mężem?

- Przed czym?

- Przed moim tatą.

- Opowiedz mi o nim.

- Był kowbojem, tylko tędy przejeżdżał. - Wzruszyła ramionami. - Jego też nie poznałam.

- Kto ci naopowiadał takich bajek?

- Wiem to od dziecka. - Zamyśliła się. - Chyba dziadek.

- Twój dziadek?

Machnęła ręką, pokazując teren - zagrodę, ogrody, prywatne muzeum, rozłożysty dom, stajnie, zabudowania gospodarcze i całą ziemię.

- Calvin Truesdale jest twoim dziadkiem? Skąd ci to przyszło do głowy?

- Niezupełnie dziadkiem - sprostowała. - Chyba mnie adoptował, bo poczuł się odpowiedzialny za wypadek mamy.

- Jaki wypadek?

- Ten, w którym zginęła. Spadła z dzikiego konia, którego ujeżdżała, a nie powinna go była dosiadać. Pracowała tu jako kucharka.

Roy się uśmiechnął.

- Co pana tak bawi?

- Bo nie umiała nawet robić grzanek - wyjaśnił.

- Może się nauczyła po rozwodzie z panem albo...

- Nie rozumiesz, jakich bujdz ci naopowiadali?! - rzucił Roy. Znów podniósł głos, ale Angus już nie mógł go słyszeć. - Jedna wielka brednia! Nie było żadnego rozwodu. Nie była kucharką. Nie było żadnego kowboja.

Wodziła teraz wzrokiem od Roya do zdjęcia i z powrotem do Roya.

- Jak ci na imię? - spytał.

- Adele - odparła. - Mam imię po mamie.

Nie powiedziała jednak tego oznajmującym, lecz raczej pytającym tonem.

- Twoja mama miała na imię Delia - powiedział.

- Delia? - powtórzyła Adele, znów spoglądając na zdjęcie. - Blisko, prawda?

- Prawda - potwierdził.

Po dłuższej chwili potrząsnęła głową i cofnęła się.

- Nie wierzę.

Roy wziął ją za rękę, wyciągnął swoją i zaczął porównywać, żeby zobaczyła podobieństwo.

- Jestem twoim ojcem - oświadczył.

Adele wyrwała mu rękę.

- Niemożliwe.

- Przekonasz się, jak zrobimy test DNA - powiedział. - Ale gdzie jest Truesdale? On mógłby nam wcześniej wyjaśnić.

- Jak to? - zdziwiła się Adele.

- Bo opowiedziałby nam, co się stało z Delią po moim z nią rozstaniu.

- Kiedy to było?

- Rozpoczęła czwarty miesiąc ciąży.

- Zostawiła cię? - spytała Adele.

- Zabrano ją - rzekł Roy.

- Porwano?

Już chciał zaprzeczyć, ale ugryzł się w język.

- Jeszcze sprawdzam - stwierdził.

- Piętnaście lat sprawdzasz?

- Piętnaście lat żyłem w niewiedzy - wyznał Roy. - A teraz sprawdzam.

- Czyli nie wiedziałeś, że ona tu jest? - spytała Adele. - Nie wiedziałeś, że zapadła w śpiączkę?

- W śpiączkę?

- Najgorsze, że nigdy się nie obudziła - odrzekła. - Zapadła w śpiączkę kilka miesięcy przed moim urodzeniem.

- Truesdale tak ci powiedział?

- Wiem to od zawsze - stwierdziła. - Ale nie tylko ze słyszenia. Z wczesnego dzieciństwa pamiętam sprzęt medyczny w baraku na Zachodnim Krańcu.

- Co to jest?

- Stara szopa - wyjaśniła. - Teraz zabita deskami.

- Chciałbym go zobaczyć.

- Jeździ pan konno?

I w tym momencie odezwał się jego demon.

- Coś nie tak?

- Nic, nic - uspokoił ją Roy i wyprostował się. - Wszystko w porządku.

Bo rzeczywiście w duszy, której żadna choroba nie sięga, czuł się lepiej niż kiedykolwiek.

Rozdział 33

- Nie jesteś za młoda, żeby prowadzić? - spytał Roy.

Adele usiadła za kierownicą półciężarówki. Miała ten sam model co Roy, tyle że nowszy, wyposażony w strzelbę na stojaku. Auto stało zaparkowane za stajniami, z kluczykami w stacyjce.

- Jesteśmy na ranchu - powiedziała.

Ruszyła na zachód polną drogą, oddalając się od głównych zabudowań, w stronę gór. Prowadziła pewnie, nie gorzej od Roya, panowała nad kierownicą i pedałami tak samo jak on. Minęli wielką łąkę z koźmi pod samotnym drzewem w oddali, przeprawili się przez płytki, błotnisty strumień i pojechali wyżej. Braży i sucha roślinność zdominowały krajobraz.

Na szczycie wzniesienia zobaczyli wielką terenówkę z odkrytym dachem nadjeżdżającą w ich stronę.

- Ochrona - skomentowała Adele.

No nie, tylko nie teraz. Roy zeszywniał. Jak Turk z Freddym kazaliby mu postąpić w takiej sytuacji? W pierwszej chwili nie mógł sobie...

- Schowaj się - poleciła Adele.

Schował się, dosłownie wcisnął w podłogę. Miał przed oczami nogę Adele. W zakurzonej kowbojskim bucie nabijanym srebrnymi gwiazdami przesunęła się z pedału gazu na pedał hamulca. Wcisnęła go. Stanęli.

- Witaj, Adele, co słychać? - spytał mężczyzna.

- W porządku - odpowiedziała. - Au was?

- Jakoś leci - odrzekł mężczyzna. - Szykujesz się na wieczorne przyjęcie?

- Mam za dużo lekcji - odparła Adele.

- No coś ty - zdziwił się mężczyzna.

- Żeby tylko pracować, a się nie bawić - rozległ się inny głos, trochę dalej, mniej wyraźnie.

- Muszę już jechać - stwierdziła Adele. - Ale mam do was prośbę. Zostawiłam Angusa w zagrodzie.

- Zaprowadzimy go do stajni - obiecał pierwszy mężczyzna.

- Nie ma problemu - dodał drugi.

- Dobrej zabawy wieczorem - rzuciła i wcisnęła gaz do dechy. Roy usłyszał tylko pisk opon i poczuł, jak tył zarzuca. Wyrównała bez trudu. Któryś krzyknął za nią:

- Jupi-jej! - Ochroniarze wyraźnie lubili Adele.

- Możesz już wstać - powiedziała.

Podniósł się, chociaż miał drobny kłopot z oddechem, ale natychmiast to zatuszował.

Spojrzała w bok.

- Co ci się stało w rękę? - spytała.

- Grałem... - Już miał dokończyć „w hokeja”, ale ugryzł się w język. - Od hokeja.

- Fajnie.

Jak to dobrze, że nie dokończył zdania.

- Masz na coś uczulenie? - spytała Adele.

- Nie.

- Mieszczuchy od razu dostają tutaj uczuleń.

- Ja nie jestem mieszczuchem - powiedział Roy. - Mieszkam w małym miasteczku w Vermoncie.

- Jest tam śnieg?

- Pod dostatkiem.

Droga się pogorszyła. Adele zgrabnym ruchem kierownicy ominęła głęboką wyrwę i spytała:

- Czym się tam zajmujesz?

- Jestem rzeźbiarzem - powiedział. - Twój... Calvin Truesdale właśnie kupił jedną z moich prac.

Chwilę milczała.

- Jeżeli wszystko, co mówisz... - Zaczęła, urwała. - Dziwne.

- Prawda?

Mimo dwustu pięćdziesięciu tysięcy niczego nie podejrzewał; *Kto przy zdrowych zmysłach...* jak się wyraziła jego rodzona matka. Już wiedział, że snucie podejrzeń nie należy do jego najmocniejszych stron.

Góry się zbliżyły, ale nie były wysokie. W zagłębieniu u ich podnóża stał niewielki prostokątny budynek, który mógł się poszczycić jedynymi liniami prostymi w okolicy. Krążył nad nim wielki czarny ptak.

- Uczę się sztuki opcjonalnie - oznajmiła Adele.

Nie zrozumiał.

- W szkole - dodała. - W schowku leży jedna moja praca.

Otworzył, wyjął kartkę zwiniętą w rulon. Rozwinął; akwarela przedstawiająca martwą naturę - końska podkowa, młotek, gwoździe, wszystko porzucane na wieku beczki w cieniu. Gwoździe sprawiały wrażenie lekkich, podkowa ciężkiej, a młotek najcięższego. Młotek rzucał niejako matowy blask.

- Niezłe - pochwalił.
- Dostałam czwórkę - powiedziała.
- Czwórkę?
- Od nauczycielki.

Roześmiał się.

- Co w tym śmiesznego? - spytała.

Zrozumiał, że dziewczyna nie docenia własnego talentu.

Droga pięła się stromo, zakreślała za kopcem kamieni, kończyła przed barakiem. Poszarzałe drewniane ściany, okna zabite dyktą, drzwi zamknięte na zamek szyfrowy. Wysiedli. Dookoła zupełna cisza, nad nimi bezmiar nieba, bezchmurnego, lecz nie błękitnego, jak gdyby przetoczyła się nieopodal wielka burza piaskowa. Może jednak niezupełna cisza, bo Roy usłyszał cichy, rytmiczny stukot. Przez chwilę nie wiedział, co to za dźwięk. Chociaż dobiegał z jego piersi.

Adele podeszła do drzwi, otworzyła szyfrowy zamek. Trzasnął, ustąpił. Obejrzała się na Roya.

- Czasem tu zaglądam.

Weszli. Przez drzwi wpadło światło, przez szpary tu i ówdzie przedostały się promienie. Barak był w środku długi, wąski i pusty. Tylko w jednym kącie stała miotła, a w największym snopie światła - stołek. Roy spodziewał się kurzu, pajęczyn, pajaków, może nawet jaszczurki albo jaszczurek, ale było zamiecione do czysta.

Doszedł do końca.

- Jakie tu były sprzęty medyczne? - spytał.
- Nie pamiętam - wyznała Adele. - Chyba łóżko szpitalne, opatrunki. Byłam mała.

Roy usiadł na stołku, usiłował sobie wyobrazić leżącą tam, być może w śpiączce, Delię. Wiedział tylko, że Janet widziała ją na tylnym siedzeniu limuzyny, ranną, lecz przytomną. Przeżyła kłóskę Operacji Ananas i przyjechała... lub została przywieziona... tutaj?

- Co to za dźwięk? - spytał.
- Myszołów - powiedziała Adele. - Wylądował na dachu.

Roy wstał, znów poczuł się niezgrabnie wysoki, zwalczył w sobie to odczucie. Na surowych ścianach z nieheblowanych, sękatych sosnowych desek zobaczył wryte inicjały:

SJW, BT, KLN i jeszcze jakieś przezwiska: Król Rico, Koleś, Ciacho. Nie znalazł DS ani Delii. A sądziłby, że zostawi po sobie ślad.

Obszedł barak, obejrzał ściany. Nic, z wyjątkiem... No właśnie, co to było? Ukląkł w kącie obok miotły. W ścianie, metr nad podłogą, zobaczył dziwny wyrzeźbiony kształt, bardzo mały, nie większy od wizytówki.

Przesunął po nim palcem. Litera V do góry nogami, tyle że rozkraczona, a w połowie jednego ramienia wystawał kwadracik. V do góry nogami i kwadracik... niczym tajemniczy piktogram naskalny w jaskini wykonany przez nieznanego artystę.

- Widziałam to - powiedziała Adele, stając za nim. - Wiesz, co myślę?

- Co?

- Że to rysunek tego miejsca, w którym się znajdujemy. Baraku i gór.

Miało sens. Znudzony kowboj, leżąc w łóżku, mógł wydrapać coś takiego na ścianie.

- Chociaż autor rysunku się pomylił - dodała.

- Jak to?

- Bo ten barak znajduje się u podnóża góry, a nie w połowie.

Pokiwał głową.

- Masz dobry... - I wtedy zrozumiał. Kwadracik w połowie góry to schronisko. - O Boże.

- Co? - spytała Adele.

Roy zaczął wodzić palcami po rysunku niczym po liście napisanym brajlem, jak gdyby przez dotyk mógł dotrzeć do prawdy. I rzeczywiście. *Gdybyśmy się rozdzielili, gdybyś mnie nie mógł znaleźć...* To Delia wryła ten rysunek. Wmówił sobie nawet, że poznaje jej rękę. Nie miała ani krztyny zdolności artystycznych.

Ostukał ścianę, nie usłyszał nic. *Daj spokój, Roy, nawet ty wiedziałeś, że kryjówka nie może być oczywista.* Chciał obluzować deskę. Nacisnął ją, ale nie ustąpiła.

Czyżby chciała tylko powiedzieć: *Byłam tutaj?* Gubił się w domysłach. Uderzył mocniej, bokiem ręki. I tym razem nie usłyszał głuchego dźwięku, ale sęk w desce pod spodem - pięć, siedem centymetrów od rysunku - wypadł i upadł mu do stóp. W ścianie ukazała się dziura wielkości pięści.

Spotkaj się ze mną tutaj.

Próbował włożyć rękę do środka, ale dziura była wielkości małej pięści. Adele uklękła za nim, wsadziła dłoń, pomacała. Po wyciągnięciu trzymała w niej poźółkłą, ciasno złożoną kartkę papieru. Ze zdumioną miną podała ją Royowi. Ręce mu się trzęsły, kiedy ją rozkładał.

Roy

Wiedziałam, że mnie znajdziesz. Mam nadzieję, że niebawem. Nie ze względu na mnie, bo jeśli czytasz te słowa, to znaczy, że nie żyję, ale ze względu na ciebie i nasze dziecko. Poznałeś już prawdę na temat Instytutu Hobbesa? To tajna agentura, sekretna misja kierowana z gabinetu wiceprezydenta, sponsorowana przez kilku bogatych Teksaszczyków. Oczywiście całkowicie nielegalna. Gdyby wyszła na jaw, wiceprezydent trafiłby do więzienia albo stracił urząd, gdyby dotarł do Białego Domu. A może już dotarł? Jeżeli tak, miej się na baczności. Po tym, co się stało, przypuszczalnie zacierają ślady po IH, a może już to zrobili. Uważaj, Roy. Ci ludzie nie mają hamulców. Strzeż się kobiety imieniem Lenore.

A teraz oczywiście pytanie - chociaż lubię, wręcz uwielbiam w tobie to, Roy, że nie zadajesz pytań - Co wiedziałam i od kiedy?

Przysięgam, że z początku nic nie wiedziałam. Prawdę poznawałam stopniowo, tak jak dziecko uczy się chodzić. Może nie wykazałam dostatecznie dużo ciekawości, skąd pochodzą pieniądze. A cele wydawały mi się słuszne. Z początku. Naprawdę istniał projekt wenezuelski - połów muszli. Potem zakradły się aspekty negatywne. To niebezpieczny świat, a będzie jeszcze groźniejszy, może zresztą już jest, kiedy czytasz te słowa. Na końcu już nie mogłam więcej znieść. Pewno uznasz, że zniosłam i tak za dużo. O wiceprezydencie dowiedziałam się o wiele za późno. A byłam młoda. Jestem młoda!

Operacją Ananas - co za idiotyczna nazwa! Tom miał doprawdy rozbudowane poczucie ironii - miałam zakończyć swoją misję, niezależnie od owego fatalnego rozstrzygnięcia. Omal się przed Tobą nie wygadałam! Pamiętasz, kiedy Paul po mnie przyjechał? Powiedziałeś, że może poczekać pięć minut. Pogryzłam sobie wtedy usta od środka aż do krwi. Może gdybyś jeszcze raz powtórzył, że zawsze jest czas na jajka na bekonie, bo bez nich życie straciłoby sens!

Na pustyni marokańskiej znajduje się straszne więzienie. Ci ludzie są niby po naszej stronie, ale mieli wypuścić bardzo groźnego człowieka. Może kiedyś o nim usłyszysz, oby nie. Wszystko poszło nie tak. Burza piaskowa, śmigłowiec spadł, usłyszałam krzyki w różnych językach. Wciągnęłam Paula z powrotem do kokpitu, ale za późno. Ależ on na mnie spojrzał, kiedy już wiedział, że umiera. Jak operacja zaplanowana przy biurku może się tak niefortunnie skończyć, mój Boże. Dopiero kiedy transportowano nas samolotem, zrozumiałam, że mnie postrzelono. W głowę, Roy, ale nie przejmuj się. Pocisk mi wyjęli, choć nie wiem nawet gdzie, bo ten szczegół zatajono, i przywieźli mnie tutaj, żeby wydobrzała. Powiedzieli ci coś o opóźnieniu w Wenezueli? To już dawno nieprawda, stąd wiem co nieco o ich planach. Niestety, w ferworze trochę im wygarnęłam, powiedziałam, co naprawdę myślę. Cholera, powinnam była trzymać język za zębami, bo przestali mi wierzyć. I słusznie.

Ale jestem teraz silniejsza, niż sądzą, i mam plan ucieczki dla siebie i dla małej, dla nas obu. Tak ją na razie nazywam - moją małą - zanim wyrazisz swoje zdanie. Zobaczysz, że ją pokochasz, Roy. (Ma twoje dłonie).

Wierz mi, że przeżywałam katusze, zatajając wszystko przed Tobą. Ale nie chciałam Cię skrzywdzić, Roy, a poza tym naprawdę wstydziłam się powiedzieć.

Wybacz mi.

Delia

Podał list Adele. Wyszedł. Myszołów poderwał się z dachu, wzbił się po poszarzałym niebie, kołując coraz wyżej. Roy milczał, do oczu cisnęły mu się łzy. Chociaż umarła mu już dwa razy, kto by miał czas na łzy?

Adele wyszła i na niego spojrzała. Całą twarz miała zalaną łzami.

- Na pewno jesteś moim tatą?

- Na pewno - potwierdził Roy.

- Co robimy?

- Ty zostań tutaj - zarządził Roy i zrozumiał, że podjął pierwszą ojcowską decyzję.

Adele wierzchem ręki otarła łzy.

- Nie ma mowy - powiedziała.

* * *

Wsiedli do półciężarówki, Roy zajął miejsce za kierownicą. Nacisnął guzik, którym włączył nadajnik Freddy'ego. Przeczytał na głos list Delii, prawie do końca spokojnym głosem. Podczas drugiej lektury zauważył, że ktoś mógłby się w nim dopatrzeć egoizmu. No i co z tego? Co do wybaczenia, to raczej on powinien prosić o wybaczenie. Przeoczył tyle aluzji, tyle okazji, żeby się domyślić. Wiedział, że zawiódł Delię. Złożył list bardzo ostrożnie i schował do kieszeni.

- Czy ktoś tego słucha? - spytała Adele.

- Mam nadzieję - odparł Roy.

Adele pokiwała głową. Najwyraźniej rozumieli się bez słów. Czyżby to były jego pobożne życzenia? Tak się zagalopował? Spojrzał na nią, zobaczył jej delikatny dziewczęcy kark, zupełnie nieprzypominający Delii ani jego.

- Nic z tego nie rozumiem - wyznała Adele. - Wiem tylko, że nigdy nie lubiłam przebywać w jego towarzystwie, chociaż tak mnie obdarowywał. Dlatego czułam wyrzuty sumienia.

- Teraz się ich pozbędziesz - stwierdził Roy.

Nie zawiedzie jej. Przekreślił kluczyk i wrócił tą samą drogą przez suchą równinę do zielonej oazy posiadłości.

* * *

Zaparkował za stajniami.

- Zostań tu, dopóki po ciebie nie przyjdę.

- Dlaczego?

- Później ci wyjaśnię.

W pierwszej chwili ją to zdenerwowało, ale zaraz się roześmiała wesoło i beztrąsko. Ten śmiech dźwięczał mu w uszach, kiedy przemierzał ogrody, piękne ogrody pełne najrozmaitszych kwitnących kwiatów. Roy poczuł się niemal jak dawniej. Ale kiedy minął wielkie dwuskrzydłowe drzwi do galerii, teraz otwarte na oścież, demon znów wyskoczył i szybko, podstępnie chwycił w szpony jego serce, zanim zdołało umknąć. Ścisnął je mocniej niż kiedykolwiek przedtem, jak gdyby wyżywał mgłę. Roy jęknął, zwinął się we dwoje, osunął na podłogę przy drzwiach.

Po chwili ból nieco zelżał. Roy usiłował nabrać powietrza, które całkiem z niego uszło przy upadku, ale nie mógł, jak gdyby płuca mu skamieniały. Usłyszał hiszpańskie głosy. Z galerii wyszli pracownicy w roboczych strojach, z pudełkami z drugim śniadaniem, i skierowali się w stronę budynku za stajniami. Żaden się nie obejrzał, toteż żaden nie zobaczył go w tej awaryjnej sytuacji, kiedy chwycił powietrze, wypinając pierś, wyginając łokcie do tyłu. Trochę pomogło. Powietrze przecisnęło się do środka, utorowało sobie ciasny przesmyk - wystarczyło, żeby przeżyć. Wyprostował się i wszedł do prywatnego muzeum Calvina Truesdale'a.

Nigdzie ani śladu postumentu zakrytego brezentem. *Delia* stała w niszy z rusztowaniem z boku. Dach rozsunięto, toteż do środka wpadało światło. Dziwne zakurzone światło dawało efekt sepii, który Royowi się nie spodobał. Wszedł do niszy, zobaczył, że *Delia* wygląda na staw z rozłożystym drzewem na drugim brzegu. Na jednym z górnych konarów siedział myszółów.

Na marmurowej posadzce zadudniły kroki. Roy się odwrócił. Do niszy wszedł Calvin Truesdale z aparatem kamerą w ręce. Zobaczył Roya, potknął się, zachwiał.

- Zmieniłem zdanie - rzekł Roy. - Nie sprzedam ci jej.

Zdumiał go jego własny spokój. Nawet pamiętał, żeby wcisnąć guzik.

- Roy? - Truesdale rozdziawił usta, zamknął, ponownie otworzył. - Nie rozumiem. -

Twarz mu stężała, zaraz jednak wróciło opanowanie. - Przecież widziałem twój nekrolog. - Roy nie skomentował. Czuł, jak szybko pracuje mózg Truesdale'a. - Najwyraźniej kolejny dowód na to, że nie wolno wierzyć we wszystko, co piszą w gazetach - dodał. - Bo chyba, Boże drogi, nie wciągnąłeś się w jakiś spisek, co?

Rozejrzał się. Czyżby na jego twarzy zagościł strach? Choćby tylko przelotnie. Miła satysfakcja.

- Zabawa skończona - powiedział Roy. Przez otwarty dach dobiegł go z oddali warkot. - Instytut Hobbesa, cokolwiek teraz robisz... wszystko wyjdzie na jaw.

- Żebym to ja wiedział, o czym teraz mówisz...

Ale Roy mu przerwał.

- Wykluczasz, żeby Tom się wygadał? Albo Westie? - Truesdale wyciągnął szyję w agresywnym, gadzim odruchu. - Albo Delia?

Truesdale obliznął usta.

- Delia?

- Napisała do mnie list. - Roy wyjął go z kieszeni. - Wszystko tu jest. O tym, jak ją więziłeś, o Operacji Ananas, wiceprezydencie.

Truesdale spojrzał na list. Odłożył kamerę na stół. Roy się cofnął, wpadł tyłem na rusztowanie.

- Skąd go masz? - spytał Truesdale.

Wszystko zaczęło się układać Royowi w głowie w sensowną całość.

- Od lat zastanawiał cię ten rysunek na ścianie, prawda? A potem Lenore zaczęła węszyć w Ethan Valley, dowiedziała się o schronisku, dlatego sądziłeś, że rozwiązałeś zagadkę.

- Skąd go masz? - powtórzył pytanie Truesdale.

- Dowiesz się w sądzie - odparł Roy.

Demon jednak nie przejął się tym stwierdzeniem, bo znowu zacisnął szpony na sercu Roya.

- W sądzie?

- Czeka cię mnóstwo spraw sądowych - powiedział Roy.

Truesdale postąpił krok naprzód. Roy cofnął się pod rusztowanie, dalej już nie miał gdzie.

- Nie zawsze tak się to kończy - rzekł Truesdale. - Owszem, nasz kraj ma wrogów, wręcz śmiertelnych wrogów, którzy nie przestrzegają zasad cywilizowanego świata. Pomyśl, jaką broń im dasz do ręki, jeżeli podkopiesz nasze instytucje, chociażby urząd prezydenta. Nie rozumiesz, jakie może to pociągnąć konsekwencje?

Roy poczuł się wolny od trosk, nienarażony na żadne konsekwencje.

- Ona nigdy nie miała wyjść z tego baraku, co? - spytał. - Od początku chciałeś ją zabić.

- Ależ skąd - zaprzeczył Truesdale. - Była dla nas zbyt cenna.

- Tylko nie wmawiaj mi, że była szefem - rzekł Roy.

- Nie wiesz, że wszyscy widzą świat w świetle, w którym sami wyglądają korzystnie? - spytał Truesdale. - Jeżeli lżej ci z tym na duszy, możesz ją nazwać kierowniczką średniego szczebla. - Warkot się nasilił, podzielił na dwa osobne pomruki. Roy spojrział w górę przez otwarty dach; niebo było puste. Kiedy spuścił wzrok, zobaczył pistolet w ręce Truesdale'a. - A teraz oddaj mi list.

- Nie waż się go tknąć - ostrzegł Roy.

Kostka na palcu wskazującym trzymającym cyngiel aż zżółkła. Nastąpił wybuch. Roy poczuł uderzenie w rękę, tyle że w lewą, ostatnio niezbyt tak przydatną, natomiast nie poczuł bólu. Szkoda tylko, że trzymał w niej list, bo wyślizgnął się i pofrunął w stronę niszy. Obaj rzucili się za nim, lecz nie mieli równych szans. Truesdale złapał pierwszy. Zgarnął go zdumiewająco szybkim ruchem i znów wycelował w Roya.

- Nie dałeś mi wyboru - powiedział Truesdale, jak gdyby Roy już należał do przeszłości.

Ta uwaga go oburzyła, a widok listu w szorstkiej ręce Truesdale'a jeszcze bardziej. Roy wspiął się na palce, zakołysał, kiedy usłyszał nad głową warkot przechodzący w głośny ryk. Obaj podnieśli wzrok, zobaczyli chmurę helikopterów. Helikoptery mogły oznaczać śmierć, ale nie te. Wszystkie miały na bokach nazwy rozmaitych mediów.

Truesdale otworzył usta. Roy rzucił się na niego, może nie tyle rzucił, ile padł bezwładnie. Truesdale za późno zauważył jego ruch. Roy upadł, uderzając go w nogi i obaj przewrócili się na podłogę. Truesdale nadział się głową na promień w niższych partiach *Delii*. Rozległ się trzask przypominający dźwięk rozłupywanego drewna, który przebił się nawet przez rumor dookoła. Truesdale już się nie poruszył.

List leżał na podłodze. Roy go podniósł. Wstał, otrząpiał się, ruszył ku dwuskrzydłowym drzwiom. Helikopter opuścił się, wychylił się z niego operator, który skierował kamerę na Roya. Roy uśmiechnął się, pomachał.

Tak, czuł się wolny od trosk. *Nie mam ci czego wybaczać, kochanie*. Przyszedł mu do głowy pomysł na nową pracę - już nie tak masywną jak ostatnie, bardziej przypominającą...

Lecz demon nie wytrzymał. Ścisnął serce Roya wyjątkowo mocno, żeby pokazać, kto tu rządzi. Roy padł na wznak, wszędzie dookoła czuł zapach kwiatów. Czyżby prószyl śnieg?

Nad sobą widział twarze Turka i Freddy'ego. A wysoko w górze chmurę helikopterów. Tur, tur, tur. Zwycięstwo? Tak, i to podwójne.

- Gdzie jest Adele? - spytał.

- Tu jestem - powiedziała. Jego córka klęczała obok i głaskała go po głowie. Drżącą ręką dodawała mu otuchy. - Pomoc już jedzie.

- To dobrze - stwierdził Roy.

Optymizm wobec własnego dziecka to podstawa. A niedokończona praca? Cóż to miało za znaczenie? Ważne, że uporządkował odpadki własnego życia, nadał mu sens. Igloo zamykało się nad jego głową, a lodowe bloki wznosiły się w zatrważającym, nieludzkim tempie. W końcu otrzymał nieoczekiwaną premię, wręcz błogosławieństwo, w postaci własnej - odzyskanej - córki.